

a g a  
k a l i c k a

spointo

PRZYSIĘŻONY, ZA ŻYCIA SKREŚLONY,  
PO KRĘS ZWIĄZANY PRZYSIĘGĄ

seria mano d'onore #3



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

LILLO13



a g a  
k a l i c k a

spinto

PRZYSIĘŻONY, ZA ŻYCIA SKREŚLONY,  
PO KRES ZWIĄZANY PRZYSIĘGĄ

seria mano d'onore #3





a g a  
k a l i c k a

*spirito*





***Książka zawiera sceny i opisy, które mogą wywołać  
dyskomfort u bardziej wrażliwych czytelników.  
W trosce o nich uprzedzamy, iż fabuła powieści obejmuje wątki: gwałtu,  
brutalnych morderstw, tortur, handlu  
narzędzami. Pojawiają się w niej też wulgaryzmy i opisy aktów przemocy.***

# Spis treści

- [Wcześniej](#)
- [ROZDZIAŁ 1](#)
- [ROZDZIAŁ 2](#)
- [ROZDZIAŁ 3](#)
- [ROZDZIAŁ 4](#)
- [ROZDZIAŁ 5](#)
- [ROZDZIAŁ 6](#)
- [ROZDZIAŁ 7](#)
- [ROZDZIAŁ 8](#)
- [ROZDZIAŁ 9](#)
- [ROZDZIAŁ 10](#)
- [ROZDZIAŁ 11](#)
- [ROZDZIAŁ 12](#)
- [ROZDZIAŁ 13](#)
- [ROZDZIAŁ 14](#)
- [ROZDZIAŁ 15](#)
- [ROZDZIAŁ 16](#)
- [ROZDZIAŁ 17](#)
- [ROZDZIAŁ 18](#)
- [ROZDZIAŁ 19](#)
- [ROZDZIAŁ 20](#)
- [ROZDZIAŁ 21](#)
- [ROZDZIAŁ 22](#)
- [ROZDZIAŁ 23](#)
- [ROZDZIAŁ 24](#)
- [ROZDZIAŁ 25](#)
- [ROZDZIAŁ 26](#)
- [ROZDZIAŁ 27](#)
- [ROZDZIAŁ 28](#)
- [ROZDZIAŁ 29](#)
- [ROZDZIAŁ 30](#)





## Wcześniej

Towarzyszyła mu od dnia narodzin. Składała pocałunki na przebijających przez prześwitującą skórę żyłkach, mroząc w nich krew. Kołysała przy akompaniamencie szlochu jego zrezygnowanej, wyczerpanej ciężkim porodem matki, obserwując siniejące paluszki. Był taki niewinny. Wciąż rozkosznie ciepły, mimo że zabrała mu oddech. Gdy myślała już, że zasnął na wieki, niespodziewanie otworzył oczy. Bum. Bum. Bum. Małe, waleczne serduszko. W chwili, kiedy położnik przeciął pępowinę, a pierwszy krzyk chłopca, do złudzenia przypominający przeciągłe: „Jaaaaa”, rozbrzmiał w sali porodowej, uciekła spłoszona, pewna, że i tak go odnajdzie.

Dorastał. Podczas gdy jego rówieśnicy wymieniali się kartami piłkarskimi i robili proce, on uczył się wycinać narządy, dbając o zachowanie ich anatomicznych struktur. Za każdym razem, kiedy pochylał się nad stołem sekcyjnym, sprawiał wrażenie nieobecnego. Zupełnie jakby to jego duch, a nie leżącego przed nim nieszczęśnika, opuszczał ciało. Każde wykonywane z wyuczoną przez lata kliniczną precyzją cięcie, naznaczenia zimnym ostrzem, pozostawiało ślad w nim samym. Żłobienia w lodowaciej skamielinie – sercu.

Czuł na karku jej oddech.

Nieraz próbował uciec, sądząc, że ją przechytry, lecz coraz rzadziej bywał zdziwiony, gdy poklepywała go w ramię, szepcząc: „A kuku”. Nie miała nieświeżego oddechu ani trupiobladych policzków. Pachniała słodko. I była bardzo samotna. „Na zawsze razem. Ty i ja, Spirito. Ty i ja...”, powtarzała melodyjnym głosem. Obejmowała go ramionami, ścisnęła, zgniatając żebra, a kiedy wypuszczał z sykiem powietrze, był pewny, że wraz z nim uchodzi z niego coś jeszcze.

Podszedł do umieszczonej przy ścianie umywalki, ściągnął maseczkę, rękawiczki i uniósł głowę, by przyjrzeć się swojemu odbiciu w lustrze.

– Muszę stąd wyjść – rzucił w przestrzeń. – Jestem zmęczony. Mam wrażenie, że... – rozejrzał się dookoła – z każdej strony otacza mnie śmierć i wysysa ze mnie życie. Czuję jej słodki zapach. Zaraz pęknie mi łeb. – Włożył palce między włosy i energicznie potarł skórę głowy.

Uczący go techniki sekcyjnej doktor Bandetti parsknął gorzkim śmiechem.

– Użyłeś nieodpowiedniego ostrza – oznajmił, ignorując przemyślenia chłopaka. – Następnym razem sięgnij po to z numerem cztery i tnij wzdłuż ciała, począwszy od szyi, na spojeniu łonowym kończąc. Omiń pępek – instruował. – Nie przekażę twojemu ojcu, że opowiadasz takie głupoty, ale nie chcę tego więcej słyszeć. I nie patrz na mnie w taki sposób. – Zrobił krok w tył, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały. – Za niedługo nasze spotkania dobiegną końca. Jesteś już gotowy.

– Niby na co? Mam niecałe czternaście lat. Nie wybieram się jeszcze na studia – prychnął. – Poza tym mówiłem, że chcę zostać weterynarzem, a wy zamykacie mnie w trupiarni i na akord patroszę zwłoki.

– Weterynarzem. – Lekarz zaśmiał się w głos. – Wiesz, że to taki gość ze swoim, a nie cudzym, sercem na dłoni? – Uśmiechnął się pod nosem i wysunął z chłodni ciało dobrze znanego chłopcu psychologa. – Troska o innych to twój konik – drwił.

– Zabiłem go, bo tego chciał ojciec. Jeszcze zanim wszedłem do gabinetu, wiedziałem, że to zrobię. Taki dostałem rozkaz.

– A potem, jak gdyby nigdy nic pojechałeś do kolegi, bo umówiłeś się na nocowanie. Spłynęło to po tobie.

– Może i tak. Ale zwierzęta lubię – odparł, wzruszając ramionami. – Kończę na dziś – oznajmił tonem nieznośnym sprzeciwu, w momencie kiedy rozbrzmiał dzwonek.

Przed wejściem do sali stała przestępująca z nogi na nogę dziewczynka. Nerwowo poprawiała zsuwającą się z czubka głowy żółtą kokardę dobraną pod kolor sukienki. Coraz mocniej uderzała pięścią w metalowe drzwi i co rusz, marszcząc groźnie brwi, zerknęła w kamerę. W drugiej ręce kurczowo ścisnęła płócienny worek z troczkiem.

– Proszę otworzyć, to jak zwykle ja, Zita Belgamonte!

Spirito szybkim ruchem rozwiązał fartuch, zmiął go w kłębek i odrzucił na bok. Przykrył zwłoki, zasunął parawany i podbiegł do szafki z przyborami toaletowymi. W biegu poprawił włosy, chwycił perfumy, po czym zaczął rozpylać je w pomieszczeniu. Lekarz przyglądał się temu z nieukrywanym zdumieniem.

– Pato-zjeb – bąknął ledwo słyszalnie. – I tak jej tu nie wpuszczę. Jeszcze nie skończyliśmy, a z tego, co wiem, ojciec kazał ci omijać ją szerokim łukiem. – Założył ręce na piersi. – Stanowisz dla niej zagrożenie – dodał głośniejszym głosem.

– Powiedziałem, że mam dość – warknął chłopak w odpowiedzi. – Ale – uniósł palec – mogę zmienić zdanie, jeśli ją wpuścisz. Pół godziny, no kurwaaa – jęknął przeciągle, próbując coś ugrać. – Obiecuję, że tym razem nic jej nie zrobię.

– Wykluczone. Nigdy nie dotrzymujesz obietnic.

Spirito źle znosił odmowy. Obdarzył lekarza przeszywającym na wskroś spojrzeniem. Był wyjątkowo spokojny, opanowany niczym mnich. Taki właśnie bywał, gdy miał w planach...

– Dobra, zgoda. Nie morduj mnie... wzrokiem. – Lekarz zaśmiał się nerwowo, a chłopak zmarszczył brwi, zaskoczony, że tak łatwo poszło. – Też potrzebuję przerwy. Macie pół godziny, ani minuty dłużej. Przyniosę nam coś do żarcia. – Ruszył ku drzwiom, ale wkrótce przystanął i obejrzał się za siebie. – Nie bądź taki zdziwiony, dzieciaku. Na to jeszcze nie czas – zakończył enigmatycznie, a przekraczając próg, gestem zaprosił Zitę do środka.

Spirito potrząsnął ramionami, na siłę próbując przybrać swobodną postawę, lecz napięcie nie ustępowało. Lada moment miał stanąć twarzą w twarz z największym *wrogiem*, zaryzykować zmianę stanu skupienia. Na własne żądanie poddać się torturom i roztopić pod ostrzałem ciepłego spojrzenia Zity – lub wręcz przeciwnie, odurzać strachem, którego nie potrafiła zamaskować nawet czerń jej oczu.

– No i dlaczego nie włączysz? – burknął z pretensją i podszedł do drzwi. Dopiero wtedy dziewczynka wykonała krok, a szeroki uśmiech, jaki zagościł na jej twarzy, uwydatnił okolone czarnymi lokami, pyzate policzki.

– Czekałam, aż podejdziesz – odpowiedziała, nie zrażając się jego tonem. – Nie chciałam, żebyś przestraszył mnie tak, jak ostatnio. Wolę cię widzieć. Nie zakradaj się, udając ducha.

Spirito przyjrzał się jej z uwagą.

– A co, boisz się duchów? – zapytał zaczepnie.

– Tak, bardzo – przyznała wprost.

– Ale wiesz, że mam na imię Spirito?<sup>1</sup>

– Oczywiście. – Przełknęła ślinę. – Może dlatego czasem się ciebie boję? – rzuciła lekko i zajęła miejsce przy stoliku.

– Po co więc znów tu przyszedłeś?

– Miałam ochotę. A poza tym stał się cud! – wykrzyknęła podekscytowana, gdy usiadł naprzeciwko. – Chłopcy, którzy dokuczali mi

w szkole, już tego nie robią. Jestem dla nich niewidzialna. Zupełnie jakbym była – zamyśliła się, a po chwili pstryknęła palcami – no właśnie, duchem.

– Z kim się zadajesz, takim się stajesz – skwitował Spirito.

– Pewnie podziałyły słowa: „Proszę, przestańcie”, bo powtórzyłam je aż pięć razy.

– Prędeży: „Wypatroszę was jak króliki”, ewentualnie: „Jedyne, co wam się w życiu uda, to umrzeć”.

Dziewczynka zamarła, a następnie pokręciła głową z niedowierzaniem i fuknęła obrażona:

– Miałeś mi nie pomagać.

– Obiecałem, że usunę z twojej drogi wszystkich złych ludzi – przypomniał.

– Chciałam poradzić sobie sama! – Poderwała się z miejsca, po czym zaczęła krążyć po pomieszczeniu, nerwowo wymachując workiem.

Spirito obserwował tę scenę z nieukrywanym znudzeniem.

– Skoro tak, następnym razem o nic ich nie prosz, tylko weź grabki i wbij im w oczy.

Zita stanęła przed nim i spojrzała na niego buntowniczo.

– Jestem dziewczyną, jakbyś nie zauważył – stwierdziła z wyrzutem.

– No i? Możesz wziąć różowe. – Zaśmiał się cicho.

Zita też chciała to zrobić, ale w ostatniej chwili zakryła usta, bo właśnie z powodu donośnego, nietypowego śmiechu dokuczali jej rówieśnicy. Próbowwała chichotać jak koleżanki, lecz w efekcie i tak wiecznie zrywała boki, rżąc jak koń.

– Co masz w tym worku? – zapytał zaciekawiony Spirito.

– Ważne rzeczy. Mogę pokazać, jeśli zrobisz dla mnie coś w zamian – zaproponowała i nie czekając na odpowiedź, rozwiązała sznurek. – To tułów maskotki, którą mi podarowałeś. – Położyła go na blacie i ponownie zanurzyła rękę w worku. – A to jej główka. Oderwałam ją w złości po tym, jak z zaskoczenia uciąłeś mi pukiel włosów. – Spojrzała na chłopaka z pretensją i z powrotem usiadła przy stole. – Twoim zadaniem jest połączyć te dwa elementy. Przyszyć – tłumaczyła. – Ja nie potrafię, a ty masz wprawę, bo szkolisz się na rzeźnika. – Wskazała ruchem głowy na parawany.

Spirito parsknął śmiechem.

– Kto naopowiadał ci takich głupot?

– Sama wywnioskowałam. Ostatnio nie zakryłeś narzędzi. Takie same lub bardzo podobne widziałam u pana Castello, rzeźnika. Jest tu zimno, śmierdzi środkami czystości i czymś jeszcze...

– Śmiercią – wszedł jej w słowo. – Myślałem, że szyciem zajmuje się krawiec, a rzeźnik – uśmiechnął się cwaniacko – kawałkowaniem, rozczłonkowywaniem, grzebaniem we flakach...

– Czy możesz tak nie mówić? – Zaniepokojona, odchyliła się na krześle. – Przyszysz czy nie? – zapytała niepewnie. – Masz igły. Je też widziałam.

Spirito wszedł za parawan. Po chwili wrócił z zestawem do zakładania szwów. Położył go na stole, sięgnął po igłę i rozpoczął „operację”.

– A dlaczego wybrałeś taką, a nie na przykład tę? Nie chcę, żebyś za bardzo poszarpał materiał. – Przyglądała się oceniająco, gdy przeciągał przez niego nić.

– Ta, którą wskazałaś, sprawdza się w chirurgii plastycznej. Igła konwencjonalnie tnąca. W tym przypadku wystarczy odwrotnie tnąca, gwarantująca optymalną penetrację tkanki. Idealna do zszywania miśków i ust gadatliwych dziewczynek. – Spojrzał na Zitę i dodał: – Wolałem, gdy tylko się na mnie gapiłaś.

– Było, minęło – wypaliła. – Już się ciebie nie wstydzę, tylko trochę boję, ale nie zapominaj, że zawarliśmy pakt. – Dotknęła blizny na przedramieniu.

– Jak to się ma do tego, że mój ojciec wie o tym, że cię pociąłem? Miałaś trzymać gębę na kłódkę. Milczeć – warknął. – Pożalujesz, że nie dotrzymałaś słowa.

– Dotrzymałam! – krzyknęła piskliwie. – Pan Beneventano zauważył nacięcie i od razu wiedział, że to twoja sprawka, ale nie potwierdziłam. Milczałam jak grób – powiedziała pewnie. – Poprosił, żebym nie mówiła o tym mamie, i zapytał, co chcę w zamian za dotrzymanie sekretu.

– Powiedziałaś, że nic? – dociekał.

Zita poruszyła się niespokojnie pod naporem jego spojrzenia.

– Nie no – sapnęła – przecież potrzeba mi wielu rzeczy, ale wiem, że twoi rodzice mają problemy finansowe, bo zmniejszyli wypłatę mojej mamie, więc wybrałam pudełko koralików i szminek. Fajnie mieć malinowe usta.

– Wychodzi na to, że można kogoś zdradzić, milcząc. W tym przypadku przyjęcie łapówki jest równoznaczne z potwierdzeniem przypuszczeń starego. Złamałaś postanowienia paktu. Zrywam go.

– Jest wieczysty! – oburzyła się. – Nie wykręcisz się teraz! Ty i ja Spirito. Ty i ja...

Chłopak zmrużył oczy, przechylił głowę i uśmiechnął się lekko.

– Masz rację. – Złapał ją za rękę, by móc zetknąć ze sobą dwa łączące ich symbole. Wyciętą przez Zitę literę „Z” na jego przedramieniu i „S”, którym on naznaczył dziewczynę. – Pocałunek na zgodę? – zaproponował i pochylił się nad stołem.

– W policzek czy w dłoń? – zapytała.

– W usta. Podczas pocałunku zwiększa się ich ukrwienie. Będą malinowe. Lubisz takie.

– A będzie tak jak w filmach czy inaczej? Bo nigdy się z nikim nie całowałam.

– Ja też nie – przyznał. – I oczywiście. Wymyśliłem już nawet scenariusz.

– Dobrze, ale trochę się boję, ponieważ nie wiem, czego się spodziewać – stwierdziła zawstydzona.

Przez chwilę, która zdawała się wiecznością, nie spuszczali z siebie wzroku, aż w końcu zbliżyli twarze i nieporadnie zderzyli się nosami. Zita rozchyliła usta, gdy Spirito obrysowywał jej palcem. Dotknęła jego bladego policzka. Zadrżała. Przymknął powieki, całując ją delikatnie. Pachniała trawą, świeżym powietrzem i czymś jeszcze. Nie potrafił sklasyfikować tego nieoczywistego zapachu. Nie znał go. Przygryzł jej wargę i otworzył oczy. Zarejestrował moment, w którym zdała sobie sprawę, że jest w pułapce, a zdrada to siewca obustronnego bólu.

Pierwsza cieknąca jej po brodzie krew.

Pierwszy wbity w jego plecy sztylet.

Mocniej zacisnął zęby. Zita jęknęła w bóle.

Odsunął się nieznacznie, trzymając ją za kark, by uniemożliwić jej wykonanie ruchu.

– Zrywam pakt – wydusiła, łkając żałością. Wargę pulsowała. Krew kapiąca na stolik, mieszała się ze łzami.

– Ojejku – rzucił ironicznie. – Jakie to szczęście, że jest wieczysty – przytoczył jej słowa – bo zabrzmiało groźnie.

– Już nie żyjesz – zagroziła, mimo że trzęsła się ze strachu.

Spirito przyłożył dłoń do piersi, a po chwili nią potrząsnął.

– Faktycznie chłód. Trupie serce. – Wzruszył niedbale ramionami. Chwycił dziewczynę za włosy, przyciągnął ją bliżej siebie i obdarzył

lodowatym spojrzeniem. – Ty i ja, Zito – wycedził. – Ty i ja...  
*Przezroczysty chłopiec i strachliwa dziewczynka.*

---





<sup>1</sup>*Spirito* (wł.) – duch

# ROZDZIAŁ 1

## *Zita*

Pięć sekund. Przez pięć pieprzonych sekund, kiedy zmaterializował się przede mną Duch, nie byłam beznadziejnie samotna. Świetne uczucie, tyle że krótkotrwałe, a co najgorsze, uzewnętrznione. Aż za dobrze wiem, że wystarczy kilka chwil, by wyrzucić świat do góry nogami. I by zrobić z siebie ckliwą panienkę, co udowodniłam już nie raz.

„Nie jestem już sama na tym świecie. Jesteś jedynym, co znam, czemu ufam”. Kurwa. Wypowiedzenie tych *kłamstw* przyszło mi tak naturalnie, jakby były prawdą. Wystarczyło, że zobaczyłam pierwszorzędnie zakonserwowanego nieboszczyka, a opuściłam gardę, skłonna zostać fanką *Powrotu żywych trupów*. Mało tego, wykonałam już pierwszy krok wiodący ku krainie umarłych i z zapalem, którego mógłby mi pozazdrościć wzorowy eksploatator, podjęłam próbę przedarcia się przez gęstą mgłę spowijającą nie chłopca, będącego częścią mojej przeszłości, lecz mężczyznę, którym się stał.

Dotknęłam go. Wyczułam pod palcami wyżłobioną na jego przedramieniu literę „Z” i po raz pierwszy od lat zwichrzone czarne chmury zaczęły się rozstępować. Oczekiwałam promieni słońca, ukojenia trawiącej tęsknoty, słów wyjaśnień, w ostateczności milczenia, jeśli wiązałoby się ze znalezieniem w znajomych ramionach, a jedyne, co otrzymałam, to przyprawiający o dreszcze powiew chłodu, gradowe kule spadające wprost na poobijaną głowę i sopel wbity w serce.

To, co dostrzegłam w oczach Spirito, było po stokroć bardziej ponure od myśli, jakie zagościły w mojej głowie, gdy się zorientowałam, że jedyną zaskoczoną, niemal czołowym, zderzeniem z przeszłością jestem ja. Nawet nie udawał, że jest inaczej! A mógł. Wystarczyło rozdziawić w zdziwieniu przystojną gębę, sprzedać mi wersję o przypadkowym spotkaniu, splocie dziwnych zdarzeń, będących dla mnie normą. Skłamać, że niestrudzenie szukał swojej dziewczynki, ale nie mógł jej znaleźć, co nie byłoby dziwne, bo przecież umarła, od dawna nie istnieje. Uwierzyłabym! Tymczasem nie wprost, ale jednak przyznał, że towarzyszył mi w chwilach największych słabości, będąc jednocześnie niemym świadkiem moich porażek.

Bleh. Duchy dawnych czasów bywają nieziemsko paskudne. Święty Mikołaj i jego elfy, Robin Hood i tkacze nowych rajtek. Niech spierdalają.

Zanim jednak im na to pozwolę, ten samozwańczy, nieudolny, anioł stróż, odpowie na kilka niedających mi spokoju pytań. Zdążyłam wypunktować je w myślach podczas trwającej już trzeci miesiąc odsiadki. Przede mną kolejnych dziewięć. Niestety nie w otoczonym zielenią, mającym więcej wspólnego z domem wielorodzinnym, półotwartym katańskim ośrodku penitencjarnym, lecz w okrytym złą sławą Zakładzie Karnym dla Nieletnich i Młodych Dorosłych w Syrakuzach.

Radiowóz podskakuje na wybojach. Niestrudzenie, z odpowiednią dozą nachalności, wlepiam wzrok w skrzynię biegów, licząc, że auto straci moc, coś stuknie, odpadnie i odwlekę moment rozszarpania – po raz kolejny – przez macki bezdusznego systemu, ślepego wymiaru sprawiedliwości. Niezbadaana jest potęga siły woli. Cóż, Alma najwidoczniej zaraziła mnie naiwnością, a to niby ja jestem jej winna wyjaśnienia.

– Dlaczego muszę jechać w inne miejsce? – pytam, mącąc ciszę.

– Tak zdecydowała administracja. Przymusowy transfer z powodu przepełnienia zakładu – odpowiada eskortujący mnie, na co dzień pracujący w służbie więziennej, policjant. Emiliano.

– Pierdolenie. A według wersji nieoficjalnej?

– Możliwe, że jesteś wyjątkowo upierdliwą osadzoną. W ciągu trzech miesięcy twojego pobytu do urzędu wpłynęło dwanaście napisanych przez ciebie skarg. Złożyłaś osiem wniosków i sześć odwołań...

Wyłapuję w lusterku jego spojrzenie.

– A według wersji „między nami”? – Unoszę skute rękę, wykonując pokraczny cudzysłów w powietrzu.

Ignoruje pytanie i włącza radio. Wzruszam ramionami, wmawiając sobie, że nieświadomość nie jest przecież taka zła. Jak się okazało, była moją najlepszą kumpelą. Do czasu pojawienia się Spirito, który bez skrupułów ją zabił. Nie dziwne, w końcu zna się na umieraniu, czego jest... żywym przykładem. Teraz, podobnie jak on, odżyła. To źle, bo jednak wolałabym wiedzieć, dlaczego znów jestem przerzucana z kąta w kąt, skoro wreszcie, po dwóch latach życia w *ukryciu*, pogodziłam się z popieprzonym losem i chciałam w spokoju odbębnić zasądzoną, lecz niesprawiedliwą karę.

Trzy miesiące temu, kiedy niemal wpadłam pod koła policyjnego wozu, z premedytacją oddałam się w ręce stróżów prawa. Nie grałam na czas, pewna, że i tak dam dyla. Chciałam zostać aresztowana. Powodem

bynajmniej nie była absurdalna obawa, że jeśli nie zgarną mnie gliny, to wpadnę w łapy goniącej mnie bandy Spirito. Nie dokonałam wyboru między mniejszym bądź większym złem. Przyczyną mojej kapitulacji było zmęczenie. Psychiczne wyczerpanie, z którym na co dzień sobie radziłam, tamtego dnia okazało się nie tyle kulą u nogi, ile haratającym mózg cierniem. Musiałam odpocząć. W więzieniu mam ku temu idealne warunki, szansę na podreparowanie zbroi, zanim znów stanę w szranki z życiem i ponownie zadam sobie pytanie: „Co teraz, Zito?”. To jedno z serii tych prostszych, bo repertuar odpowiedzi jest ograniczony. „Nie mam pojęcia” i „Jakoś to będzie”. Słabo.

Umiem przetrwać, ale nie wiem, jak żyć. Och, kurwa, to jeszcze bardziej żałosne.

Siła to ja! Nie chce być inaczej, więc najwyższa pora przestać się rozczulać. Nieprzemysłany ruch, nieodpowiedni wyraz twarzy, ukazanie słabości, przystępniejszej strony osobowości – to tylko niektóre z kroków prowadzących do zagłady. Tor bez przeszkód. Tyle wystarczy, by zostać wykorzystaną lub stać się martwą. A to, że oddycham i wciąż potrafię znaleźć powód, by szczerze rzeć ze śmiechu, oznacza, że całkiem niezła ze mnie zaklinaczka rzeczywistości.

Zita czarodziejka.

Chciałabym umieć wyczarować sobie...

– Nad czym tak dumasz? – Z rozmyślań wytrąca mnie głos policjanta. – Byłaś kiedyś w Syrakuzach? Gdy już wyjdiesz na wolność, polecam zwiedzić Ortigię, starą część miasta. To wyspa, ale połączona z Sycylią mostem. Nieźle, co?

Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Zgrywasz idiotę lepiej niż przewodnika. – Pochyliam się w jego stronę i zerkam przez oddzielającą nas kratkę. – Na fotelu pasażera leżą mój worek i teczka z aktami. Musiałeś się z nimi zapoznać, bo sprawujesz nadzór nad osadzonymi. Doskonale wiesz, że znam to miasto na wylot. Nie pogrywaj ze mną w ten sposób. Łączę fakty szybciej, niż ty walisz konia.

– Nie musisz być wulgarna.

– Wiem, co muszę, a czego nie. Ostatnią osobą, która będzie mnie pouczać, jest gliniarz udający, lub nie, debila, sądzący, że ma do czynienia z kimś równie ograniczonym.

– Dobra, nie było tematu. Odsuń się i milcz – zarządza, machając lekceważąco dłonią. – Ciekawe, jak będziesz śpiewać po kilku dniach

spędzonych w krwawych murach, bo tak właśnie nazywamy miejsce, do którego cię wiozę. Wydaje mi się, że bardzo, bardzo cienko – stwierdza z nieukrywaną satysfakcją.

Wybucham śmiechem.

– Słyszysz mój głos? Aż podskoczyłeś, gdy się zaśmiałam. Ozłocę osobę, która sprawi, że będę piszczeć jak słodki kurczaczek, a nie piać jak kogut.

– Nie masz już forsy.

Co on tam wie.

– Składam obietnicę, bo wiem, że wywiązanie się z niej nie będzie konieczne. Z całą pewnością nie będę drugą Renatą Tebaldi.

– Kim?

– Włoską śpiewaczką operową. Poszerz horyzonty – zalecam. – Dogryzanie kobiecie w trudnym położeniu, sugerowanie jej, że czeka ją wpierdol, czyni cię chujem.

Następuje głucha cisza. Emiliano mocniej zaciska ręce na kierownicy, pewnie rozważając odstrzelenie mi łba. W końcu wzdycha przeciągle, jakby zdecydował jednak odrzucić na bok mordercze wizje rozprawienia się z krnąbrnym tworem wadliwego systemu – mną. Nie z Zitą, dziewczyną, kobietą, lecz bezosobową jednostką.

– Muszę odebrać – informuje, gdy rozdzwania się jego telefon. Sapie nerwowo, zjeżdża na pobocze i odpina pas. Chrząka kilkukrotnie i pociera dłońmi o uda.

– Możesz dać na głośnomówiący – sugeruję, nie potrafiąc zamaskować ciekawości. – Dlaczego nagle zbladłeś i wyglądasz, jakbyś za moment miał wyzionąć ducha? Mam nadzieję, że tu nie kipniesz, bo, znając życie, będzie na mnie.

– Zamknij się w końcu – warczy i wysiada, zostawiając lekko uchylone drzwi.

Wyteżam słuch. Szum przejeżdżających aut znacznie utrudnia podsłuchiwanie. Do moich uszu docierają pojedyncze słowa, aż wreszcie...

– Postraszyłem ją krwawymi murami. Musiałem! Świętego wyprowadziłaby z równowagi! – krzyczy, kopiąc w złości kamyk. – Co? Jakim znów klejnocikiem? Czy chcę na ten temat podyskutować z twoim szefem? Dobra, dobra, przyznaję. Pieprzony diamencik. Cudowna osoba. I do tego miła. Naczelnik odpalił mi psią dołę. Dostanę od was coś ekstra? – dopytuje. – Słucham? Powiedziałeś „wpierdol”? Halo? – Odsuwa komórkę od ucha, a po chwili przykłada ją z powrotem i ponawia pytanie: – Halo?

Emiliano drapie się po czole, sprawiając wrażenie zmieszanego, po czym zajmuje miejsce kierowcy. Zanim rusza, odwraca się w moją stronę.

– Jak coś, nie rozmawiałem o tobie, tylko o innej osadzonej – tłumaczy, mimo że nie drażę tematu. – Wszystkie was straszę tym samym. Ale do rzeczy. Będąc na zewnątrz, ochłonałem. Wiem, brzmi nieprawdopodobnie, bo żar leje się z nieba, ale wszędzie dobrze, gdzie cię nie ma. To znaczy, źle to sformułowałem – mota się. – W sensie przemyślałem to i owo. – Nabiera powietrza. – Przepraszam.

– A za co?

– No, byłem wścibski i chciałem podstępem zmusić cię do zwierzeń na temat twojej przeszłości w Syrakuzach, bo akta, którymi dysponuję, są niekompletne – oznajmia, nie kryjąc zawodu. – Dodatkowo składałem nieme modły, żeby ktoś spuścił ci łomot. Jest w tobie coś takiego, co działa mi na nerwy.

Wzdycha, odpala silnik i włącza się do ruchu.

– Słyszałeś o zasadzie lustra?

– Nie, ale zaraz pewnie usłyszę – burczy.

– W skrócie, dostrzegasz we mnie wyparte części swojej osobowości. Cechy, jakich w sobie nie akceptujesz lub te, które chcesz ukryć – mówię. – Jestem twoim lękiem lub pragnieniem – dodaję ciszej.

– Udam, że nie dosłyszałem ostatniego. Gdy mówisz to ty, mam ciarki. Dosłownie czuję pełzający po plecach dreszcz niepokoju. Na pewno cię nie pragnę. – Wzdryga się.

– Rety, nie chodzi o pociąg fizyczny do danej osoby, ale o wewnętrzne pragnienia. Wymień, czym cię drażnię.

– W życiu nie słyszałem większych bzdur, ale dobra... Jesteś za głośna, za bardzo towarzyska i pewna siebie. Mówisz chyba wszystko, co przyjdzie ci do głowy. Żeby tego było mało, wieszcznie się cieszysz, a przecież nie masz z czego. I co ty na to? Jakie części osobowości niby wyparłem? – prychna z politowaniem.

– Jakaś częśćka ciebie także chciałaby taka być. Nie potrafisz się otworzyć na ludzi. Jesteś wkurzony, bo ja nie mam z tym problemu. Przychodzi mi to z łatwością. Zamiast biadolić i zazdrościć radości życia lasce, która nie ma nikogo i niczego, po prostu nad sobą popracuj – proponuję mu. – Skoro już wiesz, w czym rzecz.

– Dzięki. Na pewno interesuje mnie opinia niedoszłej pomocy kuchennej. Trudność sprawiło ci ukończenie kursu obierania ziemniaków. Wyższa

filozofia, co? – pyta z przekąsem. – Widziałem dyplom. Zajęłaś ostatnie miejsce w konkursie wieńczącym szkolenie, tym samym zdobywając tytuł „szalonej obieraczki” i przekreślając swoje szanse na zatrudnienie w więziennej kuchni.

– Aaaa – rzucam przeciągle. – Teraz rozumiem jeszcze więcej. Dodatkowo nie lubisz być poddawany ocenie i jesteś niedowartościowany. Umniejszasz mi, choć przed momentem byłeś ciekawy mojego zdania. To tylko dowodzi, że mam rację. Skupiłeś się na tym, co mi nie wyszło, pompując w ten sposób własne ego.

– Gdyby nie to, że zaraz będziemy na miejscu, przysięgam, że wywaliłbym cię z auta – warczy w złości i robi głęboki wdech. – Nie, jednak nie mógłbym tego zrobić – mówi głucho. – I dlatego, z tej bezsilności, mam ochotę walić łbem w kierownicę. Zepsułaś mi dzień! Mam wszystkiego dość.

– Wkurzasz się, bo trafiłam w sedno – odpowiadam spokojnie. – I rety, skończ. Może się jeszcze popłaczesz? Nie znoszę takiego rozczulania się nad sobą. Robisz z siebie ofiarę losu, a przecież tylko rozmawiamy. Weź się w garść, człowieku.

Na chwilę odwraca głowę w moją stronę. Na jego twarzy pojawia się trudny do rozszyfrowania uśmiech.

– I tu cię mam. – Pstryka palcami. – Zajarzyłem zasady tego psychologicznego bełkotu. Najpewniej zupełnie przypadkowo, bo oczywiście świadomie nie pozwoliłabyś sobie na zdemaskowanie, odsłoniłaś przede mną swoje lęki. Ofiara losu, rozczulanie, biadolenie. Chcesz być postrzegana jako osoba twarda, idąca przez życie przebojem, a tymczasem emanująca od ciebie siła jest jedynie twoją tarczą, ochroną przed zranieniem. Być może jesteś wrażliwa, ale wyparłaś tę cechę. Dlaczego? – rzuca w przestrzeń. – Odpowiedź zapewne znajduje się w szczegółowej dokumentacji, ale ta ulotniła się z twoich akt niczym duch. I co ty na to?

– Oho, chyba dojechaliśmy! – Opieram dłonie o szybę i wpatruję się z przesadnym zafascynowaniem w otoczony wysokim murem wielokondygnacyjny budynek pokryty żółtą, wypłowiałą farbą.

– Czyli mam rację.

– Co mówisz? Ledwo słyszę, bo puls dudni mi w uszach – przekonuję. – Z ekscytacji oczywiście. – Wolę dodać, bo gotów pomyśleć, że ze strachu. – Dobra, dajesz. Szybciej wejdę, szybciej wyjdę.



Gdy tylko wypowiedzam te słowa, rozsuwa się brama i niespiesznie wjeżdżamy na teren wypielegnowanego dziedzińca. Cudnie. Niemal jak w bajce. Tuż przed tym, kiedy wilk postanawia wpieprzyć babcię.

Rewir administracyjny instytutu oddzielony jest od części „rekreacyjnej” metalową siatką. Zgrupowały się przy niej ciekawskie osadzone, co nie jest zaskoczeniem, bo to samo praktykowałyśmy z dziewczynami z katańskiego, a wcześniej turyńskiego zakładu, w którym spędziłam nastoletnie lata.

– Niestety mają teraz czas wolny – mówi gliniarz, zerkając przez szybę, a potem unosi głowę. – Ale masz minę. Jak gladiator przed wejściem na arenę. – Wyłapuje moje spojrzenie w lusterku. – Żartowałem wcześniej. Bójki zdarzają się tu rzadziej niż akty samookaleczenia. W ubiegłym roku odnotowano dwa samobójstwa. Poza tym nudy.

– Nie potrzebuję pocieszenia. – Kopię w siedzenie. – Otwieraj drzwi – rozkazuję, dostrzegając stojący przy wejściu do budynku komitet powitalny. Kobietę w kitlu i zapewne dowodzącego tym cyrkiem dobrze zbudowanego mężczyznę.

– Nie musisz tak wierzyć. One i tak tego nie widziały. – Wskazuje na osadzone. – Mogłaś szarpać kratkę, czyli zrobić to samo, co wtedy, gdy przywieźli cię do Katanii. Pomyślałem wówczas, że niezła z ciebie furiatka. Dziś, dzięki metodzie lustra...

– Otwieraj! – Robię, co zasugerował, nie dając mu dokończyć. – Te z lewej. Chcę się przywitać z koleżankami – dodaję ciszej.

– Wiadomo. Uzupełnię w tym czasie protokół przekazania – informuje. – Zabrzmiało, jakbyś była rzeczą, ale wiesz, o co chodzi. – Odwraca się i patrzy mi prosto w oczy. – Powodzenia. I no – przełyka głośno ślinę – zyskujesz przy bliższym poznaniu.

Słodko.

I żałośnie.

– Zakochałeś się? Może uciekniemy razem w stronę zachodzącego słońca? Podobno świetnie robię laskę. Nie będziesz żałował. – Teatralnie trzepoczę rzęsami.

– Chryste – kwituje i wysiada, by mnie wypuścić.

Wystawiam nogę na zewnątrz. Osadzone gwizdzą, śmieją się, bucą. Słaba siła rażenia. Pociski niebędące w stanie przebić się przez mój pancerz. Prostuję plecy, przyklejam szeroki uśmiech i taksuję wzrokiem otoczenie, aż w końcu ją dostrzegam. Otoczoną koleżankami królową tego

balu. Wybucham śmiechem, gdy nasze spojrzenia się krzyżują. Prowokuję, wiedząc, że bierność z góry stawia mnie na przegranej pozycji. Są bitwy, które po prostu trzeba zainicjować, a co najważniejsze wygrać je, nawet gdy wzięcie w nich udziału jest ostatnim, czego się pragnie.

Nie umiem obierać ziemniaków, ale potrafię liczyć. Korona jest jedna.

Dziewczyna, co oczywiste, bo byle świeżynka, za jaką mnie ma, nie będzie pluła jej w twarz, podchodzi bliżej siatki. Wiele o niej mówi to, że ogląda się za siebie, chcąc mieć pewność, że do zmagania z nowo przybyłą policyjnym rydwanem, uzurpującą sobie prawo do władzy Zitą Belgamonte, nie stanie sama.

Buntowniczo unosi brodę i wypala:

– Radzę ci uważać, kogo prowokujesz, lesbo. – Porusza energicznie głową, zarzucając na ramię włosy spięte w kitkę.

– Tak, tak, bo nie dożyję jutra. – Uśmiecham się litościwie.

– Zgadłaś. Nie z takimi chojraczkami dawałyśmy radę. – Zerka na koleżanki, które niemo potakują. – Nie cwaniakuj, tylko się zastanów, co możesz mi dać, żeby przez pewien czas zapewnić sobie spokój i ochronę.

– Aaaa – rzucam, jakby nagle mnie olśniło – bo jeśli niczego ci nie ofiaruję, to klękną miasta, runą mury, spłoną drzewa, a rzeki spłyną czerwienią?

– Co? Nie. O czym ty mówisz?

Wszystkie się śmieją.

– Gdybyś miała taką moc sprawczą, mooożeee – przeciągam głoski – rozważyłabym propozycję. Przed czym w takim razie chcesz mnie chronić?

– Przed tym, co zwróciło twoją uwagę. Spośród tylu osób – rozgląda się dookoła – to właśnie na mnie zatrzymałaś wzrok. Wiesz, że ja tu rządę, więc tańcz, jak ci zagram, albo czas, który tutaj spędzisz, będzie najgorszym w twoim życiu.

To miałyby sens, gdyby nie jeden drobny szczegół, z góry skazujący ten arcyłotrowski plan na porażkę. Nie boję się tego, co znam. Najgorszy czas w moim życiu? Litości.

– Zwróciłam na ciebie uwagę, bo spodobał mi się twój kokon – mówię i wzruszam ramionami, na co marszczy brwi w niezrozumieniu. – Wiesz, ten utworzony przez służki. – Celowo używam tego określenia i kontynuuję, patrząc na jej koleżanki: – Bez obrazy. Może jesteście nimi tylko na pierwszy rzut oka. Same wiecie najlepiej, czy w tej relacji otrzymujecie tyle, ile dajecie. – Uśmiecham się miło. – Zresztą, co was będę pouczać. Na

pewno znacie swoją wartość i daleko wam do szablonowych idiotek. Nie przechowujecie jej prochów – wskazuję na przywódczynię – bo sama woli nie ryzykować dodatkowymi zarzutami w razie trzepania cel, nie oddajecie swoich racji żywnościowych i wypracowanej kasy – dodaję, ponieważ oczywiste, że to robią. – Łącząca wasz zespół więź jest szczerą i wyjątkową...

– Zamknij mordę! – Dziewczyna uderza w siatkę, furcząc w złości. – Nie słuchajcie jej. – Zerka na swoje towarzyszki, ale te mają nietęgą miny.

Wkrótce je uszczęśliwię. Za dwa desery w tygodniu, robienie mi prania i pięćdziesiąt euro miesięcznie od głowy, będę ich więzienną wróżką. Trochę wysiłku, zaklęć z poradnika *Szkoła życia* i nawet nie pojmą, że zamieniły siekiere na kijek. Dobro, zło, wyrzuty sumienia lub ich brak – to wszystko przestaje mieć znaczenie, gdy w grę wchodzi przetrwanie.

Zasadami się nie najem. Też żałuję.

Przybliżam się i staję z nią twarzą w twarz.

– Tak zasiewa się ziarno buntu – szepczę. – Daj mi kilka dni. Kokon rozpadnie się na twoich oczach. Na pewno wiesz, jak działają prawa natury i przed czym ochrania on mięczaka. Masz pojęcie? – pytam, lecz milczy. – Przed drapieżnikami – odpowiadam za nią.

– Już po tobie – syczy, zapluwając brodę, po czym ucieka wzrokiem w bok i spłoszona odsuwa się od ogrodzenia. Zanim odejdzie, kieruje palce na swoje oczy, a potem na mnie, dając mi do zrozumienia, że powinnam mieć się na baczności.

Okręcam się na pięcie. W naszą stronę zmierza mężczyzna, który wcześniej stał przy wejściu.

– Idzie tu jakiś gość – mówię cicho, gdy podchodzę do siedzącego w aucie ziewającego policjanta. – Chyba będziesz miał kłopoty.

– Chyba nie – odpowiada w podobnym tonie.

– Każdy głupi by spostrzegł, że za długo wypełniasz te dokumenty, o ile w ogóle. Działasz na moją korzyść i świetnie, ale skoro tak, to mogłeś bardziej przyłożyć się do stwarzania pozorów – pouczam go. – A ty tylko siedzisz i wpatrujesz się w kartki. Powinieneś chociaż udawać, że interweniujesz i nie pozwalasz mi na rozmowę z dziewczynami.

– Jezu, ale jesteś męcząca – sapie, przecierając twarz dłońmi. – Po pierwsze, nikogo to nie obchodzi. Po drugie, umknęło mi, że wdałaś się w pyskówkę z osadzonymi, bo przecież wypełniałem papierki. Nie mam takiej podzielności uwagi. I wreszcie po trzecie, to samo, co po pierwsze.

Właśnie dlatego nie znoszę, kiedy ktoś wyświadcza mi przysługę. Jak niby mam się odwdzięczyć? Najchętniej zaproponowałabym coś w zamian, by uniknąć emocjonalnego rozbicia. Problem w tym, że nie posiadam nic, co miałyby dla kogoś jakąkolwiek wartość. Mogę odpłacić uśmiechem pocieszenia, gdy lada moment straci pracę, bo poszedł mi na rękę. Bieda.

A nawet i nędza, ponieważ do samochodu podchodzi wspomniany, wyraźnie zniecierpliwiony, na oko trzydziestoletni mężczyzna. Od razu widać, że jest tu szychą. Ma zacięty wyraz twarzy, skórę muśniętą słońcem, a emanującą od niego pewność siebie, uznałabym za onieśmielającą, gdybym nie była... sobą. Wzdycham w duchu. To zapowiedź męczących, bardzo długich dziewięciu miesięcy.

– Dzień dobry, jestem naczelnikiem instytutu, Luigi Be... Ba... – kaszle – Oliveto – oznajmia i kilkakrotnie uderza w dach. – Poczekajcie w korytarzu – zwraca się do policjanta, który wysiada z ociąganiem. – Później gdzieś cię ulokuję – mówi, zerkając na mnie. – Nie mam wolnych miejsc, więc trzeba dostawić łóżko.

– Jak to nie ma miejsc? Tutaj podobno są. W Katanii jest przepełnienie – rzucam, obdarzając gliniarza sugestywnym spojrzeniem, bo ewidentnie wciskał mi kit, ale ucieka wzrokiem. – W takim razie chodźmy. – Ruszam przed siebie. – Po badaniach poproszę o kartkę i długopis. Chcę złożyć wniosek o przeniesienie.

– Zaczyna się – jęczy Emiliano.

– Po jakich badaniach? – pyta naczelnik. – Zaliczysz spotkanie z psychologiem. Niczego innego dla ciebie nie zaplanowałem.

Prycham pod nosem, czym zaskarbiam całą jego uwagę. Przystaje, więc też to robię.

– Posłuchaj, Luigi – zwracam się do niego po imieniu, skoro pozwolił sobie na to samo. – Możesz planować, w jakim miejscu przeleczysz wieczorem ukochaną, ale na pewno nie to, co czeka mnie na etapie przyjmowania do placówki – oznajmiam, na co wytrzeszcza oczy. – Musisz przestrzegać procedur. Znam swoje prawa i twoje obowiązki, więc albo pojawi się tu zaraz ta lekarka, z którą rozmawiałeś wcześniej, by zrobić mi badanie krwi, testy na wirusowe zapalenie wątroby, gruźlicę i HIV, albo poproszę dwie kartki. Za jednym zamachem złożę wniosek oraz skargę.

– To na pewno jeszcze nie koniec – wtrąca policjant. – Ona jest z tego znana. – Niemrawo wskazuje na mnie ruchem głowy. – Udaje taką

wyluzowaną, ale trybiki pracują. Już kilka razy wysepiła odszkodowanie za naruszenie jej wolności sumienia i wyznania.

– Jak to? – dopytuje naczelnik.

– Zwyczajnie. Zmienia religię, gdy ma ochotę na urozmaicenie więziennych posiłków, ale jak to udowodnić? – zadaje sobie pytanie i kontynuuje: – Ostatnio obchodziła Chanukę. Zażyczyła sobie pączki zwane kulkami światła, paski kurczaka i placki. Później przeszła na islam, więc poleciała pierwsza skarga, bo naczelnik kazał jej kultywować swoje przekonania w celi, a katolicy mają kaplicę na terenie zakładu. Kucharz zaserwował jej wieprzowinę na obiad, jeb, druga skarga. Obie rozpatrzone z korzyścią dla niej. Za krótko u nas siedziała, więc nie zdążyła się rozkręcić tak, jak zrobiła to w Turynie, gdzie spędziła ponad cztery lata. Znajomy, który tam pracuje, opowiadał mi, że u nich udzielała porad prawnych obcokrajowcom. Brała dwadzieścia euro za napisanie pisemka w ich imieniu, a jeśli uznawała, że sprawa jest skomplikowana i musiała się doszkolić w przepisach, to czterdzieści. Nie muszę dodawać, że nagle wszystkie sprawy takie były. Zanim służba więzienna się zorientowała, o co dokładnie chodzi w tym procederze, zdążyła już wypchać materac forsą i...

– Dobra, zamknij się w końcu – przerywam mu. – Nikt nie chce tego słuchać.

– Nie, dlaczego? – pyta naczelnik, nieudolnie maskując uśmiech. – Dokończ.

– No więc uzbierała kasę, przekupiła kobietę pracującą w sekcji depozytowej, żeby odzyskać worek ze swoimi fantami, a potem zapisała się na konkurs „Radosne śpiewy poza kratami”. Ostatecznie dostała zgodę na jednodniowe opuszczenie ośrodka wraz z wychowawcą i – przerywa na moment, rzucając mi przelotne spojrzenie – nigdy więcej tam nie wróciła. Poddusiła opiekuna waszym łańcuchem, a następnie...

– Jednak zamilknij – wypala Luigi.

– Ulotniła się na dwa lata – kontynuuje Emiliano, nie zważając na polecenie. – Potem wylądowała w Katanii, a teraz u ciebie. A tak w ogóle to coś wam jeszcze powiem...

– Stul już, kurwa, pysk – syczy mu do ucha naczelnik i zaciska szczękę.

## ROZDZIAŁ 2

### *Zita*

Zaskoczona nagłą zmianą atmosfery, a przede wszystkim przemianą, jak się okazało, jedynie pozornie zrównoważonego naczelnika, popycham go na tyle mocno, na ile jest to możliwe, mając wciąż skute ręce, i krzyczę:

– Hej, nie odzywaj się do niego w ten sposób! A ty – mówię do policjanta – nie rozporządzaj moim mieniem! Różaniec jest m-ó-j – literuję. – Dlaczego powiedziałaś „waszym łańcuchem”?

Z jego twarzy schodzą wszystkie kolory.

– Jezu, przepraszam. – Przykłada dłonie do ust i wpatruje się z przerażeniem w Luigiego. – Czasem, jak coś chlapnę. To znaczy – tym razem zerka na mnie – ja się przejęczyłem. Zamiast „własnym” powiedziałem „waszym”. Bezsens.

Nie jestem przekonana, czy kontynuować tę dyskusję, bo odkąd popchnęłam naczelnika, coś się zmieniło. Żyła na skroni pulsuje mu niebezpiecznie, a jego spojrzenie to kotłowisko sprzecznych emocji; połączenie wściekłości z niedowierzaniem, pretensją, trudnym do zrozumienia wyrzutem. Najwidoczniej nie tylko ja wyczuwam to unoszące się w powietrzu napięcie. Emiliano rusza w stronę budynku, więc postanawiam wziąć z niego przykład. Kiedy wykonuję krok, Luigi chwytą mnie za ramię, wbijając w nie paznokcie. Mocno.

– Yyy, będzie to spotkanie z lekarką czy nie? – zagajam głupio, gdy nie zważając, że zapieram się piętami, ciągnie mnie za sobą.

– Jeśli jeszcze raz, kiedykolwiek, pozwolisz sobie na tego rodzaju reakcje w stosunku do mojej osoby, nie będziesz potrzebowała pielęgniarki, tylko szybkiej interwencji chirurga – mówi tonem bez wyrazu, patrząc przed siebie.

– Nie możesz mi grozić połamaniem kości. Wpychanie osadzonej w objęcia stanów lękowych jest wbrew przepisom. Według wytycznych Europejskiego Trybunału...

– Źle mnie zrozumiałaś – wchodzi mi w słowo. – Miałem na myśli zimnego chirurga, ostatniego świadka śmierci.

Gdyby nie to, że Luigi mocniej zaciska chwyt, jednocześnie przyspieszając, na bank stanęłabym jak wryta.

– Jeszcze lepiej, teraz grozisz mi śmiercią?

– Powiedziałem, że będziesz potrzebowała jego pomocy, a nie, że dosłownie spojrzysz w twoje złknięte – mówi z nutą ironii – wewnątrz.

– Więc moją ostatnią deską ratunku, w razie jakbym się zdecydowała jeszcze raz cię popchnąć, jest gość zajmujący się trupami?

– Tak wyszło.

Kręcę głową, bo już zdążyłam się zorientować, że ma on nierówno pod kopułą, a poszukiwanie sensu w jego słowach jest zwyczajną stratą czasu. Uchyła przede mną drzwi instytutu. Wchodząc do środka, rozmasowuję bolące ramię i rozglądam się dookoła. Moją uwagę zwraca panujący tu spokój. Przy wejściu znajdują się punkt pierwszego przyjęcia obsługujący zatrzymanych, którzy dopiero oczekują na decyzję sądu, oraz sekcja depozytów. Stoi przy niej czekający na mnie Emiliano.

– Jeszcze nie byłam w takim dużym ośrodku. – Zerkam kątem oka na Luigiego. – Dlaczego tu jest tak cicho? W Katanii było głośno jak w ulu. A w Turynie nikt nawet nie zauważył, że całą noc spędziłam na boisku, całując się z chłopakiem przez siatkę. Poznaliśmy się korespondencyjnie, ekstra, co? – pytam, na co on, zamiast odpowiedzieć, jedynie się krzywi. – To dla niego uciekłam, ale nam nie wyszło.

– Wiem – rzuca bez zajknięcia, więc obdarzam go pytającym spojrzeniem. – Wiem, że tak tam właśnie jest. A cicho, bo ważne są dla mnie...

– Prawo i porządek – przerywam mu, czytając napis na tabliczce umieszczonej przy schodach prowadzących na piętro. – Zgadłam?

– Wybieram lewo, ale porządek jest ważny. – Mruga do mnie żartobliwie. – Złóż rzeczy do depozytu. – Wskazuje na kontuar. – Ubrania, których nie będziesz używać, parasolki, buty na obcasie zostaną wpisane do księgi rzeczy własnych. Podobnie jak dokumenty i metryka. Dopilnuj, żeby wszelkie pieniądze, kosztowności, papiery wartościowe zostały dokładnie opisane w księdze kontowej depozytów.

– To znaczy, ja mam tylko to, co w worku – oznajmiam i cóż, trochę mi niezręcznie. – Mało mam, ale to, co posiadam, jest cenne – dodaję hardo. – Jeśli coś zginie...

– Niczego nie stracisz, spokojnie. Będę warował przy twoich rzeczach dzień i noc.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że nie. Co z tobą? – Luigi śmieje się w głos.

*Dzięki, Almo.* Wirus łatwowierności nieźle sobie ze mną poczyna. Na szczęście odtrutkę, skuteczne antidotum, by zwalczyć go w zarodku, mam na wyciągnięcie ręki. Jest nim „samo życie”.

– A dowiem się, co znajduje się na poszczególnych piętrach?

– Niby po co? Długo tu nie zabawisz – wypala i szybko dodaje: – W sensie dziewięć miesięcy to krótko. Dobra. – Nabiera powietrza i z rezygnacją je wypuszcza. – Na parterze mieszczą się biura administracji, izolatka, stołówka, pawilon zatrzymań, teatr pełniący też funkcję kina, pralnie, sale lekcyjne i laboratoria, gdzie odbywają się szkolenia zawodowe. Dzięki dofinansowaniu ze środków prywatnych wszystkie wyposażone w profesjonalny sprzęt, umożliwiające osadzonym nabycie umiejętności praktycznych.

– Nie skorzystam. Skończyłam szkołę i wszelkie możliwe kursy zawodowe, jakie oferował zakład w Turynie. Chyba że czymś mnie zaskoczą – rzucam, niedbale wzruszając ramionami.

– Czymś na pewno – kwituje naczelnik. – Pierwsze piętro zajmują kobiety, drugie nieletni, których obecnie mamy sześciu, a w lewym skrzydle – wskazuje – umieszczeni są mężczyźni.

– O, super. W końcu jakieś urozmaicenie. – Szczerzę się od ucha do ucha. – Zawsze byłam w ośrodkach kobiecych. Może ktoś wpadnie mi w oko. Lubię czuć ten dreszczyk niepewności i podniecenia, muśnięcia palców i żar pocałunków...

Luigi patrzy na mnie jak na kosmitkę.

– Z wymienionych, jedyne, co mogę ci zagwarantować w najbliższym czasie, to dreszczyk niepewności. – Uśmiecha się pod nosem i pochyła, szepcząc mi do ucha: – I strachu.

– Nie jestem strachliwa – mówię, ale wbrew zamiarowi, bez przekonania.

– Tak czy siak, nie licz na miłosne uniesienia. – Sprowadza mnie na ziemię. – Wspólnie jecie tylko posiłki. Poza tym się nie widzicie. Żadnego *love story* nie będzie.

W tonie jego głosu nie ma cienia niepewności. To dziwne, bo przecież każdy wie, że potęga siły miłości i wzajemnego przyciągania jest tak niezbadana, jak wyroki wymiaru sprawiedliwości. A żeby było śmieszniej, choć to bardziej śmiech przez łzy, żadne „na pewno”, mimo że Luigi



wypowiedział je pewnie, nie istnieje. Podobnie jak „na zawsze”, „nierozzerwalnie”, a także, tu pieprzone zaskoczenie, „ty i ja”.

To trochę smutne.

I wkurwiające, bo nieświadomie znów wkroczyłam na grząski grunt, najcieńszą taflę lodu, po jakiej dane mi było stąpać. Moje myśli ponownie krążą wokół Spirito. Próbuję je rozproszyć, nie rozkładać na czynniki tego, że nie wykorzystałam szansy na konfrontację z nim. Już i tak codziennie analizuję nasze, dla mnie zaskakujące, spotkanie, a im dłużej to robię, tym więcej rozumiem. Zwiąłam przed przeszłością.

Czuć na karku jej oddech, ponosić konsekwencje w dużej mierze nie swoich wyborów, poniekąd pogodzić się z niemożnością cofnięcia czasu, nieodwracalnością straty, to zupełnie coś innego od stanięcia z nią twarzą w twarz. Nieporównywalnego. Na to nie byłam przygotowana.

Uciekałam nie pierwszy raz, przyznaję, lecz to on pierwszy się ukrył.

Na tyle skutecznie, że nie widziałam go, nawet gdy spojrzałam mu w oczy. Nie dostrzegłam w nich tego, co znałam i czemu, co komicznie absurdalne, bo, jako dzieciak był konkretnie szajbnięty, ufałam. Mimo to zawsze o mnie dbał i chronił.

Jak nikt później. Jak nikt po nim.

I chociażby dlatego muszę stawić czoła temu, czego najbardziej się obawiam. Prawdzie.

Odnajdę mojego przezroczystego chłopca. Gdziekolwiek jest. Znajdę go. Powodem bynajmniej nie jest wiążąca nas obietnica. Dziecinne, czcze gadanie. Wieczysty pakt. To nawet brzmi śmiesznie. Jestem po prostu namolna.

Luigi potrząsa mną mocno.

– Często tak się zawieszasz? – pyta z pretensją. – Mówiłem, że masz podejść do okienka depozytowego.

– Już idę, po co te nerwy? Zamyślić się nie można?

– A o czym rozmyślałaś?

– Nie twój interes. Spętaliście moje ciało – unoszę skute ręce – ale myśli są wolne. Mogą sobie hulać to tu, to tam. – Poruszam palcami. – Nic ci do tego. Jesteś za cienki w uszach, żeby udźwignąć ich ciężar.

– Masz prawo się mylić – stwierdza oschle, po czym spogląda na zegarek i popycha mnie w stronę stanowiska.

Emiliano rozwiązuje mój worek i wyklada na blat znajdujące się w nim skarby. Reklamówki, szeleszczące siateczki, przybory toaletowe i

sfatygowaną maskotkę.

– W tej jednorazówce są moje rzeczy osobiste. Od razu może mi ją pani dać – zwracam się do obsługującej kobiety, która wszystko dokładnie przetrzepuje. To źle, ponieważ dostrzegam prześwitujący przez folię różaniec. – Wolę, żeby moje majtki nie były obmacane – dodaję, chcąc ją zawstydzić, odwrócić uwagę, bo wtedy jest szansa, że zostanie przeoczony.

Marzenia ściętej głowy. Wyjmuje go i delikatnie, niemal z namaszczeniem, odkłada. Na końcu języka mam już przyszykowaną przemowę pochwalną na temat wyjątkowego profesjonalizmu obsługi zakładu, ale na szczęście w porę się w niego gryzę. Naczelnik bez ceregieli zgarnia łańcuch i wrzeszczy:

– Co to, kurwa, jest?!

Wzdycham z rezygnacją. Poziom ogarniania, jaki prezentuje, jest skrajnie niski.

– Mówię na to – akcentuję ostatnie słowo – różaniec, bo kiedy go znalazłam, był pokryty różową farbą. Teraz kolor trochę się wytarł, ale to nawet lepiej. Jest mniej dziewczęcy. – Wzruszam ramionami. – Splot cardano. Jako ciekawostkę dodam, że nazwa pochodzi od wałka Cardana. Służy on do przenoszenia napędu ze skrzyni biegów na koło.

Najwidoczniej nie jest żądny wiedzy, ponieważ puszcza wykład mimo uszu.

– Pytałem o ten element. – Krzywi się, przewracając w palcach zawieszkę.

– Pierwszy raz w życiu widzisz breloczek?

– Od zawsze do łańcucha miałaś przyczepiony jakiś domek?

– Nie, na początku była jakaś kulka – odpowiadam w podobnym tonie.

– I co z nią zrobiłaś? – Luigi na bank jest ciśnieniowcem. Na jego twarzy i szyi wykwitają czerwone plamy.

– Zerwałam i wyrzuciłam, a co?

– Nic. A co oznacza ta litera? – Dotyka medalika w kształcie litery „S”.

Lubię myśleć, że symbolizuje imię – Spirito. To w końcu pierwsza litera jego imienia. Dlatego nigdy nie zdecydowałam się go oderwać. Co faktycznie oznacza? Nie mam pojęcia. Medalik jest przytwierdzony do łańcucha, odkąd go znalazłam.

– „S” jak stoicki spokój – odpowiadam po chwili namysłu.

– Oczywiście – oznajmia z lekką, niezrozumiałą dla mnie ironią. – Co tam jeszcze masz ciekawego? – Macha ręką, sugerując kobiecie, żeby szybciej

wykładała moje rzeczy. Wkrótce na kontuarze ląduje pomięta marynarka, którą zapomniałam z siebie zrzucić podczas ucieczki przed kolegami Spirito. – Potrzebna ci ta brudna szmata? – dopytuje naczelnik i kiwa głową, bo witają się z nim zbiegający po schodach mężczyźni.

– Ta marynarka należy do Spirito. On jest... – przerywam i wytrzeszczam oczy, wlepiając wzrok w oddalające się sylwetki. – Patrz na to. – Szturcham Luigiego. – Zobacz, co oni robią.

– Niby co? – Ogląda się za siebie.

– Za późno – jęczę. – Przechodzili obok, a gdy wypowiedziałam imię „Spirito”, to złapali się za ręce. Wszyscy – emocjonuję się. – To wyglądało, jakby utworzyli...

– Niby co? – Repertuar pytań, jakie zadaje, jest bardzo ubogi.

– Łańcuch.

– Rozumiem – oznajmia.

Daję mu chwilę, licząc na to, że coś doda. Wypadałoby. Samo „rozumienie” to trochę za mało. Gdy nic takiego nie następuje, postanawiam pociągnąć go za język.

– Rozumiem i...? – powtarzam po nim.

– Często to, co najważniejsze, rozgrywa się za plecami. Najwidoczniej tak właśnie było w tym przypadku. Niczego nie widziałem – mówi tonem sugerującym, że zakończył dyskusję.

– A ty? – pytam gliniarza.

– Też nie. Przeglądam ulotki. – Stuka w nie palcem. – Nie mam podzielności uwagi. Już ci o tym wspominałem.

Wiem, co widziałam, choć być może to przypadek i węższą spisek tam, gdzie go nie ma. Kiedyś machnąłabym ręką i wzięła takie wytłumaczenie za pewnik. Dziś, wiedząc, ile ułatwiających życie „przypadków” zafundował mi Spirito, postanawiam przyjrzeć się tej sprawie bliżej. Mam czas.

Luigi odkłada na bok rzeczy, które wskazuję, i po raz kolejny spogląda na zegarek, wzdychając pod nosem. W momencie kiedy wyciąga z kieszeni komórkę, do instytutu wchodzi wysoki facet ubrany w kontrastujący z kolorem skóry kremowy garnitur. Ma zaplecione, spięte z tyłu głowy, afrykańskie warkoczyki i najszerszy wyszczerz, jaki w życiu widziałam.

– Haja, majambazi! – wrzeszczy i rozpościera ramiona, zmierzając w naszą stronę.

– O co mu chodzi? – pyta zdezorientowany, nie mniej niż ja, Emiliano.

– Przywitał się, mówiąc: „Dzień dobry, państwu” – oznajmia sztywno naczelnik. – Czyli to, co powinien, przybywając na spotkanie z klientem – syczy przez zęby.

– Ale smucisz, powiedziałem: „Hej, zbóje!” – poprawia go mężczyzna. – Jak się miewa nasza perełka? – rzuca lekko, a Luigi mruga, wytrzeszcza oczy, przewraca nimi. – A tobie co? – Gość zadaje mu pytanie, a następnie skupia wzrok na mnie. Kiwa głową, drapie się po skroni, milczy, jakby nagle odjęło mu mowę. Aż w końcu odzywa się do gliniarza: – Ty zapewne jesteś Emiliano?

– Tak. To ja – odpowiada dumnie. – Bardzo mi miło. Cieszę się na to spotkanie. Bardzo mi miło – powtarza podekscytowany.

Facet chwyta go za ramię i odciąga na bok. Podpisuję listę oddanych do depozytu przedmiotów. Nie spieszę się, chcąc odwlec moment odprowadzenia do celi. Pierwsze dni są najgorsze; męczące, wyczerpujące psychicznie, niejednokrotnie przesiąknięte fizycznym bólem. Mimo to wiem, że dam radę. Bo muszę.

Gdy się odwracam, Emiliano jest już na wylocie. Uradowany niczym dziecko, poklepuje wypchaną kieszeń. Nie trzeba być omnibusem, by się zorientować, że powodem tej nieskrępowanej radości bynajmniej nie jest paczka cukierków.

– To cześć, Zito. Jeszcze raz powodzenia. – Zaciska kciuki i... I tyle go widziano.

Mężczyzna przesuwa dłońmi po włosach, potrząsa ramionami, mamrocze coś, czego nie jestem do końca pewna, choć brzmi trochę jak: „Nie spieprz tego”, unosi głowę i ponownie szeroko się uśmiecha.

Podchodzi do nas, a ponieważ nie znoszę niedopowiedzeń, pytam:

– Dlaczego Emiliano tak dziwnie się zachowywał?

– Bogatego, choćby był osłem, każdy chce mieć za wujka. – Facet wygłasza jakąś mądrość i wystawia dłoń. – Tafari Boah Be... – chrząka – Farouq – przedstawia się. – Twój prawnik.

– Mój co? – wypalam prosto z mostu. – Z urzędu? Już rozpatrzono wniosek, który złożyłam kilka dni temu? – Nie dowierzam, bo zwykle na odpowiedź musiałam czekać tygodniami i zawsze była odmowna. – Rety, w takim razie ekstra. Przydasz mi się. W sensie zawsze inaczej wygląda pismo wystosowane przez prawnika z prawdziwego zdarzenia – nawijam. – Wszystko ci podyktuję. Współpracując ze mną, nie będziesz musiał się przemęczać. Rób po prostu to, co każę.

– Słucham? – pyta głucho.

– Nie są mi potrzebne twoja wiedza czy pomysły. Mam swój rozum i koncepcje. Już słyszę ten szelest banknotów i brzdęk monet. – Nabieram powietrza. – Najpierw złożymy skargę za to przenoszenie mnie z jednego miejsca w drugie. Takie działanie źle wpływa na psychikę. Czuję się niepewnie, bywam przez to osowiała, mam destrukcyjne myśli i tak dalej. Wiesz, o co chodzi. Jesteś dobry w koloryzowaniu?

– Telefon mi wibruje – oznajmia nagle, poklepując kieszeń spodni. – Odbiorę, przy okazji zapalę, i wrócę – informuje i wychodzi, nie oglądając się za siebie.

– Ale miał dziwną minę. – Patrzę na Luigiego.

– Trochę – mówi i zaciska usta, jakby hamował śmiech. – Po rozmowie z nim strażnik zaprowadzi cię do izolatki. Odpadnie dostawienie łóżka. Będziesz miała swoją przestrzeń. Pasuje?

Chwilę przetrawiam w myślach tę propozycję i wszystko inne, co wydarzyło się do tej pory. Nie dochodzę do żadnych racjonalnych wniosków, więc wyciągam na światło dzienne te mniej sensowne.

– Chcesz mnie przelecieć?

– Co? – rzuca z niedowierzaniem i robi krok w tył.

– Wybacz bezpośredniość, ale coś mi tu nie gra. Proponujesz mi celę na wyłączność, ni stąd, ni zowąd przybył jakiś wypacykowany prawnik, który, jestem pewna, zapłacił za coś Emilianowi. Miały być krwawe mury, a jest...

– Po pierwsze, nie mamy tutaj cel, lecz pokoje – przerywa moją wypowiedź. – Po drugie, nie możesz być pewna czegoś, czego nie widziałaś. To jedynie twoje przypuszczenie. Po trzecie, mury bywają krwawe tylko wtedy, gdy osadzeni nie robią tego, czego oczekuję.

– Czyli dopóki będę chodzić jak w zegarku i udawać, że nie potrafię dodać dwa do dwóch, będzie mi tu jak w rajcu i nie zobaczę ani jednej kropli krwi?

– Właśnie – przyznaje bez ogródek i mruży oczy. – O czym myślisz tym razem?

Ta ciekawość go zgubi. Rozważam, czy postawić na odpowiedź dającą mu nadzieję, że jest w stanie coś wskórać, naprostować mnie, zresocjalizować, czy wyłożyć karty na stół. Wybieram to drugie. Nadzieje bywają złudne.

– O tym, że mamy problem – mówię w końcu. – Od pewnego czasu lubię drażyć skałę i stawiać czoła faktom. Kiedyś, gdy mieszkałam w rodzinie zastępczej, udawałam, że, mówiąc kolokwialnie, nie czaję bazy. Do dziś źle się z tym czuję, więc wybaczyć, gościu, więcej nie zamierzam udawać. Możesz nakręcać ten przysłowiowy zegarek od rana do wieczora, a i tak w efekcie okaże się, że nie tyka tak, jak byś oczekiwał. Niesforna wskazówka – wbijam sobie palec w mostek – to ja.

– Wraca Tafari – oznajmia z ulgą, patrząc ponad moim ramieniem. – Ściągnąłbym ci kajdanki, ale sama naciskałaś na dotrzymanie procedur. – Uśmiecha się przesadnie miło.

– Spoko – rzucam od niechcienia. – Potrafię dostrzec plusy tam, gdzie nie widzisz ich ty.

– Nie rozumiem.

– I nie zaczniesz, dopóki nie spojrzysz na świat moimi oczami.

Mogłam tego nie dodawać. Pogubił się, zamotał, ma taki wyraz twarzy, że niemal mi go szkoda.

## ROZDZIAŁ 3

### *Zita*

Prawnik gestem zaprasza mnie do jednego z pokoi. Nie rozgryzłam jeszcze tego człowieka, ale więcej niż pewne, że żaden z niego poczciwy urzędnik. Jedną z rozważanych przeze mnie opcji, z którą, na tę chwilę go wiąże, jest handel klejnotami. Emiliano wspominał o diamencie, on z kolei o perle. Odeszli na bok, gdzie, ku obopólnej radości, dokonali wymiany. To ma sens. Jakiś.

Nabyta podejrzliwość przez chwilę kazała mi sądzić, że przysłał go Spirito, ale wątpliwe, by zdecydował się pomóc mi akurat teraz, przecież siedzę już trzeci miesiąc, nie licząc minionych lat. Sądzę wręcz, że moja odsiadka jest mu na rękę. Może odpuścić czuwanie, uskuteczniane, w jak się okazało, totalnie chorem, typowym dla siebie stylu.

Łączenie faktów. Jestem w tym naprawdę dobra.

Wchodzimy do pomieszczenia, w którym znajduje się kilka stolików. Radosna twórczość osadzonych ewidentnie zbiera tu żniwa. Na ścianach namalowane są postaci z bajek.

– O, Robin Hood. – Tafari wskazuje na nieco już wypłowiały obrazek.

– Nie jestem, kurwa, zdziwiona – mówię, co myślę, na co unosi brwi. – Zapytam wprost. Jesteś tkaczem nowych rajtek?

– A co to oznacza? – Wykłada dokumenty na stolik i zerka na malowidło.

– W tej wersji bajki Robin i jego przyjaciele są jeszcze dziećmi. Swego czasu obejrzałem wszystkie pięćdziesiąt dwa odcinki. Ale byłem zirytowany, gdy dom Robina został zniszczony przez barona Alwyn. Musiał uciekać i tułać się po lesie, aż w końcu napotkał jednego zbója, drugiego, trzeciego i utworzyli bandę. – Uśmiecha się lekko. – Razem krzyżowali plany rodziny Bo... – kaszle – barona, by w efekcie odzyskać koronę i uratować Marion. Piękna historia. – Ociera niewidoczną łzę.

– Nie pamiętam wątku z koroną – przyznaję. – Podobnie jak rodziny Bo. Jesteś chory?

– Psychicznie? – Zapewne celowo wybucha głośnym, szaleńczym śmiechem.

– Powiedziałaś: „Bo”, i kaszlnęłaś, a gdy się przedstawiałaś, wypowiedziałaś: „Be”, i chrząknęłaś. Pomijam już, że podobnie zrobił Luigi. Skoro to nie przeziębienie, to co, tik nerwowo? – Intensywnie się w niego wpatruję. – I nie odpowiedziałaś na pytanie dotyczące tkania rajtek – przypominam.

– Nie. Szycie to nie moja broszka – mówi bez wahania. – I tak, jestem przeziębiony, dlatego kaszlę. Wcześniej beknąłem, bo bywam chamem, ale na plus, że odebrałaś to za chrząknięcie. To wszystko? – Mocno zaciska mięśnie szczęki.

– Na razie. Będę cię obserwować. To akurat moja specjalność.

Tafari kręci głową i nerwowo podryguje nogą pod stołem.

Teraz mogę powiedzieć o nim więcej. Ma świetny, wyszywany pozłocaną nitką garnitur, naprawdę piękny uśmiech, wypielęgnowane dłonie, jest dość bystry i co oczywiste, nie ma cierpliwości. Moje pytania wyprowadzają go z równowagi. Nie lubi drażących skałę, ewentualnie szukających dziury w całym. Trudno.

– Do rzeczy. Nie przyszedłem, by robić za twojego kronikarza. Nie będę pisał bezsensownych pisemek. Chcę cię stąd wyciągnąć – oznajmia, a ja opieram brodę na splecionych dłoniach i słucham go z udawanym zafascynowaniem. – Sprawa jest prosta. Wystarczy złożyć wniosek...

– Mogę zadać niedyskretne pytanie? – przerywam mu, na co wzdycha zrezygnowany.

– Nie możesz. Powtarzam, że przybyłem w konkretnym celu. Wytłumaczę ci...

– Pożyczysz mi dwieście euro?

Od razu sięga do kieszeni, wyjmuje portfel, przelicza banknoty i przesuwa je w moją stronę.

– Wracając do tematu...

– Dzięki. Oddam, gdy wyjdę. Przydadzą mi się na ruchy. Wiesz, nowy start w nieludzkich więziennych warunkach – rzucam lekko, a Tafari wypuszcza głośno powietrze nosem. – A jaki naliczysz sobie procent?

– Żaden, kurwa.

Jeden zero dla mnie.

Nie musiałam nawet zadać sobie trudu, żeby poznać go lepiej.

– Dziękuję za spotkanie. Wychodząc, zawołaj strażnika. – Macham ręką, sugerując, że nic tu po nim. Marszczy brwi w niezrozumieniu. – To oznacza, że masz spadać.



Prostuje się na krześle i przesuwa rękami po włosach. Dziwię się, że ich nie szarpie, bo bez wątpienia ma na to ochotę. Robi kilka wdechów, stuka palcami o blat, aż w końcu uśmiecha się szeroko. Miło. Ale nie ze mną te numery. W jego spojrzeniu nie dostrzegam szczerej radości. Żadnej zresztą.

– Co ci nie pasuje? Nie chcesz pomocy?

– Wyskoczyłeś z forsy jak ostatni kretyń. Komuś takiemu mam zawierzyć swoją przyszłość?

– Gwarantuję, że nim nie jestem. Posłuchaj – unosi i opuszcza dłonie w uspokajającym geście, tyle że ja nie mam nawet podniesionego ciśnienia. – Opowiem ci o moim projekcie dla osadzonych, napiszemy, co trzeba, i znikam.

Bijąca od niego desperacja, gdy próbuje przekonać mnie do złożenia arcyważnego wniosku, niemal oślepia. Dlatego trudno obdarzyć go zaufaniem. Specjalnie nie daję mu dojść do słowa, przerywam, zagaduję. Wkrótce pęknie, zrzuci skórę niczym wytatuowany na jego szyi wąż.

Tak będzie. Potrafię być wkurwiająca.

– Ostatnio przedłożyłam pismo o zastosowanie środka zapobiegawczego w postaci aresztu domowego. Nic z tego nie wynikło.

– O ile mi wiadomo, jesteś bezdomna, więc...

– Nie jestem! – oburzam się. – Nie mam po prostu stałego adresu. Na samą myśl, że miałabym codziennie wracać do miejsca, w którym znam każdy kąt, aż mnie skręca. Rutyna, bezproduktywne wylegiwanie się w wannie lub na kanapie, pamiętanie o zapełnieniu lodówki i inne bzdety. Jak komuś może się to podobać?

– Wpisałaś adres przydrożnego motelu jako proponowane miejsce odbywania kary. Myślałaś, że sędzia na to przystanie? Nie masz źródła dochodu, a musisz brać pod uwagę koszty utrzymania.

– W tym rzecz. Szkoda, że jestem tak bardzo spłukana. – Teatralnie wyginam usta w podkówkę. – Zapoznałeś się w ogóle z moimi aktami?

Prawnik drapie się po skroni i zerka w dokumenty.

– Pięć lat za przestępstwo przeciwko zdrowiu i życiu – stwierdza enigmatycznie – z czego odsiedziałaś cztery i pół roku w Turynie, plus świeża sprawa, sześć miesięcy za uszkodzenie mienia, podpalenie. – Przewraca kartkę. – Łącznie zostało dziewięć.

– Właśnie, podpalenie. – Unoszę palec. – Jakie to szczęście, że bez motywu rabunkowego, nie? A było blisko, ty wiesz, że w tej budzie była podobno gotówka na opłacenie czynszu za grunt i dostawców? Głowiliśmy

się na sali sądowej, żeby dociec, co ewentualnie się z nią stało. Opcji było kilka. Ukryłam je, spłonęły w pożarze, nigdy ich tam nie było.

– Obstawiam to drugie.

– Ilu ludzi, tyle opinii. Ja wybrałam trzecią możliwość. Właściciel stoiska pierwszą. Słowo przeciwko słowu, ale ktoś na pewno ma rację. – Mrugam do niego sugestywnie.

Jak na prawnika często zapomina języka w gębie, zapowietrza się, wierci, jakby tylko marzył o tym, żeby dać w długą.

– Lepiej porozmawiajmy o wniosku – znów zaczyna.

– O skardze – poprawiam go. – Nie chcę stąd wychodzić, olać to – oznajmiam. Tafari robi głęboki wdech. – Naczelnik zaproponował mi jednoosobowy pokój. Nie muszę z nikim walczyć, mogę w spokoju zająć się swoimi sprawami. Poza tym może poznam jakiegoś miłego faceta, chociaż Luigi twierdzi, że to niewykonalne. Podobno czeka mnie spotkanie z psychologiem, więc dopisz, że dołączam opinię poświadczającą mój zły stan psychiczny.

Tafari w końcu wypuszcza wstrzymywane powietrze.

– Luigi ma rację. Poznanie kogoś absolutnie odpada – mówi z przekonaniem. – Przestań kombinować. Już nie musisz, serio. Skup się na chwilę. Potrafisz milczeć przez dwie minuty? Posłuchaj, co zrobimy.

– A dlaczego niby zapoznanie kogoś jest totalnie niemożliwe?

Z impetem odsuwa się od stolika i zrywa na równe nogi.

– Bo nikt, żaden, kurwa, miły facet o zdrowych zmysłach by z tobą nie wytrzymał! – wydziera się. Opanowanie szlag trafił. Teraz pora na rzucenie uwierającego, pijącego w jaja wdzianka. – Bezustannie kłapiesz jadaczką, wszędzie węszyć spisek, gapisz się, jakbyś chciała spojrzeniem wywiercić mi dziurę w mózgu. – Uderza pięścią w blat. – Zaraz wrócę. Wydrukuję tysiąc skarg. Niech się stanie wola twoja. I duch, kurwa, z tobą! – Idzie w stronę drzwi. – Przemądrzała suka – mamrocze pod nosem.

Może i tak, a może po prostu wolę tymczasowy kątek, ciepły, chociaż gryzący koc oraz pewną, codzienną wyżerkę. Własna cela. To działa na wyobraźnię i w pełni mnie satysfakcjonuje. W dogodnych warunkach obmyślę plan działania, a gdy wyjdę na wolność, możliwe, że uda mi się uniknąć potknięć, wyciszyć i ustabilizować. Wszystko to musi być spełnione łącznie. Bez stabilizacji nie ma mowy o pieprzonym wyciszeniu, a kiedy jestem nakręcona, czuję nóż na gardle, łatwo o potknięcia. Zamknięte koło. Ale będę próbować. Jak zawsze.

Nie mija kwadrans, a Tafari jest już z powrotem.

– Załatwione. – Rzuca na stół plik kartek i siada naprzeciwko. – Skarga skargę popycha, a ta potyka się o kolejną i tak dalej. W chuj skarg. Tak jak sobie życzyłaś.

– A na siebie napisałeś? Bo też mam w planach. Prawnik, który nie ma cierpliwości, obrażający klienta, rzucający mięsem, próbujący narzucić swoją wolę.

– Nie smuć. Nawet nie chciałaś mnie wysłuchać. Czas minął. Podpisuj. – Wkłada mi długopis w rękę.

Wczytuję się w pierwsze pismo. Jedno jest pewne, Tafari potrafi zabarwiać rzeczywistość, konkretnie go poniosło. Opis mojego stanu wywołanego pobytami w zamknięciu brzmi tak żałośnie, że aż mnie samej zrobiło się przykro. „Popadam w skrajne emocje, trudno przewidzieć, jak zachowam się w danej sytuacji. Mam zmienne nastroje, co rzutuje na relacjach z innymi. Miewam myśli paranoidalne, urojenia, ataki paniki i myśli prześladowcze”. Niekończąca się litania.

– Tu napisałeś, że wnoszę o tysiąc euro zadośćuczynienia. Popraw na trzy.

– Nie bądź pazerna.

– Będę! Zasługuję po tym, co przeszłam! – Chowam pod stół trzęsące się dłonie.

– Atak paniki, skrajne emocje? – pyta lekceważąco. – Podpisuj resztę. Mój czas nie jest z gumy.

Pobieżnie przeglądam pozostałe podsuwane dokumenty. Chcę jak najszybciej znaleźć się w celi. Wyobrażam sobie, że kładę głowę na poduszce, zapadam się w niej, zamykam oczy, bo mogę, bo jestem sama, nikt mi nie zagraża. Jest cicho. Błogo i bezpiecznie.

Prawnik wskazuje, gdzie mam złożyć podpis.

– Tu, tu i tu – mówi szybko, wprowadzając atmosferę pośpiechu. – Jeszcze tu na dole.

Zatrzymuję dłoń w powietrzu, ponieważ kartka jest pusta. Patrzę na niego pytająco.

– Nie gap się, tylko rób, co mówię – rzuca chłodno. – Spiszę w tym miejscu listę załączników, gdy już będzie wiadomo, co dołączamy.

Jasne. Nie mam na drugie naiwność, a na trzecie idiotka.

– Będziesz musiał przyjechać ponownie. Lubię wiedzieć, pod czym się podpisuję. Skąd mam mieć pewność, że nie zostanie tu napisane coś w

stylu: „Ja, Zita Belgamonte, przyznaję, że pan Tafari Farouq zginął z moich rąk. Za mocno przyjebałam mu krzesłem”.

– Obiecuję, że nie zrobię niczego na twoją niekorzyść.

– Aaaa, trzeba było tak od razu. To zmienia postać rzeczy. – Potakuję i sięgam po długopis. Lekko przesuwam nim po kartce. – Wkład się wypisał. Masz inny?

– Tak. Moment. – Schyla się, żeby rozpiąć teczkę.

W tej samej chwili zrywam się z miejsca, chwytam za oparcie krzesła i robię zamach. Uderzam mocniej, niż miałam w zamiarze, ale czasu, co oczywiste, nie da się cofnąć. Zamroczony przykładam ręce do skroni. Krwawe mury. W końcu dostrzegam w tym sens. Okrażam stolik, zanim Tafari odzyska trzeźwość umysłu, zachodzę go od tyłu i zarzucam mu na szyję łańcuch łączący obręcz kajdanek. Przyciągam go do siebie. Zaciskam.

– Nie płacz. Uprzedzałam – szepczę mu do ucha.

– Chryste, psycholko – sapie i wali tyłem głowy w mój nos. Tyle wystarczy, żeby wewnętrzna siła, którą sądziłam, że dysponuję, wyparowała. Robi się jeszcze gorzej, kiedy wstaje. Jest dużo wyższy ode mnie i czego nie przewidziałam, odporny na furiackie zagrywki i podduszanie. – Zły ruch, perełko – oznajmia, ciągnąc za łańcuch w taki sposób, że zostaję przyciśnięta do jego pleców. Jestem w potrzasku. – Radzę napiąć mięśnie – sugeruje, lecz zanim zdążę przeanalizować te słowa, szarpie kajdanki, podciąga mnie wyżej, z całej siły uderza łokciem i przerzuca przez bark, niczym marionetkę. Jęczę z bólu, gdy z impetem zderzam się z podłogą. Staje nade mną. Spływająca z rozcięcia na jego czole krew kapie mi na twarz. – Skończyłem z tobą.

– I dobrze – wyduszam, nie potrafiąc zaczerpnąć głębszego oddechu. – Kim ty w ogóle jesteś?

– W Nigerii mawiamy: „Jeśli chcesz poznać wierzchołek baobabu, poznaj najpierw jego korzenie”.

– Co to niby znaczy? A zresztą, nie obchodzi mnie to. Zdradzę ci, co powiadamy na Sycylii. – Mrużę oczy.

– Po twojej minie wnoszę, że powiedzonko mi się nie spodoba.

Wyraz jego twarzy to mieszanka zaciekawienia i zarozumiałstwa. Z jednej strony interesuje go, co mam do powiedzenia, z drugiej zaś jest pewny, że i tak niczym go nie zaskoczę. Działa mi tym na nerwy.

– Jedyne, co ci się w życiu uda, to umrzeć – rzucam w złości, próbując wstać.

– A nie, jednak się pomyliłem. Zaczne. – Wybuchają śmiechem. – Zabrzmiało jak klątwa. Wypowiedziana przez odpowiednią osobę na pewno ma moc. – Przygląda mi się. – Chcesz wstać? Podaj rękę – mówi, a ja, niewiele myśląc, wystawiam dłoń. Ujmuje ją, delikatnie mnie podciąga, a potem zniechęta puszczając. Z powrotem upadam na posadzkę. – Wybacz. Przypomniałem sobie, że gardzisz pomocą. Cześć. – Macha niedbale i wychodzi.

## ROZDZIAŁ 4

### *Zita*

Słyszę dobiegające z korytarza odgłosy. Przymykam powieki, żeby nie widzieć wiszącego nade mną widma konsekwencji. Od razu lepiej. Przez moment. Do czasu, aż pojawia się nieznający słowa „współczucie” strażnik. Syczę z bólu, gdy pewnym ruchem stawia mnie do pionu i wciska mi w rękę poduszkę.

– Idź. – Popycha mnie w stronę wyjścia.

W holu stoją, szepczący między sobą, Tafari, który przykłada do czoła worek z lodem, i Luigi, kwitujący odbiór dostarczonego w międzyczasie jedzenia. Burczy mi w brzuchu. Na podłodze postawione są pojemniki służące do transportu żywności. Widnieje na nich napis: „Wyznawcy”. Nie chcę kombinować, ale to silniejsze ode mnie i mimo patowej sytuacji zastanawiam się, co wyznają, skoro zasłużyli na smakowicie pachnące zarcie spoza więziennej stołówki.

– Luigi! – wołam. – Panie naczelniku! – Ewidentnie jest łasy na tytułowanie, bo od razu się odwraca. – On chciał mnie wykorzystać. – Wskazuję na prawnika. – Oskarżę go. Przysięgam, że to zrobię.

– Słowo przeciwko słowu, ale ktoś na pewno ma rację – stwierdza Tafari.

– Muszę iść do lekarza, Luigi. – Obdarzam go błagalnym spojrzeniem. – Chyba mam coś z żebrami, bo boli, gdy oddycham, a nos jest zapewne złamany.

– Później. Po co chodzić do niego dwa razy? – odpowiada znudzonym głosem Luigi.

– Jak to? Nie rozumiem, co masz na myśli.

– I nie zaczniesz, dopóki nie spojrzysz na świat moimi oczami. – Uśmiecha się cwaniacko.

Zszokowana otwieram usta. Obaj przytoczyli słowa, których użyłam, rozmawiając z nimi wcześniej. Strażnik łapie mnie za ramię i ciągnie w stronę schodów prowadzących na piętro.

– Powiedziano mi, że izolatka znajduje się na parterze – mówię, próbując dotrzymać mu kroku.

– Bo tak jest. Stwierdziliśmy jednak, że nie będziemy odbierać ci przyjemności integracji ze współwięźniarkami. Później przyniosę twoje rzeczy.

– Czyli nie będę sama? – Nie potrafię zamaskować zawodu. – Nie chcę robić problemu z dostawieniem łóżka – dodaję nerwowo.

Wskazuje, dokąd mam się kierować, a kiedy stajemy przed drzwiami, uchyla je przede mną i rozpina mi kajdanki.

– Spokojnie. To żaden kłopot.

Wchodzę do środka i lustruję wzrokiem pomieszczenie.

Szkoda, że nie dodał słowa: „dosłownie”. Byłoby na miejscu. W pokoju są trzy osadzone, w tym, o zgrozo, dziewczyna, do której fikałam na dziedzińcu, i tyle samo łózek. Taki niefart. Zbieg okoliczności? Na pewno nie w tym przypadku. Teraz rozumiem, co miał na myśli Luigi, sugerując bezzasadność udania się w tamtej chwili do lekarza. Lada moment nie będą mi potrzebne podmuchiwanie „kuku” i plasterek, lecz metrowe bandażę, defibrylator, ewentualnie trumna.

Dziewczyny wpatrują się we mnie z wyższością. Nie zamierzam robić z siebie ofiary losu. Będzie, co ma być, co być musi.

– W imieniu zarządu życzę miłego pobytu – rzuca prześmiewczo strażnik i wychodzi.

Stoję z przyciśniętą do brzucha poduszką, nie do końca wiedząc, jak się zachować w tej sytuacji. Tuż przy oknie jest skrawek niezajętej niczym podłogi. Chętnie bym go wykorzystywała, wcisnęła się w kąt i odpłynęła w pozornie słodki niebyt. Niestety nie mogę sobie pozwolić na leżenie u czyichś stóp, nawet gdy chwilowo czuję się pokonana. Takiej rysy wizerunkowej długo bym nie zatarła, o ile w ogóle. Muszę zacisnąć zęby, chociaż to akurat już skuteczniams, i zawalczyć. Nikt za mnie tego nie zrobi.

– Obita buźka? – pyta rządząca tu laska. – Nie jesteś taka twarda, jaką zgrywałaś.

– To nie moja krew – raczę ją półprawdą, siląc się na obojętny ton. – Przemyję się, a wy zróbcie mi miejsce. Tym łóżkiem jestem najbardziej zainteresowana. – Wskazuję na to ustawione przy ścianie.

– Ja na nim śpię – odpowiada dziewczyna. – Jestem Silvia. Zapamiętaj moje imię. Będzie nawiedzać cię w najstraszniejszych koszmarach. Tobie możemy zaproponować miejscówkę przy koszu, o tu, pod stołem. – Uderza kilkukrotnie w blat. – Znaj nasze dobre serca.

Dziewczyny wybuchają gromkim śmiechem.

Również mam ochotę się zaśmiać, ale ból żeber skutecznie odwodzi mnie od tego pomysłu.

– Opuść, dziewczyno. Nie bądź głupia – odzywa się druga z nich. – Pościel sobie na podłodze i tyle. Nie twórz problemów, którym nie sprostasz. Tutaj jesteś bezbronna.

Wzdycham, chociaż może na wyrost. Ma przecież prawo się mylić. Mogę, co najwyżej, być w niedyspozycji. A to różnica.

– Nie mówiłabyś tak, gdybyś wiedziała, że człowieka można zabić nawet ołówkiem – oznajmiam, z premedytacją wbijając wzrok w ten leżący na półce.

– Czyli te plotki to prawda? – pyta Silvia, podczas gdy koleżanki z zapalem zgarniają wszelkie będące w zasięgu moich oczu i rąk przybory piśmiennicze. – Gość ze straży penitencjarnej mówił, że zadźgałaś kogoś długopisem.

Wzruszam niedbale ramionami. Nie zamierzam jej uświadamiać, że plotka i prawda to dwa wzajemnie wykluczające się słowa. Aczkolwiek w każdej plotce tkwi ziarno prawdy. W tej też.

– Ale chyba nie zamierzasz jej z tego powodu odpuścić? – podjudza ją trzecia dziewczyna.

– Wiadomo, że nie – syczy Silvia. – Śpi dziś na podłodze. – Patrzy mi prosto w oczy. – Jak pies.

Chciałabym, żeby nie miała racji, ale to pobożne życzenia. Nawet gdyby nic mnie nie bolało, wątpię, żebym dała radę trzem, chcącym udowodnić swoją wyższość i postawić na swoim, laskom. Nie miałam w planach rozwiązań siłowych, kiedy zadzierałam z nią na dziedzińcu. Wolę obserwację, zagrywki psychologiczne, aż w końcu szeroko pojętą manipulację.

Mimo że jeszcze jest jasno, widzę ciemność.

Nie ma co czarować.

Czarno to, kurwa, wszystko widzę.

Idę w kierunku łazienki. Po drodze rzucam poduszkę na stół. Gdy zderza się z blatem, w pokoju rozlega się metaliczny odgłos. Pewna, że nierozważnie rzuciłam ją na coś należącego do dziewczyn, czym zasłużę sobie na gratisowy wpierdol, podnoszę poduchę. Niczego pod nią nie ma.

Te urojenia, o których wspominał Tafari, nie były całkiem od czapy.



Pochyłam się nad umywalką, by zmyć z twarzy ślady krwi. Jak to dobrze, że nie mam wielu rzeczy, bo, sądząc po ilości zagrających przestrzeń kosmetyków, szczotek, gumek i innych pierdół, czekałaby mnie również walka o łazienkową półkę.

– Co tak brzdęknęło, gdy rzuciła poduszką? – Słyszę dobiegający z pokoju głos jednej z dziewczyn.

Ulga, bo gdy dwie osoby mają te same urojenia, to znak, że żadna z nich ich nie ma.

Później słysząc już tylko szepty. Zapewne stoją przed drzwiami zwarte i gotowe do jatki. Rozważam użycie należącego do nich dezodorantu jako zamiennika gazu pieprzowego. Zyskałabym kilka dodatkowych sekund. I co bardziej niż pewne, jeszcze mocniej bym je rozjuszyła. Zdejmuję bluzę i unoszę koszulkę. Skóra na żebrach zdążyła już przybrać odcień zgniłej śliwki.

Opieram się o blat. Moczę papier w zimnej wodzie i przykładam go do zasinienia. Przez chwilę patrzę na swoje odbicie w lustrze. Krótko. Zbyt długie wpatrywanie zawsze uświadamia mi, że pewnych emocji nie jest w stanie przysłonić nawet czerń moich oczu.

Zaciskam palce na brzegu umywalki, robię głęboki wdech i przymykam powieki.

W chwilach takich jak ta, a wbrew pozorom wcale nie jest najgorszą z możliwych, chciałabym...

Nieważne.

Chciałabym umieć wyczarować sobie dom.

Wydech.

Nie wiem, ile mija czasu, pewnie sporo, bo zdążyłam już policzyć kafelki, użyć kilku, co oczywiste, nie moich kremów, spróbować oderwać, bezskutecznie, prysznicowy wąż, przeprać skarpetki, pocierając je o, tu zdziwko, nie swoje mydło, i rozważyć kilka możliwych scenariuszy dotyczących tego, dlaczego dziewczyny nie dobijają się jeszcze do drzwi.

Raz się żyje. Zawsze śmieję się w duchu, gdy wpadnę na jakąś odkrywczą myśl. Nie inaczej jest tym razem. Taka już jestem.

Niepewnie naciskam kłamek i przekraczam próg. Ewidentnie marna ze mnie wizjonerka. Wygrać bitwę, w której nawet nie wzięło się udziału. Czy to w ogóle możliwe? Silvia siedzi na jednym z łóżek, a jej koleżanki cisną się na drugim. To umiejscowione przy ścianie najwidoczniej, tak jak chciałam, jest moje.

– Zostawiłam ci koc – informuje Silvia.

– Fajnie. Gdzie tkwi haczyk? – pytam wprost.

– Nigdzie. Za każdym razem, kiedy przybywa ktoś nowy, na początku jesteśmy niemiłe – wtrąca druga dziewczyna. – Ale to żarty. Jesteś spoko – dodaje.

– Zaraz gaszą światło – mówi kolejna. – Gdybyś potrzebowała latarkę, to mam.

Wszystko jasne. Wymyśliły sobie, że uspią moją czujność w co tu dużo mówić, wyjątkowo oklepanym stylu. Zgarniam poduszkę i kładę się na materacu przodem do nich. Wolę mieć je na oku. Silvia natrętnie taksuje mnie wzrokiem, by w efekcie zatrzymać go na – nie jestem pewna – moim znamieniu? Przysłaniam dłonią literę „S”, a Silvia mruga i odwraca głowę.

Światła gasną. Przełykam ślinę. Cisza panująca w pokoju nie napawa spokojem. Jest w niej coś wymownego, lecz nie potrafię uchwycić, co dokładnie.

Bezszelestnie staram się zlokalizować suwak poszewki oblekającej poduszkę. Zamierzam ją ściągnąć, zrolować i zawinąć dookoła pięści. Stworzyć prowizoryczną linę. Nic nie poradzę, że pewność panowania nad sytuacją odczuwam, co dość absurdalne, tylko wtedy, kiedy mam spętane ręce.

Znów ten metaliczny odgłos. Sunę dłonią po materiale do czasu, aż wyczuwam coś pod palcami. Nie „coś”, to niedopowiedzenie. Rozpoznałabym ten kształt z zamkniętymi oczami, w największym mroku. W poszewce znajduje się mój różaniec. Nagle reszta przestaje mieć znaczenie, pewnie rozpinam suwak, łańcuch z łoskotem upada na podłogę.

Podnoszę go, bo jego miejsce jest w moich rękach. Są domem, którego nigdy nie powinien opuszczać.

Cisza.

Mam wrażenie, że wszystkie, włącznie ze mną, wstrzymałyśmy oddech.

Zaplatam różaniec i przyciskam plecy do ściany. Jest kurewsko zimna, ale samo stykanie się z nią powoduje, że samotność doskwiera jakby mniej. Stanowi ubogi substytut bezpieczeństwa. Chyba, bo nie pamiętam już, jak to jest czuć się bezpieczną. Mimo że co noc niestrudzenie, wręcz fanatycznie, próbuję sobie przypomnieć, odczucie to zdechło, odeszło w niebyt wraz z ludźmi, którzy byli dla mnie wszystkim.

Tamtego dnia, mimo że badacze nie zanotowali wstrząsów sejsmicznych, zadrżał cały mój mały świat.

Miałam jedenaście lat, odblaskową kokardę wczepioną we włosy, napuchniętą, ugryzioną kilka dni wcześniej wargę, paczkę grzechoczących w kieszeni koralików i wielki, typowy dla wieku plan. Wyrwać kartkę z zeszytu od biologii, na której widniała zdobyta za zadanie domowe dwója. Ależ byłam wkurzona. Szansa na dostanie od mamy kreatywnego zestawu do tworzenia bransoletek spadła do zera, bo głupi Spirito, tak o nim pomyślałam, podyktował mi złe odpowiedzi. Zapewne dlatego, kiedy żegnaliśmy się ostatnim razem, poklepał mnie po głowie, mówiąc: „Pa, jednokomórkowcu”.

Nieraz ukatrupiałam go w myślach. Przyznaję.

Złość mieszała się z ekscytacją, gdy siedziałam na ławce, czekając na pociąg jadący do Syrakuz. Byłam gotowa na sprawdzian dojrzałości, pierwszą samodzielną podróż, w moich oczach najwspanialszą, długo wyczekiwaną przygodę. Na miejscu mieli mnie wyczekiwać mama, która pracowała dla rodziny Beneventano jako kucharka, i Spirito. Tak bardzo zależało mu, żebym sobie poradziła, że sprawdził wszelkie możliwe połączenia, wytłumaczył, gdzie kupić bilet, i zadbał o odpowiednią motywację w postaci kulek upieczonych z masy solnej. Obiecał pomalować je metalicznym sprejem, by imitowały perły. Marzyłam o takich!

Podróż trwała godzinę. Do tej pory wspominam towarzyszące mi uczucie rozczarowania, gdy wypatrując przez szybę, zorientowałam się, że na peronie nikt na mnie nie czeka.

Do rezydencji leżącej u podnóża zamkowego wzgórza dotarłam krótko przed zmrokiem. Zdziwiła mnie otwarta na oścież brama. Zanim weszłam na posesję, odruchowo spojrzałam za siebie, licząc, że ujrzę Spirito. I mimo że nie lubiłam, kiedy się skradał, a robił to notorycznie, tym razem poczułam ukłucie zawodu. Nikogo za mną nie było.

W pośpiechu zmierzałam w stronę ganku. Od kuchni połączonej z salonem oddzielały go szerokie, przeszklone drzwi. Na podjeździe stały cztery auta na katańskich blachach, lecz nie dostrzegłam przechadzających się wokół domu, jak to mieli w zwyczaju, pracowników państwa Beneventano.

Z duszą na ramieniu wspierałam się po schodach i stanęłam przed szybą.

Zamarłam, zauważając rozsypane na podłodze, pływające we krwi „perły”, nerwowo wymachujących bronią mężczyzn, leżące jedne na drugich martwe ciała. Mimo że obrazy te zarejestrowałam jako pierwsze, nie one ścięły mnie z nóg.

Na krześle wpółleżał skrępowany taśmą Spirito. Miał poszarpane ubranie, spuchniętą twarz, z nosa i ust leciała mu krew. Nie wykonywał żadnego ruchu, nawet gdy klęczący przy nim ojciec próbował go ocucić. Miałam wrażenie, że wpatruje się w moje oczy, żegna ze mną. Wtedy sądziłam, że to niemożliwe, dziś... sama nie wiem.

Ze strachu zmoczyłam spodnie. Przeskakując wzrokiem po zebranych w pomieszczeniu ludziach, szukałam mamy. Nigdzie jej nie widziałam. Odczułam ulgę, sądząc, że się minęłyśmy i pewnie czeka na dworcu. Panikę, bo w każdej chwili mogłam zostać zauważona. Dezorientujące, sprzeczne uczucia. Potrzeba uratowania Spirito tak silna, jak chęć ucieczki.

Kurwa, od lat to sobie wmawiam. Prawda jest jednak taka, że o niczym nie marzyłam tak bardzo, jak o znalezieniu się w ramionach matki. O niczym.

Pisnęłam z przerażenia, słysząc huk wystrzału. Odruchowo zrobiłam krok w tył, a wpadając na drewniany stolik, strąciłam stojący na nim wazon. Przestraszona spojrzałam w stronę drzwi, jedynej oddzielającej mnie od horroru bariery. Nie rozżłościłam przebywających w domu mężczyzn. Rozśmieszyłam ich. Śmiali się z niestanowiącej realnego zagrożenia, nieporadnej dziewczynki. Rozproszyli się, kilku z nich ruszyło w moją stronę. Wtedy ją dostrzegłam. Leżała na podłodze przy wyspie kuchennej, miała podwiniętą sukienkę i rozłożone nogi.

– Mamo! – krzyknęłam, ile sił w płucach. – Mamo! – Bezskutecznie próbowałam przesunąć drzwi. Furiacko uderzałam w szybę. – Mamo, co ty robisz?! – Do teraz nie pojmuję, dlaczego zadałam to przesiąknięte pretensją, debilne pytanie.

Przygniatający ją swoim ciałem chłopak zerknął na mnie i uśmiechnął się szeroko. Płakałam. Wrzeszczałam tak głośno, że niemal czułam trawiący płuca ogień.

Mama odwróciła głowę, a nasze spojrzenia się skrzyżowały.

– Zito, uciekaj!

Nie pamiętam, czy rzeczywiście usłyszałam jej głos. Może odczytałam te słowa z ruchu warg. Odrzucam myśl, że były jedynie wytworem mojej wyobraźni. Tym, co chciałam słyszeć, prośbą, rozkazem, który przyjął z ulgą.

Biegłam, nie oglądając się za siebie.

Wciąż biegnę.

– Wiara jest moją siłą, a siła to ja – szepczę, mrużąc oczy, bo oślepia mnie światło latarki.

Bezpieczeństwo.

Słowo kojarzące mi się z otulającą od środka błogością.

Odczuwałam je kiedyś. W poprzednim życiu.

Wtedy gdy mogłam pozwolić sobie na bycie strachliwą dziewczynką.

# ROZDZIAŁ 5

## *Spirito*

Lodowata pustka. My pośrodku niczego. Przejmujący, wżerający się w kości chłód. Ciężące na wnętrznościach bryły lodu. Skostniałe dusze. Tak różni. Tak bardzo tacy sami.

Leżę bokiem i wpatruję się w mocno sponiewieranego przez życie denata, zajmującego przeciwległy stół sekcyjny. Milczącego nauczyciela. Dawniej na podobnych jemu uczyłem się wyodrębniania poszczególnych struktur organizmu, zabezpieczania materiałów, techniki. Dziś, patrząc na jego naznaczone ranami tłuczonymi pęknięte kości twarzy, liczne otarcia skóry w okolicy nosa, zakrwawione, proszące się o rozcięcie ubranie, ćwiczę siłę woli.

Piłowanie, nacinanie, wyjmowanie, zszywanie.

Moje myśli krążą nad nim niczym wygłodniałe sępy.

Chciałbym poznać skrywane przez niego tajemnice. Truchło skarbów. Skórzany worek niespodzianek. Pierwsze, wykonane z niekoniecznie chirurgiczną precyzją, cięcie – słychać szept. Drugie – nawija głośniejsz, więcej. Z każdym kolejnym pacjent jest coraz bardziej rozmowny. Powłoki zioną śmierdzącą prawdą, bo ciało, nawet gdy martwe, mówi. Bezwstydnie zdradza wszystkie sekrety. A nad nim stoję ja. Ostatni świadek śmierci.

W wyobraźni rzecz jasna. Jednymi z wielu umiejętności, jakie dostałem w pakiecie wraz z praktycznymi lekcjami anatomii, są samokontrola, zręczność i cierpliwość. Nie zawierał tego, co równie ważne, a raczej najważniejsze. Szacunku wobec zwłok. To podstawa, a jeżeli myślę o nich w kategorii „truchła”, oczywiste jest, że nauczyciel, ten żywy, był chujem wart.

Skoro o podarkach mowa. Ojciec obdarował mnie poczuciem bezkarności, wzdargą do ludzkiego istnienia. Zabronił spoglądać za siebie, wpajając, że najwięcej korzyści przynosi patrzenie nie dalej niż czubek własnego nosa. Jako smarkacz potrafiłem dokonać oględzin zewnętrznych i wewnętrznych, rozpoznać bezpośrednią przyczynę zgonu, wypełnić kartę sekcyjną. To było coś! Niczym mały Bóg w przeznaczony dla dorosłych odzieży ochronnej i w za dużych o kilka rozmiarów kaloszach, do których

wpadały fragmenty tkanek, dokonywałem niedostępnych dla przeciętniaków rzeczy wielkich. Matka zaspokajała mój głód wszechmocy, karmiąc przekonaniem o wyjątkowości.

Rodzice. Przeprowadzili operację na żywym organizmie. Zabawili się we Frankensteiny, grzebiąc mi w sercu, robiąc rozpierdol w głowie. Nie podali znieczulenia.

Jestem przekonany, że gdyby prowadzili dziennik eksperymentów, na tytułowej stronie widniałby napis „Pato-zjeb. Geneza”. Jeśli nie, powinien.

Trudność sprawia mi zdecydowanie, czy być wdzięcznym, czy wkurwionym.

Dzięki nim w moich żyłach płynie krew.

Przez nich jestem martwy.

Obracam się i unoszę *fenomenalne* ręce. Oglądam je z mieszanką fascynacji i obrzydzenia, skłaniając się ku drugiemu, mimo świadomości, że to czachę powinienem sobie rozjechać i wnikliwie zlustrować jej zawartość. Dłonie są jedynie narzędziem spełniającym intencje mózgu.

Kulka w łeb, sztylet wbity w serce. Wypadałoby. Rozważałem. Rzecz w tym, że zbyt mocno kocham *siebie*. Przekonujące wytłumaczenie, jedno z serii tych wiarygodnych. Jestem tak zafiksowany na *swoim* punkcie, że gdyby przyszło mi po raz kolejny przejść drogą, którą kroczyłem latami, ponownie usłać ją trupami, postradać zmysły, umrzeć wielokrotnie, pozornie zmartwychwstać, zrobiłbym to. Dla...

DLA NIEJ, kurwa! Nie ma co ściemniać i tak zgniję w piekle.

Zawieszony w niebycie, spętany w obdzierającej z człowieczeństwa próżni, przed oczami nie miałem swojego brzydkiego ryja, lecz twarz MOJEJ strachliwej dziewczynki.

„Nie jestem już sama na tym świecie. Jesteś jedynym, co znam, czemu ufam”.

Zbyłem milczeniem te wypowiedziane przez Zitę absurdy. Próbowła je wcisnąć z powrotem do gardła, ale słowa, ku obopólnemu niezadowoleniu, już się rzekły. Szybko zrozumiała, jak wielkie są to bzdury. Widziałem to w jej oczach. Świdrując mnie wzrokiem, usilnie próbowała odnaleźć dawnego chłopca. Tego, któremu, wbrew logice, ufała. Bezskutecznie. On nie żyje. Zdecydowanie nie istnieje, skoro nawet ona nie była w stanie go dostrzec.

Pięczę nad jej losem sprawuje zlodowaciały, odporny na egzorcyzmy, żarliwe wyznania wiary, błagalne modlitwy Duch. Nie dziwię się zatem, że uciekając i chwilę przed, zaprezentowała szablonowy obraz opętania.

Gdyby tylko miała świadomość, że całe zło, które ją spotkało, to moja zasługa, zapewne zaczęłaby lewitować i nawijać zmienionym głosem w wielu powszechnie nieznanym językach.

Miałem dobre, naprawdę boleśnie szczere chęci. Diabeł by się uśmieł. Wybrukowałem nimi jej życiową ścieżkę, wykorzystując do tego narzędzia wykute z desperacji i bezsilności połączonej z wiarą w lepsze jutro. Sprzęt po chuju. To nie miało prawa się udać. Przekwalifikowałem się w brukarza, chwilowo zamieniłem skalpel na młotek, by po wszystkim wskoczyć w skórę zabójcy.

Niby nic nadzwyczajnego. Od dnia narodzin jestem w końcu naznaczony śmiercią. Moja rodzina od pokoleń przynależała do *Mano d'onore*, a przeznaczenie mężczyzn w naszym środowisku jest odgórnie znane. Akceptuję to w pełni. Od zawsze obserwowałem ojca, służyłem mu, chłonąc zasady jak gąbka, by w każdej chwili, każdym możliwym momencie, być gotowym na przejęcie władzy. Problem w tym, że skóra, w którą wlałem, nie należała do mnie.

Była ciasna i zjełczała. Pokryta guzowatymi krostami, splamiona krwią urodzonych pod niełaskawą gwiazdą. Uciskała, dzień po dniu, powodując utratę czucia. Trudno było mi ją zrzucić, a gdy się udało, zmyć z siebie jej zapach. Do dziś go czuję. Nie można się go pozbyć. Podobnie jak przywrócić krążenia.

Bez względu na te zaliczone po drodze do celu perturbacje, które zresztą i tak zamierzam przemilczeć, miejsce Zity jest przy mnie. W sensie obok, nieopodal. Na przykład, kurwa, za ścianą. Przyciskam palce do powiek. Sprecyzowanie intencji zawsze przychodziło mi z trudem. Zwykle nakreślałem je po prostu skalpelem. To prostsze.

Ostatnio dojrzałem. Moje myśli ewoluowały. Doszedłem do szeroko zakrojonych wniosków. Mniejsza z tym. Do sedna. Zapewnienia, ślubowania, paktów. Obiecałem Zicie kilka rzeczy. Dwie, jeśli mam być dokładny. Obie wzajemnie się wykluczają. Pomijając nasz kontrakt, za dzieciaka nazwany małym zmyślnie „ty i ja”, przyrzekłem coś jeszcze. Mianowicie, że usunę z jej drogi wszystkich złych ludzi.

Nie muszę dodawać, kto jest tym najgorszym. Uświadomienie sobie tej oczywistości przyszło z czasem.

Pomimo tego jedyne deklaracje, których udało mi się dotrzymać, to te złożone właśnie jej. Nie zamierzam się z nich wycofywać, dlatego...

Muszę być blisko. *Witaj w domu, Zito.*



Jednocześnie najdalej, jak się da. *Nigdy mnie nie zobaczysz.*

Genialny plan.

Otwieram oczy, bo słyszę dźwięk piły mechanicznej. W powietrzu unosi się zapach świeżo palonej kawy, który towarzyszy piłowaniu czaszki. Wiadome więc, że po pierwsze, przysnąłem. Po drugie, nie zdążyłem schować zwłok przed przybyciem szkolącego się na lekarza medycyny sądowej Ugo.

– Nic nie mów. Z dobroci serca przygotowałeś mi pacjenta, a potem, tak jak zwykle, zemdlałeś nieopodal. – Unosi wzrok i wyłącza urządzenie.

– Właśnie – potwierdzam i zeskakuję ze stołu.

Nienawidzę być przyłapywany na bezproduktywnym spędzaniu czasu w prosektorium. Czuję się wtedy, jakbym został nakryty na posuwaniu dziewczyny kumpla. Porównywalne, bo równie niestosowne. Zwijam w pośpiechu prześcieradło, gdy za plecami rozlega się głos Tafariego.

– Na bank pościeliłeś sobie obok trupa, ale udam, że nie ogarniam. W tej chwili bardziej niż twoje problemy z głową interesują mnie moje – oznajmia, więc się odwracam. – Te widoczne gołym okiem. – Wskazuje ranę na czole. – Masz nastrój mi to zszyć czy poczekać, aż Ugo skończy?

– Jak chcesz.

Przechodzę do połączonego z salą pokoju zabiegowego, co może, lecz nie musi, potraktować jako zaproszenie. Wybiera to pierwsze, ale zamiast wejść, staje w progu. Przygląda mi się w milczeniu. Zgrzytam zębami. Niekłapiący jadaczką Tafari to zawsze oznaka złych wieści. W końcu nabiera powietrza i uśmiecha się szeroko.

– Zszyj mi ranę, a potem porozmawiamy.

Nie zabrzmiało jak propozycja czy prośba. Prędeż rozkaz, a na te, z czego Boah doskonale zdaje sobie sprawę, mam uczulenie.

– Pasuje mi taka kolejność. Siadaj. – Klepię w siedzisko i przysuwam stolik. Z szuflady wydaję nożyczki.

Tafari nie rusza się z miejsca.

– Jednak poczekam na Ugo. – Nerwowo pociera kark. – Znam cię. Nieroztropnie powiedziałem: „Zszyj ranę”, zamiast zapytać, „Czy mógłbyś?”. Już się gotujesz. – Macha ręką z rezygnacją. – Wiem, że po wszystkim pociągnąłbyś nic, wyrwijając ją z fragmentem skóry.

– Daj spokój. – Przywołuję go ruchem głowy.

– „Uciekać przed słońcem nie hańba”. – Robi w tył zwrot, lecz po chwili wraca. Norma. Nadmiar niewypowiedzianych słów mu ciąży. – Przed

jednym, jak widać, nie udało mi się dziś uciec – rzuca niby od niechcenia i patrzy na mnie wyczekująco.

– Kto cię sklepał? – ciągnę go za język. – Załatwiłeś zwolnienie Zity?

– Szafka – odpowiada od razu. – Przyjebałem w nieodmknięte drzwiczki. I tak, oczywiście, mówiłem, że to formalność. Kasa, którą zainwestowaliśmy w moje studia, nie poszła na marne. Klientów pokroju Zity wciągam na śniadanie. To dziewczyna. – Brzmi, jakby próbował przekonać samego siebie. – Typowa. Obserwując ją, doskonale wychwyciliśmy, jaka jest, więc czym niby miała mnie zaskoczyć?

Zerkamy w stronę drzwi. We framugę puka oczekujący uwagi Luigi. Tafari chrząka kilkukrotnie, posyłając mu nad wyraz fantazyjne, chuj wie, co znaczące, sygnały wzrokowe. Duch. Czasem traktuje moją ksywkę zbyt dosłownie. Widzę, słyszę. Czasem COŚ czuję.

– O czym rozmawiacie? Jedliście już? Opowiedziałeś mu, jak zjechałeś sprawę z Zitą? – pyta z zaciekawieniem Luigi, na co Tafari jeszcze bardziej wytrzeszcza oczy. – Wparował do instytutu w typowym dla siebie stylu. Wiesz, unoszony metr nad podłogą przez własne ego – opowiada, patrząc na mnie. – Język suahili, rozdawanie uśmiechów, blichtr i błysk. Tak było, co nie, Boah? – Szczerzy się do niego, ale bez wzajemności. – A potem Zita go zaorała. – Rozkłada ręce. – Masz, prezent dla ciebie. – Kładzie na stoliku kostkę Rubika.

– Po co mi to dajesz? – pytam.

– Wahałem się między bombą a kostką. Ostatecznie wybór padł na drugie. Potrafisz ułożyć?

– Nie? – odpowiadam pytaniem.

– W takim razie podzielisz los Boaha – mówi z przekonaniem. – W wolnej chwili możesz poćwiczyć. Wyobraź sobie, że to Zita, tylko bardziej kanciasta.

Tafari, jak gdyby nic, sięga po gazę i środek odkażający. Podchodzi do lustra i przemywa ranę. Wychwytyuję jego spojrzenie. Od razu zaczyna paplać.

– Nie wezmę na siebie pełnej odpowiedzialności, Spirito. – Odrzuca wacik na bok i odwraca się w naszą stronę. – Jak miałem ją przekonać, skoro on – celuje palcem w Luigiego – obiecał jej salę na wyłączność? Zamiast wykotłować Zitę w bajzlu, sprawić, że nie marzyłaby o niczym tak bardzo, jak o wydostaniu się z pierdła, odegrał dobrą wróżkę. Wybawił ją z

opresji, zamiast w nią wpędzić. Grałem kartami, jakie rozdał ten – zaciska pięści – debil – syczy przez zęby.

– Kurwa, przecież to izolotka, a nie pokój w Hiltonie – oburza się Luigi.  
– Przyznaj wprost, że spodziewałeś się zupełnie kogoś innego i tyle. Bez dorabiania ideologii, żeby podbudować nadszarpnięte ego.

Ziewam znudzony, czym zaskarbiam uwagę Boaha.

– To też twoja wina. – Wskazuje na mnie, a Luigi żarliwie mu przytakuje. – Wmówiłeś nam, że mamy przewagę, bo nasi ludzie ją śledzili, i wymyśliłeś jakiś w swoim mniemaniu zapewne genialny plan – rzuca ironicznie.

Nie zamierzam potwierdzać, ale trafił w sedno.

– Reasumując, przerosło was proste zadanie. Rozmowa z dziewczyną – stwierdzam.

Sam nie wiem, który z nich śmieje się głośniej. Zasadniczo mają niezły ubaw.

– Powiedział gość planujący mieszkać z nią pod jednym dachem, a przy tym nie pokazywać się jej na oczy – mówi Luigi tonem sugerującym, że ten pomysł jest do bani. – A wystarczyłoby tylko – akcentuje to słowo – porozmawiać. Przecież to podobno takie, kurwa, proste.

– Przywieź ją jutro – urywam temat i idę w stronę wyjścia, ale Luigi to męczący natręt.

– Na jakiej niby podstawie? Tafari nie załatwił podpisu. Zita zostaje w zakładzie. Nie ma papierka, nie ma wyjścia. Tak to działa, Spirito. Dokumenty są ważne!

– Dobra. Zapamiętam to sobie.

– Ale co? Że muszę mieć porządek w papierach? Czy to, że nie poszedłem ci na rękę?

– A jak myślisz? Nie bądź zdziwiony, gdy nie podam ci swojej. Łańcuch bez ciebie wciąż będzie łańcuchem. Tyle że krótszym.

## ROZDZIAŁ 6

### *Spirito*

Groźenie Luigiemu jest słabym zagranieniem. On, Tafari i Ugo przyjęli moje nazwisko. Są moimi braćmi. Z wyboru. A ten wiąże bardziej niż więzy krwi, na które nie mamy wpływu. Nie powstrzymuje mnie to jednak przed uderzaniem w doskonale mi znane, najczulsze punkty. Wachlarz możliwości. Luigi z trudem znosi myśl, że mógłby zostać wykluczony, zastąpiony. Nienawidzi popychania, wywierania na nim presji. Nadzoruje dokumentację, ślęczy nad druczkami, widząc w tym niedostrzegalny dla postronnych sens. Najwięcej jednak mówi o nim to, że nigdy nie sięga po ostatni kawałek pizzy.

Podsumowując, ma zrytą banię. Wszyscy jesteście zjebani. Wszystkich nas zamordowano.

Luigi milczy przez chwilę, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

– Coś wymyślę – rzuca w końcu. – Jakoś nie widać, żebyś pracował nad swoim charakterem, a zapewniałeś, że to robisz. Wciąż jesteś taki sam. – Wzrusza ramionami, sądząc zapewne, że słowa te są szpilą wbitą w moje złodowaciale serce. To zdecydowanie za mało, by je skruszyć.

– Pracuję. Ostatnio, patrząc w lustro, powiedziałem: „Jesteś chorym pojebem, Spirito”, i nawet się na siebie nie obraziłem.

– Już? – wtrąca się Tafari. – Skończyliście? – Nie czekając na odpowiedź, kontynuuje: – Dzięki mnie masz ułatwione zadanie, Luigi. Nie pożałujesz, że zgodziłeś się umieścić Zitę z innymi osadzonymi. Jutro będzie marzyć, żeby pojawił się Boah – mówi o sobie w trzeciej osobie – z działającym cuda wnioskiem.

Luigi drapie się po skroni.

– No, na pewno tak właśnie będzie – potwierdza, ale bez przekonania. – W razie gdyby jednak nie, pomyślę, jak to ugryźć.

– Po prostu ją przywieź, a ja załatwię resztę – oznajmiam.

– Nie. Znasz takie słowo? Miałeś szansę, kiedy była w innych ośrodkach. Ja. Chcę. Mieć. Porządek. W. Papierach – cedzi przez zęby. – A zresztą, obaj działacie mi dziś na nerwy, więc coś wam powiem, bo może przez lata umknęło. Nie lubię wymuszania. – Pręży się, zakładając ręce na piersi. –

Dlatego fakt, umieściłem ją, gdzie chciałeś, Tafari, ale na swoich warunkach.

– Czyli? – pytamy chórem.

– Wsadziłem jej do poduszki łańcuch. Jeśli go znajdzie, da sobie radę.

– Dlaczego to zrobiłeś? – dopytuje Boah.

W pomieszczeniu zapada cisza. Obaj są niepoważni. Mówią jedno, robią drugie. Totalna improwizacja.

– A to, że należy do nas, nie jest wystarczającym powodem?

– Do mnie – poprawiam go.

– Miałem na myśli Wybrańców, a ty co? Chwila szczerości, Spirito, tak zwana pobudka, kubek zimnej wody na egocentryczny łeb, bo chyba odpłynąłeś.

– Nie zapędzaj się. – Tafari zachodzi go od tyłu i nieudolnie przyciska rękę do jego ust.

Za późno. Luigi już się nakręcił. A więc słucham...

– Przestań, Boah, łapy przy sobie, ktoś musi go uświadomić, bo nie potrafi odczytywać emocji i wczuć się w położenie innych osób. Udało ci się kiedykolwiek mieć dziewczynę na dłużej? – pyta, a kiedy otwieram usta, żeby odpowiedzieć, unosi dłoń, sugerując zachowanie ciszy. – Nawet nie odpowiadaj, każdy wie, że nie. A wiesz dlaczego? Bo jesteś biorcą.

– A, no popatrz, całe życie w błędzie. Czyli powodem nie było to, że je przechrzcilem? Wciąż przepelnia mnie smutek. Wszystkie pogruchotały mi serce. – Kładę rękę na kłacie. – Każda z nich była niewzruszona, gdy rozpaczliwie wołałem: „Zito, nie odchódź!”. Do tej pory tego nie rozumiem, przecież miłość niejedno ma imię, więc w czym niby problem? – Udaję, że zastanawiam się nad tą nedorzeczością.

– Powtarzam, jesteś biorcą i...

– Psycholem – dopowiada Tafari. – Ale powiedziałem Zicie, że nikt o zdrowych zmysłach by z nią nie wytrzymał, więc jest dla was nadzieja.

– Wiadomo – stwierdzam z rozmarzeniem, licząc, że na moim ryju maluje się błogość.

Luigi czerwienieje na twarzy.

– Nie ma żadnej nadziei! – A ten znów swoje. – Myślisz, że w taki sposób buduje się związki? Co więcej, nie potrafisz uprawiać seksu! – Gdybym miał czym, na pewno w tym momencie bym się zakrzusił. – Po spotkaniu z tobą Clara opowiedziała mi, że tylko leżałeś. Podczas całego aktu nie wykonałeś żadnego ruchu. Kazałeś jej milczeć i zamknąć oczy.

– Bo wyobrażałem sobie kogoś innego. Odzywając się, sprawiłaby, że wizualizację szlag by trafił.

Oczywiście ściemniam. Nie jestem aż tak nietypowy. Najwidoczniej jakikolwiek wysiłek wydawał mi się wówczas zbędny.

W porządku. Nie będę się pogrążał. Jest jak jest. Każdy ma jakieś wady. Ewentualnie wadę. Nawet ja.

– Racja. Bywam biorcą. – Unoszę ręce w poddańczym geście. – Przyznaję.

– Bywam... – powtarza z rezygnacją Luigi. – Cały ty, ale spoko, fajnie, teraz tym bardziej mam motywację, żeby sprowadzić tu Zitę. Zetrze ci ten uśmiech z gęby. Zapomnij o wskrzeszeniu. Z chęcią popatrzę, jak spieprzasz w podskokach.

Tafari wybucha śmiechem.

– Ej, dobre! Niby zabawne, a jednak zabarwione wiszącą w powietrzu tragedią. Duch wypędzony z Nawiedzonego Wzgórza. – Klaszcze rozbawiony. – A co najlepsze przez egzorcystkę, którą sam zaprosi. Zacne. – Cmoka w złączone palce.

I niedorzeczne. Tak jak to, że wciąż ich znoszę.

Wolę pominąć, że nie wyobrażam sobie codzienności bez tych głębów, bo to już w ogóle nonsens. Są jak wrzody, których nie chcę wyciąć, mimo wszelkich dostępnych ku temu narzędzi.

Kręcę głową zrezygnowany. To jedyne, co mogę zrobić, skoro wyprucie im flaków odpada. Przekraczam próg, lecz zatrzymuję się, słysząc głos Luigiego:

– Nie zapomniałeś o czymś?

Mówiłem. Natręt.

Wracam. Chwytam się za rękę.

– Patrz – zaczyna Tafari.

– Słuchaj – oznajmia Luigi.

– Milcz – dodaję.

– Razem stanowimy jedność – wygłaszamy wspólnie.

W ich oczach widzę pewność. Jestem przekonany, że w moich również ją dostrzegają. Zasady. Te uniwersalne sprawdzają się w każdej organizacji i chociaż wyrosłem w *Mano d'onore*, zostałem zaprzysiężony, będąc w jej szeregach, przysięgłem bezgraniczną wierność i oddanie, mój duch należy do Wyznawców. Jak wspominałem. Obietnice – mam je w dupie.

Do tej pory pamiętam przytaczane przez don Georgia legendy, choć dziś prędeż nazwałbym je bajkami, o uwięzionych w lochu śmiałkach, którzy po odzyskaniu wolności rozeszli się w różne strony, dzieląc między sobą Sycylię. Każdy z nich niósł metaforyczny worek życiowych prawd i reguł kodeksu postępowania, przekazywany z rąk do rąk, z pokolenia na pokolenie. Tfu. Charkam na to. Gęstą, kurwa, śliną. Czestując takimi farmazonami, wypadało dodać, że kabza była dziurawa. Jeden zgubił honor, drugi odwagę, trzeci godność, czwarty ambicję, a piąty mózg.

*Mano d'onore* nie ma dla mnie wartości. Paradoksalnie właśnie ten fakt stanowi największą wartość.

Kolacja, którą mam *przyjemność* organizować, ma być moim oficjalnym powrotem. Selvaggio, którego *poprosiłem* o taką możliwość, doskonale wiedział, że odmowa nie wchodzi w grę. Przede wszystkim dlatego, że nigdy tak naprawdę nie oszedłem. Nie zostałem wyeliminowany. Co najwyżej skreślony. Z uścisku organizacyjnej krwawej ręki może uwolnić tylko śmierć.

Wracam więc do korzeni. Tego rodzaju powrotem nie zawsze towarzyszy blask chwały. Nie jestem w niej skąpany. Prędeż błysk niewiadomej. Nie wiedzą o mnie nic. Ja wiem o nich wszystko.

Organizacja matka zapewni moim Wyznawcom godny byt przy minimalnym wysiłku z ich strony. Nie obejmie ramionami i nie zapewni bezpieczeństwa, prędeż kazirodczo wyrucha, ale kto nie ryzykuje, nie poszerza strefy wpływów. A właśnie ona, ta ukrywająca się pod płaszczem współpracy i patetycznych zasad suka, trzyma w swojej *honorowej ręce* coś, z czego zamierzam skorzystać. Siatkę dystrybucji.

Ot, cała zagadka. Główny powód, dla którego im się objawię. Wezmę udział w tej trwającej od pokoleń orgii. Jestem spokojny o swoją niewinność. Wbrew temu, co sądzą o mnie inni, zerkam na to, co dzieje się za moimi plecami równie często, jak przed siebie. Drugim bodźcem jest rodzina Bommarito. Wobec ścierwa, które z niej zostało, mam mordercze plany.

Krew, tę niechcianą, którą zostałem splamiony, zmyć można tylko w jeden sposób.

Krwią upragnioną.

Każdy z Bommaritów ma coś, co należy do mnie. Skrywają to głęboko w swoich wnętrzach. Puk, puk. Puk, puk. Żebra, choć ochraniają najważniejszy z narządów, są tylko klatką wykonaną z kości. „Ups” i

„ojejku” za jednym zamachem. Rodzina Bommarito, mimo że to ludzki ochłap, jest cenna. Na swój sposób. A raczej na mój.

– Przybij do brzegu, bo znów odpłynąłeś. – Tafari trąca mnie w ramię. – Ugo już kończy, więc zajmie się moim czołem – oznajmia z ulgą.

Przechodzę do sali sekcyjnej.

– Spirito, mam pytanie. – Ugo unosi palec. – Na egzaminie, kończąc sekcję, mózg umieścić z powrotem w czaszce?

– A chcesz, żeby wypłynął nosem? – wtrąca rozbawiony Luigi.

– Wrzuc go do jamy brzusznej, razem z resztą części – informuję. – Resztą narządów – poprawiam się.

– Ale obojętnie gdzie, czy wszystko musi wrócić na swoje miejsce?

Przyciskam palce do powiek.

– To pierwsze. W czym problem? Rób, jak cię uczyłem.

– Po prostu się stresuję. Tak trudno to zrozumieć? – Na jego twarzy maluje się niedowierzanie.

– Niby czym? – Nie przyznam wprost, ale rzeczywiście średnio ogarniam. – Twój pacjent będzie martwy – przypominam, bo może mu umknęło. – Nawet jeśli się pomylisz, niczego nie poczuje.

– Chodzi o to, że będę poddany ocenie. Może się nie nadaję do tej pracy?

Ugo rozkłada bezradnie ręce. Wygląda na strapionego, możliwe więc, że rzeczywiście bierze pod uwagę taką ewentualność.

– Gdy rozwierasz mostek, wytrzeszczasz oczy, wyobrażając sobie, że otwierasz tajemną księgę i wkrótce zobaczysz światłość? – pytam.

– Co? – wydusza, wlepiając we mnie zdziwione spojrzenie. – Ja jestem normalny – oburza się.

– W takim razie jesteś właściwym człowiekiem na odpowiednim miejscu. Coś jeszcze?

– A jeśli powinie mi się noga i nie zdam, porozmawiasz, z kim trzeba? Wiesz, wykorzystasz kontakty i pomożesz?

– Masz pomoce naukowe – wskazuję na zwłoki – o których inni mogą tylko pomarzyć. Przez lata odpowiadałem na każde twoje pytanie i nawet cię nie zadzgałem. Jeśli to mało, to pewnie, chętnie pomogę ci jeszcze raz.

– Wymuszam uśmiech i dokańczam: – Może tym razem wykopać dołek, w którym spocznie na wieki?

– Dobra, dzięki. – Ugo zaciska kciuki. – Wszystkie wątpliwości wyparowały. Nie mam już żadnych. Potrafisz zmotywować jak mało kto – mówi szybko. – Zaraz się tobą zajmę, Boah. – Zerka na niego, bo



niecierpliwie stuka podszwą w posadzkę. – Tylko schowam Edoarda. Odkryłem, że biedaczek zachłysnął się własną krwią. Nadałem mu imię, bo go szanuję – nawija. – Opowiedzieć o wynikach badań toksykologicznych?

Wychodzę z Luigim, co zdaje się jednoznaczną odpowiedzią. Ugo, podobnie jak Tafari i Luigi, nie jest Wyznawcą, lecz Wybrańcem. Kiedyś był małym smrodem, którego niejednokrotnie miałem ochotę podstawić kostusze pod kosę. Dziś jest jednym z nielicznych, przy których ogarniająca mnie chęć mordu przegrywa z potrzebą chronienia. Za wszelką cenę. Nawet za stawkę własnego życia.

Moje akurat jest nic niewarte, ale wiadomo, w czym rzecz.

Wybrańcy są moją rodziną. Wyznawcy pracownikami. Jedni i drudzy ważni na swój, zupełnie inny sposób.

– Za godzinę przybywają te twoje ziomki z organizacji – odzywa się Luigi. – Co w związku z tym odczuwasz? – Przygląda mi się wnikliwie.

– A jakie emocje są do wyboru?

– Jezu – sapie. – Niepokój, radość, przygnębienie, złość – wymienia, wchodząc po schodach.

– Wybieram obojętność. – Klepię go w bark. Potyka się jak ostatnia łamaga. – Skontaktuj się z Podziemiem. Jutro będziemy mieć dla nich sporo organów. A, i zaprosz do stołu Mauricia Bommarita. Serafino ucieszy się na widok ojca.

Luigi uważa chyba, że to zadanie go przerasta, bo obdarza mnie zatrwożonym spojrzeniem. Nie rozumiem. Co go tak przeraża? Stary Bommarito na pewno mu nie odmówi. Odkąd nie żyje, jest bardzo ugodowy.

– Wciąż nie jestem przekonany, czy zorganizowanie tego spotkania w domu było dobrym pomysłem. – Dzieli się ze mną swoimi wątpliwościami.

– W sytuacji, w której niektórzy postanowili zaprosić się sami, to spośród złych, najlepsze posunięcie. Są już pod naszym dachem, depczą naszą ziemię i to właśnie w nią wsiąknie ich krew.

– Dobra, ale dlaczego nie chcesz tego załatwić po cichu? Po co na oczach wszystkich rodzin?

– Trzeba im pokazać, że nie warto nas odwiedzać. – Patrę na niego znacząco.

– Wyczuwam kłopoty. Nie możesz tego załatwić w innym stylu?

– Wolę w swoim.

– Ale...

– Już postanowiłem, Luigi. – Nie daję mu dokończyć. – Zwołaj ludzi.  
Spotkamy się w jadalni.

# ROZDZIAŁ 7

## *Spirito*

Kieruję się na zajmowane przeze mnie piętro, po drodze zamykam bariery zabezpieczające schody. Wciąż zastanawiam się, gdzie ulokować Zitę. Jeszcze nie zdecydowałem. Najchętniej w lochu, żeby mi nie uciekła. Żart. Po części.

Otwieram drzwi pokoju. Mój pies od razu podrywa się z legowiska i niespiesznie podchodzi do moich nóg. Jest starym, jednookim, nieszczególnie pachnącym kundlem. Ma chude, trzęsące się nóżki i z ekscytacji często robi pod siebie. Znoszę go. Jakoś. Nigdy nie nadałem mu imienia, sądząc, że do czegoś nienazwanego trudniej się przywiązać. Oczywiście miałem rację. To był, kurwa, świetny pomysł. Z takich właśnie słynę.

Wyjmuję z szafy jeden z wielu białych garniturów. Eleganckie, aczkolwiek jednorazowe wdzianko wkładane z szacunku do śmierci zawsze, gdy mam pewność, że wkrótce ktoś straci życie. Powiniennem zmniejszyć tempo, dozować sobie przyjemności, bo jak tak dalej pójdzie, niebawem moim jedynym życiowym celem będzie wstanie z łóżka. Tego obawiam się najbardziej. Wiem, że gdy zamknę oczy ostatniemu z Bommaritów, odczuję pustkę, zakończę pewien rozdział. Jednocześnie już teraz utarczki z nimi nie są źródłem satysfakcji, jakiej bym oczekiwał, bo niefortunnie Serafino wyrósł na nieumiejącego ogarnąć siebie i swoich ludzi imbecyla. A co najgorsze, nie okaże się nagle, że to zmyślna kreacja, maska, aktorstwo. On naprawdę jest głąbem. Nad tym właśnie ubolewam. Nie ukrywa w rękawie żadnych asów, nie ma planu. Jedyne, co posiada, to obrane ze strachu gacie. Dlatego o ile w przeszłości członkowie tej rodziny jawili mi się jako nieobliczalni, dążący po trupach do celu taktycy, dziś potyczki z nimi mi uwłaczają.

Ale, co ważne, nie na tyle, by odpuścić im winy.

Litość to słabość. Nawet okazana nieświadomie, przypadkiem, zawsze prędzej czy później się zemści. Serafino na pewno ma tego świadomość. Gdyby lata temu rozprawił się ze mną jak mężczyzna, być może coś by w życiu osiągnął, a tak, uda mu się tylko umrzeć. Jednak z tą moją

niesłownością nie jest tak źle. Obietnicę złożoną jemu również zamierzam dotrzymać. Chociaż to raczej formalność, ~~same~~ spełniająca się przepowiednia. Niepotrzebne skreślić.

Podchodzę do okna, gdy słyszę warkot silników. Brukowaną, prowadzącą na szczyt wzgórza, drogą ciągnie się sznur aut. Podwijam rękaw i sprawdzam, która godzina. Niektórych przerasta nawet sprawne oszacowanie czasu dojazdu. Wkrótce z samochodu wysiada nieznany mi człowiek. Dopiero gdy wyjmuje z bagażnika wózek inwalidzki, orientuję się, dla kogo pracuje, kto nie potrafi korzystać z zegarka. Alfredo La Mantide. Jako dzieciak widziałem go w przelocie ze dwa razy. Rzadko u nas bywał. Nie miał nic, czym mógłby zainteresować moją rodzinę. Karty, którymi gra – córki – nigdy nie miały dla mojego starego żadnej wartości, bo nie widział mnie w roli męża czy ojca. Urodziłem się, by zostać mordercą. Maszynką do zarabiania kasy. Spełniłem jego ambicje, w międzyczasie sprząając bałagan, jaki po sobie zostawił. Nigdy nie ogarnę go w pełni. Ten bajzel, przymykam powieki i masuję skronie, tkwi tutaj, w mojej głowie.

Mimo to jestem skłonny przyznać, że klanowi Bommarito niekiedy uda się zrobić coś dobrze. Chuj z tym, że nieumyślnie. Kiedyś tak o tym nie myślałem i zdecydowanie zbyt późno zrozumiałem, ale właśnie oni, te łajzy, pomogli mi pozbyć się największego śmiecia. Crispina Beneventano. Mojego ojca. Dobrze z nich szmaty.

Siadam na parapecie, oczekując kolejnych przybyszów. Nie zamierzam strzepić języka i witać każdego z osobna. Zresztą wolałbym, żeby don Alfredo zajarzył, gdzie widział mnie ostatnim razem, dopiero gdy już Serafino będzie na miejscu. Skojarzenie mojej twarzy z czynem będzie miało wtedy lepszy, a przede wszystkim zamierzony efekt.

Kolejne parkujące na podjeździe auta należą do klanu Selvaggio. To, kurwa, nic, że na spotkanie zaprosiłem jedynie głowy rodzin, a nacierają tak tłumnie, jakby nie wierzyli w Ducha. Ludzie małej wiary. Don Giorgio to człowiek z zasadami. Cała ich familia to chodząca reguła. I jak każda rodzina mają pod dywanem sporo trupów, które chcieliby ukryć. Swego czasu nieźle się zamotali. Obserwowałem ich krwawe harce, sącząc drinka na jednej z plaż wyspy Levanzo. Szanuję Giorgio jako człowieka, ojca i szefa. Ma jaja, mimo że jest rogaczem.

I jest ci on, mój ulubieniec, naznaczony śmiercią don Serafino. Krążą plotki, że skalpelem wyciąłem mu „S” na skroni. Bzdura. To nie był

skalpel, tylko kość strzałkowa mojego starego. Strzałką tą wyznaczyłem Serafinowi życiowy kierunek, wskazałem drogę prowadzącą wprost ku zagładzie. Nie zbacza z niej, ba, chętnie nią kroczy.

Rozgląda się dookoła, po czym podchodzi do królewskich rozmiarów zamkowej fontanny. Nie dostrzegam wyrazu twarzy, ale znając go, maluje się na niej mieszanka fascynacji i zazdrości, z naciskiem na to drugie. Z całą pewnością nie zdziwienie. Nie może w końcu wiedzieć, że koszty odrestaurowania źródła pokrył jego stary. Don Mauricio miał gest. Fundnął nam to i owo. Nawiasem mówiąc, wszyscy członkowie tej rodziny wykazują się niebywałą szczodrością. Żałuję jedynie, że nie było mi dane zaznać hojności Antonia. Doszły mnie słuchy, że odstrzelił go Efesto. Najwidoczniej nic się nie zmienił. Wciąż potrafi zjechać każdą zabawę.

Odchodzę od okna. Nie wypatruję Erosa, Mephista, kurwa, Diabła. To bezcelowe. On funkcjonuje zupełnie poza czasem. Zgarniam z komody skalpel i dwie małe szklane klepsydry piaskowe. Podarki na nową drogę życia, a raczej symbole wieszczące jej nieuchronnie zbliżający się kres.

W holu zgromadzili się Wyznawcy. Nie wejdą do jadalni do momentu zakończenia rozmów biznesowych. Zasada ograniczonego zaufania. Znam. Lubię. Stosuję.

Po przekroczeniu progu, mimo że cichną rozmowy, to nie na żywych skupiam uwagę. Zawsze bardziej interesowali mnie ci drudzy, martwi. Tym razem jest podobnie. Przyglądam się stojącemu dumnie przy stole, zredukowanemu do układu kostnego, ojcu Serafina. Jego ciało zostało oddzielone od kości, a te posłużyły do stworzenia szkieletu, którego nie powstydziliby się żadna porządna sala lekcyjna. Dla jasności, nie mam w planach przysłużenia się nauce. To moje wojenne trofeum. Nieco wybrakowane, bo na skutek postrzału pogruchotało don Mauriciowi czaszkę, ale nie ma tego złego. Spiłowałem ją bezpośrednio nad oczodołami, dzięki czemu powstała *łebska* miska, z której Serafino w tym momencie wyjada cukierki. Gęba sama się uśmiecha. Wzruszający, rodzinny obrazek. *Do szpiku prawdziwy.*

Tafari i Luigi stają po obu moich stronach. Spojrzenia wszystkich skierowane są na nas. Oceniające, wyczekujące. Wypadałoby powiedzieć coś mądrego. Zerkam sugestywnie na Boaha.

– Niezmiernie miło gościć was w naszych progach – kłamie jak z nut, po czym wraz z Luigim podchodzą do naszych gości.

Boah wystawia rękę w stronę Efesta. Ten, co oczywiste, ani myśli odwzajemniać gestu. Zasady bywają wygodne. Można nimi zatuszować brak dobrych manier. Kładę dłoń na ramieniu Tafarięgo.

– To mój przyjaciel. On też. – Wskazuję Luigięgo i pierwszy witam się z przybyłymi.

Dopiero słysząc to oświadczenie, które równie dobrze mogłoby brzmieć: „Biorę odpowiedzialność za to, co odpierdoła”, Efesto i pozostali łaskawie podają im łapy. Co nie zmienia faktu, że atmosfera jest nad wyraz napięta.

Siadam przy stole. Reszta, oprócz skonsternowanego Serafina, idzie za moim przykładem.

– Najpierw interesy, potem kolacja dla chętnych. – Luigi przedstawia plan wieczoru.

– Może w pierwszej kolejności gospodarz zdradzi, gdzie się podziewał? – Efesto nonszalancko rozsiada się na krześle i przekrzywia głowę.

– A ze mną dlaczego nikt z was się nie przywitał? – wtrąca Serafino. – Nawet ten czarnuch. – Patrzy z pretensją na Boaha.

Drzwi otwierają się z impetem, a do środka wparowuje nikt inny jak sam Diabeł. Przykłada palce do skroni, skinieniem wita się z zebranymi i wyjmuje z kieszeni trąbkę urodzinową. Trąbi. Żyła na skroni Efesta pulsuje, Alfredo przygląda mi się w milczeniu, więc pewnie wkrótce elementy układanki wskoczą na miejsce, Giorgio ma minę, jakby nie marzył o niczym tak bardzo, jak o tym, by w końcu abdykować, Serafino miele w ustach wykałaczkę i natrętnie wlepia we mnie wzrok, najpewniej nie dowierzając, że to naprawdę ja. Kwintesencja wszystkich jego lęków.

– Przybyłem! – wydziera się Eros. – Rzuciłem wszystko, z siebie zrzuciłem wszystkich i jestem. – Miesza w czaszce, losując cukierek. – W kurwę klimat. – Rozgląda się dookoła i podchodzi do zwisającego z antresoli wisielczego sznura. – Coraz bardziej mi się tu podoba.

– Skoro jesteśmy już w komplecie, porozmawiajmy o interesach – zarządza don Giorgio.

– O czym? – Diabeł się krztusi. Charczy, jakby miał wypluć płuca. – Myślałem, że to impreza powitalna – mówi z przekonaniem.

– Kolacja zapoznawcza – dodaje La Mantide. – Być może przyjmujemy Spirito do organizacji.

– Skoro dziwnym trafem żyje, o ile to on, bo jakiś niepodobny, to znaczy, że nigdy nie przestał do niej należeć – wymądrza się Serafino. – Wisi organizacji kasę. Trzeba zsumować składki, których nie uiścił. Jak można

się rozpląnąć na dwanaście, trzysta lat? – zastanawia się głośno. – Nie pojmuję tego.

– Nie płacił, ale i nie korzystał z dobrodziejstw przynależności. Kwestia jest więc sporna – oznajmia trzeźwo don Giorgio. – Za moment to rozstrzygniemy. Siadasz? – zwraca się do Erosa, na co ten, zrezygnowany, opuszcza ramiona.

– Ale się wkopałem – jęczy. – Gdybym wiedział, że będą takie nudy, przysłałbym Casimira. – Zamiast zająć pierwsze z brzegu wolne krzesło, chwytą je i zmierza z nim w moją stronę. Najgorzej. Jakby mało było w moim życiu natrętów. Kurwaaa. – Wcisnę się tutaj. – Wpycha się między mnie a wyrażającego swoje niezadowolenie Luigiego. Przywołuje swoich ludzi, którzy stają za jego plecami.

Ciasno. Gorąco. Chujowo.

– Ciasno i gorąco. Tak jak lubię – stwierdza Diabeł, po czym woła: – Cześć, Efesto!

– Cześć – odpowiada mu bardziej na odczepnego niż z faktycznej potrzeby.

– Dobrze, że jest ze swoim starym – szepcze mi do ucha. – Nie będzie się odzywał. Dar niebios. Te całe zasady – nawija, podczas gdy w ogóle mnie to nie obchodzi.

– Co u twojej żony, Mephisto? – pyta Serafino.

– Coś tam rzeźbi.

– W sensie kręci jakieś biznesy? – dopytuje Bommarito, ale najwidoczniej nie oczekuje odpowiedzi, bo kontynuuje: – Nie pytam, co u Etny – zerka na Selvaggiów – bo wiem. Pływa po morzu i zgrywa piratkę. Że też ludzie są zainteresowani takimi bzdurami – nie dowierza. – Będąc w Trapani, widziałem ją na jachcie. Dorobiła się – mamrocze. – Proponowała turystom wspólne poszukiwanie skarbów, miała przepaskę na oku i krzyczała: „Ahoj, kamraci!”. Odpowiada ci to, Giorgio? Wiesz, że twoja synowa nie stosuje się do waszych reguł?

Efesto czerwienieje na twarzy i zaciska pięści, ale jego ojciec unosi dłoń, więc bez względu na to, jakie miał zamiary, szlag je trafia.

– Nie spotkaliśmy się tu, by mówić o mojej córce – kwituje don Giorgio. – O nieobecnych się nie rozmawia. Przejdźmy do ustalenia szczegółów współpracy ze Spirito.

– Słyszałem, że masz dobry towar – zwraca się do mnie Serafino. – Co będziemy z tego mieć, jeśli zdecydujemy się brać go od ciebie?

– Dobry towar? – odpowiadam pytaniem.

– Aleś ty rozmowny. – Kręci głową i uśmiecha się lekko. – Chociaż, gdy widzieliśmy się ostatnim razem, też za wiele nie mówiłeś, ledwie stałeś na nogach.

– Mimo to wyciął ci „S” na skroni. – Diabeł się śmieje.

Serafino posyła mu wkurwione spojrzenie.

– Bo to jakaś zawzięta menda – syczy. – Bez obrazy – dodaje asekuracyjnie, zerkając w moją stronę. – Nigdy nie zapomnę, jak wyglądałeś. Niby żywy, ale jakby martwy. Pusty wzrok. Szkliste oczy. – Mruży swoje i się we mnie wpatruje. – Do teraz ci to zostało. Nie pojmuję, jak można przeżyć tyle dni w bunkrze, będąc obłożonym trupami. Masz jakiś pakt ze śmiercią czy podgryzałeś swojego starego?

Cisza.

Opanowanie. Samokontrola. Serafino nie należy do mnie.

– Macie przed sobą kartki – mówię. – Napiszcie na nich zapotrzebowanie. Cenę ustalimy indywidualnie, w zależności od wielkości zamówienia. Tylko wyznaczony przeze mnie człowiek będzie znał miejsce odbioru. Wy poznacie je w ostatniej chwili. – Wykonuję cudzysłów w powietrzu. – Nic magicznie nie wyparuje, a jeśli tak, biorę za to odpowiedzialność.

– Ten typ, który upozorował twój zgon, pracował dla was, mimo że przebywał w moim domu? – Serafino draży temat, zamiast stulić pysk.

– Sam wyciągnij wnioski.

– Czyli mieliśmy kreta w rodzinie? Żałuję, że nie spojrzałem na zwłoki, gdy przekonywał, że to ciebie odjebał. Taki błąd.

– Kret to powszechnie stosowana w szeregach *Mano d'onore* praktyka. W myśl zasady „spróbuję wyruchać kogoś, zanim on zerznie mnie” – stwierdzam fakt. Niewygodny, bo niemal każdy się oburza.

– Słaba zagrywka – oznajmia Serafino. – A propos ruchania. Pamiętasz córkę tej kucharki, która dla was pracowała? Zitę?

– Nie – rzucam stanowczo.

– Próbowałem ją znaleźć, w myśl innej zasady, skoro je tak przytaczamy, brzmiącej: „Najlepszy świadek to ten martwy”. Szukaliśmy jej kilka miesięcy. W końcu Antonio znalazł ją w przytułku. Podobno była tak zawszawiona, że aż miała strupy na głowie. – Wzdryga się. – Dał mi adres. Pojechałem tam następnego dnia, uzbrojony w worek, żeby od razu zarzucić na jej brudny łeb i mocno – mruga sugestywnie – zacisnąć, ale



wiesz, co się okazało? Że wyparowała. Niby została adoptowana, lecz nie natrafiliśmy później na żaden ślad, więc liczę, że trafiła do obscurnego burdelu i zajechali małą dziewczkę na śmierć.

## ROZDZIAŁ 8

### *Spirito*

Najwidoczniej zabrano Zitę z przytułku w najlepszym z możliwych momentów, co nie oznacza, że wywinęła się z macek śmierci. Umrzeć można bowiem na wiele sposobów. W miejscówce, którą jej zorganizowałem, przez lata mordowali ją z sadystyczną przyjemnością, sprawiając, że utraciła to, co najcenniejsze. Siebie. Nie jestem żadnym Robin Hoodem ani rozdającym dary świętym. Co najwyżej ich ponurą karykaturą. Na prezenty, jakie ode mnie otrzymała, nie zasługują nawet najbardziej niegrzeczne dzieci.

Mogłoby się wydawać, że w tym przypadku Bommarito mają czyste ręce. Błąd. Uniewinnienia nie będzie. Za ich sprawą zostały wprawione w ruch trybiki maszyny, strącona pierwsza kostka domina, zapoczątkowany ciąg zdarzeń, których wielu nie doświadczyło nawet w koszmarach. Oni po prostu muszą zdechnąć.

– Uzbrojony w worek. – Diabeł rechocze. – Serafino, postrach biednych dziewczynek. – Patrzy na niego. – W kurwę mi to do ciebie pasuje. – Uderza głową w stół.

– Alma ma koleżankę Zitę. – Don Alfredo unosi rękę. – Ale to córka sędziego, a nie pomocy domowej.

Plecie bzdury. O niczym nie ma pojęcia. Nawet lepiej.

– To nie ona. Znam ich przecież – oburza się Serafino. – Mam wiele kontaktów – dodaje i zerka na mnie: – A więc tutaj mieszkasz. Nawet w tej sprawie nie odpuściłeś. Co jest z tobą nie tak? – Drapie się po brodzie. – Kiedy wygraliśmy z wami wojnę, ta posiadłość straciła dla nas urok. Tak naprawdę nigdy jej nie chcieliśmy. Cięży na niej klątwa. Jeśli się potkniesz, przekraczając próg zamku, nawiedzający go duch usidli cię na wieki. Zawsze będziesz już należeć do tego miejsca. – Omiata wzrokiem zebranych. – No co? Miejscowi tak mówią.

– Naginasz fakty, Serafino. Chcieliście, ale nigdy nie było was stać. Klątwa – parskam. – Wygodne wytłumaczenie. Jedną już przytulili. Druga nie zrobiłaby różnicy. Uwierz. Chcesz mnie dotknąć?

– Co? – pyta głucho.

– Powiedziałeś, że wygraliście wojnę, a tymczasem siedzą tutaj trzej Beneventano. Skoro nie wierzysz własnym oczom, pozwalam ci mnie dotknąć.

Serafino przetwarza moje słowa. Bez wątpienia nie podoba mu się ton, jakim się do niego zwracam. Całe jego jestestwo krzyczy, że kto jak kto, ale on nie potrzebuje pozwolenia! Skądś to znam. Najwidoczniej nie tylko mnie przerasta własne ego.

– Ty mi pozwalasz. – Śmieje się. – Jesteś jeszcze bardziej zjebany niż kiedyś. Chcemy kogoś takiego w organizacji? – zwraca się do ogółu. – Kto wie, co mu chodzi po głowie. Prawie się nie odzywa, a gdy już coś powie, to nawet nie ma się ochoty z nim rozmawiać.

– Ja i Alfredo już dobiliśmy targu z Tafari – mówi don Giorgio.

– Przyjął do rodziny czarnucha. – Serafino nie odpuszcza. – Wszyscy jesteśmy Sycylijszymi z krwi i kości, a ten – patrzy nienawistnie na Boaha – to jakiś napływowy odpad.

– W sprawie ceny będziemy się targować – szepcze Diabeł. – Przekażę Casimirowi, żeby... – Milknie, widząc, że Tafari bez słowa wychodzi z jadalni.

– Obraził się – oznajmia z rozbawieniem Serafino. – Ale sobie dobrałeś ekipę. Spuścił czarny łeb i wyszedł. – Wzrusza ramionami. – Irytuję cię, Spirito?

Nie jestem zirytowany, co najwyżej zdeorientowany. Towarzystwo Serafina jest takie interesujące, że wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że przespałem coś istotnego.

– W jakim sensie? – pytam.

– W każdym. Próbuje cię rozgryźć. Zapytałem, bo chcę wiedzieć, co się dzieje w twojej głowie. Siedzisz, jakbyś był zamrożony, a przecież zjechałem twojego kumpla jak burą sukę.

– I? – dociekam, po czym zerkam na Luigiego. On potrafi wyłapywać umykające mi bzdury, ale jest pochłonięty rozmową z Efestem.

– Nie masz ochoty stanąć w jego obronie? – dziwi się Serafino.

– Nie znoszę takich zagadek. – Przyciskam palce do powiek. – Dlaczego miałbym mieć? Przecież to Tafari. Bez obaw. Psychą mu nie siądzie.

– I nie zamierzasz mi przywalić ani nic? Obraziłem go!

– Nie jestem w tym dobry, Serafino. Możesz przestać mówić jakimś szyfrem? Którys raz powtarzasz, że go uraziłeś. Co mnie to, kurwa, obchodzi? – Odchylam się na krześle. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio

kogoś uderzyłem. Czy w ogóle kiedykolwiek. Nie robię takich rzeczy. – Wzbraniam się, unosząc ręce. – Luigi! – przywołuję go, a gdy podchodzi, mówię do Bommarita: – Z nim sobie porozmawiaj.

– Niby o czym mamy rozmawiać? – dopytuje się Luigi.

A skąd mam wiedzieć?! Nie tyle straciłem wątek, co nigdy tak naprawdę nie zaangażowałem się w tę rozmowę.

– Już nieważne. On – Serafino wskazuje na mnie – nie ogarnia najprostszyc akcji i reakcji. Rozumie, o czym jest mowa, tylko gdy temat dotyczy jego samego. – Kręci głową zrezygnowany.

– Serafino chciał go wyprowadzić z równowagi, ale mu nie wyszło – tłumaczy beznamiętnie Diabeł.

– A, to wiadomo – stwierdza Luigi tonem sugerującym oczywistość. – Spirito już taki jest, „przygaszony” – wykonuje cudzysłów w powietrzu – czy tam nieobecny. Taki urok Ducha.

– A tobie nie przeszkadza, że pojechałem po asfalcie? Tym całym Tafarim? – Serafino zwraca się do Luigiego.

– Dla mnie to słabe, ale masz na nazwisko Bommarito, więc zarazem niezaskakujące. Nam wychodzi to lepiej.

– Co? – pyta Serafino.

– Zaskakiwanie – odpowiada Luigi.

– Nie ma przede mną kartki, na której mógłbym złożyć zamówienie. To jedyne, czym mnie zaskoczyliście – oznajmia Serafino, uśmiechając się krzywo.

Luigi sięga do kieszeni i wyjmuję woreczek strunowy z gramem kokainy. RzUCA go Serafinowi, a ten posyła mu pytające spojrzenie.

– Twoje zamówienie jestem w stanie zrealizować od ręki – mówi Luigi i wybucha śmiechem. – Na więcej cię nie stać. Nie jesteś dla nas kompanem ani do rozmów, ani do interesów.

– A to niby dlaczego? Aż tak źle nie przęde – oburza się Serafino.

– Nie ma sensu wchodzić z tobą w biznesy, skoro z góry skazane są na porażkę.

– Nie rozumiem.

– Jedyne, co ci się w życiu uda, to umrzeć – przypominam mu. – Nie przeskoczmy tego.

– Nie słucham tych bzdur. – Na moment zakrywa uszy jak przedszkolak.

– Powinniśmy zakopać topór i działać wspólnie, ku wzajemnej satysfakcji,

a dawne spory puścić w niepamięć. Jestem już innym człowiekiem – przekonuje.

W momencie kiedy słowa opuszczają jego kłamliwe usta, do jadalni wchodzi Tafari i Wyznawcy. Między nimi dostrzegam zatrudnionego niedawno ogrodnika. W usta włożony ma szmaciany knebel.

– Najpierw wyplakałem mu się w rękaw, bo wiadomo, bardzo mi smutno – Boah uśmiecha się szeroko – a potem go zakneblowałem.

– Mogę też się w to pobawić? – pyta Diabeł najzupełniej poważnie.

– Co to ma znaczyć?! – wrzeszczy Efesto.

– Już tłumaczę – oznajmia Luigi. – Przedstawiając plan spotkania, nieopatrznie zapomniałem wspomnieć o spektaklu dla gości. W roli głównej wystąpi... – Chrząka. – Kto? – Patrzy wyczekująco na Serafino.

– A skąd mam wiedzieć? – oburza się Serafino. – Kim niby jest ten człowiek? – Zgrywa idiotę.

– Ogrodnikiem uprawiającym nie swoje pole – mówię wprost. – Dzień po tym, gdy wyjawilem wam mój adres, u mego progu stanął kreator zieleni, który wie o niej wyłącznie tyle, że jest zielona.

– Nie znam gościa. – Serafino idzie w zaparte.

Luigi rozkłada bezradnie ręce i mówi:

– Skoro tak, nici ze współpracy. Powiedziałeś, że się zmieniłeś, ale...

– Słowa niepokryte czynami są nic niewarte – przerywa mu Efesto.

Serafino ma minę, jakby intensywnie się nad czymś zastanawiał. Trybiki pracują. Mógłby sobie darować, przecież bez względu na to, jak pokieruje rozmową, efekt i tak jest przesądzony.

– Dobra – odzywa się w końcu. – Podesłałem tu kogoś. Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo. Spirito pojawił się tak nagle, skąd miałem wiedzieć z jakimi zamiarami? – Zerka na don Giorgia. – Ale spokojnie, niczego się nie dowiedziałem. – Unosi dłonie. – Co on robi?! – pyta spanikowany, widząc, że Tafari zarzuca pętlę na szyję „ogrodnika”, a nasi pracownicy stawiają go na krześle. – Przecież się przyznałem! Zapomnijmy o tym! To jeden z moich najlepszych ludzi!

Boah siada przy stole. Człowiek Bommarita zostaje okrążony przez trzymających się za ręce Wyznawców.

– Powiedz im, żeby się rozstąpili, bo nie widać za wiele – sugeruje Diabeł.

– Nie mam takiego zamiaru – oznajmiam rzeczowo, na co jęczy niczym niezadowolony dzieciak.

– Umawiając spotkanie, zastrzegłem, że ma ono przebiegać pokojowo – wtrąca się don Giorgio. – Gdy mowa o interesach, właśnie między rodzinami schodzą na drugi plan.

– Z całym szacunkiem, Giorgio, ale przeanalizuj najpierw sytuację, a potem zabieraj głos. Nie pouczaj mnie. Bardzo tego nie lubię. Nie ma tu miejsca na spór tej natury. Zabronisz mi karać moich ludzi? – pytam.

– To członek klanu Bommarito – rzuca sztywno w odpowiedzi.

– Nie. To mój, kurwa, ogrodnik. Wszyscy, których zatrudniam, są bardzo moi.

Efesto przybliżył się do ojca i mało dyskretnie szepcze mu do ucha.

– Twoja racja, Spirito – przyznaje Giorgio. – Serafino powinien ponieść konsekwencje. Jeśli uważasz za słuszne stracenie tego człowieka, zrób to. Niemniej jednak, jako że wszyscy jesteśmy połączeni organizacyjną więzią, niewłaściwe wydaje mi się wykluczanie Bommarita z biznesu. Musi stanąć na nogi. W przeciwnym razie jego obecność w szeregach *Mano d'onore* jest bezzasadna.

– No, ja uważam, że mimo wszystko moja obecność jest zasadna – oburza się Serafino, a Diabeł, no cóż, chichocze. – Ale wiadomo, chcę ten wasz towar. – Patrzy na Luigiego i potrząsa woreczkiem strunowym. – W większych ilościach – dodaje.

– Decyzja należy do Spirito – odpowiada Luigi.

– Przysięgam, że będę płacił terminowo. Nie chcę z tobą wojować. Nic do ciebie nie mam.

– Niech stracę. – Macham ręką. – Wejdę z tobą w biznes i nawet oszczędzę tego, pożał się boże, ogrodnika.

– Co? – mamrocze pod nosem Diabeł.

– Dzięki! Nigdy ci tego nie zapomnę – emocjonuje się Serafino.

Na usta cisną mi się dokładnie te same słowa, ale wolę nie dawać mu powodów do niepokoju. To mogłoby być dla niego zbyt wiele jak na jeden dzień. Swoją drogą... bardzo smutny dzień. Jeden z tych, których nigdy się nie zapomina.

– Dobijemy targu, uściśniemy sobie dłonie na znak latami wyczekiwanego pokoju – informuję, a on żarliwie potakuje. – Musisz mnie jedynie zapewnić, że pod moim dachem nie ma już żadnej osoby, której nie powinno tu być. Jeśli jest, przyznaj szczerze. Nie wyciągnę konsekwencji.

– Co? – nie dowierza Efesto.

– Przysięgam – Serafino kładzie rękę na piersi – że przysłałem tu jedynie ogrodnika.

Ustawiam na stole miniaturowe klepsydry. Szybko przesypany się w nich piasek jest jak afisz zawiadamiający o nieuchronnie zbliżającej się śmierci. Czas płynie. Jest nieubłagany. Ostatnie ziarenka opadają na dno szklanej bańki.

Nadchodzi.

Czuję jej słodki zapach.

*Też tęskniłem.*

– Lód z serca, Serafino. – Powtarzam po nim gest. – W końcu, jak zdążyłeś, słusznie zresztą, zauważyć, nieszczególnie zwracam uwagę na to, co dzieje się dookoła. Jeśli nie postawisz kogoś bezpośrednio przed moim nosem, umknie. – Wzruszam ramionami. – Umowa. – Wystawiam dłoń, którą ściska. – Obyś nie kłamał, bo wówczas – patrzę mu prosto w oczy – trup pościele się gęsto.

– I to mi się podoba – oznajmia z dumą don Giorgio. – Postępujcie jak dorośli. Kiedy byliście dziećmi, modliłem się, żeby nie dożyć dnia, w którym to wy, młode pokolenie, przejmiecie rządy nad organizacją.

Efesto się krzywi, bo przecież jego stary do tej pory nie przekazał mu stołka.

– Teraz się cieszę, że mogę być świadkiem mądrze podejmowanych decyzji. Wypijmy za to, panowie. – Wstaje, więc robimy to samo. – *Mano d'onore!* – krzyczy, unosząc kieliszek.

– *Mano d'onore!* – Niektórzy nie żałują płuc. Ja natomiast ruszam jedynie ustami.

Ponownie zajmujemy miejsca. Diabeł w skupieniu układa piramidkę z zapalek i mamrocze pod nosem: „Nudy, nudy, nudy”. Efesto nie spuszcza ze mnie wzroku, a gdy w końcu to robi, przeciera twarz i zerka w stronę Wyznawców, kręcąc głową. Nie ogarnia albo wręcz przeciwnie, łączenie faktów wychodzi mu aż za dobrze.

Do jadalni wchodzi kucharka ze swoją świtą. Stawiają na stole patery z przekąskami i podchodzą do każdego z osobna, by ładować na talerze wybrane przez gości przysmaki. Harmider, zamieszanie, „tego więcej”, „tamtego mniej”, „pięknie pachnie”, „poproszę sos”, „a gdzie sztucce?”. Szczęśliwy ten, kto zdąży coś przełknąć, bo zaraz wszystkim odbierze apetyt. Stanie się tak, ponieważ wcześniej odebrało komuś rozum.

Kładę na udzie skalpel i widząc, kto za moment do mnie podejdzie, pytam:

– To co, Serafino, na raz czy z pożegnalną, aczkolwiek zbędną gadką?

Z jego twarzy schodzą kolory. Nim zdąży odpowiedzieć, łapię za kudły pochylając się nade mną kucharkę.

Jedno dość precyzyjnie wykonane, jak na zaistniałe warunki, cięcie.

Marzenia. Czasem te wielkie udaje mi się spełnić od ręki.

Diabeł zrywa się z miejsca. Chlusnęło aż miło.

– Duch z tobą – mówią chórem Wyznawcy, a kiedy się rozstępują, jeden z nich kopie nogę krzesła, na którym stoi człowiek Bommarita. Słysząc charakterystyczne chrupnięcie, będące skutkiem skręcenia karku.

– Zabierzcie ich – rozporządza Luigi, zwracając się do naszych ludzi.

Czas w tym przypadku jest szczególnie ważny. Zespół specjalistów zadba o zabezpieczenie narządów przed ich niedokrwiennym uszkodzeniem. Otoczy dawców troskliwą opieką, by organy trafiły w jak najlepszej kondycji do oczekujących biorców. Bommarito pomagają innym po śmierci. Wyłącznie dlatego, że im samym nie jest w stanie pomóc już nikt.

Fizycznie nie przykładam ręki do tego proceduru. Mam jednak kontakty, z których czasem z wynaturzoną przyjemnością korzystam.

W zasadzie w ogóle nie pochylam się już nad sekcyjnym stołem. Leżę na nim, obserwuję, czekam aż duch, który opuścił moje ciało dawno temu w jednej z wyjątkowo podłych sali operacyjnych, postanowi znów we mnie wstąpić...

Na razie nic z tego. Błądzi.

Goście nie wykonują żadnego gestu. Jedynie Serafinowi lekko drży broda. Tyle jego, co sobie wypłacze. Oko za oko, ząb za ząb. Matka za matkę. Don Giorgio siedzi z zawieszonym w połowie drogi do ust widelcem. Dopiero po dłuższej chwili podchodzi i z niedowierzaniem wpatruje się w kobietę.

– Czy to, czy to... – powtarza zdziwiony. – Niemożliwe. Przecież to Gulia – wydusza. – Twoja matka żyje?! – wrzeszczy, patrząc na Serafina.

– Żyła – zauważa słusznie Efesto.

– Mauricio zapewniał, że pozbył się tej suki. Pozwoliliście jej odejść z organizacji bez konsekwencji? Przecież go zdradzała, znała wszystkie nasze sekrety. To wbrew wszelkim zasadom! – Giorgio łapie się na głowę. – Ukrywaliście ją? Mam ochotę wykopać twojego ojca i zabić go ponownie!



– To nie będzie konieczne. Stoi obok Serafina – rzucam od niechcienia, bo utraciłem już nadzieję.

Alfredo La Mantide i łamigłówki nie idą ze sobą w parze. W życiu, mimo że intensywnie mi się przypatruje, nie zajarzy, że to ja, a nie ludzie Diabła, odebrałem z jego rezydencji zwłoki don Mauricia. Pozbawiłem tę mierność życia, przechwyciłem, gołymi rękami wyrwałem mu serce, a resztę...

Resztę przehandlowałem.

Serafino patrzy na szkielet. Pociera ramiona, przygryza wargę. Milczy. Wszyscy, kurwa, milczą, a podobno to ja jestem tym najmniej rozmownym.

– To jakieś nie do wiary. – Diabeł ma ci ciszę, chichocząc szaleńczo.

– Czemu mi to zrobiłeś? – wydusza Serafino, wpatrując się we mnie zaszklonym, przepelnionym nienawiścią wzrokiem.

– Ale co? Dlaczego urządziłem ci prywatne Halloween? Może po to, żebyś uwierzył w Ducha?

Wmurowało go. Trudna sytuacja. Nie wypada ukazać słabości, choć pewne jest, że pomimo stania twardo na ziemi wewnętrznie uklęknął. Ostatnie spojrzenie, jeśli zdążyli je z matką wymienić, na zawsze zapadnie mu w pamięci. Bez względu na to, ile razy wcześniej patrzyli sobie w oczy, właśnie to jest tym naznaczającym na wieki. Poniosło mnie. Na miesiące. Dni. Do śmierci w sensie.

Postanawiam ułatwić mu życie i się ulotnić. Och, kurwa, najwidoczniej żarty trzymają się mnie równie mocno, co śmierć. Oczywiście, że o żadnych ułatwieniach nie ma mowy. Wychodzę, bo po prostu mam na to ochotę.

– Pato-zjeb uda się teraz na zasłużony odpoczynek – informuję, podnosząc się z krzesła.

– Uprzedzając pytania, ewentualnie sugestie – odzywa się Luigi i unosi palec – wbrew pozorom w pokoju Spirito...

– Są kłamki – dokańcza Tafari. Wpatrują się w siebie z przesadną powagą, aż w końcu nie wytrzymują i wybuchają śmiechem.

– Pozwalam ci jeszcze pożyc, Serafino – mówię, przekraczając próg. – Pozwalam ci – dodaję ciszej.

# ROZDZIAŁ 9

## *Zita*

Szaleństwo. Istne, kurwa, szaleństwo. Takim oto spostrzeżeniem rozpoczynam kolejny, czwarty już dzień odsiadki. Silvia smaruje mi żebra maścią na stłuczenia. Martina, druga współosadzona, czeka w pogotowiu, dzierżąc w dłoniach bandaż, a Eva, ostatni z aniołków, bo, taaak, zdecydowanie trafiłam do więziennego raju, poszła po śniadanie. Z trudem hamuję rozbawienie, kiedy tak wokół mnie skaczą, ale nie byłabym sobą, gdybym nie krzyczała w myślach: *W to mi graj!*

Komedia pomyłek. Dziewczyny uważają mnie za szycę. Taką przez wielkie „Sz”. Silvia jest przekonana, że blizna na moim przedramieniu i zawieszka łańcucha są oznaką przynależności do organizacji trzymającej Syrakuzy za mordę. Nie zamierzam wyprowadzać jej z błędu. Mogę być ich Griseldą Blanco<sup>2</sup>, jeśli ma to oznaczać garść profitów bez zbędnego, mimo że byłam już na niego psychicznie przygotowana, wysiłku.

Uratować komuś skórę, uszkodzając ją. To dopiero ewenement. Ponownie, choć tym razem nieświadomie, Spirito ułatwił mi życie. Kto by pomyślał, że wycięta przed laty litera, dla mnie będąca symbolem wiecznego duchowego oddania, nierozzerwalnego paktu, będzie skutecznym straszakiem, zapowiedzią zemsty sekty, do której niby należę. Dobrze.

Z łańcuchem z kolei wiąże się pewna tajemnicza historia. Jedna z tych, jakich nie opowiada się w tak piękny, słoneczny dzień. Otworzenie furtki, za którą skrywa się związane z nią wspomnienie, jest niczym innym jak zaproszeniem mroku spowijającego największe dziecięce lęki. Lepiej nie spuszczać ich z uwięzi.

Łańcuch symbolizuje koniec. Zawsze gdy owijam go dookoła kostek, wiem, że nadchodzi kres. Strachu, smutku, beznadziei, życia.

Zakończenia mają to do siebie, że bywają dobre.

Bywają też złe.

Ten chłodny, często zimny jak lód kawałek metalu, paradoksalnie daje mi najwięcej ciepła. Cierpliwie ogrzewam go w dłoniach. Z czasem odwdzięcza się tym samym.

Zerkam w stronę wchodzącej do pokoju Ewy. Kiedy rozkłada bezradnie ręce, moją uwagę zwraca to, że niczego w nich nie trzyma.

– Niestety – zaczyna. – Naczelnik powiedział, że od dziś jesz w stołówce, ze wszystkimi. Już się wykurowałaś, a to nie Hilton czy coś w tym stylu. – Wzrusza ramionami. – Lepiej się pospieszcie, bo za czterdzieści minut – patrzy na zegarek – jadalnię zajmuje druga grupa. Czyli my. – Poklepuje Martinę po ramieniu.

Powoli wdrażam się w panujące tu zasady. Wiem już, że obowiązują różne pory posiłków dla osób poniżej i powyżej dwudziestego pierwszego roku życia. Osadzeni dbają o znajdujący się na tyłach instytutu ogród warzywny. To ich, a teraz i moje zadanie. Według psychologa, u którego byłam wczoraj, celem tego działania jest, będąca wynikiem zjednoczenia się z kojącą zmysły naturą, redukcja stresu.

Bardziej brutalne, ale bliższe prawdy przekazy nie wchodzą w rachubę. Nie, bo nawet najrzadsze gówno trzeba owijać w błyszczący papierek, żeby uniknąć krytycznych zdarzeń; prób samobójczych, naruszeń, buntów. Statystyki. O nie tu chodzi. To nic, że później, zaznając wolności, jeden z drugim nie wie, że: „Zbierzesz, co zasiejesz”, „Jak dbasz, tak masz”. „Praca popłaca”, ale... uważaj, bo ktoś może cię wyruchać, zrobić w jajo, wykorzystać.

Ciekawe, czy opuszczającym mury zakładu wręczają ulotkę z haselkiem: „Gdy ci smutno, gdy ci źle, kiedy życie skopie cię – POMACAJ POMIDORA”.

Szczerze wątpię.

– Idziesz ze mną? – zwracam się do Silvii, wkładając bluzkę.

– Masz na myśli razem? Ty i ja? – Wbija palec w mostek i od razu dodaje: – Jasne. Chętnie. – Przez chwilę patrzy zdziwiona na koleżanki, a następnie lekko uderza się w czoło i wsadza rękę pod koszulkę. Z zapalem grzebie w staniku, aż w końcu wyjmuje z niego banknot, który mi wręcza. – Dwadzieścia euro za możliwość pokazania, że się z tobą trzymam. Styknie?

Ach, a więc o to chodzi. Zapominam, jaka ze mnie zacna persona.

– Trzydzieści pięć, bo, bo – staram się wymyślić naprędce przekonujący powód – bo dwadzieścia jest niepodzielne przez trzydzieści pięć. – Pstrykam palcami. Jezu.

Unosi brwi, krzywi się, ale jej dłoń z powrotem nurkuje w bieliźnie.

– Masz. – Wciska mi kasę, nieudolnie maskując warknięcie. – Początkowo, kiedy cię przywieźli, pomyślałam: „Laska ma niezły tupet.

Taki nikt, a miażdży osobowością”. Teraz, wiedząc, kim jesteś, już tak nie sądzę, bo wiem, że twoja pewność siebie nie ma nic wspólnego z hartem ducha. Jest po prostu wynikiem posiadanych kontaktów.

– Prawda. Cała ja – przyznaję bez zawahania. – Mały duch, ale „plecy” wielkie. – Mrugam do niej sugestywnie i wychodzę na korytarz.

Silvia wybiega za mną, wczepia się w moje ramię, bo przecież jesteśmy najlepszymi kumpelkami, rozgląda dookoła i prowadzi mnie w stronę schodów, przy których stoi funkcjonariusz służby więziennej.

– A wy dokąd? – pyta, kiedy się z nim zrównujemy.

– Na śniadanie – odpowiada Silvia.

– Na śniadanie – powtarza po niej. – Trzeba było się tu zjawić pięć minut temu. Spóźnienie na zbiórkę oznacza, że... – pochyła się nad jej uchem i dodaje ciszej: – nie żrecie dziś śniadania.

Wytrzeszczam oczy w niedowierzaniu.

– Byle do obiadu – stwierdza lekkim tonem Silvia i wzrusza ramionami gotowa odpuścić, zrobić w tył zwrot.

– Jeśli nie zdążymy zjeść teraz, dołączymy do młodszej grupy. – Opieram się o poręcz. – Usiądź na schodkach, poczekamy – zwracam się do niej, ale się waha, patrząc niepewnie na strażnika. – Nie gap się na niego. To bez znaczenia, co on sądzi.

Facet czerwienieje na twarzy.

– Radzę udać się z powrotem do pokoju – cedzi słowa. – Zarobicie punkty ujemne i po co wam to? Jeszcze jeden, a wizja rychłego widzenia z rodziną stanie się bardzo rozmyta, Silvio. – Uśmiecha się sztucznie, na co ona oznajmia stanowczo:

– Wracam.

Mimo to nie rusza się z miejsca.

– A ja czekam. – Zakładam ręce na piersiach. – Złamałyśmy zasadę jakiegoś tam wewnętrznego regulaminu placówki...

– W rzeczy samej – przerywa mi strażnik. – W końcu zrozumiałaś.

– Ale czymże jest kilka groźących nam za to punktów karnych w porównaniu do konsekwencji, jakie poniesie zakład za naruszenie maksymalnego obłożenia celi przewidzianego w artykule 16 dekretu z mocą ustawy numer...

– Zaprowadź je na to pieprzone śniadanie.

Podskakuję zaskoczona, słysząc przepelnione rezygnacją warknięcie wchodzącego po schodach Luigiego. Zasłania głośnik telefonu i macha

ręką, przepędzając nas z piętra.

Funkcjonariusz odwraca się bez słowa, więc ruszamy za nim. Wyczuwam wlepione we mnie natrętne spojrzenie Silvii. Przechyliłam głowę.

– Dałaś się nabrać? – pyta od razu. – Myślałaś, że na serio chciałam wrócić do pokoju? Rzadko wykonuję polecenia. W efekcie nawet się nie ruszyłam. Zgrywałam się tylko.

– Uważaj, bo uwierzę. Nie potrafiłaś na szybko przekalkulować, co opłaca się bardziej, dlatego stałaś jak wryta. Uratowałam ci skórę, przytaczając ten przepis. Gdyby nie ja, zarobiłabyś punkty, bo w pewnym momencie bardziej niż na spotkaniu z rodziną zaczęło zależeć ci na tym, żeby nie stracić w moich oczach.

– Jesteś taka dziwna, że nawet nie rozumiem, o czym do mnie mówisz.

– Prawdziwą siłą jest działanie w zgodzie z sobą. Widziałam wymalowany na twojej twarzy zawód, gdy gliniarz powiedział, że wkrótce możliwość widzenia stanie się nierealna. Nie wróciłaś do pokoju, bo nie chciałaś ukazać przede mną słabości. Ty to dopiero jesteś dziwna – kwituję, przekraczając próg stołówki.

– Wciąż nie czaję, ale najważniejsze, że wszystko skończyło się dobrze – rzuca bez troski.

Mam zgoła odmienne zdanie. Planowałam wyciągnąć asa z rękawa w innym momencie, wykorzystać rozporządzenie o przeludnieniu, żeby ugrać coś DLA SIEBIE, a nie po to, by ratować tyłek lasce, która nazwała mnie lesbą. Dlaczego tak postąpiłam? Co mnie obchodzą jej rodzinne spotkania?! Najchętniej sama bym sobą potrząsnęła, skoro nie ma innych chętnych, gotowych, by mnie wyręczyć.

Podchodzimy do punktu wydawania posiłków. Sięgam po tacę i staję w kolejce za Silią. Odwraca się i pyta zdziwiona:

– Co robisz? Wy odbieracie boxy w tym okienku. – Wskazuje palcem.

– Wy, czyli kto?

– Wyznawcy. – Przewraca oczami. – I siedzicie przy tamtym okrągłym stole.

Patrzę we wskazanym kierunku. Dostrzegam spotkanych w dniu przyjazdu mężczyzn, którzy, teraz nie jestem już tego tak bardzo pewna, złapali się za ręce.

– Mam siedzieć z facetami? To dozwolone?

– Gangi trzymają się razem. – Wzrusza ramionami. – Czy to nie oczywiste?

Już po mnie. Mam wrażenie, że za moment sufit zawali mi się na głowę. Będzie tak, bo po pierwsze i zarazem najważniejsze, nie należę do żadnej organizacji, a po drugie, wyjdzie to na jaw szybciej, niż przypuszczałam. Szczerze mówiąc, liczyłam, że nigdy to nie nastąpi. Nie sądziłam, że „plecy”, na które nieumyślnie, ale jednak wskoczyłam, znajdują się w tym budynku.

– Niezbyt odczuwam głód. I trochę bolą mnie żebra – ściemniam. – Wrócę do pokoju. – Uśmiecham się tak szeroko, że niemal dostaję skurczu policzków.

– Na jadalnię przychodzi się i wychodzi ze wszystkimi – informuje rzeczowo Silvia. – Chyba że masz w zanadrzu jeszcze jakieś zagrywki. Zresztą już nieważne, za późno – mówi szybko. – Idzie naczelnik. Bierz żarcie i tyle. Najwyżej zjem za ciebie. Nawet nie będziesz musiała we mnie wmuszać. Do potem. – Popycha mnie w stronę okienka.

Gość wydający posiłek patrzy prosto w moje oczy. Chciałabym powiedzieć wyczekująco lub w sposób sugerujący, że nie mógł się mnie doczekać, ale nic z tych rzeczy. Wygląda po prostu na znudzonego. Przybieram, mam nadzieję, identyczny albo chociaż podobny wyraz twarzy i podwijam rękaw bluzki. Raz się żyje. Podchodzę bliżej i luzacko podpieram się przedramieniem o blat, dbając, by „S” było bardzo widoczne. Unosi brwi. Robię to samo.

– Mam ładniejszy i się nie chwale. – Ustawia rękę równolegle do mojej.

Faktycznie jego „S” jest bardziej dopracowane, ładnie zaokrąglone w odpowiednich miejscach, mniej rozdygotane. Szczęściarz. W przeciwieństwie do mnie trafił pod nóż kogoś ogarniającego samego siebie. Osoby, której dłonie współpracują z mózgiem. Nie dorwał go machający skalpelem jak Zorro szabelką Spirito.

– Zapewne wiesz, kim jestem – rzucam hardo, mimo wywołanej stresem przed zdemaskowaniem suchości w ustach.

– Oczywiście – odpowiada. – Pierwszą wśród równych. Smacznego. – Wręcza mi tacę, na której znajduje się pudełko z jedzeniem.

– Yhm, tak, wiadomo – motam się – to właśnie ja. – Cokolwiek oznacza to stwierdzenie. – Dzięki – sapię i okręcam się na pięcie.

Zmierzam do stolika. Milkną rozmowy, wszystko zamiera. Nie słysząc brzdęku sztućców, odgłosu odstawiania kubków. Tak jakby poza mną i

moim głośnym towarzyszem – dudniącym w uszach pulsem – nikogo tu nie było.

Jeszcze tylko kilka kroków. Lada moment zostaną wprowadzone w ruch trybiki maszyny zwanej „spektakularną porażką”. Na tym etapie taktyczne wycofanie się nie wchodzi w grę. Nie, kiedy czuję się popychana przez spojrzenia, niewidzialną rękę, przyciągana magnetyczną siłą, która emanuje od Wyznawców. I chociaż wiem, że obrany kierunek jest niewłaściwy, idę, nogi same mnie niosą, bo... – rety, zaraz wyzionę ducha – bo przesuwiają się, by zrobić mi miejsce.

Kładę tackę na stole. A wtedy, zupełnie jakby czynność ta była impulsem elektrycznym przywracającym życie, każdy wraca do swoich spraw.

No, może nie do końca, bo siedzący przy kontuarze pracowniczym Luigi chyba jednak zaraz kipnie. Rozpina guzik do tej pory zapiętej pod szyją koszuli i nerwowo przeszukuje kieszeń. Wyjmuje telefon i stuka w wyświetlacz. Możliwe, że uznałabym rozbrzmiewający przy naszym stole sygnał nadchodzącej wiadomości za przypadek, ale odkąd zmaterializował się przede mną Spirito, średnio w nie wierzę.

Siadam, niechęć szturchając znajdujących się po obu moich stronach facetów. Tak jak sądziłam, jeden z nich wyciąga komórkę.

– To chyba wbrew przepisom – stwierdzam, otwierając opakowanie z jedzeniem.

– Chyba wbrew – odpowiada i chowa urządzenie.

Oglądam się za siebie, żeby sprawdzić, czy na wszystkich stołach znajduje się dzbanek z pachnącym orzechami cappuccino. Nie spotkałam się z tym wcześniej. W Turynie i w Katanii zawsze serwowano nam mocną kawę o smaku... gleby. Zawartość odebranego przeze mnie boxu różni się od tych wydawanych w okienku ogólnym.

– Widzę, że wasze menu jest zróżnicowane. – Wykładam na tackę znajdujące się w pudełku cornetto z kremem pistacjowym, sucharki i bułkę z dżemem. – Mmm, ale dobre – mówię z pełnymi ustami. – A to co? Słone kanapki? – Wskazuję talerz siedzącego naprzeciwko chłopaka. – Mogę jedną? – Sięgam po nią. – Albo dwie. Na zapas – dodaję szybko.

Nie zrażam się tym, że nawijam do siebie. Nie są szczególnie rozmowni. I całe szczęście, do cholery! Siedzą w kompletnej ciszy, posyłają sobie ukradkowe spojrzenia, chrząkają wymownie, ale milczą. I to jest, kurwa, piękne.

Dwanaście milczących, jak to zwykle bywa do czasu, ust.

– Chcesz galaretkę? – pyta jeden z nich.

Wzruszam ramionami.

– Mogę chcieć. Zjem. – Raj. Kraina żarciem płynąca. – A ty życzysz sobie czegoś z mojego talerza?

– Może być ta buł...

– Sucharki? Dobra, proszę bardzo – przerywam mu, bo na bułkę to akurat ja mam ochotę, i podsuwam je w jego stronę.

Wszyscy wybuchają śmiechem, by po chwili ponownie zamilknąć.

– Dlaczego nie jecie?

– W momencie kiedy zasiedliśmy do posiłku i mieliśmy rozpocząć, pojawiłaś się ty.

– Rozumiem. – Za nic nie kumam, jak na bieg zdarzeń wpłynęła moja obecność. – Dzięki, że mogę z wami posiedzieć i nie robicie z tego dramy – mówię z ulgą, bo po ich zachowawczym podejściu do mojej osoby wnoszę, że mnie przejrzeni. Nie jestem jedną z nich. – Zjem i spadam. – Nie dodaję, że później, dziś, jutro, pojutrze, też mam zamiar z nimi usiąść. I przez kolejnych dziewięć miesięcy także. Chryste. – Nie krępujcie się. – Kręcę ponaglająco palcem.

Żałuję tego gestu w momencie wykonania.

Zamykają mnie w utworzonym ze złączonych rąk kółku. Jeśli miałam wątpliwości co do tego, czy gdy widziałam ich ostatnio, utworzyli ludzki łańcuch, teraz już ich nie mam. Mentalnie szykuję się na wysłuchanie dziękczynnej modlitwy. Logiczne. To przecież Wyznawcy.

– Czy też mam wam podać ręce? – pytam, bo przebywanie w tego rodzaju kręgu nie napawa komfortem. Z dwojga złego wolę wziąć udział w *mamrotaniu* i podziękować za zaserwowane mi dzisiejszego ranka niebo w gębie.

– Ty nie jesteś nasza – mówią jednocześnie.

Zanim rozważę, co to oświadczenie dla mnie oznacza, zamykają oczy i wygłaszają z powagą:

– Jesteśmy z nim, choć jest on Śmiercią. Razem stanowimy jedność. My i on. My i on. Złączeni z Duchem na wieczność.

Włosy na moich przedramionach stają dęba. Poziom niezręczności sięga zenitu. Z braku laku rzucam krótko:

– No i fajnie. Smacznego. – Biorę łyk kawy. – W co wierzycie, jeśli można spytać?

– W Ducha.



– Świętego?

Krztuszą się śmiechem.

– Tak. Przenajświętszego – odpowiada z nutą ironii siedzący naprzeciwko chłopak. Unosi zawieszony na szyi, cienki, złoty łańcuszek i całuje medalik w kształcie litery „S”. Puszczą do mnie oczko.

A więc w to się bawimy. W niedopowiedzenia. „Wiem, ale nie powiem. Mam coś na myśli, ale nie łudź się, że cokolwiek ci zdradzę”.

– Co oznacza ta literka? – Celowo zdrabniam ostatnie słowo. Gdybym miała długie włosy z pewnością, w tej chwili, nawijałabym pukiel na palec. Zgrywanie słodkiej idiotki. To jeden z dwóch sposobów na zdobycie informacji. Siłowy, po bliskim spotkaniu z łokciem i tytanową czachą Tafarięgo, tymczasowo odpuszczam.

Podchodzi do nas Luigi. Nie ma co, typowe dla nadgorliwych służbistów wyczucie czasu. Obejmuje ramiona jednego z Wyznawców i oznajmia:

– S jak stoicki spokój, Zito. – Uśmiecha się pod nosem, przytaczając słowa, które wypowiedziałam kilka dni temu. – Zajmij się jedzeniem. Nie próbuj swoich sztuczek. Po prostu jedz. – Zerka na zegarek i opuszcza stołówkę.

Korzystając z okazji, bo lepsza może się nie nadarzyć, postanawiam wyciągnąć cięższe działo. Pamiętam przecież, na dźwięk czyjego imienia, złapali się ostatnio za ręce.

– Spirito – rzucam krótko. Cisza. – Spirito – powtarzam, a gdy nie reagują, jak oczekiwałam, pytam zniecierpliwiona: – Nie zamierzacie utworzyć łańcucha?

Na ich twarzach maluje się dezorientacja.

– A co to, jakieś magiczne zaklęcie? – Śmieją się.

– Pięć minut! – krzyczy strażnik, więc pakuję do pudełka wszystko, czego nie zdążę skonsumować. – Będziesz to jeszcze jadł? – pytam pierwszego z brzegu gościa. – A wam coś zostanie?

– Opanuj się. – Siedzący z lewej chłopak ujmuje moją dłoń. – Nie wynosimy jedzenia. Za kilka godzin będzie obiad. Na zapas i tak się nie najesz.

Co on tam wie. Cztery minuty.

– Powiedzcie mi szybko – mówię, zgarniając z ich talerzy mini bułki – skąd wiedzieliście, że nie należę do was?

Wzdychają głośno, a następnie, jakby byli jednym ciałem, podciągają rękawy.

– Co widzisz?

– Literę. – Przewracam oczami. – Również taką mam.

– Tak. Na lewym przedramieniu. Po stronie serca. To nas różni.

– Ach, no tak. – Nie potrafię zamaskować zawodu. Cały mój misterny plan szlag trafił, bo ten narwaniec, Spirito, naciął nieodpowiednią rękę. Ale kanał.

– Reasumując... – zaczyna jeden z nich, podczas gdy podsumowania są zbędne. Zrozumiałam przekaz już za pierwszym razem.

– Tak, tak, wiem – wchodzę mu w słowo i, ku ogólnemu zdziwieniu, ładuję pudełko pod bluzkę.

– Belgamonte, rusz dupę! – wrzeszczy strażnik.

Macham w geście pożegnania, a raczej przekazania niemego „do zobaczenia wkrótce”, bo przecież nie zamierzam, nie mogę odpuścić. Odwracam się, lecz nie wykonuję kroku. Na moim ramieniu zaciska się czyjaś dłoń.

– Reasumując, zdecydowanie nie należysz do Wyznawców. – Słyszę tuż przy uchu. – To Wyznawcy należą do ciebie.

---

<sup>2</sup>Griselda Blanco – znana jako La Madrina, Dama Mafii, kolumbijska królowa narkotyków.

# ROZDZIAŁ 10

## *Zita*

Zanim zdążę się obejrzeć, dopytać, co dokładnie przez to rozumie, wyrasta przede mną strażnik. Chwyta mnie za nadgarstek i ciągnie w stronę wyjścia. Przy drzwiach czekają dziewczyny z mojego piętra. Mężczyźni z kolei wyprowadzani są przez drugiego funkcjonariusza.

Kiedy przechodzimy obok kosza, strażnik przystaje przy nim i patrzy na mnie wyczekująco.

– Zauważyłem, że masz problem z dostosowaniem się do obowiązujących reguł – zauważa słusznie.

– I? – pytam.

– Nie pozwolę wam odejść – zwraca się do oczekującej na odprowadzenie grupy – dopóki panna Belgamonte nie pozbędzie się tego, co ukrywa pod koszulką.

Wszystkie jęczą niezadowolone. Niewyszukany, aczkolwiek przynoszący upragniony skutek, sposób na nastawienie współosadzonych przeciwko mnie. Kręcę głową z niedowierzaniem i wyciągam pudełko z zamiarem odniesienia go do kuchni, skoro to taki wielki, kurwa, problem. Nie ma sensu się szarpać z powodu błahostki. Dam mu wygrać. Niech sobie podbuduje nadszarpnięte wcześniej ego. Z tym że on ma inne plany. Sztywnym paluchem i z zaciętym wyrazem twarzy wskazuje na kubeł ze śmieciami. Parskam pod nosem.

– Nie wyrzucę jedzenia, jeśli o to ci chodzi.

– O to panu chodzi – poprawia mnie. – W takim razie sobie postoić – mówi do ogółu. Odpowiedzią są przeciągłe westchnienia. – Wywalaj – syczy i z całej siły ściska moją rękę.

– Nie. To wbrew moim zasadom – stwierdzam kategorycznie. – A skoro spędzimy tu dłuższy czas, to opowiem wam bajkę o magicznym kwiatku.

– Wywal żarcie, bo przez ciebie – kładzie nacisk na ostatnie słowo – młodszą grupę ominie śniadanie.

Ignoruję go.

– Dawno, dawno temu...

– Wasza grupa też nie będzie już dziś żreć, jeśli ona...

– W pewnym pochmurnym mieście, którego nazwy nie pamiętam, tuż przy ruchliwej ulicy, w oparach spalin, rósł kwiat. Miał krzywą łodygę, bo przetoczyło się nad nim wiele burz, mimo to trwał w nadziei, że wkrótce wszędzie słońce – nawijam szybko, bo funkcjonariusz mną potrząsa. – W końcu dostrzegł go ktoś, kto się nad nim pochylił, zlitował i przesadził do swojego ogródka. Dbał o niego, podlewał, otoczył białym płótkiem, podziwiał, nieustannie doglądał, z zapalem dokumentował, jak wzrasta. Kwiatek był już tym, kurwa, zmęczony, ale przypomniał sobie, jak to było być niczym zielskiem, i mimo tych niedogodności, przesadnego zainteresowania, oporów, rozkwitał. Do czasu, aż...

– Postanowione. Przez nią macie głodówkę. Zamknij wreszcie ryj! – wrzeszczy funkcjonariusz, mocniej wbijając palce w moje ramię. Sięga po krótkofalówkę. – Problem w stołówce.

– Szybko, opowiadaj dalej – ponaglają dziewczyny.

– Do czasu, aż zaczął gnić. Od środka. Im brzydszy się stawał, tym bardziej paskudny robił się jego opiekun. W złości wyrwał mu ostatnie płatki, a łamiąc łodygę, powtarzał w kółko: „Brzydki kwiatek, niewdzięczny kwiatek”. Ten z kolei w agonii wyobrażał sobie, że zamienia się w bluszcz i oplata jego szyję jak boa. „Obyś zdechł, jak zdycham ja”, kwiat marzył skrycie.

– I co? I co? – dopytują chórem.

Wzruszam ramionami.

– A jak myślicie? Bajka nosi tytuł „Magiczny kwiatek”, więc chyba logiczne.

– Jakieś to pojebane. – Krzywi się Silvia.

– Nawet bardzo. – Śmieję się. – Ale z morałem.

– Niby jakim?

Przesłanie jest oczywiste. Przede wszystkim jednak zależało mi na tym, żeby wyłapał je strażnik, a ponieważ stoi jak osłupiały, uznaję, że osiągnęłam swój cel.

– Takim, że lepiej nie tykać kwiatka – patrzę na zbielejące, zaciśnięte na mojej ręce palce – bo nigdy nie wiadomo, o czym zamarzy.

– Co to, kurwa, jakaś za-za-zawoalowana groźba?! – Strażnik jąka się w nerwach. – Masz coś z głową?

– A ty? Myślisz, że pokazałeś swoją wyższość, szarpiąc mnie i każąc wyrzucić świeże jedzenie? Kiedy opadną emocje, olśni cię, jak beznadziejnie się zachowałeś. – Wręczam mu pudełko niezgody, licząc, że

coś zrozumiał i go nie wyrzuci, ale to płonne nadzieje. Nie ma pojęcia, czym jest głód. Żarcie łąduje w koszu. – Albo i nie pojmiesz. Chuj wie – kwituję.

– Podziękujcie panie Belgamonte. Dzięki niej wszystkie jesteście na diecie. Wychodzić!

Dziewczyny szepczą między sobą, posyłają mi ukradkowe spojrzenia, aż w końcu jedna z nich się odzywa:

– Stara, sorry, że pytam, ale zasadziłaś nam niezłą rozkminę. Ta historia z kwiatkiem ma drugie dno?

– Nie. Dno jest jedno. – Wzdycham. – Jedno wielkie dno.

– Aha.

W korytarzu unosi się zapach mandarynek. Luigi wpycha je sobie do ust, patrząc na kartki, które przyczepił do korkowej tablicy.

– Prowadzicie więzienną gazetkę? – pytam z zaciekawieniem.

– Nie – odpowiada Silvia.

– Tak – mówi w tej samej chwili funkcjonariusz. – Gdy jest tu ktoś zjebany, wstawiamy w gablotę jego fotografię jako ostrzeżenie. Każdy wie wtedy, od kogo trzymać się z daleka, żeby się nie zarazić kretynizmem.

– Wobec tego zaraz się przekonamy, czy jesteś fotogeniczny – nabijam się z niego, na co gromi mnie wzrokiem, ale przynajmniej milknie.

– To ogłoszenia z ofertami pracy – tłumaczy Silvia. – Ja pomagam w kuchni co trzeci dzień, a w weekendy kseruję dokumenty w ratuszu. Kiedy wyjdę, prawdopodobnie zatrudnią mnie na stałe. Może nawet dostanę awans. – Uśmiecha się z rozmarzeniem. Jak na sukę, na jaką się kreuje, mało sukowato.

– Zapomnij – gasi ją gliniarz. – Myślisz, że nie mają lepszych chętnych? Wielka filozofia obsłużyć ksero. Pracę poza zakładem załatwił ci naczelnik. Poręczył za ciebie, zlitował się, bo masz bachora. Myślisz, że w innych okolicznościach zatrudniliby złodziejkę? – prychna z wyższością.

Silvia czerwienieje na twarzy.

– Nie daj się sprowokować. Podpuszcza cię, żebyś zarobiła punkt ujemny – uprzedzam.

– Czy ty kiedykolwiek zamykasz jadaczkę? Ktoś pytał o twoją opinię? – warczy strażnik.

– Panie naczelniku, mogę przejrzeć oferty? – Unoszę rękę, gdy przechodzimy obok Luigiiego. – Może szukają pracownika mennicy. To byłaby fucha marzeń.

– Prędeż kostnicy – mamrocze ledwo słyszalnie, a potem się uśmiecha. – Jasne, przeglądaj. – Wykonuje zapraszający gest.

– Mamy na nią poczekać? – pyta funkcjonariusz.

– Nie trzeba – odpowiada mu Luigi, a kiedy znikają za rogiem, zwraca się do mnie: – Po lewej masz ogłoszenia dotyczące pracy na terenie zakładu.

Zerkam na nie. Pralnia, segregowanie dokumentów i o zgrozo, obieranie ziemniaków. Musi zauważać uchodzący ze mnie, niczym powietrze z balonika, entuzjazm, bo próbuje go podsycić.

– Praca w pralni ma wiele zalet. – Obiera mandarynkę. – Po pierwsze jest w niej ciepło. A po drugie... – Robi naprawdę głupią minę i wzrusza ramionami, bo oczywiste, że żadne „po drugie” nie istnieje. Nawet to „po pierwsze” trudno nazwać zaletą. – Zjesz? – Wskazuje na owoc.

– Pewnie, dzięki. Mnie interesowałaby praca na zewnątrz. – Nie ma co owijać w bawełnę. – To lepiej wygląda w papierach.

Luigi nie ukrywa rozbawienia.

– Przestań bujać w obłokach. Twoim papierom już nic nie pomoże. Poza tym nie stworzę ci warunków do kolejnej ucieczki.

– Nie zamierzam więcej uciekać. – Kładę rękę na sercu. – Skończyłam dwadzieścia dwa lata. Nie mogę ryzykować przedłużeniem odsiadki. To moja ostatnia szansa. Następnym razem na pewno nie wyładowałabym w zakładzie karnym dla przestępców amatorów, kryminalnych przedszkolaków, tylko w kiciu z prawdziwego zdarzenia. Zostałabym zabita w ciemną, głuchą noc. Może nawet wypatroszona. – Z rozmysłem snuję ponure wizje.

– Powiedziałem „nie”. Wybierz coś spośród tych trzech opcji lub poczekaj, za tydzień wywieszę nowe oferty.

Jak na złość akurat te prace są mi doskonale znane. I na bank w moich aktach jest wzmianka, że w żadnej z nich się nie sprawdziłam. Z pralni w Katanii wywalili mnie po trzech dniach, bo „białe zrobiło się szare”. Ziemniaki obieram w trójkąt, czasem, gdy wszechświat mi sprzyja, w kwadrat. Z kolei segregacja dokumentów w moim wykonaniu wygląda mniej więcej tak, że co ciekawsze po prostu wynoszę, radując się w duchu zdobyciem materiału do ewentualnego szantażu. Rety.

Omiatam wzrokiem pozostałe ogłoszenia, także te, które nie powinny mnie interesować, do czasu aż moją uwagę przykuwa jedno, szczególne. W milczeniu przesuwam palcem po wypukłym napisie.

## NAWIEDZONE WZGÓRZE.

Przełykam głośno ślinę. Znam to miejsce. U jego podnóża znajdował się dom rodziny Beneventano. Przesiadując na ganku ich rezydencji, nie raz unosiłam głowę i patrzyłam na opuszczony zamek, w wyobraźni obmyślając bajkowe, oprószone brokatem historie. Dzielłam się nimi ze Spirito do czasu, w którym postanowił wszystko zepsuć. Wmówił mi, że mgła spowijająca wieże to duchy – strażnicy. Gdy zapada zmrok, powstają z ziemi, unoszą się ku niebu, spajają w jedno i sprawdzają, czy mają kogo strzec. Czekają na damę, wsłuchując się w hulający po zamkowych korytarzach wiatr, który szepcze słowa przepowiedni: „Kiedy nadejdzie pamiętny dzień, nocą na ścianie zatańczy cię, a Śmierć przy łóżku stanie”.

„Szepty. Piski. Głosiki. Słyszysz je, Zito? Do kogo należą, skoro mieszkańcy Wzgórza są martwi?”, pytał Spirito.

Niczego nie słyszałam, ale i tak ryczałam złęczona, podczas gdy on zrywał boki, śmiejąc się w głos.

W ten oto niewyszukany, ale jakże skuteczny, sposób romantyczne wizje miłości na cudzych włościach zostały rozwiane, a księżę z moich snów, którego dopiero co zdołałam wymyślić, został ukatrupiony.

Od tego momentu nie miałam odwagi patrzeć w zionące czernią zamkowe okna. Nie wiedziałam jeszcze, że nadejdzie czas, kiedy bezpieczeństwo zapewnią mi nie ramiona matki, lecz zimne mury owianego tajemnicą zamku. To właśnie w nim się ukryłam, uciekając z posiadłości Beneventano. Tamtej nocy i podczas wielu innych, bo niejednokrotnie wracałam do niego, znajdując się na krawędzi, mimo usilnych próśb nie pojawiały się chcące mnie strzec duchy. Niezaskakujące, skoro nawet świszczący w ponurych korytarzach wiatr zwiewał, ścigany echem mojego przepełnionego niemocą krzyku.

Byłam sama.

Z dziecinnego, lecz nasyconego ciepłem, nadzieją i bądź co bądź odrobiną szaleństwa „ty i ja” zostało tylko „ja”.

– Jestem zainteresowana tym ogłoszeniem – rzucam pewnie i stukam palcem w napis. – Nadaję się do tej pracy. – W pośpiechu zapoznaję się z treścią oferty. – Yyy... – Próbuję zamaskować niepewność w głosie podczas czytania na głos: – Poszukiwana złota rączka. – Macham dłonią. – To ja. Coś w rodzaju trafnej charakterystyki mojej osoby – bąkam, jednocześnie kiwając głową z przekonaniem.

– Odpada. Mówiłem, że masz ograniczony wybór, a to – wskazuje na kartkę – perełka wśród ofert.

– Niby dlaczego?

– Dziewczyno, to praca z zamieszkaniem. W zamku – oznajmia, jakby zdziwiony, że w ogóle zadałam tak głupie pytanie. – W miejscu, którego wewnątrz nigdy nie zobaczą przeciętni ludzie. Wakaty rozeszły się na pniu. Za moment i ta karteczka zniknie.

Jestem więcej niż chętna, by tam zamieszkać. Podczas mojej ostatniej wizyty w posiadłości nie było nawet prądu. I – nad czym szczególnie nie ubolewałam, bo Śmierć nie miała przy czym stanąć – łóżka.

Na szybko próbuję ułożyć w myślach argumenty przemawiające na moją korzyść.

– Mam dziecko – mówię pierwsze, co przychodzi mi do głowy, i patrzę Luigiemu prosto w oczy. Zlitował się nad Silią, więc może i w moim przypadku zmięknie.

– I urojenia...

– A do tego kilka ukończonych szkoleń – nie daję za wygraną. – Kursy ceramiki, gotowania, selektywnej segregacji odpadów prowadzone przez spółdzielnię socjalną...

– Przydałyby się jeszcze warsztaty czytania ze zrozumieniem. Jak to, co wymieniłaś, ma się do oferowanego stanowiska?

– Jeszcze nie skończyłam. – Unoszę palec. – Teraz będzie najlepsze. – Milknę, żeby wprowadzić napięcie. – Jestem technikiem instalacji telewizyjnych i serwisantem drobnego sprzętu AGD. – Szczerzę się, czekając na reakcję.

– Wow – oznajmia, ale bez entuzjazmu.

– Dodatkowo ukończyłam intensywny kurs tapetowania, szkolenie dla monterów sieci, instalacji i urządzeń sanitarnych. Mam też uprawnienia elektryczne oraz budowlane.

Nie mówię tego na głos, ale brałam również udział w warsztatach koloroterapii, podczas których nauczyłam się... koloryzować.

– Tyle talentów.

– I co ważne, nigdy na nic się nie skarzę. Dużo we mnie z chłopaka, więc odciski mi niestraszne – przekonuję. – Dlatego uważam, że jestem idealną kandydatką. Oczywiście pod warunkiem, że będę otrzymywała wypłatę w terminie. Preferuję rozliczenia tygodniowe. Wolałabym nie musieć



puszczać zameczku z dymem. – Rechoczę. Luigi wytrzeszcza oczy, więc szybko zakrywam usta. – Taki żarcik.

– W porządku – mówi, więc w duchu napawam się zwycięstwem. – To co wybierasz: pralnia, segregacja czy kuchnia?

Opadają mi ramiona.

– Dlaczego mnie dyskryminujesz?! Bo jestem sierotą, bezdomną, czy oba naraz? – Tragizuję na wyrost, ale tak trzeba. – Wymyślę, jak to ugryźć, pod jaki paragraf podciągnąć, żeby wam wszystkim poszło w pięty!

– Nie zapędzaj się. – Marszczy groźnie brwi. – Nie dostaniesz tej pracy, bo już raz ją odrzuciłaś. To nasz wspólny projekt, mój i Tafarięgo. Osadzeni mają szansę zdobycia przydatnych umiejętności, uczą się współpracy i życia w małej społeczności, co ma im ułatwić odnalezienie się w świecie w momencie, kiedy będą już zdani na siebie.

– Odrzuciłam ofertę? Masz na myśli tę próbę zwerbowania mnie podstępem?

– Tafari chciał dla ciebie dobrze, ale nawet nie miał możliwości przedstawić ci propozycji. W związku z tym, przyznaję, posunął się do mało wyszukanej metody wymuszenia podpisu.

– Mało wyszukanej metody – powtarzam głucho. – Rozumiem. Zapomnę o tym niechlubnym incydencie i nie złożę na niego skargi. W zamian chcę tę posadę.

– Nawet nie planowałaś jej składać. Dobrze wiesz, że w tej sytuacji na dwoje babka wróżyła, a ty nie możesz pozwolić sobie na takie ryzyko. Brak obdukcji, świadków, za to głowa w chmurach i tragedia gotowa. – Mruży oczy. – Uważaj, bo następnym razem, spadając ze schodów, nie objeśz żeber, tylko skręcisz kark.

– Nie spadłam ze schodów. Aaaa – doznaję olśnienia – tak to sobie wymyśliliście. Dobra, nie chciałam posuwać się do metod ostatecznych, ale nie pozostawiasz mi wyboru. – Nabieram powietrza i podwijam rękaw. Pora wykorzystać kontakty. Unoszę rękę, by pokazać mu „S”.

Przypatruje się symbolowi z nieodgadnionym wyrazem twarzy i pyta cicho:

– Kim ty jesteś?

– Pierwszą wśród równych, Luigi. – *Błagam, nie pytaj, co to oznacza.* – Radzę, żebyś ponownie wezwał prawnika i czym prędzej złożył wniosek do sądu o zastosowanie środka zapobiegawczego. Żądam zapłaty z góry za

pierwszy miesiąc pracy na Nawiedzonym Wzgórzu, bo moi ludzie – patrzę na niego sugestywnie – są pewni, że mam tę posiadłość.

– Skoro tak stawiasz sprawę. – Nerwowo pociera czoło. – Nie miałem pojęcia, że należysz do Wyznawców.

– Błąd. Oni należą do mnie.

Rety. To jakiś wyższy, totalnie absurdalny stopień wymuszania. Mniejsza. Najważniejsze, że skuteczny. Naczelnik wygląda na przerażonego. A może to raczej rozbawienie? Nie potrafię go rozgryźć. Drży mu warga. Chowa twarz w dłoniach i przez dłuższy czas nie wykonuje żadnego gestu. Możliwe, że zaraz się popłacze. Ewentualnie parsknie śmiechem. Wreszcie oznajmia:

– Przekonałaś mnie. Wam się nie odmawia. – Krzywi się wyraźnie niezadowolony. – Uprzedzam jedynie, że nazwa wzgórza nie wzięła się znikąd.

Nie zniechęci mnie.

– Wszyscy jesteśmy nawiedzeni – mówię i uśmiecham się lekko.

Macha ręką z rezygnacją i oddala się w kierunku biura. Jest już spory kawałek ode mnie, ale i tak słyszę wypowiedane przez niego słowa:

– Wszystkich nas zamordowano.

# ROZDZIAŁ 11

## *Spirito*

Bariery. Moralne przeszkody. Dostrzegam je, zbliżam się do nich, unoszę nogę. Pokonane. Niektórzy podobno nie tyle nie mogą, ile nie chcą ich przeskoczyć. Są pełni współczucia, zdolni do refleksji, mają szeroki kąt postrzegania. Brzmi nieźle, tyle że to słyszający głosy, podszepty sumienia oszuści.

Do mnie nikt nie mówi. Mój wewnętrzny sędzia jest nad wyraz milczący. Uważam wręcz, że instancja orzekająca: „To czyń, a tak nie rób”, została zachlastana. Mam w tym swój udział, to pewne, lecz zdecydowanie nie ja wykonałem ostateczne cięcie.

Moje sumienie jest błędne, przewrotne.

Coś we mnie zdechło, umarło.

Wewnętrznie krwawię.

Wbite w moje plecy sztylety są wytatuowane – jasne – z tym że mnie poszatковано realnie, a każda zasadzona kosa, dźgnięcie pozostawiły ropiejące, niegojące się rany. Wyłączam się, słysząc, że uleczy je będący najlepszym medykiem czas. Jeśli śmierć uznawana jest za antidotum, to rzeczywiście, kiedyś na pewno będę zdrowy.

Waga czynów. To ona, co najwyżej, może ulec zmianie. Niektóre puchną, przybierają monstrualne rozmiary, na inne z kolei zaczyna się mieć po ludzku wyjebane. Stety, niestety jestem pamiętliwy, chorobliwie zawzięty, więc to drugie jest dla mnie abstrakcją. Wszystko, co mi wyrządzono, swoje waży. Lubię precyzję – waży w chuj.

Ciosem rozpoczynającym serię niefortunnych zdarzeń bynajmniej nie była zdrada przekupnej, łasej na tanie błyskotki i kosmetyki Zity. Nastoletni chłopcy w swej porywczosci, ocenie sytuacji, bywają bardzo dziecinni.

Pierwszym psychicznym łomotem był ten spuszczonej mi przez Bommaritów, kiedy postanowili rozgościć się w mojej rodzinnej posiadłości. Niezmiennie uważam, że jest on w stanie wyrządzić więcej szkód niż fizyczne manto, którego, co oczywiste, również nie uniknąłem.

Chcąc nie chcąc, stałem się niemym, bo zakneblowanym, nieruchomym, bo skrępowanym, świadkiem gwałtu i zabójstwa własnej oraz cudzej matki.

To nic, że ledwo widziałem na oczy. Wystarczająco dobrze, by dostrzec przerażenie i dezorientację w wielkich jak spodki ślepiach Zity. Najwidoczniej już wtedy miałem nie po kolei w głowie, skoro spośród tych wszystkich okropieństw właśnie ten widok, wyraz jej złężnionej twarzy, zapadł mi w pamięci najbardziej.

Potem było już tylko gorzej.

Analogicznie: łomot – wpierdol – ostry wpierdol – jeszcze raz – i jeszcze – wyzionięcie ducha.

To ciekawe, że duch może opuścić ciało, nawet gdy serce pompuje krew. Daję słowo. Słowo poparte faktem.

Doskonale pamiętam ten moment, bo dojście do niego, do granicy psychicznej wytrzymałości zajęło mi wiele lat i nastąpiło na długo po wydarzeniach, które rozegrały się w domu. Każdy wiodący ku dorosłości rok obdzierał mnie ze skóry. Warstwa po warstwie, odsłaniając najgorsze i najlepsze, niemające już za czym się ukryć cechy charakteru. Byłem nagi. W niedosłownym znaczeniu, lecz, mimo to, a raczej przede wszystkim dlatego: nie polecam.

Po masakrze, która dokonana się w moim domu, zostałem przewieziony i umieszczony w zatęchłym bunkrze. Patrząc z obecnej perspektywy, jest to moje najpiękniejsze wspomnienie z tamtego okresu. Punkt widzenia zależy bowiem od punktu siedzenia, a wbrew wszystkiemu, pomimo tego, że towarzystwa dotrzymywali mi martwy ojciec i jego żołnierz, siedziało się nieźle. Do czasu.

Do czasu, aż zaczęli gnić.

Obaj zginęli z rąk wspinającego się po szczeblach organizacyjnej hierarchii Serafina. Jego motywacje były mi znane, a cele zrozumiałe. Zmierzał do nich po trupach, tak jak uczyła nas matka – Omerta. Zanim wpakował im po kulce, zmasakrowany ojciec wypowiedział kilka, zaważających nie tylko na mojej przyszłości, zdań.

„Powieś go za nogi. Oszczędź mu ręce”.

Serafino ani myślał spełniać tej prośby. Skuł mi nadgarstek, drugą obręcz kajdanek przypiął do wygiętego, wmurowanego w ścianę pręta. Zdecydowanie zbyt mocno weszła mu do głowy przytaczana przez don Giorgia legenda. Niestety nie zakodował, że śmiałków powinno być pięciu. Nie jeden. Ja z kolei nie zajarzyłem, dlaczego moje dłonie są cenne.

„Doktor Bandetti. On ci pomoże. Zaufaj mi”.

Mój nauczyciel. Lekarz sądowy. *Trupi mistrz*.

I ostatnie: „Zresztą i tak już po tobie”.

Serafino był tego samego zdania, skoro zdecydował, że nie warto marnować na mnie naboju. Uznał, że wpakowanie mi go w czachę byłoby okazaniem litości. Z góry założył, że kajdanki i zaryglowane drzwi to przeszkody nie do pokonania, a przebywanie wśród zwłok pogruchoce mi psychę i będę dogorywał w męczarniach. Cóż, te pierwsze rzeczywiście stanowiły problem.

Ciała żyły swoim życiem, stając się substytutem zegarka. Pojawiające się pośmiertnie zmiany zawiadaniały o upływającym czasie. A ja, bez jedzenia i picia, nie miałem go zbyt wiele. Jedyne, co posiadałem, to motywację. Zite.

Wysoka temperatura i wilgotność panujące we wnętrzu jak zły omen przepowiadały szybkie postępowanie rozkładu. Gdy dolne partie odsłoniętego brzucha mojego starego zaczęły przybierać szarzieloną barwę, postanowiłem poświęcić cudowną rękę. Szansą na przeciśnięcie jej przez obręcz kajdanek było wybicie kciuka ze stawu. Bolało. Kurewsko. Nie mniej niż przywrócenie jego pierwotnej geometrii, nie mając do dyspozycji środków znieczulających.

Z szyi ojca zerwałem łańcuszek z przedstawiającym nasz herb trójkątnym medalikiem. „Teraz będzie już z górki”. Myślenie życzeniowe w moim przypadku nigdy się nie sprawdzało. Nie licząc kilku otworów wielkości pięści, będących świetlikami, których, co oczywiste, nie brałem pod uwagę, jedyną możliwością, by się wydostać, było wyważenie drzwi. Próbowałem. Działanie zakończone wielokrotnym fiaskiem.

Robiło się coraz bardziej nerwowo, duszno, śmierdząco. Byłem głodny i spragniony. Przemieszczałem się z kąta w kąt, przysypiałem, czego nie mogę powiedzieć o niepozwalających sobie na chwilę wytchnienia bakteriach. Pojawienie się na skórze moich towarzyszy smug dyfuzyjnych było kwestią czasu, podobnie jak rozcięcie ich ciał przez gnilne.

Minuty dłużyły się jak godziny. Godziny niczym dni. Oczy szczypały, w głowie karuzela. Miałem wrażenie, że w wykreowanej przez Bommaritów matni pozostałem tylko ja i gasnące już nadzieje.

Odgłos przesuwanej zapadki był jak trzepot skrzydeł. Smagający po mordzie, pobudzający. Syrena alarmowa obwieszczająca nadejście ostatniej szansy. A już na pewno przybycie Serafina.

Na moje szczęście okazał się niemającym pojęcia o umieraniu sadystą. Najgorszym z możliwych, bo ciekawskim. Któż wie, jakie wizje gościły w

jego głowie. Być może sądził, że gdy po kilku dniach otworzy drzwi bunkru, będę już szkieletem. Nie mogły minąć więcej niż siedemdziesiąt dwie godziny, zwłoki nie kłamią, a on już przyszedł sprawdzić, czy mnie powyginało. Debil, kurwa. Zdziwiony, przestraszony, zarzygany debil.

Nazaczyłem go śmiercią za pomocą spiczastego medalika. Przypomniałem sobie. Jestem pewny, że nie kością strzałkową mojego starego. Chyba. Wszystko mi się już pierdoli. Cokolwiek by to nie było, od tamtej pory, kierunek, w jakim zmierza Serafino, jest jeden.

Uciekając, wpadłem na pracującego dla mojej rodziny żołnierza. To on sfingował moją śmierć. Nigdy później już go nie spotkałem, ale chwala mu za pierdolone pięćset euro na nową drogę życia. To nic, że wydałem je naraz, rezygnując z zatrzymania się w obskurnym hotelu. Dopuszczenie do siebie myśli, że coś bezpowrotnie się zmieniło, trochę trwało. Jedną noc, chcąc być dokładnym.

Zostałem sam. Bez kasy, domu i perspektyw. Ujawnienie się, groziło natychmiastowym zgonem. Najwidoczniej wolałem umierać powoli, na raty. Wybrałem życie w ukryciu.

Problem w tym, że nic nie wiedziałem o ŻYCIU.

Marnie, ale mniejsza o to, ponieważ potem... było już tylko gorzej.

Tafari puka w uchylone drzwi gabinetu, przekracza próg i zakładając ręce na piersi, staje w rozkroku przed moim biurkiem. Gapi się. Unosi brwi. Nie jestem mistrzem rozszyfrowywania, ludzie, ci żywi, są dla mnie tajemnicą. To słabe, ale nie do końca rozumiem nawet tych, z którymi przebywam na co dzień. Mimo to, wbrew temu, co zasugerował Serafino, próbuję, z lepszym bądź gorszym skutkiem, wczuć się w ich położenie, zrozumieć oczekiwania, intencje. Jednak bez względu na to, jak bardzo bym się starał, za nic, kurwa, nie pojmem, dlaczego ktoś, zamiast powiedzieć wprost, o co chodzi, jedynie się we mnie wpatruje.

Po co tak utrudniać?

I to niby ja mam skomplikowaną osobowość, którą co poniektórzy w pocie czoła próbują rozpracować, podczas gdy jest ona do bólu prosta, zredukowana do pierwotnych instynktów.

Biorę przykład z Boaha i unoszę brwi.

– To – wskazuje na swoje oczy – wyczekujące spojrzenie, Spirito. Zapamiętaj, każdy, kto patrzy na ciebie w ten sposób, czegoś oczekuje.

– Niezaskakujące.

– Wiadomo, żaden ze mnie mistrz wprawiania w osłupienie – oznajmia rzeczowo. – W przeciwieństwie do ciebie.

Myliłem się. Niektórych trudno zrozumieć, nawet gdy postanawiają przemówić.

– A konkretniej?

– Widziałem pokój, który przygotowałeś dla Zity.

– Kupiłem tylko farbę, lampę i inne bzdety. Żałuję, ale nie ja odważyłem najcięższą robotę. Nie będę przypisywał sobie czyichś zasług – oznajmiam wspaniałomyślnie.

Tafari przygląda mi się wnikliwie.

– Żartujesz czy mówisz poważnie? – pyta, ale nie odpowiadam, uznając to za zbędne. – Wiesz, że ona jest dorosłą kobietą, a poza tym – ściska nasadę nosa i kontynuuje: – w sumie od tego powinienem był zacząć. To Zita. W błękicie jej nie do twarzy, uwierz, zbędne starania. Karabin oparty o ramę łóżka zdecydowanie by wystarczył. Ty postawiłeś na puchate poduszki i lampę, z której zwisają jakieś frędzle. Zasłon z waty cukrowej nie mieli?

Znów wlepia we mnie wzrok.

– Proponuję, żebyś wyrzucił z siebie wszystko, co cię trapi, za jednym zamachem. Nie przyglądaj mi się w ten sposób. – Macham palcem. – Drażni mnie to.

– No nic, olać, są sprawy ważne i ważniejsze – stwierdza z rezygnacją. – Przyszedłem po instrukcje. Jakie podjąłeś decyzje? Radny czeka, terminy gonią, na Corso Giacomo Matteotti otworzyli nowy dyskont. Na wczoraj musisz zapłacić sędziemu i podpisać papier, że bierzesz za Zitę pełną odpowiedzialność.

– Zdecyduj się. Mam złożyć podpis czy wyskoczyć z kasy, bo chyba straciłem wątek. – Odsuwam się od biurka. – Chciałeś powiedzieć: Musisz zapłacić sędziemu albo – kładę nacisk na to słowo – podpisać papier. W tym przypadku te rzeczy nie mogą być spełnione łącznie.

– Nie, Spirito. Akta muszą być kompletne. Powiedział, że dopiero wtedy to klepnie. Płacisz mu za pozytywne rozpatrzenie sprawy. Czego nie rozumiesz? – pyta sfrustrowany.

– Dobra, zapomnij o tym. Co tam jeszcze chciałeś?

Tafari czerwienieje na twarzy, bo... bywa bystry. Co tu dużo mówić, lubię trzymać rękę na pulsie, dosłownie i w przenośni.

– Nie wytrzymam, wiedziałem! Znów to zrobiłeś! – Uderza pięściami w blat. – Mieszasz się w kwestie będące moją odpowiedzialnością. Niby dajesz mi pole manewru, zresztą każdemu z nas, a i tak wiecznie, nawet nie wiadomo kiedy i jak, robisz wszystko po swojemu! Planowałem to załatwić jak człowiek na poziomie, a Luigi chciał mieć porządek w dokumentacji. Wiesz, że mu na tym zależy – mówi z wyrzutem. – Ugo z kolei nieustannie przypominał ci o dzisiejszym egzaminie, bo obiecałeś go zawieźć, i co? Oczywiście zapomniałeś. Niby stosujesz jakąś wymyśloną przez siebie metodę małych kroków, żeby nie być takim egocentrycznym chujem, ale przestań się kłopotać, nie działa, jest zje-ba-na – sylabizuje, sycząc przez zęby.

Odpalam papierosa, żeby zająć czymś dłonie, i wychodzę na balkon. Przywołuję Tafarięgo.

– Wiesz, co to za budynek? – Wskazuję usytuowany u podnóża, zarośnięty chaszczami, podupadający rodzinny dom. Nie odpowiada, mimo że doskonale zdaje sobie sprawę, na co patrzymy. Już lata temu opowiedziałem *braciom* swoją historię, głównie po to, by mogli lepiej wczuć się w tę związaną z Zitą. Muszą mieć świadomość, że lód, po którym wszyscy stąpamy, jest niezwykle cienki. – Podoba ci się?

– Sądzę, że to wyjątkowo ponura, nie tylko ze względu na przeszłość, sterta gruzu – stwierdza zrezygnowany. – Ale – nabiera powietrza – z potencjałem.

Problematyczny człowiek. Wiecznie, choćby tkwił po pas w oślizgłej brei, dojrzy, bez dwóch zdań wyimaginowane, pozytywy. To niepojęte. Dla mnie białe jest białe, a czarne, zawsze, jest czarne.

– Tak kończy się bycie eleganckim. – Chwytam go za kark. – Chciałeś się pokazać z jak najlepszej strony, bo czujesz respekt przed sędzią, bo masz do czynienia z kimś, w twoim, abstrakcyjnym mniemaniu, lepszym od siebie?

– A co cię tak, kurwa, dziwi? – Wygina mi palce, bo nieświadomie okazałem mu zbyt wiele braterskiej miłości, i pociera skórę. – Przecież to gość na stanowisku. Ktoś taki jest nam potrzebny.

– Zmień kąt postrzegania.

– Czyli mam patrzeć jak ty?

– Zgadza się, zawęż go. Dotrze wtedy do ciebie, że masz robić wszystko, by ludzie pokroju sędziego potrzebowali nas, nie odwrotnie, a wszelkie swoje powodzenia traktowali jak spływającą od nas łaskę. Potrafimy być



miłosierni. Jego syn bezpiecznie wróci dziś z treningu tenisa, bo oplatają go pomocne ręce Wyznawców. My jesteśmy mili dla niego, a on dla nas, skoro Zita jest już w drodze. Od pokoleń tak to właśnie działa.

Wiem, że realia, w jakich dorastałem, są mu obce i nigdy w pełni nie pojmie zasad, według których mnie wychowano, ale cóż, mógłby się bardziej postarać.

– Tej cechy charakteru szczególnie w tobie nie lubię. Tej bezduszości. Choćbyś zapierał się rękami i nogami, zawsze będziesz przede wszystkim częścią *Mano d'onore*. Masz to we krwi. To twoje dziedzictwo. Twoje piętno.

– Dobra. Niech wyjdzie na twoje, Boah. Masz rację, poziom pertraktacji ważna rzecz. Nie musisz zniżać się do mojego.

– W końcu dotarło.

– Wystarczy, że opadniesz na ten, na którym ugrzązł twój rozmówca. Przekupny sędzia. Faktycznie, wzór cnót wszelakich – stwierdzam z ironią.

Tafari śmieje się nerwowo.

– No, może rzeczywiście trochę go wyidealizowałem – przyznaje. – Ale nie musiałeś mnie wyręczać. – Wchodzi z powrotem do gabinetu, a ja za nim. – Wystarczyło wcześniej przedstawić mi swój punkt widzenia. Owszem, jest do bólu prosty, zupełnie jakbyś miał klapki na oczach, ale najwidoczniej w tych sprawach wystarczający. – Krąży po pokoju. – Tak między nami. – Patrzy w moją stronę. – Nie wiem, czy kiedykolwiek pojmem zasady świata, który dla nas stworzyłeś – rzuca od niechcienia, zajmuje krzesło i jak gdyby nigdy nic pyta: – Kogo wyznaczamy do przetargu na budowę hotelu w centrum? Do wieczora – zerka na zegarek – muszę przekazać radnemu nazwę firmy.

– Tych co ostatnio. Pobierz od nich czterdzieści procent za zlecenie.

– Dlaczego tak dużo?

– Bo twoje wyszywane złotą nitką garnitury w chuj kosztują? Co to w ogóle za pytanie? Każde kolejne wydostające się dziś z twoich ust jest coraz bardziej debilne. – Przciskam palce do powiek. – Do dyskontu wyślij Wyznawców. Nasza propozycja to dwadzieścia procent od miesięcznych obrotów. Pod warunkiem – unoszę palec – że przystaną na układ. Jeśli okażą niechęć, jak zwykle trzeba będzie podkręcić śrubę. Każda następna oferta będzie gorsza od poprzedniej. Nic odkrywczego, tak...

– To funkcjonuje od pokoleń – dokańcza za mnie. – Podsumujmy. Działania, które podjąłem w sprawie Zity, wszystkie, bez wyjątku,

zakończyły się fiaskiem. Czuję na języku gorycz porażki. – Mlaska. – Luigi dobrze to rozegrał, przyznaję, choć niechętnie. Dziwna sytuacja. – Kręci głową. – Chciałem ją wyciągnąć, to ani myślała wyjść. On jej zabronił i nagle o niczym innym nie marzyła.

– Mniejsza, Boah. Większość spraw partolisz...

– No dzięki – rzuca z oburzeniem. – Moim zdaniem po prostu mamy inną mentalność. Was przeorano bardziej niż mnie. Nie oszukujmy się. Ja, nawet biorąc pod uwagę, że od lat się z wami zadaję, nie jestem podatny na zepsucie. – Wzrusza ramionami. – Oszczędziłbyś tego bycia nadto, kurwa, szczerem.

Zmierza ku drzwiom.

– Nie emocjonuj się tak. Przerwałeś mi. Chciałem powiedzieć, że większość spraw partolisz, ale w tej najważniejszej, która została ci powierzona, spisałeś się na medal.

Przystaje.

– Wiem – mówi bez zająknięcia. – Nie żebym miał inne wyjście, ale trochę, choć zapewne nieumyślnie, mnie podbudowałeś – dodaje, nawet się nie odwracając. – Zaraz wrócę. Przekażę Wyznawcom informacje i wykonam kilka telefonów.

Racja. Zrobiłem to nieświadomie. I kolejna słuszność, podczas tej przytoczonej *wiekopomnej chwili* Boah miał zdecydowanie ograniczone opcje wyboru. Oscylowały między do bólu prostym „spróbować przeżyć” a „na pewno umrzeć”.

Zanim jednak do tego doszło, ścieżki naszego losu zdążyły się już konkretnie poplątać. Z kolei linie życia zbiegły się ze sobą w najlepszym z najgorszych momentów.

## ROZDZIAŁ 12

### *Spirito*

Uliczna wegetacja, bo żadne inne słowa nie opisują lepiej tamtego zbyt długiego, by można nazwać go epizodem, okresu, była męką. Sprawy nie ułatwiał fakt, że wewnątrz wciąż czułem się jak król. Wygnany, ale jednak. To nic, że zewnątrz z dnia na dzień stawałem się coraz większym łachmaniarzem. Odnalezienie się w nowej, paskudnej rzeczywistości dla mnie, dzieciaka, który spędził całe życie pod ochronnym kloszem, miał wszystko, czego chciał, zanim zdążył o tym pomyśleć, było jak zderzenie z rozpędzoną ciężarówką. Najgorszy jednak był brak mocy sprawczej. Nie potrafiłem zlokalizować Zity, przepadła. Kiedy przyjechałem do Katanii, administrator budynku, w którym wynajmowały z matką mieszkanie, wystawiał na klatkę ich rzeczy. „Wywaliłem tę małą skoro świt. Bujną wyobraźnią rachunków nie opłaci”. Wypowiedziane przez niego słowa sprawiły, że poczułem ulgę i ucisk w piersi jednocześnie. Zdołała uciec przed ludźmi Bommaritów, ale, kurwa, była tylko dzieckiem, dziewczynką. W moich oczach z góry stawiało ją to na przegranej pozycji. Skoro ja ledwo dawałem radę...

Już od najmłodszych lat wpajano nam, chłopcom z organizacji, że dziewczynom wybacza się więcej, ponieważ są nieporadne, słabe, a jedyną słuszną reakcją na wydostające się z ich ust słowa jest litościwy uśmiech. Z czasem uzmysłowiłem sobie, że zaradność nie ma płci, a także, że będąc na bruku, fenomenalnym nie jest ten, który ma o sobie wysokie mniemanie, lecz ten utożsamiający się z grupą, wrażliwy na jej bolączki. Za nic nie byłem tym kimś. Nie identyfikowałem się z bezdomnymi, mimo że mieli swoje rewiry i kodeks. Teoretycznie po mojemu. Niby mój świat. Tylko że w konkretnie skrzywionym zwierciadle.

Niejednokrotnie, w chwilach największego zwątpienia, myślałem o ujawnieniu. Nieraz obserwowałem dom Gottich, bo jeśli rozważyłem zwrócenie się o pomoc, to przede wszystkim właśnie do nich. Eros wisiał mi w końcu przysługę za ocalenie tyłka, nową tożsamość. Jednak im dłużej śledziłem go z ukrycia, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że mu zaszkodziłem. Na moich oczach zrzucił skórę, przechodził jakąś

pieprzoną transformację. Bez wątpienia każdy z nas miał własny burdel, więc szybko porzuciłem ten wymyślony w przyptywie słabości poroniony pomysł.

Wolałem wrócić na swoich warunkach, prędzej martwy niż pokonany. To drugie odbieram jako ujmę, skazę nie do starcia. Tego rodzaju powrót nie oznacza umieszczenia przeszłości, zatargu między klanami, w obszarze zwanym niepamięcią i absolutnie nie daje możliwości rozpoczęcia nowego etapu z czystą kartą. To zawsze ostatni rozdział. Taki o złym zakończeniu.

Odrzucając tę opcję, chcąc zachować godność, z której i tak później zostałem obdarty, sprawiłem, że Zita również się z nią pożegnała. Oberwała rykoszetem. To nie *Mano d'onore*, lecz moje wybory odcisnęły na mnie, na niej, swoje piętno.

Co się stało, już się nie odstanie. Każdy z nas ma stół sekcyjny, na którym rozpracowuje problemy. Z mojego w pewnym momencie postanowił skorzystać Tafari. Wywalił na blat cały swój bajzel. Okoliczności, w jakich go poznałem, choćbym nie wiem, jak usilnie próbował zmienić to wspomnienie w przystępniejszą wizualizację, były chujowe. Natknąłem się na nich, Boaha i szczytującego mu na twarz typa w nieformalnie zaklepanej miejscówce. Ten drugi zawinął się od razu po robocie, pierwszy nie miał tego w planach. Wytarł ryj o mój, kurwa, rozłożony na ziemi koc i co zresztą zostało mu do dziś, zadał bardzo zjebane pytanie:

– Użyczyć ci moich ust?

– Co? – zapytałem głucho. Nie mówił płynnie po włosku, lecz i tak zrozumiałem go bardziej, niżbym chciał.

– Oferuję tylko to. Nic więcej. – Uniósł ręce w obronnym geście.

– O jedną usługę za dużo. – Skrzywiłem się z obrzydzenia. – Wyskakuj z kasy. Koc należał do mnie. Zabieraj go i spierdalaj.

– Śpisz tu? Nie masz gdzie mieszkać?

– Geniusz trudniący się obciążaniem – rzuciłem z przekąsem, na co wytrzeszczył oczy.

– Wolę określenie „użyczenie ust”.

– A ja robienie laski, ssanie kutasa, obrabianie jaj. – Założyłem ręce na piersi.

Rozryczał się. Wyglądałem przy nim jak wymoczek. Wychudzony, brudny, obdarty, rozjebany psychicznie, mocny jedynie w gębie smród. Jestem pewny, że gdyby mi przywalił, padłbym jak długi. A on, wyższy ode

mnie o głowę, stał i, kurwa, wylewał rzewne łzy, zamiast oszczędzać energię na kręcenie kolejnego loda. Działał mi na nerwy.

– Mogę dać ci jakąś rzecz zamiast pieniędzy? – Przetarł powieki wierzchem dłoni i wskazał plecak. – Zbieram na powrót do domu.

– Pokaż, co masz.

Rozpiął go i zaczął wyciągać fanty.

– Chcesz taką bluzę? – Przyłożył ją do nosa. – Pachnie. – Mam jeszcze dwa bilety autobusowe, świeżą kanapkę, metalowy kastet, trochę zioła, pastę do zębów, skalpel...

– Stop. Jednorazowy? Z odpadów medycznych?

– Coś ty – oburzył się. – Taki pierwsza klasa. – Cmoknął w złączone palce. – Ale nie opłaca mi się oddawać go w zamian za koc. Musiałbyś zrobić dla mnie coś jeszcze.

– Zapomnij. – Zakryłem usta, hamując odruch wymiotny.

Cofnąłem się o krok. Nawet nie chciałem słuchać jego dalszych propozycji.

– Nie to miałem na myśli. Pozwól mi tu spać. Już ciemno. Nie chcę łązić po mieście, a do obozu nie wrócić. – Stanowczo pokręcił głową.

– Dokąd?

– No, do obozu dla uchodźców. Dzieją się w nim dziwne rzeczy. Stamtąd znikają ludzie – szepnął złowrogo.

– Nie obchodzi mnie to. Zgoda. Daj skalpel.

– A nie zrobisz mi krzywdy, gdy będę spał?

Jęknąłem w duchu, bo zadał to pytanie dopiero po przekazaniu mi narzędzia.

– Nie bądź taki strachliwy. – Uśmiechnąłem się lekko. Po raz pierwszy od dawna poczułem moc. – Poza tym, halo, Ziemia do...

– Tafarięgo – przedstawił się.

– Ziemia do Tafarięgo – pomachałem mu przed twarzą – pewnym można być tylko śmierci.

– Też prawda. – Wzruszył ramionami i usiadł. Poszedłem za jego przykładem. – A ty jak masz na imię?

– Spirito. Duch. Nie mów nikomu, że mnie znasz, bo będę musiał cię zabić. – Zaśmiałem się, na co zmrużył oczy.

– Masz dziwne poczucie humoru. – Przysunął się do ściany. – Można wiedzieć, co porabiasz na co dzień? – Ewidentnie chciał zmienić temat.

– Szukam kogoś. Pewnej dziewczynki.

Pominałem brzmiące nawet w moich myślach zbyt dramatycznie: „Próbuję przeżyć”. Wypowiedzenie tego na głos nie wchodziło w grę.

– A co byś zrobił, żeby ją znaleźć? Odpowiedź jest zbędna. Po twojej minie wnoszę, że wiele. Byłbym wdzięczny, jakbyś przestał mnie oceniać. Skąd możesz wiedzieć, przed jakimi wyborami sam będziesz musiał kiedyś stanąć? – filozofował. – Nie chcę cię straszyć, ale swoje już widziałem. Zbliżasz się do skraju.

– Co? Niby jakiego?

– Wytrzymałości. Potrafię to rozpoznać. Natłok myśli, głód, lęk przed jutrem. Też to przerabiam. Daję ci kilka tygodni i pękiesz. – Wzruszył niedbale ramionami, przykrył się bluzą i skulił w kacie.

Pomylił się. Bardzo. Był w wielkim, kurwa, błędzie. Kilka tygodni – dobre sobie. Już w tamtym momencie nie tyle zbliżałem się do krawędzi, co spadałem. W głęboką, czarną jak smoła przepaść. Ten będący jego znakiem rozpoznawczym pierdolony optymizm uleciał z niego jeszcze tej samej nocy. W chwili, w której zachłysnął się cudzą krwią. A może nawet i wcześniej.

Obudziły mnie odgłosy szamotaniny, charczenie. Z obawy o własną skórę wychyliłem głowę zza wypełnionych darami dla ubogich worków.

– Już po tobie. – Na klatce piersiowej Boaha siedział rozwścieczony tłuścioch. Zaciskał ręce na jego szyi, wściekle nim potrząsając. – Śmieci same się nie wyniosą.

Nie pamiętam, czy przewróciłem wówczas oczami – możliwe. Tego rodzaju reakcja wydawałaby się zasadna, choć zapewne po prostu od razu sięgnąłem po skalpel.

Czekałem.

Czekałem w napięciu, aż spaślak załatwi w końcu tę męską dziwkę.

Nie ma się nad czym rozwodzić. Miano egocentryka nie wzięło się znikąd, a przyjaźń między mną a Boahem bynajmniej nie była tą od pierwszego wejrzenia.

– Po-mo-cy – wydusił Tafari.

Wtedy już na bank wywaliłem gały.

– Syrakuzy to moje miasto – syknął gość i przywalił mu z dyni. – Ja decyduję, czy tu oddychasz, czy gnijesz.

Miałem odmienne zdanie, lecz, co niedziwne na ówczesnym etapie, zero argumentów. Zgodzić się z nim byłoby niczym innym jak przyznaniem do niepowodzenia, utraty kontroli nad strefą wpływów. Porażką. Może i

Syrakuzy nie należały do mnie, ale do niego też nie. Dyskusje nie miały sensu. Wątpliwe, by uwierzył mi na słowo, więc go zadźgałem.

– Jezu, Boże. – Boah łapczywie nabierał powietrza, próbując poradzić sobie z szokiem, podczas gdy ja pucowałem ostrze, pocierając nim o spodnie. – Zabiłeś człowieka! – krzyczał, piszczał, w międzyczasie plując, gdzie popadło. – Matko, zasnąłem w towarzystwie zabójcy! – Ogarnęła go jakaś niezrozumiała dla mnie panika.

– Uratowałem ci życie. Wisisz mi przysługę. Rozumiesz to słowo? Wiesz, czym jest przysługa?

Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Nawet, kurwa, nie mrugał.

– Przysługa to dług – wydusił.

– Jesteś więc moim dłużnikiem. Być może nadejdzie dzień, kiedy będziesz musiał coś dla mnie zrobić. Odmowa będzie oznaczała śmierć.

Nie miałem pojęcia, jak prorocze okażą się te słowa.

Zgarnąłem majdan i opuściłem kryjówkę. Zaczynało już świtać. W pewnym momencie dotarło do mnie, że pozostawienie go przy życiu było błędem. Postępowaniem wbrew wyuczonym zasadom. Świadek, bez względu na okoliczności, powinien być martwy. Planowałem zawrócić, lecz zanim zdążyłem zamienić pomysł w czyn, drogę zajechał mi samochód, z którego po chwili wysiadł nie kto inny jak...

– Doktor Bandetti? – zapytałem, nie wierząc w swoje szczęście.

– Dzieciaku, jak ty wyglądasz. – Złapał się za głowę. – Ale to nic, żyjesz – powiedział z ulgą. – Wypytywałeś o mnie w szpitalu kilka dni z rzędu? – Kiedy przytaknąłem, dodał: – Ojciec polecił ci się ze mną skontaktować? Słyszałem, co się stało. Współczuję, Spirito.

– Potrzebuję pomocy – odparłem bez owijania w bawełnę. – Sprawa dotyczy mojej koleżanki. Mam problem – mówiłem szybko, jakby bojąc się, że zaprzepaszczę szansę.

– Chyba niejeden. Wszystkim się zajmiemy. – Poklepał mnie pokrępiająco po ramieniu. – Niczym się nie przejmuj. Już nie musisz – zapewnił.

Bez wahania przyjąłem pomoc i więcej niż chętnie wsiadłem do auta.

Czy mogło być jeszcze, kurwa, gorzej?

Chciałem odzyskać Zitę i swoje życie. Dokładnie w tej kolejności.

Ponad dekadę później siedzę w gabinecie, robiąc skalpelem pionowe nacięcia na krawędzi biurka. Zity wciąż przy mnie nie ma.

A w pizdę z tym.

Zrywam się z fotela i biegnę w stronę wyjścia, gdy słyszę krzyk. Kobięcy pisk, który sprawia, że serce zaczyna dudnić mi w piersi. Uchylam lekko drzwi i od razu odskakuję w bok, ponieważ do środka wpada rozemocjonowany, zdyszany Luigi.

– Rozjebała sobie brodę – oznajmia i nabiera powietrza.

– Kto? Dlaczego jesteś taki przerażony?

– Nie jestem – oburza się, a potem jęczy. – No dobra, trochę się zestresowałem. Jest dużo krwi, bardzo dużo, ale przecież nie mogę brać na siebie czyjejś nieporadności, co nie?

– Pewnie, że nie możesz. Opanuj się – mówię spokojnie, wkładając bluzę. – Każdą pokraką będziesz się przejmował? – Sięgam po kluczyki. – Jadę na obiad.

Dokładnie w tym momencie doznaję olśnienia. Wdech, wydech. Wiem, czym jest samokontrola. Odmówieniem sobie przyjemności przywalenia Luigiemu z czołka.

– Teraz?! – wrzeszczy, przytrzymując mnie za rękaw. – Rezygnujesz ze swojego planu? Jednak od razu się jej pokażesz? Mnie się wydaje, że trzeba ją przygotować, a nawet powiem więcej, nie jesteś w jej typie, więc tym bardziej – nawija, ciężko oddychając. – I widzisz – nie przestaje gadać – w ostatniej chwili przypomniałem sobie o tych gościach, z którymi byłeś w Palermo. Wiesz, wtedy, gdy zabiłeś Sista. Wyeksmitowałem ich, posłałem do hotelu. Jezu, ale byłby kwas, gdyby ona ich tu zobaczyła. – Zatacza kółka na skroniach.

– No i dobrze, że o wszystkim pomyślałeś. Myślenie nie boli. Wziąć ci żarcie na wynos? Zadzwoń do ciebie, gdy będę wracał. Jeśli do tego czasu Zita się pojawi, zagadasz ją, żebym mógł przemknąć niezauważenie. – Przyglądam mu się. Wyraz jego twarzy mógłbym opisać jako „rzadko spotykany”. – Chwila, dlaczego niby nie jestem w jej typie? Zresztą, nawet i lepiej. Nie interesuje mnie w tym sensie. – Zaplątam palce, imitując bardzo bliskie połączenie.

– Aha.

– Żeby coś między nami było, musiałbym urodzić się po raz drugi. To ona mi się nie podoba, nie odwrotnie. Chcę mieć tylko na nią oko. Prawdopodobnie kiedyś się zaprzyjaźnimy. Może korespondencyjnie? – zastanawiam się głośno.

– Yhm. Ostatniego typu, którego poznała listownie, przekupiłeś, bo „Zita jest moja i nikt nie ma prawa się do niej zbliżyć”.



– Też uważasz, że to było słabe i powinienem postawić na skuteczniejszą eliminację?

– Co?

– Aha. Yhm. Co – powtarzam po nim, przykładając rękę do jego czoła. Staram się, naprawdę, próbuję obdarzyć go troskliwym spojrzeniem.

– Zita tu jest – oznajmia głupio i cofa się o krok.

– Wiem, idioto! Próbuję zagadać samego siebie, żeby nie skręcić ci karku! – wrzeszczę. – Jakim cudem się zraniła? Przecież ledwo co weszła, słyszałem podjeżdżający samochód!

Luigi unosi rękę.

– Możesz mówić trochę ciszej? – szepcze. – Potknęła się o próg i padła.

– Czyli już zawsze będzie należeć do tego miejsca? Miło.

– Chyba nie wierzysz w tę bzdurną opowiastkę o nawiedzającym zamek duchu, który usidla niezdarnych na wieki. – Kręci głową z niedowierzaniem.

– Jak mogę nie wierzyć w coś, co sam wymyśliłem? Zastanów się.

Do gabinetu wchodzi jeden z Wyznawców.

– Wybaczcie, że przerywam, ale długo jeszcze? – Ten też kręci łbem. – Nie wiem, czy to istotne, ale ona grzebie w tej ranie palcem.

– Od zawsze wiedziałem, że do siebie pasujemy. – Mrugam do Luigiego, chcąc podnieść mu ciśnienie. Daje wiarę w moje słowa tak samo jak ja, czyli wcale. – Zaprowadź ją do zabiegowego. Ugo się nią zajmie.

– Jest poza domem. Ma egzamin – przypomina Luigi. Patrę na niego sugestywnie. – Zapomnij, Spirito. Wiesz, że moje medyczne umiejętności są konkretnie ograniczone. Raczej nie takiej pomocy oczekujesz, gdy mowa o Zicie. Podziemni medycy segregujący – robi cudzysłów w powietrzu – Bommaritów to chyba też nie towarzystwo dla niej?

– Dobra. Daj mi pięć minut. Sam ją opatrzę. – Pstrykam palcami. – Mam pomysł.

– Brzmi beznadziejnie.

– Przecież nawet go nie przedstawiłem – warczę z wyrzutem.

– Samo słowo „pomysł” z automatu traci na zajebistości, gdy wypowiadasz je ty. Serio, odpuść – stwierdza, ale od razu dodaje: – Zabiegowy w piwnicy czy na parterze?

I właśnie przez to, że nawet nie próbuje się dowiedzieć, co wymyśliłem, zaczynam sądzić, że bierze mnie pod chuj. To jego metoda. Zgrywanie, że coś odpada, jest do bani i totalnie wykluczone, żeby zaczęło zależeć mi

bardziej, niż powinno. Tę samą metodę zastosował na poszukującej pracy Zicie. Nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że ten cały uraz to ledwo draśnięcie, a tragizm sytuacji jest sztucznie podkreślony.

Luigi nigdy się tak nie emocjonuje.

Olać, wchodzę w to. Chcę zobaczyć Zitę. I dotknąć jej brody.

– Parter. Pamiętaj, piwnica dla niej nie istnieje – sprzedam asekuracyjnie, choć wydawało mi się to oczywiste. – Przynieś mi kombinezon medyczny, maseczkę i okulary ochronne. Te barwione – zwracam się do Wyznawcy i pospieszam go ruchem ręki. – Nie rozpoznaj mnie w takim stroju – rzucam w przestrzeń, jakby chcąc przekonać samego siebie, i zerkam wyczekująco na Luigiego. – Mam rację?

Kiwa głową, ale jakoś bez przekonania.

– Daj telefon. Zainstaluję ci aplikację, dzięki której będziesz wiedział, w której części domu przebywa Zita. Założyłem jej na nogę bransoletkę i poinformowałem, że sygnał lokalizacyjny wysyłany jest do punktu monitorowania dozoru elektronicznego. W wyznaczonych godzinach rzekomy funkcjonariusz, czyli ty – uśmiecha się pod nosem – będzie do niej dzwonił, żeby sprawdzić, czy znajduje się w miejscu odbywania kary.

– A dlaczego to ja mam do niej dzwonić?

– Kurwa, jak nie chcesz, to ktokolwiek, żeby stwarzać pozory rzeczywistej kontroli.

– O czym niby miałbym z nią rozmawiać?

– To się nie uda – jęczy Luigi. – O niczym osobistym. Pomyślałem po prostu, że będziesz chciał usłyszeć jej głos. Jezu, zapomnij o tym – fuka zrezygnowany i przejmuje rzeczy z rąk stojącego w progu Wyznawcy. – Przebierz się i chodźmy w końcu. – Rzuca kombinezon w moją stronę.

– W porządku. Będę do niej dzwonił – wracam do tematu, na co niecierpliwie stuka podeszwą o podłogę, czekając, aż się ubiorę. – Codziennie załatwiam nasze sprawy. Oficjalna rozmowa z osadzoną, banal. – Wkładam maseczkę.

– Jeszcze okulary. – Podchodzi do mnie i ciągnie za troczki kaptura, zawiązując mi je pod brodą. Wybuch śmiechem. – Wyglądasz naprawdę idiotycznie.

I tak też się czuję.

Schodzimy na parter, po czym kierujemy się do zabiegowego. Zatrzymuję się przed wejściem, widząc zwróconą do nas tyłem siedzącą na

kozetce Zite. Wymachuje nogami i energicznie pociera ramiona. Po chwili, jakby wyczuwając naszą obecność, odwraca głowę i zeskakuje.

– Wreszcie, prawie tu zamarzałam – sapie. – A to kto? – Wskazuje na mnie palcem. – Gość od dezynsekcji, przedstawiciel pozaziemskiej cywilizacji czy pogromca duchów? Obstawiam ostatnie, bo to przecież baaardzooo – przeciąga głoski – nawiedzony zamek. – Jawnie się nabija.

Stoję jak słup soli, próbując zmusić się do odwrócenia wzroku, bo podskórnie obawiam się zdemaskowania. Bezskutecznie. Od naszego ostatniego spotkania nieco odrosły jej włosy. Kręcą się tuż przy skórze, przez co wygląda jak owieczka.

– Lekarz, który opatrzy ranę. Nie lubi zarazków, stąd ten strój – odpowiada Luigi. – Po wszystkim pokażę ci pokój i...

– Raczej komnatę. – Zita wchodzi mu w słowo. – Chłopak, który mnie tu przyprowadził, bardzo miły swoją drogą, powiedział, że będę mieszkać w wieży.

Wtedy to dostrzegam. To coś w jej oczach i wyrazie twarzy, dawniej pojawiające się za każdym razem, kiedy miała pietra. Ułamek sekundy i znika. Gdy była mała, karmiłem ją wymyślanymi na poczekaniu strasznymi historiami. Dobrze, że je pamięta.

– Pokój, komnata, jeden czort – kwituje Luigi. – Do dzieła. – Szturcha mnie łokciem.

Zita zajmuje miejsce i porusza szczęką. Wkładam rękawiczki, sięgam po wodę utlenioną, gazę i plaster, bo tak jak przypuszczałem, Luigiego poniosła fantazja. *Operację* możemy sobie darować. Staję naprzeciwko niej.

– Rozłożyć nogi, doktorze? – pyta.

Wszystko, co trzymam, wypada mi, kurwa, z rąk.

– Co takiego? – wydusza Luigi, podnosząc środek odkażający, a po chwili podaje mi nowe opatrunki.

– Gość obija się o moje kolana, to dość krępujące, więc zapytałam, czy – nabiera powietrza – rozchylić uda. – Wybuchu śmiechem.

Chyba padło mi na mózg. Owieczka. Chryste. Czarna, niepoprawna owca, której poczucie humoru jest zupełnie niekompatybilne z moim.

Przytrzymuję ją za brodę i oczyszczam ranę. Spina się, zaciska powieki i oczywiście nogi. Przecudnie milczy.

Mam ochotę pozbyć się rękawiczek, przesunąć palcami po jej policzkach, a przede wszystkim dotknąć przypominającej białą nitkę blizny

na dolnej wardze. Zita zgrzyta zębami, gdy przyklejam plaster, a następnie zeskakuje z kozetki i... ucieka. Jak strzała wypada z zabiegowego, nie oglądając się za siebie. Żadnego: „Dziękuję, doktorze”. Nic.

– Co tu się wydarzyło? – pytam.

– Na tyle, na ile zdążyłem ją poznać, poszła smarować skargę, uznawszy poziom naszej opieki medycznej za niezadowalający.

– Kawa na ławę, Luigi.

– Lepszy z ciebie stolarz niż lekarz. Teraz rozumiesz? Oby, bo prościej się nie da. – Jest wyraźnie rozdrażniony. – Tarłeś tę ranę, jakbyś miał przed sobą kawałek drewna, a ona to przecież no – drapie się po skroni – dziewczyna.

– Niepoważne – kwituję. – Sprawiam wrażenie czytającego w myślach?

– Nie trzeba w nich czytać. Po jej minie było widać, że albo zaraz ci przypierdoli, rozbeczy się, albo ucieknie. Osobiście liczyłem na to pierwsze. – Parska cicho. – Pewnie już zwołuje swoich ludzi. – Podwija rękaw i klepie wycięte na lewym przedramieniu „S”. – Po zmroku radzę ci przechadzać się z ochroną. – Tym razem się nie hamuje, wybucha gromkim śmiechem.

– A tobie co tak wesoło? – Do środka wparowuje Tafari. – Gdzie Spirito? Ugo wrócił z egzaminu i ma dla niego nowinę.

– To ja – burczę i ściągam okulary.

Tafari wytrzeszcza oczy i woła:

– Znalazłem go! Chodź szybko!

Po chwili dołącza do nas Ugo. Ma czerwone, zapuchnięte, jakby od płaczu, powieki i bardzo nietęgą minę. Nie świadczy to o mnie najlepiej, ale żywię szczerą nadzieję, że ktoś po prostu sprawił mu lanie.

Wpatruje się we mnie.

*Mój Ugo.*

Nigdy nie dałem mu broni. Trzymałem z dala od swojego syfu, odpuszczając wtajemniczenie go w interesy. Wpołem to, czego mnie *zapomniano* nauczyć. Zmuszałem się do pochylania nad sekcyjnym stołem, żeby jak najrzetelniej przekazać wiedzę praktyczną. A on nie poradził sobie z banalną teorią. Szlag mnie zaraz trafi.

– Okłamałeś mnie, Spirito – zaczyna Ugo.

– Też tak myślę – przytakuję.

– To był egzamin ustny. Z podstaw anatomii. Dziwnie na mnie spojrzeli, gdy zapytałem, kiedy w końcu zejdziemy do prosektorium. – Kręci głową.

– Dlaczego wmawiałeś mi, że od razu będę uczestniczył w sekcji? Co ja mam tam teraz robić przez te wszystkie lata z tymi laikami?

– W czym problem? Niektórzy uczą się na wczoraj, a ty nauczyłeś się na zapas.

Drży mu warga.

– I co mi z tego? W stresie palnąłem, że człowiek ma dwie wątroby! – emocjonuje się.

– Zdarza się. – Wzruszam ramionami, sugerując, że przyjmuję to na lekko. – Następnym razem ci się uda. Jestem z ciebie bardzo dumny.

Nikt nic nie mówi. Patrzą na siebie zdezorientowani, bo oczywiście spodziewali się zupełnie innej reakcji. Nie uświadczą jej. Wali ściemą na kilometr.

– Chyba nie jest z nim tak źle, jak sądziliśmy. – Luigi zwraca się do Boaha. – Zareagował prawidłowo, wręcz wzorowo. – Przygląda mi się wnikliwie.

– Pocieszający, wykazujący się taktem Spirito. – Tafari dokonuje analizy mojej osoby. – Wow, jestem w szoku. – Teatralnie otwiera usta.

– Jakieś to podejrzane – dodaje Ugo.

No raczej, zwłaszcza że planowałem urwać łeb temu matołowi, dopóki nie zapytał: „Co ja mam tam teraz robić przez te wszystkie lata?”. Kurwa, chyba nie miałby takiej zagwozдки, gdyby spartolił? Mniejsza, nie przeszkadza mi, że przeoczyli ten drobny szczegół. Nie zamierzam wytykać im błędów. Bycie taktownym jest proste.

– Ugo sobie poradził, zdał. – Luigi wskazuje na niego.

– Naprawdę? Ale zaskoczenie. – Przyciskam palce do powiek.

– Chcieliśmy tylko sprawdzić, jak zareagujesz na złe wieści – wtrąca młody.

– Dobra, raz mu się udało. – Tafari umniejsza mojemu osiągnięciu. – Chyba tak łatwo mu nie wybaczyście? – dopytuje z przejęciem. – Ciebie nie podwiózł, mimo że obiecał – patrzy na Ugo – a ty masz przez niego bajzel w dokumentacji.

Jego wiara we mnie jest rozczulająca. Gdybym był nadwrażliwcem, na pewno bym się rozbeczał.

– Skąd taki wniosek? – oburza się Luigi. – Sugerujesz, że jestem na tyle lekkomyślny, żeby wypuścić Zitę bez odpowiedniej podkładki? Spirito dostarczył mi wszystkie papiery.

– I czemu uważasz, że nie dotrzymał słowa? – wtrąca Ugo. – Do trzeciej powtarzał ze mną materiał z – zacina się i kręci głową z niedowierzaniem – podstaw anatomii. O siódmej mnie obudził, odwiózł i nawet chciał poczekać, ale odmówiłem, bo wcześniej ustaliłem z wami, że go wkęcimy, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

– Duch święty właśnie objawił się na naszych oczach – ironizuje Tafari, wznosząc ręce. – Inaczej sobie go wyobrażałem. – Taksuje mnie wzrokiem z góry na dół, więc szybko rozwiązuję zawiązane pod brodą troczki, chcąc prezentować się lepiej. – Wiesz, że wyglądasz jak ofiara własnego genialnego planu, Spirito?

Przeciera usta, jakby próbował zetrzeć z nich uśmiech. Nieskutecznie.  
Wciąż go, kurwa, widzę.

# ROZDZIAŁ 13

## *Zita*

Krażę po okazałych rozmiarów holu. Bez wątpienia można uznać go za serce domu. Liczne korytarze, wiodące w górę i w dół, wyłożone czerwonymi dywanami schody, kojarzą mi się z aortami. Z tą różnicą, że nie tętnią życiem. Zimno i surowo. Żadne inne słowa nie oddają lepiej panującego tu klimatu. Unoszę głowę. Zdające się piąć w nieskończoność ściany robią piorunujące wrażenie. Na tyle, że wchodząc do środka, rozdziawiam usta z fascynacją, ale i trwogą, chłonąc rozpościerający się przed oczami widok. Majestatyczność zamczyska powala. Wiem, co mówię. Padłam przecież na twarz, kiedy tylko uchylono przede mną skrzypiące wrota. Koncertowo zaliczyłam głębę i na dzień dobry zlustrowałam poziom wyfroterowania posadzki.

Na moje nieszczęście, z racji tego, że w zamku przebywają wykonujący prace remontowe podopieczni Zakładu i ryzyko wszelkich urazów jest większe niż mniejsze, całodobowo stacjonuje tu lekarz. Przedziwny, wstrzymujący oddech przebieraniec. Gość, któremu mimo wszystko nie sposób odmówić talentu. Potrafi bowiem zamienić wacik w papier ścierny. Pieprzony sadysta. Dzięki niemu do towarzyszącego mi wcześniej nieprzyjemnego, lecz znośnego szczypania, dołączyło pulsowanie i mrowienie. Tragizowanie to nie mój konik, ale serio, typ pozbawił mnie czucia w brodzie. Szybko zrozumiałam, że obcowanie z nim grozi kalectwem, więc przemilczałam obtarte łokcie, mając na bank uzasadnione podejrzenie, że potraktuje je wyczarowaną z rękawa szlifierką.

Do bólu słaba opieka medyczna to zdecydowanie pierwszy minus tej pracy. Drugim jest Tafari. Trzecim Luigi. Gdy wspominał o ich autorskim projekcie dla osadzonych i określił go mianem wspólnego, oczywiście przyjął tę informację do wiadomości, lecz nie potraktował jej aż tak dosłownie. Tymczasem okazuje się, że oni nie tylko nadzorują przedsięwzięcie, ale i tutaj mieszkają! Pora przejść do plusów. Brak tu kierownika czy innego majstra, w związku z tym nikt nawet się nie zorientuje, że mam drewnianą, a nie złotą rączkę. Do kolejnych mogę zaliczyć: pokój na wyłączność i nikłe zainteresowanie moją osobą. Sterczę

w holu z dobry kwadrans. Nikogo nie obchodzi, czy przypadkiem nie zdezerterowałam.

Kiedy o tym myślę, dostrzegam idącą korytarzem, którym nie tak dawno sama biegłam, ekipę, wcześniej wspomnianych, „minusów”.

– Turu turu tu tu turu, turu turu tu tu turu – nucę melodię z *Pogromców duchów*. – Ghostbusters! – Teatralnie wznoszę pięść.

Wszyscy, z wyjątkiem towarzyszącego im młodego chłopaka, kręcą głowami.

Podchodzą bliżej.

– Ciekawe, czy kiedyś wydoroslejesz – zastanawia się głośno Tafari.

– Dorosła już byłam. Teraz bywam – kwituję. – Cześć, jestem Zita – mówię do nieznanego.

– Ugo. – Wystawia dłoń, którą potrząsam. Patrzy na mnie z zaciekawieniem. – Fajnie, że tutaj jesteś.

– A to niby dlaczego? – pytam wprost, na co zerka zdziwiony na pozostałych.

– Nie rozumiem.

– Przecież to proste pytanie. Moja obecność wpływa jakoś na twoje życie?

Chłopak pociera brodę, wciąż desperacko wpatrując się w towarzyszy, a gdy dociera do niego, że żaden z nich nie wybawi go z opresji, w końcu odpowiada:

– Niezbyt.

– W takim razie czemu się cieszysz, że mnie widzisz?

– Nie robię tego – sapie.

– Czyli jednak niefajnie, że tu jestem?

– Pasuję – odpowiada skołowany. – Ja mam dużo nauki – wyrzuca z siebie, macha niedbale do ogółu i bardzo, naprawdę bardzo szybko odchodzi.

– Tyle go widziano. – Wzruszam ramionami. – Będziemy tak stać? Chciałabym wdrożyć się w obowiązki i zobaczyć pokój – mówię do Luigiego. – Żeby opuścić posiadłość na dłużej, muszę wystosować wniosek? – Patrzę wyczekująco na Tafariego, licząc, że jest tu chociaż jedna skora do wielowątkowych rozmów osoba.

Doktor poprawia nerwowo okulary, Luigi drapie się po skroni, Tafari luzuje krawat, nabiera powietrza, aż wreszcie się odzywa:

– Co rozumiesz poprzez opuszczenie posiadłości na dłużej?



– Odbywam karę w warunkach wolnościowych, we wskazanym przez was miejscu. – Zataczam krąg. – Mogę więc stąd wychodzić w konkretnym celu i o określonych porach. Będę kontrolowana przez funkcjonariusza co dwanaście godzin, stąd moje pytanie. Wystarczy, że poinformuję słownie, dokąd się wybieram? – Unoszę brew wyczekująco, bo milczą. – Wysławiam się zrozumiale?

– Co sześć godzin – poprawia mnie Luigi. – Wiele w tym czasie nie załatwisz. Daleko nie dojedziesz.

Schylam się po worek i wyjmuję z niego zatwierdzony przez sąd dokument.

– Rozkład dnia w systemie dozoru elektronicznego – czytam na głos. – I jak byk – stukam paznokciem w kartkę – napisane, że będę kontrolowana co dwanaście godzin. Sam to podpisałeś, Luigi. Ale spokojnie – dodaję, bo pobledli – zawsze, zanim się ulotnię, odhaczę najpierw obowiązki. A weekendy mam wolne?

Lekarz przytrzymuje się poręczy, mocno zaciskając na niej palce.

– Oho, chyba zaraz zemdleje. – Wskazuję na niego ruchem głowy. – Nie dziwne. W takim stroju, w taki upał...

– Jak sama powiedziałaś, wyjścia są możliwe, ale tylko w konkretnym celu. – Luigi dalej swoje.

– Tak. W świetle prawa za takie uznawane są praktyki i posługi religijne, uczestniczenie w zajęciach oświatowo-kulturalnych, spotkania z obrońcą, korzystanie z profesjonalnej – mrużę oczy, sugestywnie wpatrując się w doktora – opieki medycznej, robienie zakupów, utrzymywanie więzi z przyjaciółmi i rodziną. Wymieniać dalej? Trochę tego jest.

Luigi szturcha Tafarię, szukając ratunku. Toną. Ależ mi, kurwa, przykro.

– Ona ma rację – przyznaje Tafari, choć niechętnie. – Tylko masz świadomość, że jeśli spóźnisz się choćby minutę i nie odbierzesz telefonu na czas, od razu wrócisz do instytutu?

– Słynę z punktualności. – Uśmiecham się głupkowato, wewnątrz podskakując z radości.

*Witaj, Almo!*

*Spirito, nadchodzę!*

Nie miałam szansy wytłumaczyć przyjaciółce, choć zapewne sama już by mnie tak nie nazwała, motywów swojego postępowania. Zostawienie jej w towarzystwie Spirito i jego bandy było działaniem obarczonym sporym

ryzykiem zdemaskowania. I cóż, musiał wywalić kawę na ławę, skoro za każdym razem, kiedy dzwoniłam do niej z zakładu, korzystając z cotygodniowej możliwości wykonania telefonu, słysząc mój głos, rozłączała połączenie.

Planuję namolnie się naprzykrzać. Bo chcę. Bo mi zależy.

Alma ma wiedzę mogącą ułatwić mi zlokalizowanie Spirito. Skłamałabym, twierdząc, że fakt ten jest bez znaczenia. Żadna ze mnie święta. Jednak najwięcej o moich intencjach w stosunku do jej osoby mówi to, jak traktowałam ją, gdy nie wiedziałam, że mogę mieć z tej relacji korzyści. Nie chcę się wybielać, to moje subiektywne odczucie. Mam do niego prawo.

Tak samo jak do uzyskania odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Wiadomo, kto może mi ich udzielić, choć więcej niż pewne, że nie ma na to najmniejszej ochoty. Trudno. Mógł nie wychylać się z grobu.

„Dotrzymuję danego ci słowa”. Wypowiedział to zdanie bez cienia emocji, lecz tak zdecydowanie, jakby naprawdę w nie wierzył. Któż wie, co uroił sobie w głowie, bo coś na pewno, biorąc pod uwagę, że złożone przed laty przyrzeczenie, pod roboczą nazwą: „Ty i ja”, nie oznacza dla niego: „Razem”, tylko: „Daleko. Najdalej jak się da”.

Zanim postanowił zgrywać słownego rycerzyka spełniającego obietnicę, którą złożyliśmy jako smarkacze, powinien najpierw pojąć jej istotę i sens. A nie, wyciera o nią buty i nagina do swoich potrzeb.

– Ale mnie to wszystko wkurza – warczę, tupiąc nogą. Tafari obdarza mnie pełnym niezrozumienia spojrzeniem. – Nic, nic, tak tylko mamrocę. Do siebie. A tobie co? – zwracam się do naczelnika. – Osobiście taki wyraz twarzy mam zawsze przed zwiątowaniem. Kiedyś, gdy byłam z koleżanką w klubie...

Luigi wymiotuje. Na końcu języka formuje mi się: „A nie mówiłam”, ale w ostatniej chwili się w niego gryzę, widząc, że Luigim wstrząsają torsje.

– Chryste. – Przeciera usta przedramieniem. – Sorry, już mi lepiej. – Patrzy z przerażeniem na doktora. Nie dziwię się. Najwidoczniej mamy takie samo zdanie o tutejszej służbie zdrowia. Też z automatu bym wyzdrowiała, gdyby wisiało nade mną widmo ponownego trafienia pod te czułe ręce.

– Chodź, pokażę ci pokój. – Tafari chwyta mnie za łokieć i prowadzi w stronę schodów.

Pospiesznie wchodzimy na górę, a ponieważ lubię jasne sytuacje, pytam:

– Odnoszę wrażenie, że chcesz odwrócić moją uwagę? Tylko od czego...  
– głośno myślę.

– Jedyne, czego chcę, to nie musieć po nim sprzątać. – Mruga do mnie. – Powinnaś mi dziękować, że ewakuowałem nas w porę. Nie szukaj dziury w całym. – Zatraskuje za nami barierkę zabezpieczającą. – Zawsze ją zamykaj. Mamy tu starego psa. Lepiej dla nas, żeby się nie sturlał.

– Co masz na myśli? To „lepiej dla nas” zabrzmiało jakoś złowrogo.

– A co miałbym mieć? – fuka i nabiera powietrza. – Chodzi mi o to, że zapominalski mógłby mieć na sumieniu zwierczaka, a to raczej przykre, nie? – odpowiada spokojnie, gdy zatrzymujemy się na piętrze. – Tu masz łazienkę. – Wskazuje. – Dzielisz ją z mieszkańcem tego piętra, więc nie przesiaduj w niej za długo i koniecznie po sobie sprzątaj. Żadnych włosów, zużytych maszynek, a wanna zawsze musi być czysta. Tutaj z kolei są połączone z tym piętrem kręte schodki wiodące do twojego małego królestwa.

– Kto mieszka w tym pokoju? – Podchodzę do najbliższych drzwi.

Tafari zwleka z odpowiedzią, więc postanawiam sama sprawdzić. Pukam w nie, licząc, że poznam lokatora, ale zza ściany dobiega wyłącznie ochryple szczekanie psa.

– Czy możesz tak nie robić? To go stresuje. – Boah ściska nasadę nosa. – Piętro zajmuje ten, no, lekarz. – Pstryka palcami, jakby dopiero co skojarzył fakty.

– Z nim dzielę łazienkę? – Wytrzeszczam oczy. – A jest zamykana od środka?

– Klucz gdzieś wciął. Zamontuj zasuwkę. W czym problem? Tego rodzaju prace to w końcu twoja robota.

– Yyy, tak, jasne, taki mam zamiar – przytakuje niemrawo. – Na razie będę pukać i nasłuchiwać, czy woła: „Zajęte!”. Liczę, że zrobi to samo.

Tafari wydaje się zmieszany.

– On nic nie powie, bo, bo – powtarza – jest nieśmiały. Ewentualnie ma zapalenie krtani. Jedno z dwóch. Olać – rzuca na odczepnego. – Wchodź na górę.

Kiedy otwiera przede mną drzwi, rozchyłam usta. Niech mnie ktoś uszczypnie. O ile pomieszczenia, które miałam już okazję zobaczyć, nieszczęśliwie przypadły mi do gustu, bo ich zachowawczy styl i zdający się przenikać do szpiku chłód powodowały, że włoski jeżyły mi się na karku, tak ten pokój to zupełnie inna... bajka.

W komnacie są dwa półkoliste, teraz uchylone, witrażowe okna. Zamykam je i wstrzymuję oddech. Załamujące się na kawałkach barwionego szkła światło słoneczne sprawia, że wewnątrz mieni się kolorami. Sunę palcem po ciemniejszym wypełnieniu kompozycji, ołowianych konturach.

– „B” – mówię. – „B” jak Belgamonte. Ale czad, co? Te granatowe szkiełka tworzą literę. – Stukam w szybę. Mija chwila, zanim na twarzy Tafariego pojawia się zrozumienie. – Mam personalizowane okno.

– Niech ci będzie.

– Przecież żartuję. Oczywiście, że to cudenko nie zostało wykonane na cześć osadzonej. Nie musisz być taki poważny. – Kręcę głową. – O, spójrz, malarz zostawił puszkę po farbie. – Schylam się po nią i czytam napis na etykiecie. – Zgadniesz, jak nazywa się ten kolor? – Dotykam ściany.

– Nie wiem, ale jeśli będę odświeżał swój pokój, użyję odcienia o nazwie „Stalowe nerwy”. – Marszczy brwi.

– Czyli gustujesz w szarościach czy, w swoim mniemaniu, w subtelny sposób dajesz mi do zrozumienia, że masz mnie dość?

Jęczy przeciągle, co zdaje się jednoznaczną odpowiedzią.

– Dobra. Podejmuję wyzwanie. – Przeciera twarz. – „Lodowy błękit”, „Niebiański sopel”? – zgaduje. – Bo „Siny trup” to pewnie zbyt bezpośrednia nazwa, by zamieścić ją w palecie?

– Teraz się zdziwisz, „Arktyczny poranek” – zdradzam.

– Och, kurwa. – Wybucha śmiechem. – Wcale nie jestem zaskoczony. Tak czułem, że nie unikniemy powiązań z chłodnią. – Unosi ręce, jak sądzę, w odpowiedzi na moją dezorientację, której nawet nie próbuję zamaskować. – Nie miej sobie za złe, że nie rozumiesz tego – chrząka – żartu.

– Ciebie trudno zrozumieć, Tafari – rzucam niby od niechcenia.

Rozpracuję go szybciej, niż mu się wydaje. Niczego się nie nauczył. Wciąż sądzi, że łykam te jego półsłówka i nie dostrzegam, ile wysiłku wkłada w ich dobieranie. Jest przekonany, że odciąga moją uwagę od niewygodnych tematów, a tymczasem osiąga odwrotny skutek. Podejrzliwość zostaje wzmożona, zainteresowanie podsycone. Teraz jednak, mając na uwadze, jak skończyło się nasze ostatnie spotkanie, wiem, jakie rozwiązania nie wchodzą w rachubę i jakich zagrywek unikać.

Nie podejmuje wątku, więc kontynuuję:

– A ty w której części domu mieszkasz?

– W dolnej – odpowiada ogólnikowo, więc wyczekująco unoszę brew. – Czerwone drzwi po lewej w korytarzu po prawej. Wcześniej trzeba przejść przez kuchnię, jadalnię, jednymi schodami zejść, drugimi wejść, podreptać kamiennym mostkiem...

– I może jeszcze przedrzeć się przez gęsty busz, stanąć w szranki z tygrysem i bujnąć się na lianie? – pytam prześmiewczo.

– Nie chcę, żebyś mnie odwiedzała – wyrzuca z siebie. – Masz swoją przestrzeń, obowiązki i po prostu sobie tu – wzrusza ramionami – bytuj.

– A gdzie reszta pracowników, bo żadnego nie widziałam?

Tafari sapie.

– Pracują. Malują, szpachlują, odgruzowują. Robią wszystko to, co wykonuje się podczas remontu, nie?

– Zapytałam, gdzie są, a nie co robią. Zauważasz różnicę?

Kaszele. Wiadomo. Kichanie, chrząkanie, bekanie. Standard. Gra na czas. Szansa umożliwiająca zyskanie kilku dodatkowych sekund na WYMYŚLENIE odpowiedzi.

– Prace te wykonują w pokoju stołowym. Uprzedzając kolejne, jeszcze niezadane, ale bankowo zjebane pytania – syczy, bo tak jak ostatnio traci cierpliwość – mieszkają o tam. – Popycha mnie w stronę okna i wskazuje usytuowany na terenie posesji budynek. – Jako jedyna mieszkasz w zamku, bo ekipa składa się z samych mężczyzn, a ty jesteś dziewczyną. Coś jeszcze? Czy wystarczająco zaspokoilem twoją ciekawość? – Robi głęboki wdech. – Podoba ci się tutaj?

Prycham pod nosem i rzucam się plecami na łóżko. Później zmienię jego położenie, by stykało się ze ścianą bokiem, a nie zagłówkiem.

– Dzięki, że mnie tu przyprowadziłeś. Z resztą sobie poradzę – mówię i przymykam powieki, licząc, że wyjdzie.

– Nie odpowiedziałas.

– Gdyby przyśnił mi się ten pokój, po przebudzeniu uznałabym, że był to koszmar. – Otwieram oczy i podpieram się na łokciach. – Wnętrze niekompatybilne z moją osobowością. Kryształowe lustro, serio? – kpię. – Podoba mi się jedynie ta rzeźba. – Patrę na przytwierdzone do podłogi popiersie. – Wykuta w kamieniu twarz bez gałek ocznych. Coś pięknego.

– Wiedziałem, że nie w twoim stylu! – wykrzykuje ewidentnie z siebie dumny. – Mnie akurat ten posążek się nie podoba. W moim pokoju jest identyczny. Pełni funkcję nogi od stołu.

– Można więc powiedzieć, że nigdy nie zasiadasz do niego sam – mrugam żartobliwie – bo to zaklęty w kamieniu adorator, który kiedyś wspiął się na wieżę, przekonany, że odnajdzie w niej damę swojego serca. Chyba nie muszę dodawać, kogo zastał? – Milczy, więc dopowiadam: – Śmierć.

Tafari się krzywi, a ja wybucham śmiechem.

– Wymyślasz te brednie na poczekaniu?

– Nie ja. Spirito. Nie znasz. – Macham ręką. – Czyli powiadasz, że zajmujesz drugą z wież?

– O niczym takim nie wspomniałem.

– Nie wprost, ale *zaklęci* znajdują się tylko w nich, więc sam rozumiesz... – Śmieję się pod nosem, na co warczy sfrustrowany. – Powiedziałabym ci jeszcze coś, ale tego nie zrobię. Chyba że dobijemy targu, złożymy sobie obietnicę. – Patrzę mu prosto w oczy. – Zawrzemy pakt – mówię ciszej.

– O nie, nie, odpada – wzbrania się. – Obietnica to dług. Już się nie zadłużam. Raz na to poszedłem. Odsetki mnie przygniotły.

– Jak chcesz – rzucam lekko. – W takim razie będziemy krążyć i drażnić. A przynajmniej ja mam taki zamiar. Chciałam zacząć od nowa ze względu na niefortunne pierwsze wrażenie, jakie na sobie wywarliśmy, i dać nam szansę, ale odrzucasz ofertę. Wiedz, że lepszej nie będzie.

– Już dziś słyszałem podobne sformułowanie. Mów, czego chcesz, bo nie mam zamiaru mieć cię na głowie i zastanawiać się, co kombinujesz.

Klepię w materac, dając mu do zrozumienia, żeby usiadł. Sama również zrywam się do siadu i kładąc dłoń na jego ramieniu, oznajmiam:

– Zanim przejdę do sedna, chcę, żebyś wiedział, że nie musisz przystać na moją propozycję. Jestem ostatnią osobą, która chciałaby cokolwiek ci narzucić.

Ku mojemu zdziwieniu, wybuchają śmiechem. Nie do końca takiego efektu się spodziewałam, a będąc szczerą – wcale.

– Wiem, że ludzie chętniej spełniają zamiary innych, gdy wmówi się im, że mają wolność wyboru. I zabieraj łapę – strąca moją rękę – metoda wytwarzania pozornej więzi również jest mi znana. Mów, o co ci chodzi – spogląda na zegarek – bo muszę jechać do ratusza.

– Dobra, konkrety. Szczerość za szczerość. Tylko w ten sposób będziemy w stanie koegzystować przez kolejne miesiące, nie narażając się na rozstrój psychiczny.

– Sądzisz, że jesteś mnie w stanie rozstroić? – Uśmiecha się głupkowato.

– Oczywiście. Podczas każdej rozmowy tracisz cierpliwość. Dzieje się tak, ponieważ nie jesteś szczerzy. Proste pytania wyprowadzają cię z równowagi, bo wbrew pozorom kłamanie to bardzo wyczerpujące zajęcie.

– Znów zaczynasz. – Przymyka oczy i nabiera powietrza. – Czerpiesz jakąś dziką przyjemność z dzielenia włosów na czworo?

– Nie, po prostu nie znoszę, gdy ktoś robi ze mnie idiotkę, a tobie zdarza się to nagminnie. Precyzując, za każdym razem, kiedy się spotykamy – stwierdzam fakt. – Głupio robisz, że odrzucasz szansę skorygowania swoich błędów. Pochyłę się nad nimi i rozpracuję je za ciebie. Nie wykluczam cię z kręgu osób, których obdarzam zaufaniem, bo nigdy się w nim nie znalazłeś. Tyle dobrego.

– Nie mogę pozbyć się wrażenia, że użyłaś określenia „krąg” nieco na wyrost. Ufasz komukolwiek? – Wyczekuje odpowiedzi, ale jej nie uzyska. – Tak myślałem. Zgadzam się. Wchodzę w ten układ. Szczerość za szczerość.

– Żyłka na jego skroni pulsuje, gdy wystawia dłoń na znak przypieczętowania umowy. – Więc co mi zdradzisz, skoro zawarliśmy pakt?

Kiwam palcem, chcąc, żeby się przybliżył:

– Podoba mi się ten pokój – szepczę. – Bardzo – dodaję.

– Nie gadaj. – Wykrzywia usta. – Może jeszcze mi powiesz, że nie masz ochoty namalować na ścianie trupiej czachy, potraktować szyb czarnym sprayem i umazać drzwi własną krwią, tworząc napis „Zakaz wstępu”? Jesteś zachwycona puchatymi poduszkami w kształcie serca – wydusza. – Kurwa, chore. – Kręci głową z niedowierzaniem, obdarzając mnie trudnym do rozszyfrowania spojrzeniem.

– Teraz twoja kolej na bycie szczerym. Chcę wiedzieć, dlaczego Luigi wymiotował.

O ile sam fakt nie jest niczym nadzwyczajnym, tak to, jak zareagowali, każe mi sądzić, że coś jest na rzeczy. W innym razie Tafari nie odciągałby mnie nerwowo z miejsca zdarzenia, a na twarzy Luigiego nie malowałoby się przerażenie. Puścić pawia to jedno, zachowywać się po tym nad wyraz osobliwie, to drugie.

– Bo zrobiło mu się niedobrze? – odpowiada głupio.

– Przegiąłeś. – Zeskakuję z łóżka i ciągnę go w stronę wyjścia. – Wypad stąd, oszuście.

– No weź, to szczerą odpowiedź. Ludzie wymiotują, bo jest im niedobrze. O co ci chodzi? – Zachodzę go od tyłu i wypycham siłą,

ponieważ stawia opór. – Dobra, dobra – unosi ręce – już mnie nie ma. – Odchyła głowę. – Ale masz mordercze spojrzenie. – Parska śmiechem w momencie, kiedy zatrząskuję drzwiami.

Źle zrobiłam, pierwsza się przed nim odsłaniając. Gotowy jeszcze pomyśleć, że jestem słaba, a hardość jest moją maską. A także, co najgorsze, dostrzec we mnie jakiś subtelny pierwiastek i zinterpretować go na opak. Delikatność – przesuwam palcami po przyjemnej w dotyku narzucie, piękno – obserwuję tańczące na dywanie, wpadające przez witraż, kolorowe światło, wewnętrzny spokój – biorę głęboki wdech, delektując się ciszą. To dokładne przeciwieństwo mnie.

Wyjmuję z worka ręcznik i marynarkę należącą do Spirito.

– Sorry, gościu, ale nie jesteś w moim typie – informuję. – Mam nadzieję, że się nie obrazisz i będziemy żyć w zgodzie – dodaję asekuracyjnie, zarzucając ręcznik na kamienne popiersie, żeby nie powiedzieć dosadniej, straszydło.

Kładę się, mając w planach krótki odpoczynek, ale moja wyobraźnia nieźle sobie poczyną. Zasłoniłam posązek, a i tak nie mogę pozbyć się wrażenia, że obserwuje mnie przez materiał. To technicznie niemożliwe, skoro nie ma oczu i... jest z kamienia. Przymykam powieki. Otwieram. Zeskakuję z materaca. Ściągam ręcznik, rozpościeram go i podchodząc do okna, sprawdzam przepuszczalność światła. Niemal zerowa. Ponownie narzucam ręcznik na głowę *zakłętego*, a będąc na łóżku, wtulam się w marynarkę i układam sobie na ramieniu jeden z jej rękawów. Pozorne towarzystwo. Wyimaginowane bezpieczeństwo. Wszystko na niby.



# ROZDZIAŁ 14

## *Zita*

Tylko czas upływa na serio, bo gdy się przebudzam, słysząc chrobotanie, dwór, pokój i myśli spowite są ciemnością, a w sercu gości przejmujące napięcie. Szuranie. Cisza. Stukanie. Obawiam się, że rzeźba jest odkryta. Boję się na nią zerknąć, bo w rozgrywającej się w mojej głowie wizji, kiedy to robię, kamienne usta wyginają się w złowieszczym uśmiechu.

– A pieprzę to – rzucam w przestrzeń, ale wciąż nie ruszam się z miejsca.  
– Nie jestem strachliwa!

Słyszę skrobanie. Aż w końcu tak głośny trzask, że odruchowo zrywam się na równe nogi i, no kurwa, niepojęte, przestraszona chowam twarz w dłoniach.

Wypuszczam wstrzymywane powietrze.

Jedną ręką zasłaniam oczy, drugą sunę po ramie łóżka, jakby była liną mającą doprowadzić mnie do pozostawionego na podłodze worka. Schylam się i wygrzebuję z niego różaniec. Po plecach przemyka mi zimny dreszcz.

– Spokojnie. Na pewno za mną nie stoi Śmierć. To głupota – przekonuję samą siebie i lokalizuję włącznik stojącej na szafce lampki.

Pstryk.

Odwracam się przodem do ściany i zamieram. Boże.

– Co to jest? – pytam głucho. – Czym ty jesteś? – Robię krok w tył. TO też się porusza. – Aaaa! – drę się wniebogłosey i podbiegam do drzwi. Szarpię furiacko za gałkę, by za moment upaść na podłogę, bo otwierają się z impetem, a do środka wbiega rozjuszony tłum. Tabun uzbrojonych po zęby facetów. Nieco mnie ponosi. Jest ich trzech. – To mi się śni – wyduszam drżącym głosem, wpatrując się w zerkającego na mnie z góry, przeładowującego broń, postawnego mężczyznę. Drugi zapala główną lampę, inny otwiera szafę i rozgląda się czujnie. – Kim jesteście? To napad?

– Ochrona zamku – odpowiada jeden z nich.

– Chwileczkę – mówię i wstaję. – Jak to możliwe, że zjawiliście się tutaj tak szybko? Staliście pod moimi drzwiami?

– A co, dziwne? Nie jesteś przypadkiem osadzoną? Przestraszyłaś się czegoś?

– Nie bądź śmieszny – kpię. – Ćwiczyłam głos.

– Próbując wyrwać drzwi z zawiasów? – Ewidentnie nie kupuje mojego wytłumaczenia.

Do środka зерka, o ile dobrze pamiętam, Ugo. Ma prezencję ugrzecznionego dzieciaka. Teraz wyraźnie zaniepokojonego.

– Stało się coś? – pyta niepewnie, a jego wzrok ląduje na mocno sponiewieranej, ułożonej na łóżku marynarce. – Chcesz pogadać?

A niech mnie, takiego pytania się nie spodziewałam! W miejscu, w którym każdy miga się od odpowiedzi, kręci i zmyśla, ktoś z własnej woli chce ze mną porozmawiać? Potakuję zszokowana. Mężczyźni wychodzą bez słowa, gdy Ugo przekracza próg. Patrzy na mnie wyczekująco.

– Też tu mieszkasz? – pytam.

– Jestem właścicielem posiadłości – oznajmia. – Jednym z właścicieli – poprawia się.

– I kolegujesz się z tymi bałwa... – gryzę się w język – z tymi trzema, z którymi widziałam cię w holu? Sprawiacie wrażenie zaprzyjaźnionych.

– Racja.

Tyle. Krótko, zwięźle i na temat. Niestety.

Podskakuję, bo znów słyhać trzask. Ugo podchodzi do okna, uchyla je i wystawia głowę.

– Jakiś kabel odczepił się od elewacji i uderza o szybę – informuje. – Nic strasznego. – Opiera się tyłem o parapet. – Możesz spać przy zapalonej lampce lub otwartych drzwiach. W korytarzach zawsze jest włączone światło.

– Po co mi to mówisz?

– Sugeruję rozwiązania. – Mruży oczy. – Zapędziłem się, więc sprecyzuję. Poradziłbym to osobie, która spędza noc w nowym miejscu i ma prawo się bać. Gdyby był tu ktoś taki, to moje sugestie mogłyby okazać się pomocne. Ale jeśli nikogo takiego tutaj nie ma, to...

Unoszę rękę, chcąc przerwać jego monolog.

– Dobra, czaję. Wierzysz w zjawiska nadprzyrodzone?

– Nie doświadczyłem.

– Sprawiasz wrażenie osoby rozsądnej i zrównoważonej. Mam rację?

– O tak, zdecydowanie – odpowiada pewnie.

Brak zawahania w jego głosie sprawia, że z marszu się uspokajam.

– Na mojej ścianie zatańczył cień – wyrzucam z siebie – i być może – unoszę palec – Śmierć przy łóżku stała.

– Że co? Że jak? – Na jego twarzy pojawia się nikły uśmiech.

– Poczułam chłód. Przenikający. Zupełnie jakby kostucha przejechała zimnym ostrzem po moim kręgosłupie.

– Typowe. Piżdzi tu. Sam wiecznie mam katar. Chcesz mój sweter? – Nie czekając na odpowiedź, ściąga go i zanim zdążę zaoponować, wkłada mi go przez głowę. – Ten tańczący cień brzmi ciekawie, opowiedz o nim. – Ponownie opiera się o parapet.

– Stałam o tam. – Wskazuję miejsce. – Zapaliłam lampkę, odwróciłam się i wtedy go ujrzałam. Zorientował się, że chcę uciec, bo kiedy się cofałam, on stawał się większy i większy, jakby chciał mnie pochłonąć – nawijam szybko. – Zakląć w tym pokoju na wieki – wyduszam.

– Ale ci siadło na banię. – Wytrzeszcza oczy. – Odegraj tę scenkę jeszcze raz. – Musi dostrzec moje zawahanie, bo dodaje: – No śmiało, póki tu jestem. Chętnie obronię cię przed samą sobą. Moi bracia mówią, że mój cios powaliłby nawet muchę. – Śmieje się, naprężając mięśnie wątych ramion. – Próbuję zaprezentować się od tej mniej mądrej strony, żeby za moment nie było ci aż tak niezręcznie. Wiesz, co innego zrobić z siebie głupka przy podobnym sobie – tłumaczy. – Chyba powinienem się zamknąć. – Przesuwa palcem po ustach.

„Obronię cię przed samą sobą”. No jasne. Przestraszyłam się własnego cienia i co oczywiste, jest to wina Spirito. W dzieciństwie za dużo z nim przebywałam. Oto skutki. Najchętniej zapadłabym się pod ziemię, ewentualnie zdarła ręcznik z popiersia i zarzuciła go na swoją głowę. Rety.

– Zapomnijmy o tym, dobra? – proponuję lekkim tonem.

– To będzie proste. Już teraz niczego nie pamiętam. – Puszczą do mnie oczko. Punkt dla niego. – Dobranoc.

Idzie w kierunku wyjścia, ale pytam jeszcze:

– Myślisz, że ten przewód uderzający o szybę jest ważny? Mogę go przeciąć? Od czego może być?

– Jedyne „kable” – odwraca się i wykonuje cudzysłów w powietrzu – na jakich się znam, to żyły.

Patrzę na niego z niezrozumieniem.

– Będę lekarzem – dodaje. – Wygląda na sparciały, więc chyba zbędny. Z naciskiem na „chyba”. Zapytaj Luigiego lub Sp... – drapie się po brodzie – specjalistę od okablowania.

– A jest tu ktoś taki?

– Chyba tak, ponoć trwa tutaj remont. – Zatacza krąg. – Chryste. To niepojęte – mamrocze pod nosem, ale nie na tyle cicho, bym nie usłyszała.

– Co masz na myśli? Ponoć? Niepojęte? Możesz sprecyzować?

– No ponoć, bo każdy się obija – wpatruje się we mnie sugestywnie – a niepojęte jest to, że będąc facetem, nie znam się na kablach. – Nabiera powietrza. – Idę spać. Cześć – mówi i szybko wychodzi.

Nie ma co, dobrali się, jeden lepszy od drugiego, choć kręcą po równo. I dobrze, dzięki temu, a także zmysłowi obserwacji oraz umiejętności wysnuwania wniosków wkrótce odkryję, co tu się święci. Zamierzam wtedy wyciągnąć karty na stół i z satysfakcją obserwować, jak opadają im szczęki.

Sięgam po ręcznik, szczoteczkę i woreczek z mydłem w płynie, po czym wychodzę z pokoju. W niewielkim przedsionku stoi jeden ze strażników, będący zapewne funkcjonariuszem więziennym, chociaż przyznaję, „ochrona zamku” brzmi przystępniej.

– Mogę się wykapać? – Potrząsam przyborami toaletowymi.

– Słucham? – Odrywa wzrok od ekranu komórki. – A dlaczego by nie, w więzieniu jesteś? – Powraca do przerwanej czynności.

– Sam mówiłeś, że jestem osadzoną, dlatego musicie tu sterczeć.

– Fakt. W takim razie możesz – odpowiada, śmiejąc się pod nosem. – Pozwalam ci, zezwalam, a nawet aprobuję ten pomysł. – Odgania mnie ruchem ręki, jakby o niczym nie marzył tak bardzo, jak o tym, żebym wreszcie przestała zawracać mu dupę.

Schodzę ostrożnie, przytrzymując się poręczy. Piętro, na którym znajduje się łazienka, rozświetlone jest padającym z kinkietów światłem. Idę w jej stronę pewnym krokiem, do czasu, aż przeżywam kolejny tego dnia stan przedzawałowy. Przyczyną jest mało urodziwe, merdające ogonem stworzenie. Pies. Trzęsie mu się cały chudy kuper. Podbiega do moich nóg. Jedna wielka, wyleniała, bardzo skrzywdzona radość. Schylam się i go głaskam, czym zaskarbiam sobie jego jednooką uwagę. Sika na dywan.

– Nie bój się.

Podchodzę do drzwi łazienki i przystawiam do nich ucho. Słyszę szum płynącej wody.

– Co robisz? – Rozpoznaję głos *mojego strażnika*, więc gwałtownie odskakuję.

– Oceniam, iloma warstwami różnych farb pokryte są te drzwi – rzucam pierwsze, co przychodzi mi na myśl. – Ktoś się nie postarał. – Wzruszam

ramionami. – Chodź, mały. – Biorę zwierzaka na ręce i zmierzam w stronę schodów.

– Myślisz, że gdzie niby z nim idziesz?

– Jeszcze nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Będzie moim towarzyszem podczas podróży w nieznane.

– Wykluczone. Odstaw go – rzuca kategorycznie.

– W czym problem? Będę na terenie posesji – informuję, ale ma zacięty wyraz twarzy. Wątpliwe, żeby odpuścił, więc kapituluję. Po części. – W porządku. Poczekam, aż jego właściciel wyjdzie, i zapytam, czy mogę wziąć psa na spacer. Zadowolony?

Zerka nerwowo to na mnie, to na drzwi.

– Dobra, idź. Przekażę, że jest z tobą.

Kręcę głową z rezygnacją. Po co w ogóle ta rozmowa? Nie można było tak od razu? Zbiegam na dół, a będąc w holu, rozglądam się dookoła, nie mogąc zdecydować, w który korytarz skręcić. Decyzja zostaje podjęta za mnie.

– Chuj mnie zaraz strzeli! – wrzeszczy Luigi. – Zjebane jak jego plan.

Podążam za głosem, aż trafiam do przestronnego salonu. Jest w nim sprawiająca wrażenie wygodnej kanapa, na której piętrzą się poduchy, a także miękkie dywan i wielki, niemal kinowy ekran. Iście sielankowy klimat, skutecznie psuty przez walczącego z przerastającym go zadaniem Luigiego. Klnie pod nosem, próbując podłączyć urządzenie monitorujące dozór więzienny.

– Złota rączka do usług! – wołam, poprawiając wiercącego się w moich ramionach towarzysza. – Pomóc?

Luigi odwraca głowę i otwiera usta. Być może chce odpowiedzieć, ale najwidoczniej na pragnieniu się kończy, skoro milczy. Ścisnąc kabel, a na jego twarzy odmalowują się sprzeczne emocje. Wygląda jak ktoś, kto ma ochotę owinąć przewód dookoła szyi i mocno go zacisnąć. Nie potrafię jedynie rozgryźć na czyjej, swojej czy mojej.

Wlepia wzrok w psa, a następnie we mnie.

– To się nie uda – wydusza wreszcie.

– Więcej wiary, Luigi. Podłączałam różne rzeczy na szkoleniu. Mam certyfikat – pocieszam go, odkładając na stolik przybory toaletowe, bo psiak zaprzyjaźnił się z moją szczoteczką. – Chcesz go pogłaskać?

Pociera energicznie czoło.

– Co masz w tej siatce?

– Mydło w płynie. Wycisnęłam je z dozownika znajdującego się w zakładowej toalecie. Po co kupować? – Wzruszam ramionami. – Skończyła mi się pasta, ale pożyczę od doktora.

Luigi nie pociera czoła. To niedopowiedzenie. On konkretnie je trze.

– Tak jak pożyczylaś psa? – pyta głucho.

– Coś w ten deseń. Tyle że zwierzaka zamierzam oddać, a pastę niekoniecznie. Wręcz jestem pewna, że nie mam tego w planach. – Śmieję się. – To jak, działamy?

– Wolałbym, żebyś niczego nie dotykała. Im więcej czasu z tobą spędzam, tym mniej wierzę w te twoje zaświadczenia, mimo że podstemplowane. – Marszczy brwi, lecz po chwili wyraz jego twarzy łagodnieje. – Z drugiej strony, co można zepsuć, podłączając urządzenie? – pyta sam siebie, bo od razu kontynuuje: – Na spokojnie się temu przyjrzyj, a ja w tym czasie odniosę sierściucha. – Dosłownie mi go wyrywa i wzdycha z taką ulgą, jakby udało mu się odbić zakładnika z rąk porywacza.

Mam wrażenie, że jest to wybitnie specyficzne coś za coś, a warunkiem umożliwiającym mi wykazanie się podczas tej, co tu dużo mówić, jednej z najprostszych prac, jakie mogły mi się trafić, było oddanie zwierzaka.

Luigi opuszcza pokój, a ja oglądam niewiele różniący się od typowego telefonu stacjonarnego odbiornik. Dla zabawy podnoszę słuchawkę i naciskam czerwony przycisk.

– Centrala, zgłoś się, osadzona majstruje przy urządzeniu monitorującym. Halo, halo, odbiór. – Dopasowuję końcówkę do odpowiedniego otworu. – Brak sygnału, powtarzam, brak sygnału.

Sięgam po instrukcję, bo pięć kabli to, w mojej ocenie, o cztery za dużo. Na rysunku żółty przewód połączony jest z niebieskim, a łącząc je, powinien rozleć się odgłos charakterystycznego kliknięcia. W opinii twórcy planu oznacza to, że czynność została wykonana prawidłowo. Niczego nie usłyszałam, ale to nic, nie słynę z wybitnego słuchu. Nie ma co zgrywać głupiej i ubarwiać rzeczywistości. Wciśnięte na chama, napięte do granic możliwości przewody nie wróżą dobrze. Strącam z blatu instrukcję, pokładając wiarę w niezawodnej metodzie prób i błędów.

Zerkam przez ramię. Wolałabym uporać się z tym, zanim wróci Luigi, i nie dać mu satysfakcji wynikającej z... no cóż, słusznego osądu dotyczącego moich umiejętności. Jest naczelnikiem, zapewne ma świadomość, jak dobre wyniki i zdawalność osadzonych wpływają na statystyki zakładu.

Mamroczę dla żartu: „Wybuch nastąpi za trzy, dwie, jedną...”, i wkładam wtyczkę do gniazdka.

Nastaje ciemność.

Gasną nie tylko lampy w domu, ale i latarnie na zewnątrz.

Totalny mrok.

– Aaaa! – Przez chwilę zdzieram gardło, aż w końcu poklepuję policzki, zmuszając się do odzyskania trzeźwości umysłu i racjonalnej oceny sytuacji.

Po omacku szukam wyjścia. Postanawiam ulotnić się z miejsca zdarzenia, zanim fakty zostaną połączone, a winni straceni. Ewentualnie, w tej bardziej optymistycznej wersji, zwolnieni i odesłani do ośrodka.

Idąc korytarzem, słyszę szczekanie psa, stłumione głosy i kroki. Coraz donośniejsze. Ktoś się zbliża, więc...

Wczuwam się w rolę ostatniej sieroty i pochlipuję na niby. Głośno. Coraz głośniejsze, dbając, by dźwięk ten był przepełniony autentyczną żalnością.

– Auć. – Wpadam na kogoś. Obstawiam, że to wracający do salonu Luigi. Cichy, przygarniający mnie w ramiona, ratujący z opresji bohater. Pociągam nosem, mając nadzieję, że wzbudzę w nim litość i spojrzę przychylniejszym okiem na rozdygotaną, niemogącą liczyć na tytuł pracownika miesiąca laskę. Wtula się mocniej. Na moje standardy aż nadto się wczuwa i zdecydowanie za bardzo mi się to podoba. Taki urok wyostrzającej zmysły ciemności. To dlatego sędzę, że oszałamiająco pachnie, a chaotyczne bicie jego serca, które doskonale wczuwam, bo przyciska mój policzek do piersi, sprawia, że moje również zaczyna dudnić. – Yyy, to raczej niezgodne z przepisami. Takie przytulanie. Jakaś dziwna atmosfera się wytworzyła. – Oddycham szybko, podczas gdy on wstrzymuje powietrze. – Czuję, jakby coś grasowało w moim wnętrzu, więc... – przymykam powieki, odkładając w czasie nieuniknione – odpieprz się ode mnie! – Odpycham go. Warczy, jawnie wyrażając niezadowolenie. Rety. Brzmi jak rozjuszony grizzly, któremu daleko do Luigiego, zdystansowanego urzędasza.

No jasne, kurwa, bo to nie on!

Przekonuję się o tym, kiedy niedługo później zostaje włączone światło. Mężczyzna oddala się szybkim krokiem. Bynajmniej nie jest posturą naczelnika, a na głowę ma zarzucony kaptur.

– Dokąd to, przytulasku? – mówię bardziej do siebie i ruszam za nim.

Śledzony zbliża się do schodów. Zatrzymuję się, bo stojący przy nich Luigi gromi mnie wzrokiem, jakby bez słów chciał przekazać mi: „Ani kroku dalej, gagatku”.

– Twoja zguba – oznajmia, przekazując gościowi psa. Ten z kolei wypruwa na górę, zapominając nawet o zamknięciu barierki.

Podążając jego śladem, ochrzciłam go mianem „tajemniczego uciekiniera”, podczas gdy to ten sadysta!

Ciemność jest specyficznym rodzajem kamuflażu. Osłania, a jednocześnie odkrywa. Wymarzone środowisko nieśmiałego *misia*.

Podchodzi do mnie zdecydowanie wyprowadzony z równowagi, poczerwieniały na twarzy Luigi.

– Jesteś, jesteś... – Nabiera powietrza, żyła na jego skroni pulsuje, gdy próbuje znaleźć właściwe słowo. Postanawiam mu pomóc.

– Zwolniona?

– Niemożliwa – sapie i wkładając palce we włosy, idzie w stronę kuchni.

– A, Luigi! – nawołuję go jeszcze, więc wzdycha i odwraca głowę. – Bo chyba kopnął mnie prąd i przez to boli mnie woreczek wątrobowy. – Krzywię się, kładąc dłoń na brzuchu. – Kiedyś już odczuwałam tę dolegliwość i nie obyło się bez konsultacji lekarskiej. Niestety – udaję smutną – teraz też będzie konieczna. Nie jest mi to w smak, ale co poradzić? – Wzruszam ramionami. – Mam skoczyć do zabiegowego?

Oczy niemal wychodzą mu z orbit.

– Woreczek wątrobowy, kurwa. – Kręci głową. – A ten mózgowy cię nie boli? Proponuję odmaszerować do pokoju. Chyba że wolisz do zakładu?

– To dobranoc, panie naczelniku! – krzyczę, wbiegając na górę.

No nic, byle do jutra.

Nowy dzień, nowe możliwości.

Zastawianie sideł na niedźwiedzia nie należy do moich obowiązków, ale przecież nie samą pracą człowiek żyje. Zrobię to nadprogramowo. Całkiem możliwe, że ten manewr zakończy się fiaskiem i ponownie wpadnę w jego łapy. To dopiero byłaby tragedia...



# ROZDZIAŁ 15

## *Spirito*

Czwarta nad ranem. Słońce jeszcze nie wstało, ale Zita owszem. A wraz z nią – ja. Najwidoczniej sen jest dla słabych. Podobnie jak spanie w łóżku. Lepiej, kurwa, zalec w wannie i kilka godzin okupować łazienkę. Weszła do niej przed północą. Wyszła po trzeciej. Bynajmniej nie po to, by udać się do pokoju i odpocząć, a tym samym umożliwić to niemogącej przez nią zmrużyć oka reszcie, lecz żeby wypruć na miasto.

Zanim to nastąpiło, doświadczyłem wątpliwej przyjemności poznania co najmniej dziesięciu różnych wersji ścieżek dźwiękowych z *Pogromców duchów*, *Bodyguarda*, *Love story*, a także katowanych przez nią w dzieciństwie telenowel *Manuela* i *Czas miłości*. Jeśli dołożyć do tego hałas dobiegający z instalacji wodociągowej, bo co kilkanaście minut dolewała, zapewne ciepłą, wodę i powtarzane w przerwach między pianiem a ciszą: „Och, jak przyjemnie!”, „No to nurkujemy!” i inne, dochodzę do wniosku, że wbrew pozorom jesteśmy do siebie bardzo podobni. Oboje nie mamy litości. Miłosierdzie jest nam obce.

Mój plan ma luki. Coraz wyraźniej je dostrzegam. Trzy słabe, sprawiające, że chuj wszystko strzeli, punkty.

Ugo. Nagle zrobił się bardzo towarzyski. Za cel obrał sobie oczarować Zitę swoją normalnością.

Luigi, pseudonim „bolący brzusek”. Tylko czekać, aż zrobi się jej go szkoda, bo bywa naprawdę żaloszny.

Tafari. Tak nieogarnięty, że przedstawiając się, zamiast imienia powinien wykrzykiwać: „Zaopiekuj się mną!”. Nie wiem, jak u Zity z instynktem opiekuńczym, ale nie byłbym zdziwiony, gdyby okazał się wysoce rozwinięty i już wkrótce Boah zostałby jej rafikim<sup>3</sup>.

To ma być pomoc? W porównaniu z nimi wychodzę na zdziwaczałego, czyhającego na nią w ciemności, czuba.

Temu krzywdzącemu mnie obrazowi nie pomaga fakt, że po raz kolejny zostałem zmuszony do deptania jej po piętach. Nie dosłownie. Obserwuję ją, siedząc w aucie, podczas gdy ona skutecznie wielce specyficzną akcją.

Trochę trwało, nim zajarzyłem, dlaczego o tak wczesnej porze zgarnęła z komody kasę, którą Tafari zostawił na zakupy spożywcze. Oświeciło mnie dopiero, kiedy zaparkowałem przy markecie. Wielu mogłoby się od niej uczyć dobrej organizacji, przyznaję. Kto rano wstaje, ten przebiera w łupach. Mając ją w rodzinie, nie umrzemy z głodu. Co najwyżej wykręci nam kichy i nabawimy się grzybicy. Kto by się tym przejmował. Zita plądruje kontener, selekcionując owoce i warzywa, o ile dopisze nam szczęście, drugiej świeżości. Ma pełną siatę, ale jeśli myślę, że na nas czas, to jestem w błędzie. Nie zdążę mrugnąć, a już stoi przed sklepową roletą i wciska dzwonek. Ktoś inny widząc, że działanie nie przynosi skutku, machnąłby ręką i odszedł, ale nie Zita. Dzwoni raz za razem, przebierając nogami jak nadpobudliwy natręt, aż w końcu roleta się unosi i staje twarzą w twarz z nieukrywającym irytacji, ziewającym pracownikiem. Rozmawiają przez moment, podczas którego Zita wylicza coś na palcach. Facet znika w środku, a ona rozgląda się dookoła. Szyby auta są przyciemniane, co nie zmienia faktu, że i tak kurczą się w sobie, próbując zapaść się w fotelu.

Przez kolejną godzinę myje skrzynki, stojaki i wkręca kończyny wyniesionym przez gościa manekinom. Walczę ze zmęczeniem. W przeciwieństwie do niej nie tryskam energią.

Tak bardzo martwy.

Wtulając się w nią w korytarzu, odczuwając bijące od niej ciepło, doznałem olśnienia. Ten zapach, którego latami nie potrafiłem sklasyfikować, bo zdawał się nieoczywisty, obcy, to po prostu... życie. Zita pachnie życiem.

Tak bardzo żywa.

Wyciera ręce i podziwia efekt swojej pracy. Znów naciska dzwonek, a po chwili odbywa się wymiana. Zita skrzętnie sprawdza zawartość wręczonej przez mężczyznę reklamówki i potakuje zadowolona. Schyla się po drugą, po czym macha w geście pożegnania, wypowiadając tylko im znane słowa. Pewnie coś w stylu: „Do zobaczenia”. Grozi mu. Na bank.

Wlokę się za nią niedzielnym tempem. Ruch coraz większy, ale nie ma co zgrywać optymisty. Szansa, że nie dostrzeże jeżdżącego za nią auta, jest minimalna. Zatrzymuję się na parkingu dworca autobusowego, ponieważ przystaje przy tablicy z rozkładem przyjazdów i odjazdów. Sunie po niej palcem, zerka na zegarek, otwiera usta i rozpoczyna szaleńczy bieg. Nie

rozumiem, ale nieszczególnie muszę, bo trasa, jaką obiera, prowadzi do domu. Dodaję gazu, chcąc ją wyprzedzić i dotrzeć na miejsce pierwszy.

Na podjeździe spotykam zmierzającego do pracy Luigiego.

– Gdzie byłeś? Pamiętasz, że o szóstej masz wykonać telefon kontrolny? Ciekawe, czy Zita już wstała – zastanawia się głośno i odblokowuje ekran komórki. – Za kwadrans powinna być w salonie – informuje, przez co wiem, dlaczego wystrzeliła jak z procy. – Dziś odpowiada za posiłki. Bezpieczne zadanie. – Unosi kciuk. – Poradzisz sobie z przeprowadzeniem tej rozmowy?

– A co w tym, kurwa, trudnego? – warczę.

– Dla ciebie nic, bo jesteś genialny. – Wzrusza ramionami. – Do wieczora.

Będąc w gabinecie, rozsiadam się wygodnie i kładę komórkę na biurku. Wgapiam się w nią, jakbym sam wyczekiwał, aż ktoś do mnie zadzwoni. Przyciskam palce do powiek i robię głęboki wdech. Rozmowa z dziewczyną. Banał. Wybieram numer. Pierwszy sygnał, drugi. Już mam się rozłączyć, bo ileż można czekać, ale – niestety – odbiera. W sensie świetnie, że to zrobiła. Na to właśnie liczyłem.

– Rezydencja Zity Belgamonte, słucham? – pyta zasapana.

Zakrywam głośnik palcami.

– Dzień dobry.

– No dzień dobry, co tam?

– Tu funkcjonariusz.

– A tu Zita. – Śmieje się.

– Jesteś w domu?

– Dzwonisz na urządzenie stacjonarne, czyli jakie? – pyta i od razu odpowiada: – Nieprzenośne. Więc, jak sądzisz, jestem czy mnie nie ma?

– Do widzenia.

Przerywam połączenie. Gładko poszło, a sama rozmowa była ciekawa.

Gdybym nie był wirtuozem skalpela, mógłbym zostać mistrzem konwersacji. Mógłbym.

Wcześniej jednak musiałbym zapanować nad drzemiącym we mnie nieumiejącym sklecić sensownego zdania i podtrzymać dialogu kretynem.

Zgrywam się. Tylko udawałem przygłupa w obawie, że rozpozna mnie po głosie. Dlatego wystękałem kilka bezsensownych słów. Chryste. Coraz bardziej się pogrążam. Kawa na ławę. Wątpliwe, że następnym razem zaprezentuję się z lepszej strony. Jestem jakiś, żeby nie powiedzieć

dobitniej, powichrowany. Czarująca osobowość – może kiedyś, może dawniej.

Nim trafiłem pod niewłaściwy adres. Bandetti. W środowisku medycznym mawiano, że nazwisko to otwiera wiele drzwi. Szkoda, że nikt nie pokusił się o sprecyzowanie. Wyświechtane powiedzonko, które, jak się okazało, należało traktować bardzo dosadnie.

#### DRZWI SAMOCHODU.

„NIKOMU NIE UFAJ. Nawet najbliższy może ci wbić sztylet w plecy”.

Nauka wpojona przez ojca. Słowa te poparł czynem, lecz, co ponuro zabawne, nie dożył tej niechlubnej chwili. Przywołanie wspomnień z okresu niemowlęcego, a tym bardziej tych z momentu narodzin jest niemożliwe, lecz jeśli miałbym pokusić się o tego rodzaju konfabulację, uparcie bym twierdził, że pamiętam otulający mnie wówczas ziąb i chłód przykładanego do skóry, z biegiem lat zatapianego coraz głębiej ostrza. Stary dźgał mnie za życia, zasztyletował pośmiertnie.

„Doktor Bandetti. On ci pomoże. ZAUFAJ MI”.

Zaufaj – nie ufaj – włącz – nie włącz – zostań – uciekaj – WIEJ!

Na tamtym etapie, nawet gdyby moja intuicja kwiczała jak zarzynana świnia, wytłumaczyłbym to tym, że szlachtowni są po prostu głośni. Zbyt długo stałem w strugach deszczu. W takich okolicznościach propozycja przeczekania chociażby pod dziurawą rynną brzmi niezwykle zachęcająco.

Nie wsiada się do aut obcych ludzi. *Chyba że tata pozwoli.*

Dojechaliśmy na miejsce. Doktor wyskoczył z wozu, spojrzał w niebo i zaciągnął się świeżą, wiosenną bryzą.

– Lubisz ten zapach? – zapytał, na co wzruszyłem ramionami. – Zapamiętaj go. Weź głęboki wdech – zalecił, na co się skrzywiłem, bo nie przepadałem za takimi gadkami. Chciałem sprowadzić rozmowę na właściwe tory, te wiodące do Zity. Jakość sycylijskiego powietrza i związane z nim skojarzenia mało mnie obchodziły. W gruncie rzeczy wcale. – Tak chyba pachnie życie, co?

– Być może – odpowiedziałem na odczepnego. Denne pytanie. Doskonale wiedział, że lwią część swojego spędziłem w prosektorium. Był tam przecież ze mną.

– Równie słodko, co śmierć? – drażył temat.

Przymknąłem oczy, poczułem chłód na policzkach, wiatr we włosach, świeżo skoszoną trawę. Stałem po zawietrznej. Zapach ziemi, rosnących w ogrodzie cyprysów.

– Trochę inaczej. Nie tak jednoznacznie. Jakby ciekawiej. Zaskakująco. Nigdy tak samo.

Przytaknął bez słowa.

#### DRZWI FRONTOWE.

Doskonale pamiętam moment przekraczania progu wystawnej posiadłości, towarzyszące temu uczucie ulgi, lekkości, wrażenie, że nawarstwiony miesiącami brud odrywa się ode mnie strupami. Długą, gorącą kąpiel, miękkość ręcznika, smak nadzienia panierowanych ryżowych kulek, które wpieprzałem jak dziki, kiedy zasiedliśmy do stołu. A także poplątane kudły zajmującego krzesło naprzeciwko nastolatka. Ukryty za plikiem dokumentów, jakby były tarczą oddzielającą go od reszty świata, raz za razem unosił wzrok i wgapiał się we mnie nienaturalnie przekrwionymi oczami.

– Podoba ci się tutaj? – zapytał doktor.

– Jasne – odpowiedziałem z pełnymi ustami. – Kiedy zaczniesz szukać Zity?

Chłopak kopnął mnie pod stołem. Uznałem to za przypadek.

– Mówimy o tej małej, od której ojciec kazał ci trzymać się z daleka? – Bandetti przechylił głowę i przyjrzał mi się uważnie. – A jaką odpowiedź uznałbyś za satysfakcjonującą?

– Teraz, w tej chwili, natychmiast? – odpowiedziałem pytaniem.

– Da się zrobić – odparł, sięgnął po kartkę i długopis. – Jak jej tam było?

– Belgamonte. Mieszkały z matką przy Via Umberto w Katanii.

Kolejne kopnięcie. Spojrzałem na chłopaka z wyrzutem, co nie umknęło doktorowi.

– To mój syn. Luigi. Nie zwracaj na niego uwagi. – Mrugnął i pokręcił palcem przy skroni, sugerując, że jego dzieciak ma nierówno pod kopułą. – Daleko padło jabłko od jabłoni, że się tak wyrażę. Przekażę, komu trzeba. – Wskazał kartkę, na której zanotował informacje. Zanim wyszedł, pochylił się nad Luigim i zerknął na wydruki. – Żle! – Przywalił mu w łeb i zwrócił się do mnie: – Wiesz, że ten nieuk nie potrafi nawet dokonać właściwej oceny parametrów biochemicznych i morfologicznych? Jest zupełnie bezużyteczny.

Wzruszyłem ramionami. Nie przyznałem wprost, bo mógłby to potraktować jako zaproszenie do dyskusji, ale kładłem na to lachę. Nieszczęśliwie przeżywałem własny rodzinny dramat, ubolewając jedynie nad obniżeniem standardu życia, więc tym bardziej nie obchodziły mnie ich

tragedie. Chciałem, żeby w końcu polazł, gdzie konieczne, przekazał pieprzony świstek odpowiednim ludziom, wprawił w ruch maszynę kontaktów i znalazł Zitę.

Doktor opuścił pomieszczenie. Nim zdążyłem westchnąć z ulgą, Luigi zasypał mnie lawiną sylab.

– Ty-le-piej-u-cie-kaj – wydusił i spojrzał na mnie wyczekująco.

– Niezły z ciebie raper – rzuciłem lekko i sięgnąłem po kolejną kulkę ryżową.

– Idź so-so-bie.

– Sam sobie idź. Odbij. – Machnąłem ręką lekceważąco i warknąłem w złości, bo znów mnie kopnął. Spojrzałem pod stół, chcąc mu oddać, precyzyjnie wycelować w rzepkę. Zamarłem. Na kostce zaciśniętą miał obręcz kajdanek. – Ale z ciebie matoł. Zauważyłeś, że jesteś przypięty do nogi stołu? – parsknąłem. – Wystarczy go unieść – stwierdziłem oczywistość.

– Ge-ge-nial-nial-ny-plan. – Przewrócił oczami i ziewnął.

Przyjrzałem się tej specyficznej konstrukcji. Skucie nieuka nie zrobiło na mnie wrażenia, ale przytwierdzony do podłogi mebel owszem. Wyższy stopień popierdolenia.

Już wyteżalem słuch, gotów poznać genezę zgryzot rodziny Bandettich, ale do jadalni wparował typ w zielonym kitlu.

– Mam nadzieję, że nasz milusiński się nie narzuca – powiedział radośnie, pstrykając w strzykawkę, którą uniósł na wysokość swojego wzroku. Podszedł do Luigiego. – Zjadłeś śniadanko? – zapytał go, jakby miał przed sobą pięciolatek. Zmarszczyłem brwi w niezrozumieniu, więc dodał: – Lui widzi nieistniejących ludzi. Morderców i innych zwyrodnialców. Może nawet jakieś wróżki i jednorożce. – Zaśmiał się, po czym przysłonił usta i szepnął: – To świr. Teorie spiskowe, te sprawy. – Podwinął mu rękaw i wbił igłę w żyłę zsiniałego zgięcia łokciowego. – Pora na drzemkę. – Poklepał go po ramieniu.

Luigi bełkotał pod nosem, a jego wzrok mętniał. Pochyliłem się ku niemu.

– Um-um-rzesz.

Bingo. Pieprzony wróżbita.

Wkrótce przekonałem się, że Bandetti niemożliwe załatwił od ręki. Tydzień. Tyle zajęło mu namierzenie Zity. Siedem dni, podczas których obchodzono się ze mną jak z jajkiem, dbając o wysoki poziom mojego

życiowego zadowolenia. Coś, co powinno zastanowić, odbierałem jako należną mi oczywistość, choć w rzeczywistości nie było niczym innym jak dozowanym z rozmysłem środkiem usypiającym czujność.

Najpierw trzeba komuś zaufać, żeby wiedzieć, czy można mu ufać. Skromna linia obrony. Przez lata nie opracowałem lepszej.

Zita. Pozornie blisko, lecz wciąż daleko. Wspominając tamten okres, na próżno doszukiwać się w moich decyzjach przebłysku rozsądku. Nie potrafiłem zdefiniować, czego chcę, nazwać towarzyszących mi sprzecznych emocji. Myślałem: *Mam nadzieję, że nie cierpi. Jeśli ma cierpieć, wolę, żeby umarła*, po to by za moment dokonywać mentalnego seppuku, w ramach kary za kłębiące się w głowie beznadziejne myśli, których nijak nie umiałem ujarzmić. W słabości popełnia się gafy. W desperacji wielkie błędy.

– Oto ona. – Bandetti wszedł do zajmowanego przeze mnie pokoju i wręczył mi zdjęcie Zity. Usiadłem na łóżku.

Nie wiem, czego oczekiwałem. Wstyd przyznać, ale chyba tego, że ją znajdzie i przywiezie. Pograżając się dalej: Złapiemy się za ręce i odejdziemy w tylko nam znanym kierunku. Razem. Wyżyny naiwności? Nie. Liczyłem także, że po znajomości doktorek sygnie kasą. Bez niej możliwy byłby jedynie start, a mnie interesował dobry start. O czymkolwiek wtedy myślałem – zbędne rozważania. Dostałem fotkę brudnej, zapłakanej, przestraszonej dziewczynki. Szczyt pierdolonych marzeń.

– Jak się czuje i gdzie teraz jest? – zapytałem.

– Czuje się tak, jak wygląda, ale... – uniósł palec – wkrótce poczuje się lepiej. Znalazłem jej nową rodzinę. – Wyciągnął kolejne zdjęcie. – Mieszkają na Starym Mieście. To szanowany nauczyciel. – Wskazał gościa, a następnie stojącą z nim pod ramię kobietę. – A to jego żona. Zaopiekują się nią. Stworzą dom, na jaki zasługuje. Żeby nie być gołosłownym, za jakiś czas przyniosę następną fotografię. Wiem, że wolałbyś zobaczyć się z Zitą osobiście.

– Właśnie, kurwa. Tak bym wolał. – Zerwałem się na równe nogi. – Pogrywasz ze mną? – Popchnąłem go i poklepałem się po kieszeni, zapominając, że w wyrazie dobrej woli oddałem skalpel od razu po przyjeździe. Jemu najwyraźniej również to umknęło, bo spanikowany podbiegł do wyjścia i otworzył drzwi, by przywołać dwóch stojących w korytarzu typów. A potem uderzył się w czoło i zaśmiał w głos.

– Zapomniałem, że czarodziejską różdżkę złożyłeś w depozycie. Nie będziecie potrzebni – zwrócił się do mężczyzn. – Żeby wydarzyła się magia, niezbędny jest odpowiedni atrybut, cudowne dłonie i łeb na karku nie wystarczą.

„Oszczędź mu ręce”. W głowie zadźwięczały mi słowa ojca. Mimo to na porażenie piorunem oczywistości było jeszcze za wcześnie.

– Dobrze, spokojnie – powiedziałem na głos, choć w gruncie rzeczy zależało mi jedynie na odzyskaniu własnej wewnętrznej równowagi. Byłem w potrzasku. Przy tym odczuciu nawet bytowanie na ulicy bez forsy i perspektyw wydało się znośne.

– Dokładnie tak, tylko spokój może was – chrząknął i się poprawił: – nas uratować. Spełniłem twoją prośbę z nawiązką. Nie tylko znalazłem Zitę, ale i zorganizowałem jej nowy dom, otoczyłem troskliwymi ludźmi, żebyś mógł się skupić na tym, co ważne.

– Czyli?

– Na odbudowie swojego życia, Spirito. Nie chcesz wrócić na szczyt? Zarobisz i zabierzesz Zitę od państwa Tocco. Pomijając fakt, że jesteście nieletni, a to samo w sobie jest przeszkodą, co na ten moment możesz jej zaoferować?

Odpowiedź na te pytania była jednoznaczna, więc zbędna.

– Co miałbym robić?

– Nic, czego byś nie potrafił. Chodź ze mną.

DRZWI PIWNICY.

Piwnica. Była nią jedynie w teorii i tylko w opinii Bandettiego. Ja nazywałem ją fabryką. Luigi pod-zie-miem trans-plan-ta-cyj-nym.

Zwał jak zwał, jeden czort, skoro w każdej z wersji mianownik wspólny – organy. Choć sam wraz z upływem lat – wpadnięciu i przemienieniu przez tryby śmiercionośnej maszyny, wyzionięciu ducha – zacząłem postrzegać je i nazywać częściami.

Wiedziałem, że kręte schody, którymi podążałem za doktorem, nie prowadzą do spiżarni lub kotłowni. Ujrzenie regałów, pieca, przetworów czy pajęczyny w kącie bez wątplenia wywołałoby większe zdziwienie niż zobaczenie zwłok. Brak złudzeń, być może dlatego, że skojarzenie z podziemiami z zasady mam jedno. Dom bez trupiarni już zawsze wydawać mi się będzie niedoposażony.

Rozejrzałem się dookoła, próbując ogarnąć wzrokiem wielką, podzieloną na boksy przestrzeń. Idąc dalej, dostrzegłem bloki operacyjne odizolowane



od reszty pomieszczeń systemem śluz, lampy bezcieniowe, kolumny chirurgiczne i anestezyjne, a przede wszystkim sztab uwijających się w pocie czoła medyków. Nie rozumiałem tego. W sali sekcyjnej pośpiech był mi obcy.

– Dlaczego przy jednym pacjencie pracuje tylu ludzi? – zapytałem.

– Wyzwania techniczno-logistyczne wymagają odpowiedniego zaplecza, dzieciaku.

– Co? Myślałem, że patolog i laborant w zupełności wystarczą – przyznałem. – To jakieś zawody, w kto szybciej ustali przyczynę zgonu? Nie czaję. – Energicznie przetarłem twarz.

– Dorośnij. Naprawdę sądzisz, że poświęciłem tyle czasu i energii, żeby wyszkolić cię na patologa? – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Absurd.

– Faktycznie, zwłaszcza że chcę być weterynarzem.

– Od teraz zajmujesz się pobieraniem narządów. – Puścił moje słowa mimo uszu. – Tak jak kiedyś wspominałem, jesteś już gotowy. – Nie potrafiłem zamaskować zdziwienia, więc dodał: – I cóż, to chyba właśnie ten moment. – Uśmiechnął się pod nosem. – Czas na bycie zdziwionym.

Nie chciałem dawać mu satysfakcji, więc szybko przywołałem maskę chłodnego opanowania.

– Od zmarłych czy żywych dawców? To pacjenci szpitala, w którym pracujesz? – drążyłem temat.

– Już martwych – stwierdził enigmatycznie.

– A zanim trafią na stół, komisyjnie potwierdzone jest nieodwracalne zatrzymanie krążenia lub śmierć mózgu?

– Twoim rewirem będzie jama brzuszna. Ze względu na brak jednego schematu pobrań konieczne jest wypracowanie porozumienia między zespołami.

– Taa, żeby nie upośledzić długości naczyń poszczególnych narządów.

– Dokładnie o to chodzi. – Zadowolony poklepał mnie po ramieniu.

– Rozumiem, że pacjenci, którzy trafią pod skalpel, wyrazili chęć ich oddania? Przy okazji ustalmy jeszcze godziny mojej pracy. Zdecydowałem, że w wolnym czasie będę jednak spotykał się z Zitą. Nie muszę przecież dysponować nie wiadomo jaką ilością gotówki, by móc ją zobaczyć – stwierdziłem fakt. – Ucieszy się na mój widok.

– Zejdz w końcu na ziemię! Nie jesteś tu od rozumienia, Spirito. – Nabrał powietrza, próbując się uspokoić. – A przede wszystkim przestań wreszcie gadać o tej dziewczynie – warknął.

– Czyli kiedy będę mógł się z nią spotkać?

Poczerwieniał na twarzy, a po chwili wydarł się, dostrzegając wyszczerzonego, zbiegającego po schodach Luigiego:

– A ten, po co tu, kurwa, przylazł?!

– Udało mi się! – wrzeszczał Luigi, machając trzymanymi w ręce kartkami.

– Już się nie jąka? – parsknąłem.

– Właśnie chyba to mu się udało, bo na pewno nic innego – sapnął Bandetti.

– Zobacz – zaczął Luigi, kiedy do nas podbiegł – oto dokumenty pacjentów. Ułożyłem w kolejności alfabetycznej, ponieważ zrozumiałem, jak bardzo są ważne. – Wręczył ojcu kartki, które ten zaczął przeglądać.

– Nie wzięłeś leków – zganiał go doktor.

Luigi się zmieszał.

– A-a-po-czym-po-po-zna-łeś? – wydukał i przewrócił oczami. – Dobra, zapomniałem o bełkotaniu. Mój błąd. – Przyłożył dłoń do piersi i puścił oczko.

– Co to ma być? – wydusił Bandetti i przeczytał widniejący na teczce napis: – Luigi Bandetti. Akta medyczne. Wyniki badań laboratoryjnych.

– Plus zgoda na pobranie moich organów po śmierci. Będę twoim pierwszym pacjentem, który się na to zgodził. – Uśmiechnął się szeroko, a potem padł na kolana i krzyknął histerycznie: – Zabij mnie w końcu, ukróć me męki!

Lekarz pokręcił głową.

– Skoczę po jego tabletki, a potem dokończymy rozmowę – zwrócił się do mnie.

Zmierzał już w stronę wyjścia, ale przystanął i obejrzał się przez ramię.

– Synu, pozwól na słówko – poprosił.

Luigi wstał z ociąganiem i powłócząc nogami, podszedł do ojca. Po odbyciu krótkiej rozmowy entuzjastycznie go przytulił i skocznym krokiem ruszył w moim kierunku.

– Chodź, szczerbaty, pokażę ci coś. – Pociągnął za mój rękaw, ale zaparłem się piętami. – Szybciej, zanim stary wróci.

– Nie jestem szczerbaty. – Oburzyłem się. – Ale ty za moment możesz być. – Wyrwałem się z uścisku.

– Bez urazy. Nie masz zęba z przodu, ale może ci umknęło. – Wzruszył ramionami. – I weź – zaśmiał się – trochę o tobie słyszałem. Nic mi nie

zrobisz, bo nie masz skalpela. Bez niego nie istniejesz. Jesteś, co dość zabawne przez wzgląd na twoje imię, duchem.

– Mam diastemę.

– A ja skoliozę. – Przekrzywił tułów w lewo. – I podobno coś z łbem. Idziesz?

Ruszyłem za nim. Wzbudzał ciekawość. Był naznaczony czymś dziecinnie radosnym. Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy podoba mi się, że z czasem cecha ta uległa zatarciu. A może to raczej jakaś przypadłość? Luigi się wyleczył. Eros zachorował. To dziwne coś dostrzegam teraz w Diabie.

– Dlaczego ostatnio podczas posiłku powiedziałaś, że umrę?

– Bo to prawda. Ej – przystanął i spojrzał mi w oczy – chyba nie jesteś jednym z tych, którzy gardzą szczerością? Tadam! – Uchylił przede mną drzwi, na pierwszy rzut oka, poczekalni. – Odwiedzają nas migranci, głównie z Afryki Północnej. – Wskazał siedzących na krzesłach ludzi. – Ale są szczęśliwi. – Położył dłonie na policzkach i otworzył gębę. – Gościnność nie jest naszą domeną. Wkrótce umrą – stwierdził, ot tak, lekko, jakby informował, że niebawem zacnie padać.

– Słucham?

W tamtej chwili pomyślałem, że rzeczywiście nie jest z nim najlepiej.

– Myślą, że oddadzą nerkę, dostaną kasę, opiekę medyczną w pakiecie i stąd wyjdą. Sądzą, że zamieszkiwany przez nich do tej pory obóz to piekło. Jak więc nazwiesz miejsce, w którym się znajdujemy? Podpiekłem? – Kompletnie go nie rozumiałem. – No co się tak gapisz? – burknął z pretensją. – Widzisz tu kogoś poza nami, czy mam przewidzenia? Czasem naprawdę zaczynam wierzyć, że zwariowałem. – Rozmasował skronie.

– Przebywają tutaj ludzie. Fakt.

– W takim razie wychodzimy. Nie zapamiętuj ich twarzy. – Przysłonił mi oczy i wypchnął mnie na korytarz. – Cokolwiek powiedział ci mój ojciec, nie wierz mu. Jesteś idiotą, ale masz cudowne ręce, więc trochę pożyczysz. Do czasu, aż staniesz się niepotrzebny.

– Waż słowa.

– Na tacy wystawiłeś mu to, na czym najbardziej ci zależy. – Wzruszył ramionami. – Domyślałam się, co tobą kierowało, dlatego nie potępiam, ale źle zrobiłeś. Albo i dobrze. – Zamyślił się. – Sam nie wiem, być może dzięki temu będziesz miał motywację do walki. Do życia – filozofował. –

Jutro znów mnie wywożą. Nie mogę się doczekać. – Zmienił temat i zatarł dłonie. – A tobie życzę powodzenia.

Zignorowałem jego ostatnie słowa. Wcale tego nie potrzebowałem. Coś jednak w tej wypowiedzi mnie zainteresowało.

– A dokąd jedziesz?

– Do takiego ośrodka dla czubków. Większa szansa, że spierdolę stamtąd niż stąd. Tobie nie polecam zgrywać tłumoka, bo od razu zarobisz kulkę, a twoja dziewczyna... eee, nieważne. – Machnął ręką. – Nie będę cię dołował. Trafienie na jeden z tych stołów – wskazał salę operacyjną – to najlepszy z możliwych scenariuszy.

– Jesteś słaby w pocieszaniu.

– We wszystkim, jeśli cię to pocieszy. – Uśmiechnął się i drżącą dłonią przetarł oczy.

– Dlaczego się tak telepiez?

– Może dlatego, że mam pusty żołądek. Wymiotuję za każdym razem, gdy zrobię coś nie tak, jak należy. To silniejsze ode mnie. Taka reakcja na zawód, jaki sprawiam innym. Ewentualnie telepanie, o którym wspomniałeś, może być objawem abstynencyjnym. Ojciec zaraz zrobi mi zastrzyk. Przejdzie, pokocham życie i takie tam. Myślałem, że się bez niego obędę, ale im dłużej o nim myślę, tym bardziej go chcę. – Zaczął dreptać w miejscu. – Trochę dziwne, co?

– Jesteś uzależniony.

– A ty martwy. Ha. Ha. – Zasłonił usta, a po chwili dodał: – Serio dodałem: „Ha. Ha”? Co jest ze mną nie tak, do cholery? – Zaśmiał się w głos.

Pokręciłem głową i spojrzałem na niego z politowaniem.

– Nie ciesz się tak. Twój stary powiedział, że przyniesie tabletki, a nie ampułkę z jakimś szajsem, który będziesz mógł sobie wstrzyknąć.

– Po pastylkach czuję, jakby ktoś spuścił ze mnie powietrze, wiotczeję i nie potrafię sklecić zdania. Dziś ich nie zażyłem, więc gadka nam się klei. I weź, nie bądź taki zasadniczy. Niektórzy mówią jedno, a robią drugie. – Westchnął przeciągle. – O, ten mały, pomachaj mu, będzie mu miło – powiedział, więc spojrzałem we wskazanym kierunku, dostrzegając mniej więcej ośmioletniego, obserwującego operację, chłopca. Luigi wczuł się aż nadto. – Ugo, Ugo! – wołał. O tyle dziwne, że dzieciak nawet nie patrzył w naszą stronę.

– Nie będę do nikogo machał, zapomnij. Kim on jest?

– Na mój rozum twoim następcą. Pokroił już swoich starych. O Jezu, ale wtedy płakał. – Objął głowę. – Mało mówi. W wolnym czasie pisze listy.

– Do kogo?

– No, do rodziców. Co ty taki nieogarnięty?

– Bezsens. Przecież nie żyją.

– Kurwa, jesteś jakiś bezuczuciowy! – oburzył się. – Nie pieką cię oczy na samą myśl o tej tragedii?

Luigi potarł teatralnie powieki, imitując ocieranie łez, a ja przyglądałem mu się bez słowa.

– Nie rozumiem – powiedziałem w końcu.

– A ogarnąłeś w ogóle cokolwiek z tego, co mówiłem? Zobaczyłeś już wiele, więc wiesz, co to za miejsce? – zapytał, ale nie odpowiedziałem. Odpychałem myśl o oczywistym, naiwnie sądząc, że rzeczywistość można zakłąć. Luigi sapnął, złapał mnie za nadgarstek i pociągnął za sobą. – Nie lubię tam wchodzić. – Przełknął głośno ślinę, kiedy zbiegaliśmy po kolejnych schodach. – To najniższa kondygnacja. Wygłuszona, bo bywa tu naprawdę głośno. Od samych krzyków i spazmów można dostać świra – nawijał. – W poczekalni panuje inna atmosfera. W powietrzu unoszą się opary wiary i nadziei. Przebywający tam *szczęściarze* liczą na zastrzyk gotówki i odmianę losu. Tych z dobrymi wynikami zapraszamy tutaj...

DRZWI CELI.

Luigi wklepał kod na panelu, a kiedy uchyliły się potężne wrota, żałowałem, że nie mam kilku par rąk, by jednocześnie zasłonić oczy, uszy i zatkać nos. W efekcie zdecydowałem się na trzecie. Po obu moich stronach znajdowały się klatki. Śmierdziało jak w oborze. Aspekty te łączyłyby się w spójną całość, gdyby nie drobny szczegół – w zagrodach tych przebywali ludzie. Szarpali za pręty, krzyczeli, płakali. „Na pomoc!”, „Uciekaj”, „Pomóż nam!”

Szedłem dalej. Coraz bardziej oszołomiony, obrzydzony, zdezorientowany. Wtedy chyba po raz pierwszy zrozumiałem istotę znieprawdzonej, bo paraliżującej i siejącej we wnętrzu spustoszenie, paniki.

– W klatkach jest tłoczno. Cele są na wypasie. – Słowa Luigiego docierały do świadomości z opóźnieniem. – Tę zajmuje ten mały. – Wskazał. – Ma tu pisaki i kartki, nawet kibel.

– Nawet? – wydusiłem. – Od tych ludzi – rozejrzałem się dookoła, chłonąc obrazy z pierwszorzędnego horroru – pobierane są organy? A to co,

kurwa, średniowieczne kajdany? – Wszedłem do jednej z celi i potrząsnąłem przytwierdzonymi do muru łańcuchami.

– Ten cieńszy to splot cardano. Robiony na specjalne zamówienie. Nie łamie się i nie płacze – nawijał, podczas gdy krew w moich żyłach wchodziła w fazę wrzenia. – I przepraszam – bąknął. Zanim zdążyłem się odwrócić, zapytał za co, do cholery, usłyszałem skrzypienie, a następnie łoskot zatraskiwanych z impetem drzwi. – Nie szarp. W celach zamki są automatyczne, bo ich mieszkańcy są cenni.

– Otwórz – powiedziałem spokojnie, chociaż serce waliło mi jak młotem. Na czole Luigiego perlił się pot.

– Twoje zewnętrzne opanowanie nie współgra z tym, co dostrzegam w twoich oczach, więc nie. – Spojrzał w lewo. – Zaraz przyjdzie ojciec. – Potarł ramiona, a potem podwinął rękaw i zagryzł wargę. – Jeszcze nic straconego, Spirito. Stary zauważył, że jesteś trudny. Zadajesz za dużo pytań. Udawaj chętnego do współpracy, wtedy będzie łatwiej. Pomogę ci. – Zdrapał strupek w zgięciu łokcia. – Za którymś razem uda mi się uciec z ośrodka, zgłoszę, co tu się wyprawia, i odwiedzę tę dziewczynkę – wymieniał.

– Nie zbliżaj się do niej! – wrzasnąłem. – Ani się, kurwa, waż, bo przysięgam, wypruję ci flaki! – Nie wiem, który z nas trząsł się bardziej. Byłem skłonny wydlubać mu gałki. Bzdura. Zagryźć go na śmierć. – Zresztą, już teraz obiecuję ci, że jedyne, co ci się w życiu uda, to...

Nie dokończyłem, bo przyłazł Bandetti. Luigi podreptał do niego jak usłużny pies i wystawił łapę, sapiąc z ulgą, gdy stary nakłuwał mu żyłę. Wszystko stało się jasne.

– Zwabiłeś mnie tu za działkę? Pierdolony ćpun!

– Uspokój się, dzieciaku – powiedział doktor. – Czas, żebyś ustalił priorytety. Dam ci kilka dni. Mam nadzieję, że wkrótce porozmawiamy jak ludzie na poziomie. Na ten moment twoja postawa jest skrajnie patologiczna – ocenił.

– Jaka, kurwa? – Zaśmiałem się. – Mój stary przewraca się w grobie. Ja jebię – zacisnąłem ręce na głowie – to jakiś koszmar.

– Po pierwsze z tego, co mi wiadomo, Crispino w nim nie spoczywa, a po drugie, jest współtwórcą tego, tego – motał się, wymachując palcem.

– Tej fabryki. Nie bójmy się nazywać rzeczy po imieniu – warknąłem.

– Jesteś *czymś* stworzonym przez nas – oznajmił, a ja z całych sił próbowałem zamaskować, jakie wrażenie wywarły na mnie jego słowa –

stąd określenie współtwórcy. To miałem na myśli. Twoi rodzice cienko przędli. Im już nie pomożesz stanąć na nogi, ale o swoją przyszłość wciąż masz szansę zadbać. Musisz tylko otworzyć się na nowe możliwości.

– Chętnie – odpowiedziałem, co przyjął z uśmiechem. – Lepiej od razu mnie zabij, bo następnym, którego otworzę, będziesz ty!

Cmoknął niezadowolony.

– Przestań zgrywać prawego. Chyba nie muszę ci przypominać, że masz krew na rękach. Tym razem nie będziesz znał nawet personaliów.

– Należę do *Mano d'onore*. Rozkaz i słowo są świętością. Psycholog, bo zapewne o nim mowa, padł ofiarą tego pierwszego. Ty nie masz nade mną kontroli, twoje dyspozycje mnie nie obchodzą.

Zaśmiał się złowieszczo.

– Czarujesz skalpelem. Rozporządzasz władzą skondensowaną w kawałku stali węglowej. Ostro – mruknął. – Ja wybebeszam za pomocą zaklęć. Moje ulubione to takie czteroliterowe. Ma wielką moc. Zgaduj-zgadula, Spirito?

– Zabiję cię.

– Wolisz zacząć od dziewięcioliterowego? Mówisz i masz: Bommarito. Ostatnio spotkałem Mauricia. Nie pisałem o tobie słówka, bo przecież jesteśmy współnikami. – Zmrużył oczy, jakby szukając potwierdzenia. – Czteroliterowe to oczywiście: Zita. Co ciekawe, a zarazem kompletnie zaskakujące, właśnie ona jest dla ciebie ważniejsza niż ty sam. Nijak się to ma do twojego egoizmu. Nieważne – rzucił. – Najwidoczniej nawet w programowanym przez niemal piętnaście lat systemie mogą zdarzyć się błędy. Do sedna, jak mawiają członkowie waszej organizacji, coś za coś, Spirito. Spokojne życie dla Zity w zamian za...

– Zgadzam się.

Płać lub płacz. Ewentualnie oba na raz. Wszystko ma swoją cenę, a ja byłem splukany. Jedyne, co posiadałem, to życie, to ręce. Złożyłem więc ofiarę. Siebie. Nie ma co dopatrywać się w tym geście szlachetności. Żadne poświęcenie. Zagrywka podyktowana wąskim spektrum opcji.

---





3 rafikim (suahili) – przyjacielem

# ROZDZIAŁ 16

## *Spirito*

Wracam do rzeczywistości, próbując zalogować się do zainstalowanej przez Luigiego aplikacji. Bezskutecznie. Nieszczerólnie dziwi mnie, że coś, co z założenia miało być ułatwieniem, wskazywać, gdzie przebywa Zita, jest komplikacją. „Wpisz hasło”, „Nieprawidłowe hasło”, „Nie pamiętasz hasła?”. Wybieram numer Luigiego, raz, drugi, trzeci. Szaleńczo uderzam o blat biurka. W tych niefortunnych okolicznościach zastaje mnie Tafari. Rzucam w jego stronę telefonem. Łapie go w locie.

– Zaloguj mnie.

W skupieniu zerka na wyświetlacz.

– Zero, zero, zero, zero – mówi, wpisując. – E, nie, jednak zgadywanki to nie moja bajka. – Wzrusza ramionami. – Konto użytkownika zostało zablokowane – stwierdza lekkim tonem, odrzucając komórkę.

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

– Rozumiem, że uparliście się, żeby zepsuć mój plan – warczę, na co unosi brwi w zdziwieniu. – Po co w ogóle to wklepałeś?!

– A ty? Zanim nastąpi blokada, ma się kilka szans, więc odbij. Musiałeś próbować przede mną. Zresztą, olać apkę. – Macha lekceważąco. – Możesz łączyć po domu. Zita wybyła.

– Znów? Dokąd?

– No, tak jakby nie powiedziała. – Drapie się po skroni. – Szczerłość za szczerłość, a że nie miałem żadnej informacji na wymianę, to po prostu wyszła. – Mruży oczy. – W tej sytuacji to całe „olać apkę” nie brzmi tak dobrze. Skontaktuję się z Luigim.

– O co chodzi z tą szczerością?

– A, to. – Śmieje się nerwowo. – Zawarłem z nią taki pakt. Ale spokojnie – dodaje asekuracyjnie, bo zapewne nie umyka mu moja wściekłość – unikam jej, żeby nie kusić losu i czegoś nie chlapnąć.

Chryste. Tylko czekać, aż wszyscy zacniemy się przed nią ukrywać.

– To ma mnie uspokoić?

– Ty sobie nie zdajesz sprawy, jaka ona jest namolna – sapie. – Nie jest jedną z tych, które gryzą się w język. Z premedytacją zadaje niewygodne

pytania, stosuje jakieś sztuczki i specjalnie człowieka – zaciska pięści – wkurwia, licząc, że ten przestanie nad sobą panować, straci kontrolę i wszystko jej wyśpiewa.

– Jak zwykle wyolbrzymiasz. Luigi nie ma takiego problemu. Ja zresztą też – oznajmiam z dumą. Zdecydowanie przesadną, ale nie musi o tym wiedzieć.

Boah odwraca się do mnie tyłem. Jego plecy podrygują.

– Proszę, przestań – wydusza, hamując śmiech. Po chwili potrząsa ramionami, jakby się ogarnął, i staje przodem. – Dobra, już mi przeszło. Wybacz, nie chciałem roześmiać ci się w twarz – stwierdza i... zaczyna rechotać. – Kurwa, nie chcesz wiedzieć, jakim mianem Zita określiła dziś dzwoniącego do niej funkcjonariusza – wykonuje cudzysłów w powietrzu i zerka na zegarek. – Na którą zapowiedziałeś się u Alfreda La Mantide?

– Co masz na myśli?

– Dokładnie to, o co zapytałem.

– Na żadną?

– Myślałem, że się do niego pofatygujesz, skoro nie zapłacił w terminie.

– Patrzy na mnie wyczekująco.

– Tafari, czy ty jesteś jakiś zębany? Pytam poważnie. Jesteś? Oczywiście, że go odwiedzę. O co ci chodzi? – Przyciskam palce do powiek. – Zjem śniadanie i pojedę.

– Bez umówienia?

– Nie no, uprzednio zadzwonię i poproszę o łaskawe poświęcenie mi kilku minut. – Wzdycham zrezygnowany, bo żarliwie potakuje. – Oczywiście, że bez! Co z tobą?!

Zostawiam Boaha w gabinecie, licząc, że mam go już z główki. Nawet jeśli miałbym rację, za wcześnie na świętowanie. Tak się składa, że ostatnimi czasy w tym domu podobnych jemu jest więcej. Banda, całe multum kretynów. Posadzka i meble w jadalni zabezpieczone są folią, w niektórych miejscach umazaną czymś czerwonym.

– Próbujecie upozorować morderstwo czy co, kurwa, planujecie? – sapię, zwracając się do jednego z Wyznawców.

– Tafari kazał zadbać o, jak on to nazwał – gość drapie się po brodzie – wizualną oprawę remontu. Zapłacił nam – wskazuje na trzech pozostałych – za zgrywanie brygady fachowców.

– Chore.

Powiedziałem to ja. Zdrowy, racjonalny, udający, że nie mieszka w swoim domu, gość. Po ich minach wnioskuje, że doszli do podobnego wniosku, dlatego opuszczam towarzystwo, zanim któryś z nich postanowi wyrazić tę myśl na głos.

W kuchni zastaję wpięprzającego banana Boaha.

– Nie masz jakichś zajęć? Dlaczego jesteś – nabieram powietrza – wszędzie?

– Na trzynastą mam być w sądzie. Do tego czasu zamierzam się lenić – mówi bez ogródek. – W końcu mieszka z nami ktoś, kto wie, że poobijane banany są najsmaczniejsze.

– Te dojrzewające w cieniu śmietnikowej kłapy szczególnie – stwierdzam, otwierając, a za moment zamykając lodówkę. – Nie lubię takiej ruletki. Jednak zjem na mieście.

– Ruletki? – pyta zdziwiony.

– Salmonella, gronkowce, paciorkowce, beztlenowce. Dla każdego coś smacznego. Ciekawe, czym właśnie się częstujesz – zastanawiam się głośno, bo bierze kęs kanapki.

– Na pewno żadnym z wymienionych przez ciebie specjałów. – Kręci głową. – Świeże, spróbuj – namawia, podsuwając talerz w moją stronę. – Zita zrobiła zakupy z samego rana.

Nawet nie drgnę.

– Część dostała na zasadzie wymiany, a resztę wygrzebała z kosza.

– Niemożliwe. Naprawdę była w sklepie – przekonuje. – Zostawiłem jej za mało kasy, więc dołożyła ze swoich. Musiałem ją namawiać, żeby przyjęła pieniądze, bo odmawiała, gdy chciałem oddać. No, ale w końcu się zgodziła i dodała, żebym już nigdy więcej nie powierzał jej takich zadań, ponieważ nienawidzi robić zakupów.

– I co dalej?

– Mając na uwadze, jak bardzo działa mi na nerwy, powiedziałem, że się nie wymiga. Ale była wkurzona – oznajmia uradowany. – Kopnęła krzesło, rzuciła coś w stylu „jesteś podły” i tak jakby się popłakała.

– Tak jakby?

– Chlipała i pociągała nosem. Łez nie było, bo cierpi na zespół suchego oka. – Z każdym wypowiedzianym słowem rzadnie mu mina. – Dobra, nawet nie komentuj. – Unosi dłoń. – Zrobiła mnie na szaro i jeszcze jej za to dopłaciłem. Taka prawda.

– Cóż...

Komu w drogę, temu czas, a ten nie jest z gumy i bywa naprawdę cenny.

Dlatego gdy po przyjeździe do Katanii sterczę z dobre pół godziny przed bramą rezydencji państwa La Mantide, zaczynam rozważać naliczanie odsetek. Trudno stwierdzić, jak brzmi formuła otwierająca ten sezam. Trąbienie, cofanie autem, żeby umożliwić im zobaczenie numerów rejestracyjnych na ekranie monitoringu, nie przynoszą oczekiwanego skutku. Wsiadam i wielokrotnie wciskam przycisk domofonu, aż w końcu słyszę dziecięcy głos:

– Kto tam?

– Święty Mikołaj, otwieraj.

Dziecko chichocze.

– Nie mogę, bo dostanę lanie. Przyszedłam do budki strażniczej nielegalnie i teraz ja tu rządę.

– Przyszłam – poprawiam ją.

– Będę mówić, jak chcę! Powiedziałam przecież, że ja tu rządę! – wrzeszczy, a po chwili dodaje: – A co mi przywiozłeś i czy dużo?

– Dziesięć euro.

– Czyli mało.

– Dwadzieścia.

Do moich uszu dobiega jęk niezadowolenia.

– Za sto dwadzieścia mogę przypadkiem oprzeć się o guzik i brama zacznie się rozsuwać.

– Zapomnij – rzucam stanowczo.

– Mogę dać dwadzieścia euro zniżki pod warunkiem, że mnie nie wydasz.

– Dobrze – burczę sfrustrowany.

– Żadne dobrze! Chłopacy muszą mówić: „Daję słowo. Jeśli je złamię, uschnie mi siusiak”.

– Daje słowo. Jeśli je złamię, uschnie mi siusiak.

– Jestem usankcjonowana – oznajmia zadowolona. – Dokładnie to chciałam powiedzieć. Bo mogę, bo chcę!

Kwadrans w towarzystwie jednej z pań La Mantide to zdecydowanie o piętnaście minut za dużo. W duchu śmieję się z Efešta i Erosa, z ich dokonanych w fazach zaćmienia umysłu nieroztropnych wyborów. W porównaniu z nimi jestem prawdziwym szczęściarzem. Zicie daleko do osobliwych córek Alfreda. Nie jest taka dziwna, tylko... idealna.

Idealna dla mnie.

Niekoniecznie wiem, co począć z tym faktem. Nie mam doświadczenia w tworzeniu relacji, zabarwianiu ich emocjami i doszukiwaniu się w tym wszystkim jakiejś, kurwa, głębi.

Wjeżdżam na teren posesji, a kiedy opuszczam pojazd, do moich uszu dobiega:

– Psst. Rzuć kasę na żwirek. Podejdę znieńcka i sobie wezmę. – Rozglądam się, ale nikogo nie dostrzegam, słyszę jedynie piskliwy głosik. – Jestem w krzakach. No rzucaj, coś za coś – warczy. – I dziękuję – dodaje miłszym tonem.

Spełniam żądanie i wbiegam na werandę. Naciskam dzwonek, lecz po chwili odwracam się, słysząc melodyjne pogwizdywanie. Mała dziewczynka, swoją drogą skóra zdjęta z żony Efasta, schyla się, udaje, że zawiązuje sznurówkę, i zgarnia leżące na podjeździe pieniądze.

– Wymuszone to prawie jak znalezione – mamrocze pod nosem.

W tym samym momencie drzwi domu zostają otwarte przez pyzată, zielonowłosą nastolatkę. Taksuje mnie wzrokiem i strzela mi przed twarzą balonem z gumy do żucia.

– Dzień dobry, jestem... – zaczynam, ale unosi dłoń.

– Nic nie mów, sama zgadnę. – Mruży oczy. – Zakapturzona, niezdrowo blada postać o przeszywającym, pustym spojrzeniu. Jesteś, jesteś – powtarza – moim ideałem? – Teatralnie opiera się o framugę. – Gdy na ciebie patrzę, tracę grunt pod stopami. – Wachluje twarz ręką.

– Nazywam się...

– Mokre senne marzenie lub facet nie z tej ziemi? Jeszcze żaden mężczyzna, witając się ze mną, nie użył słów „dzień dobry”. Skąd ty się urwałeś?

– Mówią na mnie...

– Siewca śmierci, ponury kosiarz?

Więcej komplementów nie zdzierzę, a coś mi mówi, że ona dopiero się rozkręca.

– Spirito Beneventano.

– Się wie, sporo o tobie słyszałam. Wreszcie ktoś sensowny w naszych kręgach, bo ten cały Ferro zaczyna mi działać na nerwy – nawija. – Jedyne, co go interesuje, to stan mojego uzębienia. – Przewraca oczami. – Ty jesteś zupełnie inny. Tak czuję. Tu, w głębi serca. – Kładzie dłoń na piersi.

– Prawda. Jestem inny. Mnie nie interesujesz wcale.

– Słucham? Nie masz taktu czy co?

– Mam sprawę do Alfreda. Przesuń się. – Odpycham ją i wchodzę do środka. – Gdzie urzęduje twój stary? – Rozglądam się dookoła.

– Spokojnie, dlaczego od razu tak nerwowo? Zaraz zjedzie windą. Wie, że przyjechałeś. Mamy przecież monitoring. – Śmieje się, patrząc na mnie jak na przybysza z innej epoki. – Tylko ojciec i jeden z jego żołnierzy mają pilot otwierający bramę. Kiedyś przycisk znajdował się w budce strażniczej, ale przez Etnę, która nadużywała tego udogodnienia, terroryzując ochronę, zrezygnowano z tego rozwiązania. – Wzrusza ramionami.

Puszczam te wieści mimo uszu. Myśl, że dałem się wyrolować kilkulatce, delikatnie mówiąc, nie jest przyjemna.

– O czym porozmawiamy? – kontynuuje dziewczyna.

– O niczym? – odpowiadam pytaniem i zerkam na zegarek. – W końcu – sapię z ulgą, zauważając toczącego się od strony windy Alfreda.

Macha w geście powitania i uśmiecha się szeroko. Spoglądam za siebie, będąc pewnym, że stoi tam ktoś wzbudzający w nim pozytywne odczucia. Nikogo nie dostrzegam.

– Cieszysz się, że mnie widzisz, czy dlaczego się, kurwa, tak cieszysz? – pytam zdezorientowany, kiedy zatrzymuje się przy moich nogach.

– Chcę zapisać ci w pamięć jako jedyna osoba, która raduje się na twój widok. – Wystawia dłoń, którą potrząsam.

– Wolałbym zapamiętać cię jako tego, który dokonuje płatności w terminie.

Alfredo się śmieje. Niekoniecznie nerwowo. Prędzej głupkowato. Próbuję postawić się w jego położeniu, zrozumieć, co go tak bawi, skoro mówiłem najzupełniej poważnie – zbędne starania.

– Omówmy to na spokojnie w moim gabinecie. Zapraszam.

„Omówmy”. Nie lubię tego słowa. Brzmi, jakby dotyczyło zagadnień, nad którymi naprawdę trzeba się pochylić i je rozpracować, podczas gdy sprawa jest prosta. Mając do wyboru pękate „O”, w którym najwidoczniej skumulowały się wyimaginowane problemy Alfreda, a „S”, zawsze postawię na to drugie.

Małolata wpatruje się we mnie z przesadnym zainteresowaniem. Postanawiam podążyć za jej starym i ukrócić swe, co tu dużo mówić, męki.

Będąc w gabinecie, Alfredo przystaje za biurkiem. Porusza głową, sugerując, bym zajął miejsce naprzeciwko, co zresztą czynię. W międzyczasie wyciągam z kieszeni skalpel i zdejmuję osłonkę z ostrza.

Spojrzenie, jakim obdarza mnie La Mantide, trudno zamknąć w jakichkolwiek ramach.

– Chyba nie myślałeś, że przyjechałem na kawę? – pytam.

– Daj spokój. – Śmieje się. – Nie urodziłem się wczoraj. Jesteś na moim terenie, w moim domu. Sam. – Wyjmuje spluwę zza paska. – Nie chciałbyś, żebym zaprezentował ci wyższość tego – przeładowuje broń – nad tym – wskazuje skalpel, a po chwili zerka w stronę okna i prychnie. – Już cię rozgryzłem. Zabawa w snajperów trwa w najlepsze? Planujesz mnie załatwić tak jak Mauricia Bommarita?

– Łatwo przewidzieć moje ruchy, więc po co pytasz?

Wyjeżdża zza biurka. Krąży po gabinecie, zapewne chcąc być w ciągłym ruchu, bo w jakimś, kurwa, pokrętnym wyobrażeniu zwizualizował sobie, że w ten sposób uniknie zarobienia kulki. Na luzaku żłobię w blacie, wykorzystując czas twórczo. Alfredo wzdycha przeciągle i przystaje przy parapecie. Zerkam na niego kątem oka, kiedy w skupieniu wypatruje śmierci.

– Bum! – wrzeszczę, na co podryguje w przestkach. – Spokojnie, nie przyjechałem w celach towarzyskich, ale planów, tych morderczych, też na dziś nie mam. Chyba widzisz, jak wyglądam? – Poprawiam kaptur wypłowiałej bluzy.

– A co to ma do rzeczy? Ważne, co masz w głowie, a w tej podobno nie za ciekawie. – Dzieli się spostrzeżeniami. – Jeśli natomiast brać pod uwagę twoją prezencję, faktem jest, że sprawiasz wrażenie zabiedzonego i ponurego – ocenia.

– Poczuję się urażony, bo mam naprawdę bogate wnętrza – burczę. – Ty zresztą też.

– A dziękuję. – Chuj wie za co. Przecież nie ja ustalę jego rynkową wartość.

– Co do drugiego zarzutu, zwykle zarażam energią i gęba sama mi się cieszy – ironizuję. – Jeśli nie dostrzegasz we mnie radości, z której słynę, może warto pogłódkować, dlaczego jestem taki nietypowo markotny?

Muszę zmniejszyć oczekiwania, jeśli nie chcę tu kwitnąć do jutra. Nie od dziś wiadomo przecież, że „głódkowanie” i Alfredo nie idą ze sobą w parze.

– Sądzisz, że mam dyplom z psychiatrii? Nie żebym się starał takowy zdobyć. – Śmieje się. – Co ty mi tam, kurwa, rzeźbisz? – Podjeżdża do biurka. – To antyk!



– Nie, to wzornik. Wkrótce odbiję to „S” – wskazuję – na twojej skroni. A wtedy jedyne, co ci się w życiu uda, to umrzeć. – Wstaję. – Dobrze wieści są takie, że nie będziesz musiał wysilać się bardziej niż do tej pory, żeby słowu stało się zadość – pocieszam go. – Dwa tygodnie. Czternaście dni. – Stawiam klepsydrę na blacie. – Czekam na kasę.

– Nie masz w sobie nic ze swojego ojca – wyrzuca.

– Naprawdę przyjemnie to słyszeć, ale nabijanie mojego ego komplementami nie sprawi, że twój dług się zmniejszy.

W jego oczach dostrzegam niezrozumienie, którego... cóż, nie rozumiem.

– Nie bądź taki zasadniczy. Na pewno dojdziemy do porozumienia.

– Doszliśmy do niego w momencie, kiedy uścisnąłeś dłoń mojemu bratu, akceptując tym samym warunki dostawy i zapłaty – informuję i wyjmuję wibrujący telefon. Odrzucam połączenie, mimo że dzwoni Luigi. – Na mnie już pora.

– Sam czekam na rozliczenia i przelewy. – Alfredo mówi z taką pretensją, jakbym to ja ponosił odpowiedzialność za niesłowność jego kontrahentów. – Odrocz termin płatności i dostarcz mi zamówiony towar, żebym mógł go upłynnić. Jeśli pójdiesz mi na rękę, ofiaruję ci jedną z moich córek.

– Nie.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co proponuję? Córka plus, za jakiś czas, pieniądze. Czysty zysk! Luna nie zrobiła na tobie wrażenia? Ta z okrągłą gębą? Isabella ci się spodoba. Cicha. Niby jest, a jakby jej nie było. Taki, kurwa, mały cud mi się trafił w tym życiu. – Rechocze.

Do gabinetu wpada, jak się okazało, Luna.

– Mogę podać takiej jednej aktualny adres Almy? – pyta.

Alfredo szarpie włosy.

– Idiotko, po raz kolejny ci powtarzam, Alma nie jest moją córką – syczy przez zęby. – Zamiast sprzedać duszę, ona ją oddała! – unosi się. – Diabłu. Za darmo. Dostrzegasz paradoks, Spirito? Wypad. – Macha ręką. – Wypierdalaj!

Dziewczyna, która wcześniej wydawała się aż nadto wygadana, wychodzi, nie siląc się na żaden komentarz.

– To jak, zainteresowany Bellą? Możesz od razu ją zabrać.

Luigi znów dobija się na moją komórkę. Po raz kolejny odrzucam połączenie.

– Czekam na przelew – urywam temat i zmierzam ku drzwiom. – Nie musisz mnie odprowadzać.

Przepełnione frustracją westchnienie Alfreda robi na mnie takie samo wrażenie, jak zaproponowany przez niego *mały cud*. Jedno i drugie wywołuje znane mi na wylot, niewytrącające ze stanu zubożenia, emocje. Nic nowego. Za mało, żeby grunt się osunął spod stóp, a serce weszło w fazę drżenia. Niewystarczająco, by stopić lód.

Nie żebym liczył na przereklamowany huragan doznań. Nie musi to być od razu orkan, ale może chociaż wicherek, kurwa, zefirek?

Podążając korytarzem, wyciągam komórkę z zamiarem oddzwonienia do Luigiego. Wcześniej jednak próbuję uporać się ze spływającą lawiną coraz to nowych wiadomości.

*Luigi*: Zapomniałeś hasła do aplikacji? Sam je wymyśliłeś!

Następna i wiele kolejnych...

*Luigi*: Jesteś w domu Alfreda?

*Luigi*: Tak czy nie?

*Luigi*: Ona tam jest.

*Luigi*: Zwiewaj.

*Luigi*: Debilu, ona tam jest!!!

Pieprzony spamer. Wybieram jego numer. Odbiera od razu.

– Ale akcja, co? I jak tam? Wracasz już? Ona jeszcze stamtąd nie wyszła – nawija rozemocjonowany.

– Ona, czyli kto? – Ziewam, leniwie przecierając oczy, a kiedy odzyskuję ostrość widzenia, jestem pewien, że gdybym nie wyzionął ducha lata temu, ten spierdoliłby właśnie w tym momencie. Odpowiedź Luigiego niczym echo obija się o ściany czaszki. „Zita, Zita, Zita”.

Dziewczyna zmierza w moją stronę żwawym krokiem, obdarzając mnie przeszywającym na wskroś spojrzeniem. Mam. Przez. Nią. Dreszcze.

– Orkan nadciąga – sapię i przyciskam telefon do klaty, kiedy Zita się ze mną zrównuje. Patrzę na nią z góry. – Ups?

– Ups? – powtarza, unosząc brwi w zdziwieniu. – Może dla ciebie. Dla mnie „hura”, gościu.

# ROZDZIAŁ 17

## *Zita*

Brawo ja. Zamurowało go. Stoi przede mną niczym wyciosana w białej kredzie rzeźba. Jestem równie zaskoczona, co on, lecz mając na uwadze, jak przebiegło nasze ostatnie spotkanie, próbuję zachować zimną krew.

Zadanie z serii trudnych, bo tym razem również przepełnia mnie dziwne, zabarwione tęsknotą i ciekawością uczucie. Możliwe, że zawsze towarzyszy momentom, w których nadszarpnięty czasem, nieco już zamazany obraz danej osoby zostaje zastąpiony nowym, aktualnym, a wielokrotnie przesiewane w myślach wspomnienia ożywają. Teoretycznie ma się wtedy prawo pieprzyć trzy po trzy, wyskoczyć ze zbroi, która, co tu dużo mówić, lekka nie jest, trochę cięży...

W praktyce lepiej sobie na to nie pozwalać.

„Ups” jest jak najbardziej na miejscu, przyznaję. Choć, żeby w pełni oddać obraz sytuacji, wypadałoby jeszcze dodać: „O rany i o rety”, a przede wszystkim: „Co teraz, do cholery?!”.

Patrząc jednak na kamienne oblicze Spirito, zaczynam sądzić, że w tej chwili wyduszenie krótkiego: „Bu”, sprawiłoby mu trudność. Zdziwaczał jak nic. Wszystko w moich rękach. Na moich barkach. To akurat nie dziwi, ale fakt, że wgapia się we mnie bez krępacji, wywołuje niemałe zdumienie. O co mu chodzi? Odwdzięczam się tym samym. Zawzięcie zaciskam usta i przez dłuższy czas w skupieniu świdruję go wzrokiem.

– Przegrałeś. – Zadowolona pstrykam palcami.

– Co?

– Mrugnąłeś.

– No i?

– Przegrałeś – powtarzam. – Odpadłeś z zawodów, skapitulowałeś, uległeś pod ostrzałem mojego spojrzenia. Zdominowałam cię.

– Sądzisz tak – nabiera powietrza – ponieważ mrugnąłem?

Stojąca obok Luna klepie mnie w ramię.

– Dłużej nie wytrzymam. Nie składałam ślubów milczenia, żebym musiała się męczyć. – Dotyka ust, rozsuwając wymyślony zamek. – Podtrzymuję wszystko, co o tobie powiedziałam – zwraca się do Spirito i

pociera ramiona. – Wpatrywałeś się w nią tak intensywnie, jakbyś chciał wyssać z niej życie. I chyba się udało, co? Ty nabrałeś kolorów, ona zbladła. – Mruży oczy. – Znacie się?

– Tak – mówię.

– Nie – odpowiada on, w momencie, kiedy zza rogu wyjeżdża mężczyzna na wózku inwalidzkim.

– Jeszcze nie odjechałeś? – pyta, zbliżając się do nas. – A ty to kto? – Przygląda mi się z ciekawością.

– Koleżanka Almy. Zita – informuje Luna.

– Rita – oznajmia w tej samej chwili Spirito. – I właśnie wychodzimy. – Patrzy na mnie ponaglająco.

Facet uśmiecha się szeroko.

– Co u ciebie Zito Rito?

– W porządku. I wystarczy samo Zito. Nie wiem, skąd mu się wzięła jakaś Rita. – Marszczę brwi w niezrozumieniu.

– Dla mnie to aż nadto oczywiste. Córka, niech zgadnę, kucharki? – Mężczyzna składa dłoń, imitując pistolet i celuje w Spirito. – Jak to leciało? Ach, już wiem, BUM! – Śmieje się, naciskając na wyimaginowany spust. – Chyba jednak się dogadamy, a termin płatności z automatu ulegnie wydłużeniu, panie Beneventano – stwierdza sucho, rozkładając ręce.

– Nie mieszaj się, Alfredo. Uwierz mi, taki kłopot – Spirito wskazuje na siebie – nie jest ci potrzebny.

Przeskakuję wzrokiem między nimi, zerkając raz na jednego, raz na drugiego.

– Zbierają się nad tobą czarne chmury, chłopcze. Nadciąga ulewa. Burza z piorunami.

– A niech to – sapie Spirito. – Dopiero teraz dotarło do mnie, że decyzja o ujawnieniu była nieprzemyślanym impulsem. Obudziłem się pewnego dnia i stwierdziłem, że wrócę do *matki*, a przecież wcześniej wypadałoby wybić tych, którzy stanowią dla mnie największe zagrożenie.

– Przecież to zrobiłeś. – Facet patrzy na niego jak na durnia.

– O, faktycznie. – Spirito żarliwie przytakuje. – Co więcej, może przypadkiem udało mi się stworzyć organizację w organizacji i zupełnie nieświadomie zwerbować ludzi dbających, by za bardzo na mnie nie napadało. Ale tak jak mówię, „może”. – Przez chwilę przygląda mi się wnikliwie. Prawdopodobnie próbuje wybadać, ile z tego rozumiem. Bez obaw. Nie za wiele. Nic. – Świadomość, że mogłem tego dokonać, nieco

przytłacza. Oznaczałoby to, że jestem naprawdę wyjątkowy. Władca piorunów czy inny chuj. Lekka przesada. Nawet jak na mnie.

– Czyli nie obawiasz się, że teraz, dysponując wiedzą dotyczącą tej małej – mężczyzna podjeżdża bliżej i przystaje u mojego boku – mogę pokrzyżować ci szyki?

– A ty, że stracisz któryś ze swoich – Spirito przygarnia Lunę pod ramię – dochodowych cudów?

Wytrzeszczam oczy. Co to niby ma znaczyć? Jak w ogóle można tak powiedzieć?

– Wydłuż mi termin zapłaty i zapomnamy o sprawie – proponuje Alfredo. – Udam, że nie wiem, kim ona jest.

– W sensie ja? – pytam, ale równie dobrze mogłabym milczeć, bo nie doczekuję się odpowiedzi.

– Dobra. Umowa. – Podają sobie ręce, a Spirito wygłasza: – Zaprzysiężony, śmiercią naznaczony... a nie – potrząsa głową – zapomniałem, że zmodyfikowałem słowa ślubowania. Jeszcze raz. Zaprzysiężony, za życia skreślony, po kres związany przysięgą.

– Żartujesz?! Zmieniłeś tekst rodowego przyrzeczenia? To wbrew zasadom!

– Aaaa, skoro tak, to oczywiście żartuję.

– Słowo to świętość. – Gość uderza w pierś.

– Zgadza się.

Cieszę się, że to rozumie, dlaczego więc go nie dotrzymuje? W jego przypadku słowa są „puste”.

– To o ile wydłużyłeś mi czas zapłaty?

– O dobę.

– Pogrywasz sobie ze mną?! – wydziera się Alfredo. – Z Diabłem na łby się pozamieniałeś?! – Zapluwa sobie brodę.

– Nie rozumiem – odpowiada spokojnie Spirito. – Dotrzymałem swojej części umowy i tego samego oczekuję od ciebie. Zrobiłem to, na co się umówiliśmy. Chciałeś, żebym wydłużył termin.

– Ale nie o dzień!

– Nie czytam w myślach – oznajmia Spirito i patrzy na Alfreda w taki sposób, jakby na serio nie ogarniał, dlaczego się piekli. – W twoim interesie było sprecyzować, zanim dobiliśmy targu. Chodźmy. – Chwyta mnie za łokieć i prowadzi w stronę wyjścia.

– Już nie żyjesz, skurwysynu!

Spirito otwiera przede mną drzwi, ogląda się za siebie i tonem bez wyrazu odpowiada:

– Przecież wiem. A ty kombinuj, żeby nie podzielić mojego losu. Piętnaście dni. Tik-tak. – Porusza palcem jak wahadłem.

– Ponegocjujmy jeszcze, do cholery!

– Pertraktuj z czasem – mówi Spirito. – To on jest mordercą – dodaje i wypruwa do przodu jak strzała. Zbiega po schodkach, zapominając o mnie. Albo i nie, bo zerka za siebie, rzucając w pośpiechu: – Szybciej, zaraz zasuną bramę.

Biegnę w kierunku auta i krzyczę:

– Skąd wiesz?!

Wsiada do wozu, ignorując pytanie. Kiedy rozlega się ryk silnika, brama rzeczywiście zaczyna się zamykać.

Spirito wyjeżdża na pełnym gazie poza teren rezydencji, a ja, potykając się na prostej drodze, naginam jego śladem. Co jest z nim, kurwa, nie tak? Chwila, w której ocieram plecami o mur, zezując na nieuchronnie sunące wprost na mnie stalowe skrzydło, zdaje się trwać wiecznie.

Udało się. Fartem!

Wskakuję na miejsce pasażera.

– O rety. Daj mi chwilę – sapię, próbując wyrównać oddech. – Zaraz odpowiesz mi na kilka pytań.

– Co zrobię?! – Jest tak zdziwiony, jakbym co najmniej poinformowała go, że za moment poleci w kosmos.

– Przecież słyszałeś. A poza tym, czemu postanowiłeś odjechać? Tak się nie robi, gościu! – mówię z pretensją.

– Chciałem zdążyć. Nie przejechałbym przez szczelinę. – Kręci głową. Biorę z niego przykład, z tym że w moim przypadku gest ten oznacza zupełnie co innego. – Dałaś radę, więc w czym problem? – pyta, ot tak, lekko, bez emocji i rusza przed siebie.

– Oczywiście, że sobie poradziłam – fukam. – Ale i tak uważam, że twoje zachowanie było samolubne. Ledwo zdążyłam. A jeśli by mi się nie udało?

– Wtedy bym się martwił. To znaczy, zastanawiał. „Martwił” jakoś mi nie brzmi – rzuca w przestrzeń, marszcząc nos. – Z drugiej strony, czy to moja wina, że biegasz jak pokraka? – W tonie jego głosu na próżno doszukiwać się żartobliwej nuty. Zerka na mnie w przelocie.

– Słucham? Wyczuwasz niewłaściwość tego pytania? I po czym ty to niby wnosisz?

Krzyżuję ręce na piersiach i unoszę buntowniczo podbródek.

– Widziałem w lusterku.

– No dobrze – szepczę uspokajająco, bo zaczyna mnie nosić. – Masz prawo wysnuwać błędne wnioski. – Wzruszam ramionami. – Mój były chłopak, poznałam go korespondencyjnie, zawsze powtarzał, że poruszam się z gracją. – Unoszę dumnie brodę.

– Sprytny.

– Ponownie, po czym wnosisz?

– Bo wiedział, że niektóre kwestie lepiej pozostawiać w niedopowiedzeniu. Tak naprawdę, kto wie, co miał na myśli. Grację baletnicy, słonia?

Yyy.

Jednak zlokalizuję go w innym, bardziej stosownym czasie. Kiedyś. Może za kilka dni, miesięcy albo wcale. Przez te wszystkie lata *trochę* wyidealizowałam jego osobę, umieszczając go na tęsknej chmurce stworzonej z dziewczęcych pragnień. O zmarłych myśli się dobrze w obawie przed nawiedzeniem. Ja w każdym razie kieruję się taką zasadą. Ale Spirito żyje, więc kawa na ławę. Działa mi na nerwy. Bardzo.

– Dość. Zatrzymaj się. Wsiadam.

Kiedy tylko wypowiedziałam te słowa, od razu, bez pytań, jakichkolwiek prób przekonania mnie do zmiany decyzji, zjeżdża na pobocze. Kładę dłoń na klamce i obdarzam go ostatnim spojrzeniem. W zamyśle sugerującym, że wyrósł na dalekiego od ideału mężczyznę. W tej samej chwili rezygnuję z otwarcia drzwi, bo nie dość, że nawet nie patrzy w moją stronę, to dodatkowo potrząsa ramionami jak ktoś, kto w końcu może pozwolić sobie na rozluźnienie. Mało tego, wzdycha z ulgą.

A więc tak to wymyślił. Dokładnie takiej reakcji się spodziewał. Prawie dałam się nabrać i niemal spełniłam jego marzenie o pozbyciu się mnie z auta. Nie chcę się zagalopowywać, ale być może liczył nawet, że zostanę zakleszczona skrzydłem bramy i będzie miał mnie z główki. Zapinam pas. Po moim trupie się mnie pozbędzie. Rozsiada się wygodnie i wlepia wzrok w deskę rozdzielczą. Pełen luz. Chrząkam wymownie, bo może sądzi, że to *pokracczne*, siedzące obok niego, *coś*, jest jakimś mirażem, wspomnieniem, ciałem, które nie wykazało się reflekssem, podczas gdy dusza zdążyła już spierdolić.

Odwraca się w moją stronę. Całe jego zdziwienie kumuluje się na... moim czole? Wgapia się w nie i pyta:

– Dlaczego nie wysiadasz?

– E tam, już mi przeszło. Jestem pokraką, muszę z tym żyć. Za prawdę się przecież nie obrażę. Po namyśle stwierdziłam, że strzelenie focha byłoby dziecinne.

Wytrzeszcza gały, mamrocze pod nosem, aż wreszcie mówi głośno i wyraźnie:

– Zapłaciłem temu chłopakowi, o którym wspomniałaś, żeby trzymał się od ciebie z daleka. – Uśmiecha się szeroko. Pierwszy raz, odkąd się widzimy i... zupełnie to do niego nie pasuje. Niemal sama odczuwam wysiłek, jaki wkłada w tę prostą czynność. – Dałem mu tysiąc euro. Do dziś żałuję, że rozpocząłem negocjacje, chociaż to słowo na wyrost, od tej kwoty. Natychmiastowo przystał na propozycję, więc możliwe, że nawet gdybym zaprezentował się od tej mniej hojnej strony, byłby równie zadowolony.

Spokojnie. On tylko próbuje wyprowadzić mnie z równowagi.

– Nie szkodzi. Dziwnie chrumkał w trakcie seksu. To akurat trochę mi przeszkadzało, ale fakt bycia przekupnym, co oczywiste, denerwuje bardziej. Więc w sumie dzięki. – Też się szczerzę.

Spirito nabiera kolorów i, no cóż, wykonuje dziwny gest, w moim mniemaniu wpycha sobie palce w oczy. Co kto lubi. Po pewnym czasie ściąga bluzę i odrzuca ją na tylną kanapę.

– Czyli w porządku? – wydusza. – Zapytaj, dlaczego tak postąpiłem.

O rety, dobrze dla niego, że plan wykurzenia mnie z samochodu to spontan i zbytnio się nad nim nie głowił. Chyba sam zaczyna dostrzegać zerową skuteczność swojego działania i możliwe, że przechodzi coś na kształt załamania nerwowego. Wierci się, postukuje rękami o kierownicę, opuszcza szybę, zerka w lusterko. Nie wie, co ze sobą począć. Przerasta go jego własna osoba. Bywa.

– Czemu tak postąpiłeś? – Wzdycham zrezygnowana.

– Dobre pytanie. – No jasne. W końcu to on zaproponował, żebym je zadała. – Darzę cię uczuciem. Wielkim i...

– Rozumiem. Nie ma nic złego w kochaniu kogoś – przerywam mu i wzruszam ramionami, dopowiadając sobie, że ma na myśli miłość. – Możesz już ruszać, bo o osiemnastej muszę być w domu.



– Posłuchaj – rzuca. Niemal widzę tworzącą się wokół niego aureę frustracji. – Nie dałaś mi dokończyć. Uczuciem wielkim i niezdrowym.

– Nie czuję się zagrożona. W gruncie rzeczy zawsze mi pomagałeś, a nie szkodziłeś.

Ewidentnie nie w smak mu taka odpowiedź. Tylko czekam, aż wyskoczy z czymś w stylu: „W bagażniku mam brzeszczot. A także czarne worki, linę i szpadel. Dodaj dwa do dwóch, Zito”. Kombinuje na tysiąc sposobów, sądząc, że odroczy rozmowę o naszej sprawie i jak poparzona wyskoczę z auta, bo... grozi mi miłością? Niedoczekanie.

– To jeszcze nie koniec. Więż z tobą uniemożliwia mi wytworzenie jej z jakąkolwiek inną kobietą. Za każdym razem, gdy próbuję, mam wrażenie, że cię zdradzam. Codziennie przed snem piszę na ścianie twoje imię. Zita. Zita. Zita. Wiele razy. Dzień w dzień. Chore, co?

– Na jednej? – Śmieję się, na co marszczy brwi. – Nie bądź wobec siebie taki krytyczny. Gdybyś pisał po wszystkich, to może...

– Każda popisana – wchodzi mi w słowo.

– Mnie z kolei co noc oplatają rękawy marynarki, którą podarowałeś mi, wiesz kiedy. – Patrzę na niego sugestywnie. – Wyobrażam sobie, że to silne, bezpieczne ramiona.

A niech to, przesadna szczerość. Sprzeczna z moim założeniem panowania nad sytuacją.

– To dopiero popierdalone – rzuca głucho.

– Twoje bardziej! – unoszę się, no bo hej, prawdopodobnie ma rację, ale czy prosiłam o komentarz?

– Może lepiej wysiądź, zanim się pokłócimy?

Co za człowiek.

– Nie. – Wybucham śmiechem.

Kilkukrotnie nabiera i wypuszcza powietrze, aż wreszcie rusza z miejsca.

– Dokąd cię zawieźć? – pyta tępo, na co śmieję się jeszcze głośniej.

– Przecież wiesz. Do zamku na wzgórzu. Mogłeś powiedzieć, że jedziesz do Katanii, zabrałabym się z tobą i zaoszczędziła na bilecie autobusowym.

– Nie rozumiem.

– Czego? Zadam ci zagadkę. Kto to jest, śledzi mnie od bladego świtu i udaje głupiego? – pytam, ale milczy, więc daję mu podpowiedź: – Ma na sobie koszulkę z napisem „Aloha”. – Spirito zerka na swoją klatkę. – I jak, coś ci świta? Nie tłumacz się tym, że takich aut jest wiele, bo zapamiętałam numery rejestracyjne. Zwracam uwagę na szczegóły. A ty gdzie mieszkasz?

– W domu.

– Lokalizacja.

– Jesteś z wywiadu czy tylko kreujesz się na agentkę? Siedź, gdzie siedzisz, jeśli musisz, i przeprowadzaj obserwację oraz analizę – zerka na mnie – w ciszy.

– Ale, kurwa, tupet. Pobudka, gościu, nie leżymy w trumnie, żeby milczeć. Chociaż zarówno w pierwszym, jak i w drugim masz wprawę, co? Po co interesujesz się moim życiem, jeżeli nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego? A skoro o analizach mowa, wzięłam pod lupę minione lata i mam do ciebie pytanie. Gdzie byłeś, kiedy naprawdę potrzebowałam pomocy?!

W nerwach uderzam o deskę rozdzielczą, choć najchętniej wyładowałabym złość na Spirito. Jego opanowanie nie pomaga, wręcz przeciwnie, to właśnie ono najbardziej wyprowadza mnie z równowagi.

– W innym miejscu? – odpowiada pytaniem i spokojnie, jakby właśnie obok niego nie przetaczało się tornado, zmienia pas ruchu.

– Jakim?

– Innym. Nie zamierzam ci się zwierzać. O czym chciałaś porozmawiać? O swojej matce? Nad czym tu rozprawiać, nie żyje i nie zmartwychwstanie – kwituje.

– Ona nie zasłużyła na taki los – wyduszam.

– Wiedziała, że praca u nas wiąże się z ryzykiem. Chyba nie sądzisz, że gdyby przyrządzała posiłki w typowej rodzinie, byłoby was stać na mieszkanie w tak atrakcyjnej lokalizacji.

– Należeliście do tego samego gangu, co Alma. Mam rację?

Spirito krzywi się na to określenie.

– Wciąż jestem częścią organizacji – akcentuje to słowo – *Mano d'onore*. Ludzie, którzy wtedy wtargnęli na nasz teren, również przynależeli do jej szeregów.

– Po co do niej należeć, jeśli nie można sobie ufać?

– To nie kółko różańcowe. Słabość jak wabik przyciąga sępy. Najsprytniejszy zgarnia najwięcej, inni cieszą się z ochłapów oraz eliminacji bezużytecznego, bo nieprzynoszącego zysków ogniwa, i świat kręci się dalej. – Zatacza palcem krąg. – Rodzinne biznesy klanów w pewnym punkcie zawsze się ze sobą zbiegają. Sieć powiązań i uzależnień, a wszystko w myśl zasady *quid pro quo*<sup>4</sup>.

– Dziwne realia – przyznaję. – Nie moje, aleee – przeciągam głoski – czuję, że mogłabym stanąć na czele waszej bandy. Porozstawiabym jednego z drugim po kątach. Kiedy nabór?

– Co? – wydusza.

– Werbunek, eliminacje. – Przewracam oczami. Po jego minie wnioskuje, że traktuje moje pytanie bardzo poważnie. – Bo to, że jestem karana, chyba mnie nie dyskwalifikuje? Zita na czele szajki. – Rozmarzona mówię o sobie w trzeciej osobie. – Brzmi dobrze?

– Nie, dennie.

Na jego czole pojawia się zmarszczka. Zmienia gwałtownie bieg i skupia wzrok na drodze przed sobą.

– Więc jeszcze to przemyślę. – Śmieję się, chcąc rozładować atmosferę i wydebić kolejne informacje. Małymi krokami do celu. – Ciekawe, o co chodziło temu gościowi na wózku. – Stukam w brodę, jakbym się zastanawiała i próbowała samodzielnie dojść do sensownych wniosków. Liczę, że jeśli będę działała w ten sposób, Spirito powie więcej. Bez presji. – Dlaczego wiedza o mnie stanowiła podstawę negocjacji – dumam głośno.

– To ojciec Almy. Wbrew pozorom kradzież czyjejs tożsamości była z twojej strony dobrym ruchem. Bycie Belamonte, córką sędziego, a Belgamonte, świadkiem mafijnych porachunków, stanowi znaczną różnicę. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Pewnie. Tak się składa, że grzeszę inteligencją. Niecelowo podszyłam się pod tamtą dziewczynę, chociaż faktem jest, że całkiem dobrze było mi w jej butach. – Kiwam głową. – Czyli ludzie z klanu Bommarito wciąż mnie szukają?

– Kto?

– Nie musisz udawać. Wiem, jakie noszą nazwisko. Kiedy zostałam wygoniona z domu, a wielodniowe wyczekiwanie na peronie nie sprawiło, że mama wróciła, poszłam do kwestury w Katanii. Z góry sorry – unoszę ręce w obronnym geście – wszystko im wyśpiewałam. Myślałam, że zlokalizują jakąś moją dalszą rodzinę, ogólnie pomogą, a przede wszystkim mi uwierzą. Ja po prostu potrzebowałam opieki – oznajmiam szczerze. – W życiu nie zgadniesz, co powiedział gospodarz budynku, w którym mieszkaliśmy.

– Bujną wyobraźnią rachunków nie zapłacisz?

Dokładnie. Słowo w słowo. Nie jestem w stanie ukryć zaskoczenia.

– Skąd wiesz?

– Widziałem się z nim. Byłem pod tym adresem.

– W takim razie masz świadomość, że jego również poinformowałam o tym, co widziałam – stwierdzam z zażenowaniem i pod wpływem chwili, z powodu bliżej nieokreślonego impulsu dotykam blizny na przedramieniu Spirito. – Czyli jednak mnie szukałeś...

Mocniej ściska kierownicę, przez co napinają mu się mięśnie. Zabieram rękę.

– Kontynuuj.

– Gliniarze zapewnili, że jestem bezpieczna i nie muszę się już martwić. Wyszłam z gabinetu, by skorzystać z toalety, ale zapomniałam zabrać sweter, więc się cofnęłam. Usłyszałam wtedy coś w stylu: „Bommarito, mamy świadka, którego szukacie”. A potem: „Jest wasza”. Uciekłam. Członek tego klanu namierzył mnie jakiś czas później w takim jakby przytułku. Podał tylko imię, Antonio, ale rozpoznałam go, bo był wtedy w waszym domu. Zrobił mi zdjęcie i miał wrócić nazajutrz.

– Dotrzymał słowa?

Jęczę z niemocy.

– A jak myślisz, geniuszu? Wyglądam na martwą? Niedługo po jego wizycie, zanim zdążyłam się stamtąd zawinąć, pojawił się pewien elegancki mężczyzna. W pierwszym odruchu sądziłam, że to twój nauczyciel, wiesz, ten, z którym w dzieciństwie spędzałeś niemal całe dni. Szybko jednak wyprowadził mnie z błędu. Nie dość, że mnie nie kojarzył, to dodatkowo przedstawił się jako doktor Bandetti.

– Kto?

– Kto i kto – wznoszę dłonie, licząc, że spłynie na mnie konieczna podczas obcowania ze Spirito łaska cierpliwości. – Wysławiam się niewyraźnie? Towarzyszyli mu państwo Tocco. Kobieta rozpromieniła się na mój widok, a możesz mi wierzyć, wyglądałam jak straszdyło i swędziała mnie skóra głowy. Tylko niech to zostanie między nami – dodaję asekuracyjnie. – W sumie nie wiem, po co wdaję się w takie szczegóły. Zapomnij o tym. – Macham ręką. – Uklękli przede mną. Ona i ten lekarz. Z czułością dotknęła mojego policzka i zapewniła, że już nie muszę się bać, bać, bać.

Spirito zerka na mnie pytająco.

– Powtórzyła to aż trzy razy?

– Może tak, a może po prostu echo tych słów było ostatnim, co zapamiętałam? Kiedy się obudziłam, leżałam w łóżku ubrana w czystą

piżamę i miałam mokre, pachnące ziołami włosy.

Miejsce było obce, podobnie jak obejmujące mnie ramiona, lecz, mimo to, wreszcie odczułam namiastkę bezpieczeństwa. Trochę trwało, zanim zaufałam nowym opiekunom i uwierzyłam, że naprawdę chcą mnie w swoim życiu. Nie na moment. Na dłużej. Nie łudziłam się, że na zawsze, bo pakt – między mną a Spirito – który jednak okazał się rozerwalny, sprawił, że już niczego nie brałam za pewnik. Chciałam po prostu, żeby chwila, podczas której będę obecna w życiu państwa Tocco, trwała możliwie jak najdłużej. Przerażeniem napawała mnie ewentualność ponownego wylądowania na ulicy. Kojące mi się z tym chłód, niepewność, burczenie w brzuchu, brud i nieustannie doskwierająca tęsknota za tym, co nie wróci. Chyba właśnie te lęki, a także potrzeba bycia kochaną, pragnienie własnego łóżka i, co może wydawać się płytkie, choć jest takie tylko z pozoru, piżamy z bajkowym motywem, były przyczyną idealizowania tego, teraz nie mam wątpliwości, poronionego, rodzinnego obrazka. Dopiero z czasem zrozumiałam, że miałam prawo do oczekiwań wobec osób, które zobowiązały się otoczyć mnie opieką. Nawet tak białych, jak piżama. One z kolei nie miały prawa nadużywać dziecięcego zaufania, zacierać granicy oddzielającej dobro od zła, niszczyć mnie i łamać.

Zdjęcia na tle białego domu, które robił odwiedzający nas doktor Bandetti, by móc dołączyć je do – jak przekonywał – akt adopcyjnych, prawdopodobnie były równie idealne, jak przydomowy ogród. W przeciwieństwie do tych wykonywanych przez pana Tocco za zamkniętymi drzwiami.

Te były ohydne. Tak jak jego myśli.

– I co było potem? – Spirito macha dłonią przed moimi oczami, zauważając, że odpłynęłam.

– Jestem pewna, że wiesz, dlaczego trafiłam do zakładu dla nieletnich. Skoro pozyskanie informacji dotyczących miejsca mojego aktualnego pobytu nie stanowiło dla ciebie problemu, powód mojej odsiadki również musi ci być znany. Nie ma cudów, Spirito, a ja nie urodziłam się wczoraj, żeby łykać twoje „co było potem”. Nie zaskoczę cię, mówiąc, że *pani mama* skończyła z ołówkiem w szyi.

– Jak to?

– Masz więcej głupich pytań? Chyba logiczne, że nie pomyliłam jej z temperówką. – Kręcę głową. – Na szczęście przeżyła. Wkrótce zresztą zamierzam ją odwiedzić.

– Niby po co?

– Bo stępił mi się ołówek? – pytam, a Spirito zgrzyta zębami. Możliwe więc, że w to wierzy. Prostuję zawczasu, bo najwidoczniej ironia jest mu obca. – Chodzi o przebaczenie. Ruszenie do przodu. „Wybaczam, że musiałam zrobić ci krzywdę”. Tak jej powiem. Albo nie. Możliwe, że jednak ją uduszę i połączy się z tatusiem na wieki. – Wzruszam ramionami. – Jego historii na bank nie znasz, bo nikomu o nim nie wspominałam. Nie było o czym.

– Rozumiem – mówi zdawkowo.

Wydaje się, jakby moje słowa nie robiły na nim wrażenia.

– Nie mam z nim żadnych wspomnień. – Staram się brzmieć przekonująco. – No, oprócz tego. – Wyciągam różaniec i kładę go na udach. – Pewnej nocy, po kilku latach zabawy w dom, pan Tocco powiesił się w garażu. Ściągnęłam mu ten łańcuch z szyi, licząc, że ożyje. – Śmieję się, lecz po chwili zakrywam usta. – Przepraszam, to wcale nieśmieszne – kłamię.

– A co zrobiłaś później?

– Poszłam spać, cóż innego miałam? – warczę, ale szybko przywołuję się do porządku. – Po przebudzeniu sądziłam, że przyśnił mi się piękny, to znaczy, straszny sen – motam się – więc zeszłam tam jeszcze raz. Przestraszyłam się, nie dostrzegając trupa.

– Przestraszyłaś?

– Ucieszyłam, naiwnie sądząc, że ożył. Masz problem ze słuchem? Z tym że była to radość na wyrost, bo najwidoczniej zapomniałam zamknąć garaż i tatuś został porwany. Podwójnie. Co poradzić, pech jest facetem. – Wzruszam ramionami.

– Podwójnie?

– Tak. To słowo ma kilka znaczeń. Można kogoś porwać z danego miejsca, porwać na strzępy. Oba pasują do przytoczonej sytuacji – mówię, patrząc na Spirito, który ma naprawdę dziwną minę. – Nie potrafisz sobie tego zobrazować? Mogę ci pomóc – proponuję i sięgam po trzymany w worku portfel. – Masz coś ostrego, na przykład ten swój słynny skalpel? Zaszyłam coś między poszewką a skajem – tłumaczę, a on wręcza mi go z niepewnym wyrazem twarzy. Przecinam szew i wyjmuję złożone w mały kwadrat zdjęcie, które mu pokazuję. – W tym rzecz.

– Chryste – wydusza, zerkając na fotografię. – Co to jest?

Kiedy zobaczyłam to zdjęcie po raz pierwszy, zareagowałam podobnie. Widok nie jest przyjemny dla oka. Mimo to zachowałam je na pamiątkę, co jest trochę popieprzone. Albo i nie. Zależy, jak na to spojrzeć.

– Pan Tocco. Teraz już wiesz, co miałam na myśli, mówiąc „porwany podwójnie”. Obok niego, o tu, na leśnej ściółce – wskazuję – leży jego serce. Zostało oznaczone przez techników cyfrą jeden, widzisz? Wcześniej znajdowało się tutaj, w tym pustym miejscu – stukam paznokciem – w tej rozszarpanej otchłani.

– W klatce piersiowej – precyzuje Spirito. – Skąd to masz?

– Z policyjnej teczki. – Przyglądam mu się wnikliwie. – Nie będę dodawać, że wszystko, o czym mówię, ma zostać między nami. A także, że nie pogrywa się z kimś, kto wie o tobie więcej, niżbyś chciał. Na przykład o twoich powiązaniach z tą szemraną organizacją. Mógłbyś to zrozumieć na opak.

– Czyli jak?

– Pomyśleć, że cię szantażuję, a tego nie robię. To domena ludzi słabych. Ja jestem silna.

Na jego ustach błąka się uśmiech.

– Zabawne? – Zerkam na niego pytająco.

– Nie. Prawdziwe – odpowiada, a ja próbuję ukryć zdziwienie. Nie spodziewałam się, że bez zawahania przyzna mi rację. – Aczkolwiek dostrzegam pewne szczegóły zdające się przeczyć tej teorii, twojemu postrzeganiu samej siebie. Dlaczego nie powiesz wprost, co działo się u państwa Tocco? Nie wydaje ci się, że silni są w stanie zmierzyć się przeszłością, a nie maskować ją pozorną bez troską?

Kurwa. Kręcę głową. Człowiek wielu talentów, choć zdecydowanie lepszy z niego zabójca niż filozof. Zaczynam mieć pietra, obawiam się tego, czym jeszcze mnie *zaskoczy*.

– Pamiętasz bajkę o takim kocie w kraciastych ogrodniczkach? – pytam.

– Oglądaliśmy ją, gdy byliśmy mali. W każdym odcinku polował na koguta. Czyścił strzelbę, załadowywał naboje i uśmiechał się cwaniacko. Raz za razem jego broń wybuchała lub okazywało się, że owszem, celował, ale sobie w twarz. – Uśmiecham się na to wspomnienie. – Wiecznie był okopcony, a z uszu leciał mu dym.

– Nie dostrzegam związku.

– Nie dowiedziałam się, gdzie byłeś, gdy cię nie było, a podobno zmierzenie się z przeszłością jest proste. Kim wobec tego jesteś, kotku? Aj,

odpowiedziałam za ciebie – jęczę. – Nie celuj we mnie z broni, którą sam możesz oberwać. Do tej pory nie odpowiedziałeś, czy ktoś z klanu Bommarito mnie szuka, ale zadałeś mi tysiąc pytań mających sprawić, że o tym zapomnę. I dzięki, rycerzu, za informację, że moja matka jest martwa. To dopiero zaskoczenie – ironizuję i unoszę palec: – Od razu mówię. Zmień taktykę. Nie stoję w jednym rzędzie z tymi, z którymi możesz tak pogrywać. Jeśli rzucisz we mnie kauczukiem, odbije się i walnie cię w czółko. Czaisz? Dostaniesz ode mnie tyle, ile mi dasz. Oznajmiłeś, że nie chcesz się zwierzać. Nawzajem. Powiesz, że masz ochotę porozmawiać. Nawzajem. Krzykniesz: „Spierdalaj!”, zgadnij, co odpowiem?

Wyczekuję odpowiedzi.

*No dalej, mistrzu, to nie jest trudna zagadka!*

– Nawzajem?

– Właśnie. Tak to działa. Pytania?

– Jedno. Wiesz, jak ułożyć kostkę Rubika? – Przez chwilę patrzy wyczekująco w moją stronę. Opadają mi ręce.

– Serio? Uskuteczniłam taki wykład po to, byś w efekcie zmienił temat, dodatkowo, w naprawdę słabym stylu?

– Czyli nie wiesz. – Wzrusza nonszalancko ramionami. W jego wykonaniu gest ten ma wyjątkowo drażniące działanie.

– Trzeba zacząć od podstaw. Zapoznać się z jej budową – sapię, nie wierząc, że w ogóle podjęłam wątek. – A jakiego rodzaju jest ta kostka?

– Żeńskiego.

*Wszechświecie, daj mi siłę!*

– Sześcienna, ośmiościenna? – dopytuję.

– Innego kształtu.

– Czworoscian bez wierzchołków, kostka, w której elementy są zróżnicowane, a może taka z zębatkami?

Opiera rękę na podłokietniku i porusza nią, jakby szacował.

– Tak. Taki miks.

– W związku z tym to jakaś wyższa szkoła jazdy, ale, jak mówię, wypróbuj różne kombinacje i może coś zaskoczy – proponuję serdecznie. – Mam nadzieję, że pomogłam.

– Nie.

Unoszę brwi, oczekując, że coś jeszcze doda, jakieś chociażby będące w dobrym tonie podziękowanie za starania, ale najwidoczniej to płonne nadzieje. Spirito nie ma za grosz wyczucia. Nawet nie sili się, by



zaprezentować się od tej przystępniejszej, dającej się lubić strony, o zagajeniu rozmowy nie wspominając.

– Aleś ty wygadany – rzucam z ironią.

– Przecież nic nie mówię – oznajmia poważnie.

Wzdycham przeciągle. Chyba jednak rozumiem ten jego gest przyciskania palców do powiek. W tej chwili mam ochotę zrobić to samo, bo za nic nie potrafię go rozgryźć. Zapadam się w fotelu i skupiam na widokach za oknem, licząc, że doznam olśnienia, lecz jedyne, co dźwięczy mi w głowie, to porada, której mu udzieliłam. Bezużyteczna swoją drogą, gdy kreatywność kuleje i cierpi się na deficyt pomysłów. Zmiana taktyki. Na jaką, do cholery? Innej, poza byciem nachalną, wyszczekaną, sprawiającą wrażenie, że rozszyfrowałam rozmówcę, zanim zdążył otworzyć gębę, nie opracowałam, bo i po co, skoro ta zawsze się sprawdza? Tymczasem siedzi obok mnie ktoś, kogo nie da się złapać za słówka, bo lawiruje między zastawianymi pułapkami, sprowadzając rozmowę na wygodne dla siebie tory. Groźba, prośba, zgrywanie miłej nie przynoszą skutku. Pora więc na kolejną kartę. Łzy.

Podryguję nerwowo nogą i przecieram policzek. Kilka razy. Często, do diaska, bo towarzystwa dotrzymuje mi nieczuły na kobiecą załamkę lodowiec. Umyka mu skuteczniana przeze mnie trzęsawka, nie reaguje na sapanie, mimo że rzecz rozgrywa się tuż przed jego nosem. Dopiero gdy jęczę nad wyraz boleśnie, pyta znużony:

– A tobie co?

– Nic takiego – odpowiadam, sądząc, że pociągnie mnie za język, i co jakiś czas odwracam głowę w stronę szyby, udając, że ostatnie, czego pragnę, to to, by dostrzegł moją niedyspozycję. Przesuwam językiem po wardze, sugerując, że zlizuję spływającą łzę. Dramat jak się patrzy. Teraz tylko czekać na efekt. Pozornie się odsłaniając, nakłonię go do tego samego. Tak to działa. Nic porozumienia dwóch złamanych dusz.

– Rozumiem.

*Że co? Miał nie rozumieć i drążyć temat!*

– Dobrze, bo widzę, że na końcu języka formują ci się pytania. – Postanawiam przejąć inicjatywę. – Totalnie się rozkleiłam – sapię. – Próbowałam trzymać fason, ale to wszystko, nasze spotkanie po latach, ma większą siłę rażenia, niż byłam skłonna przypuszczać.

Spirito drapie się po skroni.

– To nie wiem, chcesz wysiąść? Jesteśmy już w Syrakuzach – stwierdza ot tak.

Rozwiązywanie problemów według Spirito – wyskoczyć z wozu.

– Bo, bo – powtarzam, ignorując tę jego mało błyskotliwą, prowadzącą donikąd propozycję opuszczenia pojazdu – w gruncie rzeczy bywam słaba i delikatna. – Pociągam nosem.

– Przecież wiem – mówi pewnie.

*Dość tego!*

– Słucham?! Wcześniej przyznałeś, że jestem silna – nie dowierzam.

– Jedno i drugie. Mówiłem, taki miks – oznajmia, skupiony na drodze. – Potrzebujesz czegoś? – Zatacza krąg ręką.

Nie mam pojęcia, co ma na myśli. Może przytulenie w związku z moim pseudozałamaniem, ale zapytanie wprost nie wchodzi w grę, bo jeśli się okaże, że poniosła mnie fantazja, będzie niezręcznie.

– W sensie ciepła? – pytam niebezpośrednio.

– A co, zimno ci? – Nie łapie aluzji. Sięga do tyłu po bluzę i rzuca ją na moje kolana. – Tylko mi jej nie zamocz – uprzedza, więc odruchowo przecieram usta, a ten nietaktowny zarozumialec dodaje: – Miałem na myśli te twoje „łzy”. – Wykonuje cudzysłów w powietrzu. – Więc chcesz coś kupić? Zatrzymać się?

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że przejeżdżamy ulicą handlową i że niepotrzebnie doszukuję się w jego wypowiedziach drugiego dna.

Spirito jest nieskomplikowany, a zarazem... trudny do rozgryzienia. No właśnie, taki miks.

– Proponuję, żebyś jechał dalej i nie wymyślał nam zajęć – urywam temat, chociaż z drugiej strony zakupy, o ile nie musiałabym za nie płacić, brzmią interesująco. – A co na przykład chciałbyś mi kupić? – rzucam lekkim tonem. Rety, to silniejsze ode mnie.

– Teraz już nic. Jesteśmy prawie przed twoim domem.

– Tymczasowym miejscem zamieszkania i pracy – poprawiam go. – Prawdopodobnie nie uniknę pytań, więc musimy ustalić wspólną wersję.

– Dotyczącą czego? I z kim chcesz ją niby ustalać? – pyta zdziwiony.

Maskuję rozbawienie, kiedy rozgląda się zdezorientowany.

– Jeśli ktoś zapyta, z jakiej paki panoszysz się po zamku, powiem, że jesteś moim, założmy – zastanawiam się głośno i pstrykam palcami – kuzynem. A ty potwierdzisz.

– Co zrobię?! – Znów ten przesiąknięty niedowierzaniem ton.

- Kiwniesz głową, przytakniesz.
  - Podziękuję za takie atrakcje – oznajmia stanowczo, zatrzymując się przed bramą. – Podwiozę cię na wzgórze, żebyś nie musiała naginać, i znikam.
-



4 quid pro quo (łac.) – coś za coś

# ROZDZIAŁ 18

## *Zita*

Nieszczęśliwie mnie to dziwi. Wnioskując po jego nastawieniu, najchętniej wyparowałby już w tej chwili. Co zresztą, niedosłownie, ale czyni. Nim zdążę zapytać, dokąd się wybiera, wyskakuje z auta i podchodzi do strzegących wjazdu ludzi. Po krótkiej rozmowie wraca. Zajmuje miejsce, kładzie dłonie na kierownicy, po czym wzdycha zrezygowany.

– Nie pozwolili mi wjechać na teren posesji. – Robi naprawdę smutną minę. – Więc co? Pa.

– Nie pękaj, gościu. – Klepię go pocieszająco po ramieniu. – Jest ci niezręcznie, bo, mimo że sprawiasz wrażenie takiego, któremu się nie odmawia, ktoś posłał cię na drzewo? Bez obaw, nie straciłeś w moich oczach, ponieważ nie zdążyłeś jeszcze zyskać.

– Co? – wydusza kolejne z serii jego ulubionych pytań.

– Załatwię to. – Wyjmuję kluczyk ze stacyjki, bo coś mi mówi, że Spirito wręcz marzy, by zwinąć żagle. – Znam jednego z nich. – Wskazuję na ochronę. – Był ze mną w zakładzie. Przynależy do Wyznawców, a oni z kolei należą do mnie – wygłaszam bez większego przekonania. – Nie pytaj, co to oznacza.

Najwidoczniej nie ma nawet takiego zamiaru. Siedzi i z nieodgadniętym wyrazem twarzy gapi się to na mnie, to na stacyjkę. Chyba powoli dociera do niego, że znajomość ze mną może być najciekawszą przygodą jego życia.

Wysiadam, skoro rozmowa i tak się nie klei, i uśmiecham się do wspomnianego chłopaka.

– Hej! Pamiętasz mnie? Też tu pracujesz?

– Tak. Zaczynam od odźwiernego, ale wkrótce awansuję – mówi z dumą. – Albo i nie... – Mina mu rzednie, kiedy rozlega się sygnał dźwiękowy, a skrzydła bramy zaczynają się rozwierać. – Przysięgam, że nie wcisnąłem przycisku.

Zerkam za siebie, słysząc trąbienie klaksonem, a raczej dwoma. Istna kakofonia dźwięków. Za naszym autem stoi samochód zniecierpliwionego Ugo, który wychyla głowę i wrzeszczy:

– Wjeżdżaj! – Macha ręką rozemocjonowany. – Przestań trąbić, wjeżdżaj!

Podbiegam do niego, układając w myślach przekonującą przemowę, lecz zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, kontynuuje:

– Na co on niby czeka? – pyta z wyrzutem.

– To Spirito – informuję. – On na chwilę do mnie wpadnie, dobra?

Ugo wkłada palce we włosy i w skupieniu nabiera powietrza. Na moje oko liczy w myślach.

– Jeśli o mnie chodzi, może cię odwiedzić nawet babcia twojego pradziadka. Umywam od tego ręce.

– Bez przesady – rzucam rozbawiona. – Mam tylko kuzyna.

– Też się dziś pojawi? – Wytrzeszcza oczy w niedowierzaniu.

– No, to on. Spirito. To właśnie mój kuzyn. Jest sympatyczny, towarzyski i ma pozytywny stosunek do życia, ludzi, ogólnie świata. – Zataczam krąg ręką.

– Chyba się pogubiłem – sapie Ugo. – A teraz o kim mówisz? – Na jego twarzy maluje się niezrozumienie.

– Cały czas o nim. Wiesz, taka krótka charakterystyka. To jak? Może wpaść?

Ugo potakuje, ale nie wydusza już ani słowa. Postanawiam kuć żelazo, póki gorące, bo gotów jeszcze się rozmyślić, i wracam do auta Spirito, który, co tu dużo mówić, nie robi sobie dobrej reklamy.

– Czy możesz przestać uderzać czołem o kierownicę? – pytam. – To, co wyprawiasz, nie współgra z tym, co powiedziałam o tobie właścicielowi zamku – oznajmiam, lecz od razu pojmuję, że nie ma co strzępić języka. Równie dobrze mogłabym mówić do ściany. Skutek ten sam. Rozmyślam, na jakie tory sprowadzić rozmowę, żeby Spirito nieco się rozluźnił. – Dasz poprowadzić?

Może nie był to strzał w dziesiątkę, bo patrzy na mnie z jawnym niedowierzaniem, a nieco koloryzując, nawet z przerażeniem, ale za to uniósł chociaż głowę.

– Przecież nie masz prawa jazdy – mówi poważnym tonem i wystawia dłoń.

– Jak ty dużo o mnie wiesz – rzucam z przekąsem i oddaję mu kluczyk, a kiedy wreszcie wjeżdża na wzgórze, nie wydaje się niczym zainteresowany.

– Cieszysz się, że masz okazję być legalnie na terenie tej posiadłości?

– A nie widać? – burczy.

– Podoba ci się tutaj?

– Bardzo – odpowiada w podobnie markotnym tonie, aż w końcu robi głęboki wdech. – Podwiozę cię pod drzwi i muszę lecieć. – Zerka na nadgarstek, na którym nie ma zegarka, sugerując zapewne, że bardzo się spieszy.

– Zawsze marzyłam, żeby zaprosić kogoś znajomego do domu, do swojego pokoju. Niestety nigdy nie było mi to dane – szepczę, chcąc zagrać na jego uczuciach. – To musi być coś. Wyobrażam sobie, że leżymy na moim łóżku, patrzymy sobie w oczy – marzę na jawie, a Spirito wciska gaz do dechy – ewentualnie w sufit – poprawiam się, bo wyjątkowo płochliwy z niego egzemplarz – i rozmawiamy. Długo. Kilka godzin. Może nawet całą noc. Co o tym sądzisz? Świetne, prawda?

– Tak – mówi z przekonaniem.

*Zwycięstwo! Przełamanie pierwszych lodów zakończone sukcesem.*

– Wizja tych tortur robi wrażenie – dodaje i się wzdryga. – Jesteśmy na miejscu – informuje, a gdy nie reaguję, pochyla się nad moimi nogami, by dosięgnąć do klamki i otworzyć mi drzwi.

Kiedy jest tak blisko, dostrzegam wystający mu spod koszulki łańcuszek oraz fragment tatuażu. A ponieważ nie ma co walczyć z ciekawością, bo z tą i tak się nie wygra, delikatnie wsuwam palec pod materiał tuż przy karku, żeby ujrzeć więcej. Dotykam skóry Spirito, a on, jakby rażony piorunem, a nie ledwie muśnięty opuszką, niespodziewanie podrywa głowę.

– Aua! – wrzeszczę, kiedy moja twarz wchodzi w bliską interakcję z jego czachą.

Mija chwila, podczas której nie słyszę nic poza dudniącym w uszach pulsem, a kiedy myślę już, że poradziłam sobie z otumaniającym bólem, Spirito odciąga moje ręce i bez ceregieli, uprzedzenia, bo najwidoczniej w jego świecie to zbędne działanie, łapie mnie za nos i mocno go ściska. Jezu Chryste i Przenajświętsza Panienko.

– Nie jest złamany. Ewentualnie – wzdycha – mogę pomóc ci go opatrzeć.

*Ewentualnie. To dopiero bezczelność!*

Krew spływa mi po brodzie, twarz pulsuje, a ten, a ten... zaciskam pięści, nie mogąc znaleźć wystarczająco obraźliwego określenia, ten typ, którego imię zaczyna się na „S”, słusznie zresztą, bo to taki sam sadysta jak zamkowy doktor, wygłasza kolejną pieprzoną mądrość.

– No i widzisz, co sobie zrobiłaś.



I jeszcze jedną.

– Nie płacz.

– Nie płaczę! – unoszę się i wysiadam z samochodu, odczuwając na bank uzasadnioną obawę o swoje życie. – Po takim ciosie dziwne, żebym nie miała załzawionych oczu, gościu. – Trzaskam drzwiami. – I żeby była jasność. Ty mi to zrobiłeś. – Celuję w niego palcem, gdy się ze mną zrównuje. – Jak zawsze. Wiecznie to samo. Ale boli. – Pędzę do domu, a Spirito depcze mi po piętach.

– Co masz na myśli? – Słyszę za plecami.

– Pociąłeś mnie, pogryzłeś, a teraz, co w porównaniu z poprzednimi pewnie powinnam uznać za pieszczotę, przywaliłeś mi z główki.

– Musisz bardziej uważać.

– Słucham?

– Nie mam oczu z tyłu głowy. Skąd mogłem wiedzieć, że przy pierwszej lepszej okazji będziesz mnie obłapiać?

Przystaję i odwracam się w jego stronę, sądząc, że ujrzę szeroki wyszczerz lub najzwyczajniej w świecie rozbawiony wyraz twarzy, ale nie, nic z tych rzeczy. On jest poważny. Wymija mnie, popycha drzwi i przekracza próg domu.

– Czuj się jak u siebie – mówię głośno, widząc wysiadającego z samochodu Ugo. Nie chcę, żeby pomyślał, że mój kuzyn nie ma za grosz ogłady. – Poczekaj na mnie! Nie możesz wejść do kuchni! – krzyczę za Spirito, dochodząc do wniosku, że bycie czyimś gościem to dla niego nie lada abstrakcja. – Nie wolno tak tu spacerować!

Jęczę w duchu, gdy do mojej świadomości dochodzi sens, a raczej bezsens tych słów.

Jest jak jest.

Spirito – pan na nie swoich włościach, i ja, Zita – strażniczka nie swojej lodówki.

Taki team. Rodziny się nie wybiera.

I to jest złota myśl, do cholery, bo kiedy wchodzę do kuchni, sama nie wiem, czy odetchnąć z ulgą, czy zrobić w tył zwrot. Spirito nie plądruje szafek, nie wyżera jedzenia, on... szoruje łokcie.

– Jeśli będziesz dalej robił to, co robisz, gdy przyjdzie tu któryś z domowników, będę musiała jednak przyznać, że nie jesteśmy spokrewnieni. Spędzę w tym miejscu dużo czasu i nie chcę, żeby z powodu tych twoich –

kręcę palcem przy skroni – widocznych gołym okiem powichrowań dopatrywali się we mnie jakichś odchyłów.

Spirito spogląda na mnie tak, jakby największy odchył stał przy nim.

– Ty nie myjesz rąk, kiedy wracasz z dworu? Poza tym chcesz, żebym brudnymi łapami babrał w tej chrząstce? – Macha palcem, wskazując coś bliżej nieokreślonego.

– Masz na myśli mój nos? – Wolę się upewnić, bo biorąc pod uwagę, jakie podjął przygotowania, obawiam się, że w grę nie wchodzi jedynie założenie opatrunku.

– Chodzi mi o anatomiczną wyniosłość w centralnej części twojej twarzy – mówi, wciąż szorując przedramiona. – Czyli o nos – dodaje i wykrzywia usta w ironicznym uśmiešku, kiedy cofam się o kilka kroków. – Niektóre cechy nie zacierają się mimo upływu lat. Prawda – przybliżyła się do mnie i szepcze mi do ucha – strachliwa dziewczynko?

Mrugam w ekspresowym tempie, przygryzam wewnętrzną część policzka, bo, co zupełnie do mnie niepodobne, brakuje mi słów. Spirito z kolei, wyraźnie z siebie zadowolony, jak gdyby nigdy nic powraca do przerwanej czynności. Dotykam obolałego nosa, próbując przekierować uwagę na doznanie mniej przyjemne niż wspomnienie owiewającego płatek ucha oddechu. Przede wszystkim jednak muszę wziąć się w garść, bo ani się obejrzę, a będę stać przed nim... naga. A on, on będzie patrzył. I zobaczy... mnie.

Mam przypuszczenie graniczące z pewnością, że moja wcześniejsza rada dotycząca zmiany taktyki, choć oczywiście tego nie okazał, bardzo go rozbawiła. Chce, żebym myślała, że przerosłam mistrza, by w dogodnym dla siebie momencie nie tyle przyrznać mi z główki, bo to jestem skłonna uznać za przypadek, ile rzucić mi w twarz tekstem, pod którego wpływem serce zaczyna dudnić, a zbroja pękać.

To właśnie jego taktyka!

Zgrywanie nieobecnego – uderzanie zmienacka.

– To nic złego. – Z rozmyślań wytrąca mnie głos Spirito. – Przy mnie możesz być sobą. – Przygląda mi się. – Tak bym wolał – dodaje, opłukując ręce.

– Ja natomiast wolałabym, żebyś, żebyś – powtarzam, w międzyczasie zastanawiając się, co tak naprawdę chcę ugrać – zajął się sobą. – Zakładam ręce na piersiach, a Spirito, czemu absolutnie się nie dziwię, bo zdecydowanie nie była to riposta roku, obdarza mnie litościwym

spojrzeniem. – Swoimi oczami się zajmij, o – oznajmiam *elokwentnie* po dłuższym namyśle.

– A co jest z nimi nie tak? – parska.

– Dużo, gościu.

– Konkrety poproszę – rzuca sucho i porusza głową, sugerując, że mam podejść bliżej, że się mną zajmie. Oczywiście wykazuję zerowe chęci, bo delikatność, a także kultura, zdecydowanie nie idą z nim w parze. Wyjmuje telefon, ignorując moje towarzystwo, i wystukuje wiadomość. – Mów, mów, mam podzielność uwagi.

– Nie wiem, co jest nie tak z twoimi oczami. Wiem jedynie, że dużo. – Teraz to dopiero się popisałam. – W skrócie, są dziwne. Dziś raz – unoszę palec, żeby dodać wagi temu wydarzeniu – się uśmiechnęłaś, ale nawet wtedy w twoim spojrzeniu nie było blasku. Kiedyś po prostu twoje oczy były inne. Teraz niczego w nich nie dostrzegam. Przypominają tafle lodu. – Oficjalnie daję sobie szlaban na słowa.

– A, o to ci chodzi. – Śmieje się cicho, lecz dźwięk ten zabarwiony jest złowrogą nutą. Chowa telefon do kieszeni i staje naprzeciwko mnie. – Jeśli uniesiesz głowę i spojrzysz mi prosto w oczy, jestem pewien, że jednak coś ujrzysz.

Serce dudni mi w piersi, żołądek się zaciska. To jedyne, co nie uległo zmianie. Strach wymieszany z ciekawością. Dokładnie te uczucia towarzyszyły mi zawsze, gdy spędzałam czas ze Spirito. Dopiero teraz z całą mocą dociera do mnie, jak bardzo tęskniłam za tym odczuciem, dreszczykiem niepewności, elementem zaskoczenia będącym stałą w naszej relacji.

Wpatruję się w jego brodę, mimo że wcześniej za dziwactwo uznałam fakt, że przemawiał do mojego czoła. Robię to, bo sama nie wiem, czy jestem gotowa, żeby się otworzyć. Czy chcę, by spojrzął na mnie jak nikt przed nim, jak nikt po nim. A to się wydarzy. Będzie tak, bo oplata nas niewidoczna więź, której nie zdołał przerwać czas. Kiedy nasze spojrzenia się połączą, ujrzę prawdziwego Spirito, a on z kolei zobaczy mnie.

– No i, bo zacynam się nudzić.

– Słucham? Powiedziałaś coś beznadziejnego czy mi się przesłyszało? Nie czujesz, że to wyjątkowa chwila? – Od razu, gdy tylko pytanie opuszcza moje usta, mam ochotę wepchnąć je z powrotem do gardła.

– To na pewno – odpowiada.

Skoro tak, to oczywiście żartowałam w kwestii tego całego cofania słów, które już się rzekły. Spirito, podobnie jak ja, wie, że za moment nasze dusze się uścisną, zatańczą ze sobą, zapłaczą nad straconym dniem, miesiącem, rokiem, a co najważniejsze, wreszcie się spotkają.

Coś kłuje mnie w piersi.

Zapiera mi dech.

Unoszę głowę i intensywnie wpatruję mu się w oczy. Opieram dłonie na jego ramionach, żeby mieć podparcie, bo dzielenie się sobą to wyczerpujące zajęcie.

Zwłaszcza gdy coś komuś wręczasz, a ten nie daje nic w zamian!

– I jak? – rzuca Spirito. – Co widzisz?

– Problem w tym, że nic – warczę sfrustrowana.

– Skup się, to ważne – mówi z powagą. – Zależy mi, żebyś dostrzegła, co znajduje się pod taflą.

– Dobrze – potakuję z przejęciem i jeszcze intensywniej świdruję go wzrokiem, wczepiając palce w jego koszulkę. – Zobaczę, co jest pod lodem, choćby nie wiem co – oznajmiam zdeterminowana. Mija minuta, dwie, trzy. – Chyba coś widzę! – wykrzykuję radośnie. – Cień. Cień czegoś! – Nie potrafię ukryć ekscytacji. Nie trwa ona długo, bo za nic nie potrafię sklasyfikować tego, co przez ułamek sekundy dostrzegłam w jego spojrzeniu.

– I jak? Zauważyłaś go? – dopytuje Spirito. – Chyba tak, bo mina ci zrzędła.

– Go? Tak, tak – kłamię, licząc, że pociągnie temat i zdradzi, co miał na myśli.

– Określ, co wychwyciłaś. Powiedz na głos. Chyba że wolisz, żebym wyszeptał ci to do ucha. Twoja decyzja.

– Dobra, nie ma problemu. Możesz. – Wzruszam ramionami. – Nawet tak wolę, lubię szeptanki.

Spirito pochyla się tuż nad moim uchem.

– Pod taflą pływa – wymawia ledwo słyszalnie – trup.

Zaciskam powieki, tym samym zatraskując mu przed nosem metaforyczne wrota, przez które mógł zerknąć w głąb mojej duszy, dojrzeć jej część, tę, której inni nigdy nie zobaczą. Nie będę wypierać się przed samą sobą, że położyłam mu *Zitę na tacy*. Chwilowe zaćmienie umysłu, pragnienie zobaczenia mojego chłopca tak silne, że aż przyćmiewające zdrowy rozsądek.

Chcę zaczerpnąć oddechu, ale jedyne, co robię, to stoję jak sparaliżowana. Niezaskakujące. Typowa reakcja na Ducha.

– To, co ujrzałaś, jest nieszkodliwe – mówi uspokajającym tonem Spirito, a ja uchylam powieki. – Bo martwe – dodaje i śmieje się cicho, gdy go odpycham i podchodzę do zlewu.

Mam jeszcze szansę wyjść z tego starcia z twarzą. Przemywam ją, choć oczywiście nie aspekt kosmetyczny miałam na myśli.

– Musisz się najpierw wysmarkać – wtrąca Spirito, bo wie lepiej, bo jego zawsze musi być na wierzchu. To akurat się nie zmieniło, a szkoda, byłoby miło!

– A ty musisz się ode mnie odpieprzyć. – Macham ręką, gdy niemal wpycha łeb pod kran, żeby zerknąć, co robię. Spirito. Inspektor nadzoru.

– Dokładnie tak – przyznaje mi rację, przez co zachłystuję się wodą. – Właśnie to próbuję ci cały czas przekazać.

Sięgam po ręcznik papierowy, urywam i roluję kawałki listka, po czym wpycham je sobie do nosa. I gotowe. Po mojemu.

– Nie rozumiem, co wyprawiasz – stwierdza Spirito, przyglądając mi się oceniająco.

– Zrobiłam tampony z papieru.

– Niby po co?

– Żeby zatamować krwawienie – tłumaczę i otwieram lodówkę.

– Bezpośrednio po zderzeniu poleciało trochę krwi, ale nie tyle, żeby trzeba było ją tamować. – Krzywi się. – Jeśli jednak w przyszłości sytuacja by tego wymagała, zastosuj opatrunek z naturalnych włókien aliginianowych. Przyspieszy gojenie. Teraz wysmarkaj się delikatnie, żeby pozbyć się skrzepów, przemyj dziurki nosa, wsadzając w nie mały palec lub mokry papier...

– Chcesz mleko? Bo trzeba dopić. – Potrząsam kartonem.

– Słyszałaś, co powiedziałem?

– Wyłączyłam się w połowie tego słowa na literę „a”. Takie wykłady mnie nużą. – Przechyliłam kartonik i zerkam na Spirito. Ale ma minę! Rozmówki z nim dostarczają mi wiele przyjemności, głównie dlatego, że ewidentnie wytrącają go ze strefy komfortu. Będę rzucać mu pod nogi małe kłody i obserwować, czekać, aż się potknie. Jedną cisnę i pod swoje, już trudno. – A czy ty coś zobaczyłaś, kiedy wpatrywałaś się w moje oczy? – mówię lekko, sugerując, że odpowiedź, bez względu na to, jaka by nie była, nie zetnie mnie z nóg.

*Powiedz, że nie, powiedz, że nic.* Składam nieme modły. Odwracam się i przestawiam produkty w lodówce. Głównie dlatego, by nie dostrzegł ulgi malującej się na mojej twarzy, gdy wypowie to oczekiwane przeze mnie „*nic*”. Ewentualnie zmieszania, jeśli odpowiedź okaże się twierdząca.

– Tak – odpowiada.

No i leżę.

– A można wiedzieć, co takiego ujrzałeś? – pytam, wciąż na niego nie patrząc. Układanie jogurtów kolorami jest przecież taaakie fascynujące.

– Wiele. Wszystko.

Zdecydowanie nie była to kłoda, lecz pniak.

Niezliczona ilość, stos, ciśniętych pod nogi pieńków.

– I co w związku z tym poczułeś?

– Wymień, co mogłem, wybiorę.

Odwracam się, standardowo, żeby się zorientować, czy mówi poważnie, bo neutralny ton wypowiedzi niczego nie zdradza. Szybko jednak dociera do mnie, że próba odczytania czegokolwiek z wyrazu jego twarzy, postawy, nie ma najmniejszego sensu. Równie dobrze mogłabym patrzeć na zaciśniętą pięść. Zaczynam wątpić, czy znajdę sposób, żeby ją poluzować i zobaczyć Spirito w pełnej okazałości. Jak na otwartej dłoni.

– No dobrze. – Drapię się po skroni. – Ucisk w piersi, brak tchu?

Spirito parska pod nosem.

– Czyli najpierw chcesz przeprowadzić wywiad medyczny?

– Co? Nie. Wymieniłam po prostu opcje możliwych odczuć.

– Raczej dolegliwości mogących być objawem zawału, zatoru płuc, pólpaśca, zaburzeń psychicznych, zapalenia mięśni międzyżebrowych i wielu innych mniej lub bardziej poważnych schorzeń. Gdy na mnie patrzysz, kłuje cię w mostku i nie możesz oddychać? – pyta z powątpiewaniem.

– Raz czy dwa się zdarzyło – przyznaję nieopatrznie. – Tyle co nic. – Macham lekceważąco ręką, bo Spirito jęczy przeciągle i sfrustrowany energicznie przeciera twarz.

– O raz lub dwa za dużo. Dam ci dobrą radę. – Podchodzi do mnie i unosi dłoń. Przez chwilę mam wrażenie, że chce dotknąć mojego policzka. Wstrzymuję oddech, wyczekując tego gestu czułości. Spirito wzdycha i wsadza rękę do kieszeni. – Nie pchaj się w ramiona śmierci.

# ROZDZIAŁ 19

## *Spirito*

W wyobraźni, gdy wywlekam na światło dzienne pewne kwestie, w tym te dotyczące mojej żywotności, a raczej jej braku, Zita zrezygnowana opuszcza ramiona, macha mi przed nosem środkowym palcem, oznajmia w typowym dla siebie stylu: „Goń się, gościu”, i tyle, spokój. Rzeczywistość jednak okazuje się bardziej złożona, skoro efekty podjętych przeze mnie działań są odwrotne od zamierzonych.

Zita nie ucieka, nie błaga, żebym trzymał się z od niej z daleka. Nie. Ona wciąż tu sterczy i zaciekawiona wodzi za mną wzrokiem, usilnie starając się dojrzeć we mnie kogoś, kim nie jestem.

I teraz nie wiem, czy dlatego, że cechuje ją odbiegająca od normy upartość, czy to ja źle odegrałem kompletnego niemotę, nierozumiejącego większości słów, przez co uważa, że ze względu na dawne czasy należy zaopiekować się głupkiem.

Łatwiej wykrzykiwać co chwilę: „Co zrobię?!”, w kółko powtarzać: „Co? Kto?”, obdarzać ją nieskalanym myślą spojrzeniem, niż porozmawiać o przeszłości. O tym, jak wygląda pomoc w moim wykonaniu, co się dzieje, gdy czyjś los powierza się w moje wyjątkowe ręce.

Nie zamierzam wyjawic imienia mądrego, który zorganizował jej, ciągnącą się latami, rodzinną sielankę – pękłoby jej serce – a już teraz cierpi na bezdech i kłuje ją w mostku.

Są też inne powody, które spycham w głąb czachy, bo są zwyczajnie nielogiczne, a przecież każde działanie, jakie podejmuję, włącznie z obmyślaniami genialnych planów, ma sens. I nie, nie jest to ironia, do chuja!

Niby chcę zniechęcić do siebie Zitę, a jednak nie do końca.

Teoretycznie marzę, by mieć ją z głowy, w praktyce to ostatnie, czego pragnę.

Takie tam nonsensy.

Równie absurdalne, jak zachowanie Zity, sądzącej, że wystarczy uporczywie się we mnie wpatrywać, żeby ujrzeć moje wnętrze.

Precyzyjne rozpracowanie niektórych od środka wymaga przynajmniej stołu, niekoniecznie sekcyjnego, i tnącego powłoki narzędzia, koniecznie

ostrego.

Przynależę do grupy pojmującej tę życiową mądrość.

Cenię prostotę czynu. Gustuję w krwi, którą wystarczy splukać.

Inni z kolei sami tną się na kawałki, w międzyczasie prezentując to, co wyjęli. Pokazują serce, kładąc je na tacy, karmią publikę duszą, niczym przetworem z esencji człowieka.

Zita zalicza się do tej kategorii.

Warsztatowy paprak niemający pojęcia o wykonywanej robocie.

NAWET JA nie wiem, gdzie włożyć TO COŚ, tę raz wyjętą duszę!

Po takim spektaklu po prostu nie da się posprzątać.

Mogę szorować się przez tydzień drucianą myjką, lecz i tak nie zetrę tego, czym zostałem upaprany. Zita chlusnęła we mnie tyloma emocjami, że na bank będę świecił w nocy, a ona ma jeszcze pretensje, bo nie odwdzieczyłem się tym samym. Chryste, nie jestem aż tak podły, by brać z niej przykład i z premedytacją fundować jej takie wątpliwej jakości atrakcje.

Sama w pewnej chwili się zorientowała, że robienie maślanych oczu do trupa to za mało, by go wskrzesić. Kiedy doznała olśnienia, zrobiła wyjątkowo dziwną minę, obróciła się na pięcie i... wsadziła głowę do lodówki. Wiem, co to oznacza. Taktyczne wycofanie. Etap pośredni podczas bojowego starcia. Działanie opóźniające. Przerwa. Ona jej potrzebuje, ja jej, kurwa, potrzebuję, by móc odpowiednio rozłożyć siły, zdecydować się na jakiś manewr, obronę, natarcie lub – choć to na pewno nie nastąpi – wymarsz z własnego domu.

Jestem przekonany, że to całe obcowanie z Zitą mnie nie przerośnie. Nie stanie się tak, bo moi – nasi – współlokatorzy panują nad swoimi mózgami. I właśnie dlatego mogę pozwolić sobie na komfort bycia panem sytuacji. Jakkolwiek patowa by nie była, jestem górą.

Nikt nie wypapla, że tu mieszkam, nie zostaną zdemaskowany, bo niby przez kogo? Wyznawców, którzy nie odzywają się niepytani? Ugo, który zwątpił w zdroworozsądkowość tej rodziny już lata temu i jest najmniej chętny, by dociekać kto, z kim i dlaczego? Luigiego przebywającego poza domem? A może Tafarię, któremu wysłałem wiadomość z informacją, żeby pod żadnym pozorem nie pojawiał się w kuchni?

Wtajemniczeni my kontra Zita.

Wygrani kontra Zita. Tego się trzymam. Nie dlatego, że brzmi lepiej. To po prostu fakt.



Rozsiadam się wygodnie na krześle, podczas gdy Zita przegląda się w postawionym na parapecie lusterku. Marszczy nos, dotyka go opuszkami. Nie mam pojęcia, czy działanie to ma na celu faktyczne ocenienie szkód, jakie sobie wyrządziła, czy jest próbą zebrania myśli w całość. Obstawiam to drugie. Gołym okiem widać, że się nad czymś zastanawia, że coś zaprzęta jej tę piękną głowę. Po prostu głowę. Wcale nie piękną, zwykłą taką. Łeb to łeb. W jej przypadku wyjątkowo foremna czaszka. Stop. Moja fiksacja na punkcie Zity jeszcze nigdy nie wyszła jej na dobre. Lepiej będzie, gdy zajmę się sobą.

Ja i długo, długo nic. Najlepiej i nie ma co zabarwiać rzeczywistości – najprościej.

Kiedy tak siedzę zrelaksowany, z rozmysłem pompując własne ego, bo rozplływania się nad swoim niebywałym zmysłem planowania, smykałką do dbania o szczegóły nigdy za wiele, do kuchni wparowuje nad wyraz uradowany, nieumiejący czytać SMS-ów ze zrozumieniem, jełop.

– Dlaczego mam nie pojawiać się w kuchni?! – wykrzykuje radośnie Tafari.

Cały on. We. Własnej. Zjebanej. Osobie.

Patrzy na mordującego go wzrokiem, mentalnie wykręcającego mu kichy mnie, a potem na Zitę. A wtedy z jego ust wychodzi coś równie beznadziejnego, mianowicie jakieś zduszone:

– He. He.

– To twój współlokator? Inny osadzony? – zwracam się do Zity, wskazując na Tafariego, bo on, zamiast ratować sytuację, sterczy w progu i jedyne, na co go stać, to luzowanie krawata.

Zita z kolei ma słuch wybiórczy. Słyszy tylko to, co chce, w związku z czym ignoruje zadane przeze mnie pytania. Podchodzi do stołu, podpiera się na pięściach i pyta:

– Kto ci tak powiedział, Tafari?

– Ugo – odpowiada bez zająknięcia, na co ona wyraźnie się rozluźnia. – Masz gościa. Już wiem, czemu nie powinno mnie tu być. To cześć – dodaje szybko, okręcając się na pięcie.

I z główki. Niech idzie. Nawet Zita nie jest na tyle nietaktowna, by zmuszać kogoś do dotrzymywania nam towarzystwa. Ja i ona. Styknie. O jedną osobę aż nadto.

– Nie bądź takim dzikusiem, poczekaj! – krzyczy za nim. – Poznajcie się. – Podbiega do niego i ciągnie go za rękaw, wymuszając zajęcie miejsca

przy stole. – To Tafari – przedstawia mi tego głąba, a ten z takim entuzjazmem wystawia dłoń, jakby przez całe życie marzył tylko o tym, by mnie, kurwa, poznać. – A to Spirito. Mój kuzyn.

– Cześć – bąkam pod nosem.

Zita śmieje się nerwowo.

– On jest sympatyczny, towarzyski i zaraża życiową energią – dodaje jeszcze, recytując niczym wyuczoną formułkę.

– Kto? – pyta tępo Tafari, więc kopię go pod stołem. – To znaczy, no, odczułem te pozytywne wibracje – drapie się po czole – od razu, gdy tylko tu wszedłem.

– Pogoda ducha jest u nas rodzinna – dopowiada Zita, uśmiechając się szeroko.

– Zdecydowanie – mówi Tafari. – To była moja pierwsza myśl. Z wyglądu też jesteście podobni.

Zita taksuje mnie wzrokiem, chyba faktycznie doszukując się między nami tych całych podobieństw. Zupełnie jakby już zapomniała, że łączące nas więzy krwi to jedynie wymyślona przez nią bujda. Zapytała wcześniej, co zobaczyłem w jej oczach. To proste. Ją. Co w związku z tym odczułem? Ulgę – bo to wciąż ona, moja dziewczynka. Przerazenie – z tego samego powodu.

Patrzemy na siebie. Tylko, kurwa, patrzemy, a mimo to przez moje ciało przetacza się jakaś niemożliwa do okiełznania fala ciepła. Mam nadzieję, że inni szczęściarze, to znaczy ci, w których na co dzień się wgapia, biorą to na chłodno. Na pewno. Każdy, kto mnie zna, wie przecież, czym studzę nierealne fantazje, gorące marzenia.

Chłodem ostrza.

Mrugam, chcąc przerwać to, nie ma co ukrywać, wielce dziwaczne, biegnące między nami połączenie. Oczy Zity są czarne jak karawan, ale nie oznacza to, że właśnie ja będę nieboszczykiem, który się do niego wpakuje. Chociaż, przyznaję, podoba mi się ta wizja. Jawi się nieźle. W sumie nie opierałbym się jakoś specjalnie. Chuj z tym wielce nieskutecznym mruganiem! Przyciskam palce do powiek. Bardzo, kurwa, mocno.

– Możesz sprecyzować? – pyta zaciekawiona Zita i zajmuje krzesło naprzeciwko mnie. Sięga po znajdujące się w misce jabłko i oblizuje wargi. Kilkukrotnie. Wiele razy. Mam wrażenie, że chwila ta trwa całą wieczność.

– Chcesz polizać? – Posyła mi pytające spojrzenie.

– Cooo?! – pytamy chórem z Tafariem.

– Jabłko. – Śmieje się Zita. – Kiedy byliśmy mali, lizałeś skórkę, zanim ugryzłam, żeby sprawdzić, czy nie jest spryskana czymś, co mogłoby mi zaszkodzić. – Wzrusza ramionami. – Więc chcesz, no wiesz, z troski o mój brzuch?

Jedyne, czego pragnę, to wyemigrować do swojego pokoju. Z niecierpliwością wyczekuję wybicia „godziny zero”. Zita pójdzie do salonu, żeby odebrać telefon kontrolny od *funkcjonariusza*, Boah w tym czasie zaparkuje moje auto w garażu, a ja czmychnę na górę. Proste.

– Nie? – odpowiadam pytaniem. Mam świadomość, że gapilem się na jej usta mało subtelnie, żeby nie powiedzieć natarczywie, ale czy to powód, by wciągać mnie w jakąś gierkę? Co ona wyprawia? Jeśli natychmiast się nie opanuje, Tafari się domysli, że nie jestem jej kuzynem! Chryste, przecież on o tym wie. Muszę. Stać. Wyjść. Muszę i chcę! – Twoje problemy żołądkowe, oraz jakiegokolwiek inne, zupełnie mnie nie interesują – mówię pewnie, ale Zita nie wydaje się przekonana. – A nawet jeśli, to tylko trochę – dodaję, a ona nieudolnie tłumi ten swój słynny rechot. – Nie na tyle, by lizać jabłko. Nigdy, nawet jako dzieciak, nie robiłem aż tak – akcentuję – dziwnych rzeczy.

Wyjaśnione. Po jej minie wnoszę, że nawet zrozumiane.

– Tak? W takim razie dlaczego wołali na ciebie pato-zjeb? – pyta.

Jednak się pomyliłem. Interpretacja gestów, mimiki, a często nawet i słów, w moim przypadku leży.

– Serio? – Tafari świetnie zgrywa zdziwionego. – Kto by pomyślał. Twój kuzyn sprawia wrażenie ułożonego. – Przygląda mi się uważnie.

– „Sprawia wrażenie” to słowo klucz, Tafari. – Zita uderza go w ramię jak starego, a co najgorsze, dobrego kumpla. On z kolei czochra jej krótkie włosy. Wymieniają się uśmiechami. Ogólnie są nad wyraz radośni. Na mój gust przesadnie.

Uważam, że koleżeństwo jest przereklamowane. A precyzując, wołałbym, żeby się od siebie odkolegowali.

– Nie dokończyłeś z tym podobieństwem między mną a Spirito – przypomina mu Zita. Zupełnie niepotrzebnie, przecież to Tafari, na pewno nie powie nic mądrego.

– No... A więc... – duka w odpowiedzi, jeszcze bardziej poluzowując krawat. – Miałem na myśli, że macie ciemne włosy i...

– Dwie nogi, a także dwie ręce – dodaję, dając mu czas na ogarnięcie się. Po co w ogóle zaczynał temat, który go przerasta. „Macie ciemne włosy”.

Mam ochotę wyszarpać mu jego własne.

Spoglądam na zegar ścienny. Pół godziny do osiemnastej. Wytrzymam. Dam radę. Z równowagi nie wyprowadzi mnie nawet nieprzyjemny dla ucha pisk zużytych klocków hamulcowych w aucie Luigiego. To nic, że wrócił do domu, nie upewniając się wcześniej, czy sytuacja, w jaką mnie wpakował – instalując w moim telefonie, jak sam określił, niezawodną i intuicyjną aplikację – została opanowana. Na pewno nie wparuje do kuchni i nie będzie mi działał na nerwy.

Znów to pieprzone myślenie życzeniowe.

*Trzy, dwa, jeden*, odliczam w myślach, czekając, aż pojawi się w progu.

Jeszcze raz. *Trzy, dwa, jeden*. Nie ma go.

Posyłam Boahowi sugestywne spojrzenie, licząc, że odpowiednio je zinterpretuje. „Tak zachowują się ludzie, którzy nie chcą komplikować innym życia”, „Powinieneś się od niego uczyć...”

Chcę jeszcze dodać bezgłośnie: „Głębie”, ale nie zdążam, bo drzwi się otwierają, a do środka wchodzi wiadomo, kurwa, kto.

– Panie naczelniku! – ekscytuje się Zita. – Proszę poznać mojego kuzyna.

– Wskazuje na mnie palcem, na co Luigi unosi brwi. – To wbrew regulaminowi? – pyta jeszcze i przybiera minę niewiniątka. – Oczywiście nie miałam zamiaru go zapraszać, ale...

– Zgadłaś, wbrew. – Luigi wchodzi jej w słowo. – Przyniosłem ci plan zamku. – Wyjmuje spod pachy rulon i rozkłada go na stole. – Krzyżykami zaznaczyłem pomieszczenia, które trzeba odmalować. Możesz zacząć już dziś. Trafi pan do wyjścia? – zwraca się do mnie oficjalnym tonem. W przeciwieństwie do Tafariego nawet nie ma ochoty mnie poznać.

– Że co proszę? – wyduszam, bo chyba odniósł mylne wrażenie, że potrzebuję ratunku. Podczas gdy ja nie chcę zostać uratowany! Nie zamierzam się stąd ulatniać, tylko po ludzku udać się do swojego pokoju.

– To na pewno plan tego budynku? – wtrąca przyglądająca się projektowi Zita. – Nie uwzględniono najniższej kondygnacji.

– Ta, na której teraz się znajdujemy, jest najniższą. Pod nami niczego nie ma – przekonuje ją Tafari.

– Oczywiście, że coś jest. – Zita idzie w zaparte i stuka podeszwą w podłogę. – Niżej są podziemia. Zwiedziłam je jako dzieciak. Raz nawet z tobą. – Zerka na mnie.

– Nie przypominam sobie.

– Przecież właśnie tam zawarliśmy pakt! – rzuca w złości, nie mogąc zapewne uwierzyć, że wydarzenie to nie wyryło się w mojej pamięci na zawsze. – Ten wieczysty – syczy, intensywnie się we mnie wpatrując.

– Naprawdę? – zgrywam idiotę. Tak jest łatwiej. Wreszcie do niej dotrze, że wszystko, co w jej mniemaniu miało znaczenie, tak naprawdę go nie ma. Skoro nie pamiętam tak ważnych faktów z naszej przeszłości, to chyba wystarczająco czytelny komunikat, że nie były dla mnie istotne.

I nieważne, że jest zupełnie na odwrót.

Mogę odtworzyć każde wypowiedziane wtedy przez nas słowo. W uszach wciąż dźwięczy mi jej śmiech, do tej pory oczyma wyobraźni widzę to psotne spojrzenie, kiedy próbowała...

– Boże, nie pojmuję, jak mogłeś o tym zapomnieć. W jednym z piwnicznych pomieszczeń znaleźliśmy popiersie zakłętego w kamieniu władcy tego zamku! – unosi się. – Na głowie miał koronę.

– Cierniową? – pytam z zaciekawieniem.

– Kamienną – odpowiada z powagą. – Zaczynasz mi działać na nerwy, Spirito – sapie. – Próbowałam ją rozłupać, żeby wziąć kawałek na pamiątkę, ale powiedziałaś, że jedyną siłą, która byłaby w stanie skruszyć ten gład, jest miłość.

Parskam śmiechem, lecz Zita niezrażona nawija dalej.

– W koronie brakowało klejnotu. Powiedziałaś, że według legendy powinna być w niej osadzona perła, która symbolizuje życie. A ponieważ jej nie było, władca był martwy, zakłęty. – Wpatruje się we mnie wyczekująco, więc mówię to, czego najpewniej nie oczekuje.

– Nadal nic. Wybacz.

– Wtarłeś w tę koronę swoją krew! – W nerwach zaciska pięści. – A wyżłobienie, w którym powinna znajdować się perła, kazałeś mi naznaczyć moją! I co teraz powiesz? – Przybiera buntowniczą postawę, podpierając dłoń na biodrze.

– Że byliśmy naprawdę dziwnymi dziećmi? – odpowiadam pytaniem.

– Dobra, nie rozmawiam z tobą. – Macha ręką w geście rezygnacji i spogląda na zegar, co nie umyka Luigiemu.

– Odprowadzę twojego kuzyna, a ty idź do salonu, bo zaraz będą dzwonić do ciebie z ośrodka.

To mi się podoba. W końcu poszedł po rozum do głowy i się domyślił, że mój plan nie zakłada opuszczenia posiadłości.

– Nie – oznajmia kategorycznie Zita. – Dam radę zrobić i jedno, i drugie. Chodź. – Łapie mnie za przedramię i ciągnie w stronę drzwi.

– Nikt nie musi mnie odprowadzać. Nie róbcie sobie kłopotu – oznajmiam wspaniałomyślnie.

– Żaden kłopot. – Zita uśmiecha się szeroko.

– Wolę pójść sam. Nie lubię pożegnań – rzucam zdesperowany, bo wychodzimy na korytarz. Szukając ratunku, zerkam ukradkiem to na Tafarię, to na Luigiego, ale, no właśnie, spojrzenia te może są aż nadto ukradkowe, skoro ich jedyną reakcją jest... brak reakcji.

– Bardziej niż „żegnaj” mam ochotę zawołać „witaj!” – Zita śmieje się cicho. To do niej tak niepodobne, że aż niepokojące.

Powłóczę nogami, licząc, że wreszcie wybije długo wyczekiwana godzina i tę pełną napięcia, w gruncie rzeczy wyjątkowo smutną, bo zwiastującą rychłe wypędzenie, chwilę przerwie dzwoniący telefon. Szybko jednak dociera do mnie, że to płonne nadzieje. Żaden z braci nie wykazuje chęci oddzielenia się od grupy lub chociażby pogmerania w kieszeni w celu wyciągnięcia komórki i wybrania ratującego mi skórę numeru.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi z tym „witaj” – mówię wprost.

– A ja nie czuję, o co ci chodzi z tym „żegnaj” – oznajmia enigmatycznie Zita i przyspiesza kroku.

– Zapytaj, czy jeszcze się zobaczymy – proponuję, dziwiąc się, że sama na to nie wpadła. Przecież to typowe pytanie, które wręcz wypada zadać, gdy spotkanie dobiega końca. Odpowiem, że nie, a wątpliwość co do znaczenia słowa „żegnam” z automatu wyparuje.

Zita prycha pod nosem. Nie dość, że ignoruje sugestię, to dodatkowo nawet nie wierci mi dziury w brzuchu, nie podejmuje ostatniej próby wymuszenia numeru telefonu, adresu, jakiegokolwiek informacji, która ułatwiłaby zlokalizowanie mnie w przyszłości. Zupełnie jakby nasze spotkanie nie miało dla niej większego znaczenia, a ja byłbym po prostu jednym z wielu jej kumpli.

– Dlaczego mam o to pytać, skoro znam odpowiedź? – Wzrusza ramionami. – Jutro sobota, wykorzystam wolny czas i pojedę do Palermo. Rozumiem, że też się wybierasz?

Przystaję, bo przez moment dosłownie mnie zatyka.

– Skąd taki wniosek? Mówisz tak, jakbym zawsze był krok za tobą, a to nieprawda. Nie mieszam się w twoje sprawy, nie obchodzą mnie. – Unoszę rękę. – A po co tam jedziesz?

Zita kręci głową z niedowierzaniem.

*No co? To już nawet zapytać nie można?*

– Najpierw pojedę na dworzec. Przed moim ostatnim spotkaniem z Almą zostawiłam w skrytce kilka rzeczy, a przedwczoraj minął termin wynajmu. Mam nadzieję, że jeszcze jej nie opróżnili. Jak myślisz?

– Tego samego dnia moi ludzie opłacili ją na pół roku z góry – stwierdzam rzeczowo.

A raczej się pograżam.

Tyle na temat mojego braku zainteresowania. Kurwaaa.

Zita nawet tego nie komentuje. Przemawia za nią jej mina, którą można, lecz wcale nie trzeba, odczytać jako: „Żal, gościu. Serio. Jeden. Wielki. Żal”.

Biorę na to poprawkę, więcej niż pewne, że słusznie, bo niby dlaczego miałyby uważać, że jestem żałosny? Przecież moje słowa i czyny idą ze sobą w parze. Ja po prostu okazuję obojętność w nietypowy sposób. Łażę za kimś, rozwiązuję jego problemy i wmawiam mu, że wcale mnie nie obchodzi.

– A co planujesz potem? – rzucam niby od niechcenia.

Dobra, nie było tematu. Przyznaję. BYWAM godny politowania.

– Odwiedzę Almę. Chcę ją przeprosić.

– Gotti? Tę samą, która namówiła cię do przetrzymywania w magazynie jakiejś kobiety? Tę, dzięki której zaczęłaś parać się dilerką i przez którą niemal zginęłaś? – pytam, nie oczekując nawet potwierdzenia. – Dobrze zrobiłaś, że podawałaś się za kogoś innego. Wybaczone. – Macham lekceważąco ręką.

Zita wybucha śmiechem. Tak spazmatycznym, że aż zgina się wpół, a kiedy unosi głowę i myślę, że to koniec pieśni, znów zaczyna rzeć.

– Alma mnie namówiła – wydusza, uderzając się w uda. – Biedna, pozbawiona wolnej woli, Zita – rzuca prześmiewczo, mówiąc o sobie w trzeciej osobie, i wreszcie się prostuje. – Nie mam problemu z odmawianiem, gdy nie mam na coś ochoty. – Patrzy mi prosto w oczy. – Albo się czegoś chce, albo nie. Prosta pieprzona zasada – dodaje ciszej, podczas gdy ja zaciskam pięści, bo ten wniosek to najpewniej jedyna nauka, jaką wyniosła z rodziny zastępczej. – Oho, uwaga, werble, iiii – przeciąga głoski, mrużąc powieki – mam cię!

– Mnie?

– Tak. Miło cię widzieć.

– Mnie? – powtarzam jak półgłówek, wskazując na siebie, w momencie, kiedy słyhać dobiegający z domu dźwięk telefonu. Zerkam ponad ramieniem Zity. Luigi posyła mi sugestywne spojrzenie i chowa komórkę do kieszeni. Ten to ma refleks. Rychło, kurwa, w czas.

– Zito, dzwoni do ciebie funkcjonariusz! – krzyczy stojący na schodkach Tafari.

– Jak kocha, to poczeka! – Zita odkrzykuje na odczepnego i popycha mnie w stronę auta. – Zmykaj, bo będę miała kłopoty.

– Leć odebrać, ja sobie poradzę – sugeruję, nie dając po sobie poznać, że właśnie na tym najbardziej mi zależy. – Boah otworzy mi bramę.

*A finał spotkania będzie dokładnie taki, jak zaplanowałem, dodaję w myślach.*

– Błagam, przestań się już pogrązać – mówi Zita i otwiera przede mną drzwi samochodu.

– Ja? – pytam, niczym mądry inaczej i... wsiadam do wozu, bo cóż innego mam zrobić? Opieranie się sprawi jedynie, że nabierze podejrzeń.

– Strażnicy cię wypuszczą, bo Boah – nie wiedzieć czemu akcentuje jego imię – wiesz się właśnie na swoim krawacie.

Wychylam głowę, żeby sprawdzić, w czym rzecz.

– Współczuję towarzystwa – oznajmiam rzeczowo, gdy okazuje się, że miała na myśli dokładnie to, co powiedziała.

– Odbierz ten telefon! – emocjonuje się Luigi. – Zaraz będziemy mieli nalot mundurowych!

– Co jeden to lepszy... – dodaję, kręcąc głową.

– Coś w tym jest, Spirito – kwituje Zita. – No nic, jedź już. – Zatraskuje drzwi, klepie w dach auta i wypruwa w stronę schodów, by dołączyć do chłopaków.

Przygotowuję się do jazdy dłużej, niż konieczne. Robię wszystko, byle tylko „wypędzenie Ducha z zamku” nie stało się faktem. Zawsze uważałem to hasło za zabawne. Do pewnego momentu. Do teraz, kurwa.

Raz za razem zerkam w lusterko, mając nadzieję, że dadzą sobie siana z tą przesadną gościnnością i nie będą czekać, aż odjadę. Niestety. Wciąż tam sterczą.

Gdy zaczynają machać na pożegnanie, a Zita przesyła mi buziaki w powietrzu, zrezygnowany odpalam w końcu silnik.

I żeby była jasność. Nie zostałem przepędzony. Odjeżdżam, bo lubię bez celu snuć się po mieście. To moje hobby. Uwielbiam również otaczać się



idiotami, przekonany, że ich rolą w moim planie jest wiarygodne odgrywanie komitetu pożegnalnego. Kocham to. *Serio*.

## ROZDZIAŁ 20

### *Spirito*

Zanim wyjadę z terenu posesji, zatrzymuję się przed bramą, opuszczam szybę i przywołuję jednego z Wyznawców. Zmierza w moją stronę skocznym krokiem i uśmiecha się od ucha do ucha. To jakiś absurd. Ta cała jego pogoda ducha. Podobnie jak to, że on tu zostaje i na legalu może cieszyć gębę, a ja, skazany na banicję, muszę odbębnić przymusowy spacer.

– Wszystko idzie zgodnie z zamierzeniami? – pyta, podpierając się o dach. – Kiedy przyjechaliście, wyglądałeś na sfrustrowanego.

– To część mojego planu – rzucam oschle, chcąc zamaskować nieodpartą chęć ponownego przyjebania łbem w kierownicę. – Nie wiem, o której wrócę, więc wyprowadź mojego psa. – Wręczam mu klucze, na co sapie niezadowolony. – Pamiętaj, żeby...

– Wiem, wiem – wchodzi mi w słowo. – Nie mogę zbiegać po schodach, gdy trzymam go na rękach, bo nie lubi wstrząsów. Po spacerze mam mu przemyć oko naparem z rumianku o odpowiedniej temperaturze, a łapy wyszorować specjalnym mydłem. Później trzeba zwierzaka przykryć kocem, włączyć nocną lampkę, ponieważ nie przepada za ciemnością, i tyle.

– Zapomniałeś o najważniejszym.

– Fakt. – Uderza się otwartą dłońią w czoło. – Jeśli podczas obcowania z nim słowem lub czynem okażę mu, jak bardzo mnie wkurwia, to zawczasu powinienem się zabić.

Lepiej bym tego nie ujął. No jasne, przecież to moje słowa.

Unoszę szybę i przejeżdżam przez bramę, by jak na obieżyświata z prawdziwego zdarzenia przystało, zaparkować w zacienionej alejce kilka przecznic dalej. Z dobry kwadrans gapię się na budkę z żarciem, ciągnący się do kasy sznur klientów, biegające przy stolikach dzieci, rozważając, czy aby na pewno jestem na tyle głodny, by wyjść ze strefy komfortu i wpakować się w sam środek tego gówna.

Najwidoczniej tak, skoro wkładam bluzę, naciągam kaptur na łeb, a chwilę później wysiadam z wozu.

Najwidoczniej nie, jeśli uskutecznię jakąś pieprzoną wizualizację, a w rzeczywistości nawet nie ruszam się z miejsca.

Odczuwam wewnętrzny dyskomfort. Za dużo bodźców, zbyt wielu ludzi. Problematyczne, bo ja, widzę ich... od środka. To dopiero zaskoczenie! I kolejne. Nie jestem ani bardzo żywy, ani bardzo martwy, tylko, ot tak, najzwyczajniej, PO-PIER-DO-LO-NY.

I choć nie wciskam się już w kąt celi, licząc, że otaczający mnie ludzie, a także wszystko wokół okaże się wykreowanym przez chory mózg mirażem, niejednokrotnie – tak, jak teraz – odnoszę wrażenie, że wciąż w niej tkwię, a jedyną zmienną jest atrybut zawiadamiający o upływającym czasie. Dawniej moim zegarem, kartkami z kalendarza były dostarczane przez Bandettiego zdjęcia Zity. Żyłem od jednego do drugiego, a z każdym kolejnym spłycał mi się oddech.

#### ZITA W ZA DUŻEJ, SIĘGAJĄCEJ ŁYDEK SUKIENCIE- PSTRYK.

Zapamiętałem tę fotografię nie dlatego, że Bandetti machał mi nią przed ryjem jak osłu marchewką, nakłaniając do dobrowolnego opuszczenia celi. Powodem był fakt, że Zita wyglądała na niej, jakby dosłownie zachłysnęła się szczęściem. Nie potrafiłem rozgryźć, czy przyczyną tego stanu rzeczy było towarzystwo stojących za jej placami równie radosnych jak ona państwa Tocco, czy lalka, którą kurczowo ścisnęła w dłoniach. Nieistotne.

Oczy Zity błyszczały radością. Nic więcej się nie liczyło.

Doktor dotrzymał słowa.

Musiałem kogoś wypatroszyć.

Raz, drugi, trzeci, czwarty, piąty... kurwa, nie starczy dnia, zabraknie nocy. Inaczej. Raz, czasem dwa dziennie. Spędziłem w podziemiach ponad trzy lata. Prosta matematyka. Przez moje ręce przewinęły się metry naczyń krwionośnych, wypłukałem z krwi, pobrałem i spakowałem do transportu kilogramy narządów. Przed i po operacji wpatrywałem się w dostarczane mi cyklicznie, przyklejane do lampy operacyjnej, aktualne zdjęcie uśmiechniętej dziewczynki. Sprowadzała mnie na ziemię, gdy dryfowałem myślami, wyobrażając sobie, że odbieram życie przebywającym w salach medykom, Bandettiemu i sobie.

Czcze marzenia, głównie dlatego, że ręce, choćby nie wiadomo jak cudowne, są tylko dwie. Mała siła rażenia. W starciu z zespołem medycznym, doktorem, a na wyższych kondygnacjach z ochroną, mógłbym co najwyżej podłubać sobie w nosie. Jedyni pomocnicy, z którymi w

pierwszym odruchu rozważałem współpracę – przetrzymywani w klatkach dawcy – byli zarazem ostatnimi, którym ufałem. Według nich staliśmy po dwóch stronach barykady, nazywali mnie Śmiercią, całodobowo ryli mi banię, wrzeszcząc: „Morderco!, Morderco!, Morderco!”. W takich warunkach nawet zwyczajne, wydawać by się mogło niewymagające wysiłku, TRWANIE było niewykonalne. Z czasem, szybciej, niż chciałbym przyznać, miałem, kurwa, dość. Zatykałem uszy, liczyłem ogniwa oplatającego moją kostkę łańcucha, nie potrafiąc wręcz doczekać się wyjścia na salę operacyjną.

Chwili, w której rzeczywiście pochylę się nad tymi łatwowiernymi głupcami. I o ile to, że nimi byli, mogłem zaakceptować, nawet zrozumieć, tak tego, że cierpieli na ślepotę już nie.

Nie dostrzegli bowiem, że wszyscy byliśmy mordowani.

#### ZITA UBRANA W PLISOWANĄ SPÓDNICĘ I BLUZKĘ Z ŻABOTEM. - PSTRYK.

Umieszczenie wychuchanego jedynaka, złotego dziecka, w celi i obdarcie go z prywatności było błędem Bandettiego. Upodlił mnie, a kiedy wreszcie złamał, zmienił taktykę i przeobraził się w dobrego wujka, wręczając mi odtwarzacz MP4 ze słuchawkami. Marny prezent. Piski moich współtowarzyszy tak wryły mi się w pamięć, że słyszałbym je, nawet gdybym ogłuchł. Trudno stwierdzić na rozwinięcie jakiego syndromu, kurwa, liczył, ale się przeliczył. Nie byłem zadowolony. A tym bardziej wdzięczny. Reakcją na niezmienną się, mimo upływu czasu, warunki bytowe było *ulatnianie*.

– Długo jeszcze będziesz się gapił w te bebechy czy zabierzesz się w końcu do pracy? – zapytał Bandetti, gdy pochylałem się nad stołem, oceniając unaczynienie tętnicze trzustki. Zbyłem pytanie milczeniem. – Weź to spakuj – zwrócił się do towarzyszącego nam chirurga – bo on – klepnął mnie w plecy – znów ma jazdy.

Odszedł od stolika bocznego, na którym przygotowywał narządy do transportu, i przystanął u mego boku. Chwilę przyglądał się mojemu profilowi, aż wreszcie westchnął i pomachał mi dłonią przed oczami.

– Z czym znowu królewicz ma problem? – sapnął.

– Chyba łatwiej będzie mu wymienić, z czym nie ma – wtrącił chirurg. – Woląłem tego chłopaka z przeszłości. Przemądrzałego, buntowniczego skurwiela, któremu nie zamykała się gęba. Teraz nawet bym go nie uciszał,

gdyby miał dawną energię, sto razy dziennie pytał, co u Zity, i groził, że kiedyś nas potnie.

– Przecież to on – parsknął doktor. – Tobie też coś siadło na łeb?

– Spędzam wiele godzin z tym mamrocącym do siebie czymś, nie wiedząc, co mu odpierdoli i czy to właśnie ten dzień, w którym nie będzie mi dane wrócić do domu.

– Nie mówię do siebie. – Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– A do kogo? – zapytał zaniepokojony Bandetti.

Przesunąłem wątrobę na prawą stronę tylko po to, by móc zaobserwować, jak napinają się przepona i tkanki miękkie brzucha. W tamtej chwili wydawało się to o wiele bardziej interesujące od tej prowadzącej donikąd rozmowy.

– E, chyba jednak do siebie – odpowiedziałem po dłuższym zastanowieniu. – Bo rozmawiam ze Śmiercią.

– O tym mówię – powiedział chirurg. – Dawniej był narwany, walił prosto z mostu, a w obecnym stanie nie wiadomo, o co mu chodzi, nawet kiedy się odzywa. Dodatkowo ma jakąś nerwicę natręctw. W trakcie jednej operacji pięć razy zmienia fartuch, a jeśli nie dopilnuję i okazuje się, że zabrakło białych, wołem go do tego stołu – postukał w blat – nie zaciągniesz.

– Wołem może i nie – odparł sucho Bandetti. – Ale rzucając odpowiednie zaklęcie, już tak. Mam rację, Spirito?

– Dawno nie dostałem zdjęcia Zity – przyznałem.

– No i jesteśmy w domu. Wieczorem ci je dostarczę – zapewnił. – Zaprowadź go do celi – zwrócił się do chirurga.

Pewne jest, że Bandetti nieszczególnie przykładał się do selekcji dostarczanych mi fotografii. Być może nie robił tego wcale. Gdyby tak było, gdybym widział na nich dokładnie to, co chciałem ujrzeć, prawdopodobnie miałbym więcej zacięcia, wskrzesił w sobie jakąś wszechmoc, rozniecił iskrę nadziei, choć... byłoby to złudne. Tymczasem nie towarzyszyło mi żadne z tych odczuć.

Kiedy przyglądałem się zdjęciu, czułem jedynie niemoc. Dotarło do mnie, że mój udział w chorym procederze bynajmniej nie gwarantował Zicie szczęścia, a jedynie – lub aż – życie.

– I jak? – zapytał stojący przed celą Bandetti. – Zadowolony?

– Jeśli Zita nie jest, to ja tym bardziej.

Doktor zmarszczył brwi i wystawił dłoń, więc oddałem mu fotkę.

– Zamknąć jadaczki! – krzyknął do dokazujących ludzi. Żyła na jego skroni pulsowała. – Wolałbym wykitować, niż tu tkwić – przyznał bez ogródek. – No, ale ty nie możesz sobie pozwolić na ten luksus. Musisz żyć.

Miał pierdoloną rację.

– Co ci nie pasuje, dzieciaku? – powrócił do tematu Zity. – Ja widzę na zdjęciu szczęśliwą dziewczynę, a ty kogo? Co sobie uroiłeś?

– Czy jeśli się uśmiechnę, będzie oznaczało, że też jestem szczęśliwy?

– A nie jesteś? – parsknął prześmiewczo i kontynuował: – Ma porządne ubranie, jest czysta, ładnie uczesana i...

– Ona nie lubi mieć splecionych włosów – wszedłem mu w słowo. – Nie podoba mi się, że zaciska dłonie na sukience i wygląda, jakby chciała zapaść się w sobie. No, bo jak inaczej to określić? – Wskazałem na fotografię.

– Po prostu się garbi. – Bandetti wzruszył ramionami. – Dziewczyny w jej wieku postawą próbują zamaskować efekty dojrzewania.

– Prosta droga do przykurczu mięśni piersiowych i spłylenia lordozy szyjnej – zdiagnozowałem, kręcąc głową z dezaprobatą.

Cały, kurwa, ja. Zamiast doszukiwać się problemu głębiej, spojrzeć szerzej, moją głowę zaprzątęły aspekty medyczne. Tak zostałem wytresowany, choć niewątpliwie, w tym przypadku, powinienem się bardziej postarać. W końcu chodziło się o Zitę. Dziewczynę, która WIDZIAŁA Ducha. Dla ojca, Bandettiego, całej tej bandy dostrzegającej we mnie jedynie szansę na zarobek, byłem przezroczystry. Dla wszystkich poza nią. Podczas gdy każdy obchodził się ze mną jak z jajkiem, Zita wiecznie wytrącała mnie ze strefy komfortu, amoku samouwielbienia, a co najdziwniejsze, nie musiała się nawet natrudzić. Wystarczała sama jej obecność, to, że kiedy spędzaliśmy razem czas, ona naprawdę była blisko.

Niekiedy, całkiem możliwe, że często, w sensie codziennie, gdy czułem, że jest ze mną, przy mnie, za bardzo, wywołując tym samym lawinę uczuć, których nie potrafiłem nazwać, straszylem ją, ciąłem lub gryzłem.

Z czasem przestało robić to na niej wrażenie. Pogodziła się z faktem, że jestem popieprzony, a ja z tym, że lubię ją bardziej niż siebie.

– Nadal niezadowolony? – zapytał Bandetti. – Gdyby nie twoje umiejętności, już dawno bym się ciebie pozbył – przyznał bez cienia wątpliwości i pstryknął palcami, jakby wpadł na genialny pomysł. – Chyba już wiem, jak tchnąć w ciebie życie! – krzyknął i wybiegł.

– Nie rób tego! – wrzasnąłem.

Moja pierwsza myśl, ta sama, która dawniej napawałaby mnie radością i ulgą, w tamtej chwili wywołała przerażenie. Ostatnim, czego chciałem, to, by przyprowadził Zitę. Samo wyobrażenie tego, że zobaczyłaby mnie, COŚ tak przegranego, tę wydmuszkę człowieka bez żadnych perspektyw, ten CIEN, wywoływało ucisk w żołądku. Nie taki chciałem zostać zapamiętany. Nie taki. Na tamtym etapie nie snułem dalekosiężnych planów, ale pewne było dla mnie, że nigdy już nie stanę z nią twarzą w twarz. To dopiero byłoby popierdalone.

Zita i Spirito.

Ktoś i coś.

Ona pachniała świeżo skoszoną trawą. Ja gniłem od środka.

Przysiadłem w kącie celi, żeby być możliwie jak najdalej od pomieszkującego po sąsiedzku dzieciaka. Wiedziony doświadczeniem pilnowałem się, by nie patrzeć w jego stronę. Wielokrotnie przedtem, gdy nieopatrznie zdarzyło mi się na niego zerknąć, zawsze napotykałem jego zażawione spojrzenie. Wytrwałbym w postanowieniu, gdyby nie któraś z kolei zmięta w kulkę kartka, którą we mnie rzucił. Ugo nie miał litości. A ponieważ ja także brzydziłem się miłosierdziem, w rewanżu zadałem małemu natrętowi jego ulubione pytanie.

– Opisz mi, jak pachnie trawa?

– Nie, nie – zająknął się – nie pamiętam. – Naciągnął na pięści rękawy bluzy i przytknął je do oczu.

– Przepraszam – szepnąłem, udając skruchę. – Zapytam o coś prostszego. Jak to jest, czuć na skórze ciepło promieni słonecznych? Jaki kształt miał ostatni widziany przez ciebie obłok? Jakie to uczucie, gdy ktoś trzyma cię za rękę, ale – uniosłem palec, mimo że Ugo wciąż zakrywał oczy – nie po to, by siłą wyszarpać cię na salę, lecz dlatego, że po prostu lubi, gdy jesteś blisko? Jak...

Nie musiałem dodawać nic więcej. Nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań. Posikał się z emocji – od zawsze wiedziałem, że one są złe – a po chwili rozbeczał na dobre. Było w tym dźwięku coś tak przejmującego, że wszystkie inne słyszalne w podziemiu szluchy bladły na tle tego jednego, chłopięcego. Ugo położył rękę na wątej klatce piersiowej. Trząśł się. W tamtym momencie wyobraziłem sobie jego kruszące się dziecięce serduszko. Tego rodzaju wizualizacje towarzyszyły mi od zawsze, podobnie jak śmierć. Widziałem, jak pęka mu serce i sinieją wargi. Jak umiera.

Więcej nie trzeba było, bym okazał litość. Postanowiłem dodać dzieciakowi otuchy. Reanimować go, zadając pytania, na które potrafił udzielić odpowiedzi.

– Co odczuwasz podczas umierania? – zapytałem radośnie, ale odpowiedzią był jeszcze większy ryk. Nie rozumiałem tej reakcji. Odśloniłem się, ukazałem najbardziej przystępną stronę osobowości, a nawet tego nie docenił. Machnąłem ręką z rezygnacją. – Opowiedz, do jakich wniosków doszedłeś, obserwując rozwój tych plamistych skupisk – wskazałem na zagrzybiały kąt celi i sufit. – Co pojawia się najpierw? Puszysta grzybnia powietrzna, mięsiste płaty grzybni, owocniki? – dociekałem, na co uniósł głowę. Powodem bynajmniej nie była chęć spojrzenia na mnie z zaciekawieniem, lecz najzwyczajsze wybałuszenie gał.

Wtedy dotarło do mnie, że reanimacja to nie mój atut. Dziwne uczucie, ponieważ od dziecka żyłem w przekonaniu, że jestem dobry we wszystkim.

Ugo przetarł nos rękawem.

– Chcę umrzeć. Byłbym szczęśliwy, gdybym nie żył. Do takich wniosków doszedłem po rozmowie z tobą.

Ponownie nie zrozumiałem. Przecież z nas – szczęściarzy Bandettiego – sekunda po sekundzie ulatywało życie. Co więcej, biorąc pod uwagę fakt, że umieramy od chwili narodzin, Ugo nie powinien mieć wątpliwości, że z każdą mijającą chwilą był bardziej martwy niż żywy. Postanowiłem zachować tę informację dla siebie. Miałem dość pocieszania go, skoro i tak nie potrafił tego docenić. Ważne są czyny, nie słowa. W myśl tej zasady postanowiłem wyciągnąć do niego pomocną dłoń.

– Nie martw się. Jestem jaki jestem, ale chyba nie masz wątpliwości, że jeśli tylko będę miał możliwość, chętnie pomogę ci się stąd wydostać.

Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem w jego oczach nadzieję. Paradoksalnie usłyszenie tych słów tchnęło w niego życie. Coś pięknego. Ta emanująca od niego radość na wieść o tym, że go zabiję.

– Dziękuję – odpowiedział i energicznie potarł twarz. – Obmyśliłeś jakiś plan? Bo długo już nie wytrzymam.

Wzruszyłem ramionami. Banał.

– Podejdź bliżej. Usiądź do mnie tyłem. Oprzyj plecy o pręty łączące nasze cele – poinstruowałem.

– Nie chcesz, żeby ktoś usłyszał, co planujesz, tak? – zapytał i wstał z podłogi.



– Tu jest głośniejsze niż w ulu – odparłem zgodnie z prawdą. – Naprawdę sądzisz, że ktokolwiek usłyszy chrupnięcie kości? Obejmę cię za głowę i ją przekręcę. Za minutę będziesz wolny – dodałem, zachęcając go tą wizją, lecz on jedynie stał bez ruchu.

– Chcesz mnie zabić? – wydusił z niedowierzaniem.

– A myślałeś, że co? Następnym razem nie zwracaj mi dupy swoim niezdecydowaniem. Powiedziałeś, że śmierć cię uszczęśliwi, a teraz co? – Skrzywiłem się, nie pojmując, jak można być tak niepoważnym. – Pamiętasz w ogóle, jak to jest być szczęśliwym? Skoro tak bardzo tego pragniesz, to chyba tak? Opiszesz?

Znów się rozryczał. Miałem dość jego niestabilności.

– Właśnie mi uświadomiłeś, że tego również nie pamiętam – powiedział zrezygnowany. – Po prostu myślałem, że mnie uwolnisz, a nawet zabierzesz ze sobą, gdy już będziesz stąd uciekał. Nie chcę jednak umrzeć. Nie dosłownie. Mam jeszcze nadzieję.

– Ale ja nie zamierzam uciekać – wyprowadziłem go z błędu, nie chcąc, by doszukiwał się we mnie ratunku. – Może się wydawać, że jestem zdesperowany, czy tam na skraju wytrzymałości, ale zapewniam, że tak nie jest. – Z każdym wypowiedzianym słowem coraz bardziej łamał mi się głos. – Trochę zmienił mi się kąt postrzegania. Teraz Zita ma dom, szansę na zdobycie wykształcenia, spokój. Odebranie jej tego byłoby egoistyczne. Mogę tak żyć. – Zatoczyłem krąg rękami. – Jest dobrze – zapewniłem, kiwając głową.

– Ale jak to? Tak po prostu rezygnujesz z siebie, z was? Jeden z chirurgów mówił, że egoizm to twoje drugie imię. – Podrapał się po głowie. – Nie rozumiem. Czy to oznacza, że jesteś bardziej zadufany w tej dziewczynie niż w sobie?

– Tak, smrodzie. Jestem w niej bardzo zadufany. – Przycisnąłem palce do powiek i oparłem się o mur, by chwilę później sięgnąć po jedną ze zmiętych w kulkę kartek. Rozłożyłem ją i parsknąłem pod nosem. – Co to w ogóle jest? – Zerknąłem na Ugo.

– List do ciebie. Piszę je z nudów. Może uda mi się przynajmniej nie zapomnieć alfabetu. Skoro coraz mniej pamiętam, nie wydaje się to jakieś absurdalne lub niemożliwe.

– Co ci po znajomości liter, jeżeli zapomniawszy, jak się pisze listy – stwierdziłem fakt i wsunąłem palec między obręcz kajdanek a ropiejącą kostkę. Skóra w tym miejscu zawsze kurewsko swędziała. Gdybym był

bardziej gibki, chyba odgryzłbym sobie stopę. Oczywiście pod warunkiem, że tak bardzo nie kochałbym siebie. – Tutaj – spojrzałem na kartkę – napisałeś: „Nie wiem, co napisać”. – Sięgnąłem po kolejną papierową kulkę. – Tu z kolei: „Następnym razem napiszę więcej”. – Odrzuciłem świstek i rozwinąłem kolejne papierki. Na każdym widniały tego rodzaju sformułowania.

Mały matoł – słabo, ale tak wówczas o nim myślałem – nie potrafił napisać pieprzonego listu, natomiast perfekcyjnie wykonywał cięcie pośredkowe, umożliwiające zespołowi dostęp do klatki piersiowej i jamy otrzewnej. Bezbłędnie przeprowadzał inspekcję narządów i pomagał w ich zakaniulowaniu. Byliśmy tacy podobni, a jednocześnie skrajnie różni. Ugo był i jest wyjątkowy. Do dziś płacze po kątach, gdy myśli, że nikt nie widzi. Nigdy nie oddzielała nas od siebie przepaść, mieszkaliśmy w końcu drzwi w drzwi, a raczej krata w kratę. Dzieliła nas wrażliwość. Chyba właśnie ona, choć kojarzy się z czymś kruchym, subtelnym, otuliła i ochroniła jego serce. Dzięki niej znajduje się ono we właściwym miejscu. Jest czerwone, pulsujące. Żywe.

– A co zrobiłem nie tak? – zapytał zaciekawiony. – Wytłumaczysz, jak pisze się listy? Możliwe, że nie tyle zapomniałem, co nigdy się tego nie dowiedziałem. Trochę mnie to pociesza. – Uśmiechnął się niemrawo.

– Zwroty do adresata piszesz wielką literą. W prawym górnym rogu umieszczasz datę i miejsce, chociaż to akurat możesz sobie darować. – Machnąłem niedbale ręką, ponieważ nie miałem nawet pojęcia, jaką mamy porę roku. – Najważniejsza jednak jest treść listu. – Przymknąłem powieki i nabrałem powietrza. – Droga Zito – zacząłem i się skrzywiłem. – Moja strachliwa dziewczynko. Tak lepiej – przytaknąłem sam sobie. – Piszę do ciebie, bo nie mam innego wyjścia. Nie zrozum mnie źle, do tego akurat nie zostałem zmuszony. Słowo „akurat” jednak bym wykreślił. Sugeruje, że przymuszono mnie do innych rzeczy, a ostatnim czego chcę, to ją niepokoić. Wolałbym się z tobą spotkać. Przed słowem „wolałbym” wstawiłbym „dawniej”, bo teraz już nie chcę. Nie przypominam chłopaka, którego znałaś i kochałaś. Skreślał „kochałaś”. KOCHASZ. Pragnę, żeby wspomnienia o mnie były żywe, żeby ja był w nich taki. Pamiętaj o wszystkich cudownych rzeczach, które ci zrobiłem. Powtórzyłbym każdą z nich. Lubisz się bać, a ja uwielbiam, gdy się trzęsiesz. Wykreślał dwa ostatnie zdania. Albo i nie. To list prywatny. Można w nim zdradzać takie intymne szczegóły. W przeciwieństwie do listu oficjalnego. Zapamiętaj –

pouczałem Ugo, wciąż nie otwierając oczu. – Trafiłem do straszego miejsca, Zito. Muszę umrzeć, żebyś ty mogła żyć. „Straszego” zamieniam na „pięknego” i usuwam ostatecznie zdanie. Nie muszę o tym wspominać i tak dramatyzować, bo naturalne jest, że oddałbym za nią ostatni oddech – tłumaczyłem. – Codziennie jakby mnie mniej. Gdy pochylałam się nad sekcyjnym stołem, czuję, naprawdę czuję, Zito, jak mój duch opuszcza ciało. Nie, nie staję obok. On po prostu ucieka, nie oglądając się do tyłu. Ty też tego nie rób. Nie patrz wstecz. Bądź odważna. Nie bój się. Twój strach zarezerwowany był dla mnie, teraz jednak, co trudno mi przyznać, sam zaczynam się bać. Śmierć mi niestraszna, nie boję się siebie, lecz... o ciebie. Beze mnie nie istniejesz. Nie w pokręconym, psychopatycznym sensie. Mnie bez ciebie nie ma. Łączy nas pakt. Nierozzerwalny. Odnajdę cię, nawet gdy będę martwy. OBIECUJĘ. To będzie pierwsza rzecz, jaką zrobię po śmierci. Ty i ja, Zito. Ty i ja. Kocham, mimo że zanikam. Kiedy zniknę, wciąż będę kochał. – Otworzyłem oczy. – Na końcu trzeba się podpisać i tyle – dodałem i zerknąłem na Ugo. – Co tam bazgrzesz i dlaczego znów ryczysz?

– Podpisuję list. Tak jak kazałeś. Dużo w nim zmian, ogólnie jakiegoś myślowego chaosu. A płaczę, bo nie mogę znieść tego, że nie ma dla was ratunku.

– Po co spisałeś to, co mówiłem? To tylko przykład, a nie moje rzeczywiste odczucia.

– Chcę mieć wzór, żeby móc napisać własny. Jeśli to nieprawda, tym bardziej mogę z tego korzystać i posiłkować się zawartymi w słowach emocjami – oznajmił, jakby pozjadał wszystkie rozумы, używając określeń, które najpewniej były mu obce, a potem znów wbił się w skórę nierozgarniętego dzieciaka i zaczął dłubać w nosie.

– Masz to natychmiast potargać – syknąłem. – Jeśli tego nie zrobisz, jedyne, co ci się w życiu uda, to... – Zamilkłem. Groźenie mu nie miało sensu. Wiadome było, że dogorywaliśmy w tych celach i że niebawem zdechniemy.

– Dobra, dobra, spokojnie. – Zamaszystym ruchem wyrwał kartkę z notatnika i potargał ją w momencie, w którym do piwnicy ponownie zawitał Bandetti.

Nie był sam. Na rękach trzymał równie uradowanego jak on kundla.

– I jak? – zapytał doktor. – To prezent dla ciebie. Wspominałeś kiedyś, że lubisz zwierzęta. – Otworzył drzwi i postawił psa na podłodze. Już mu,

kurwa, współczułem, że będzie miał tak denne towarzystwo. Mnie. – Opieka nad żywym stworzeniem potrafi mieć zbawienny wpływ na psychikę – oznajmił z przekonaniem. – Chociaż coś mi mówi, że dla ciebie jedynym ratunkiem byłby przeszczep mózgu. – Zarechotał. – Mam jeszcze coś. – Wyciągnął z kieszeni szamponetkę, którą mi wręczył. – Doprowadź się do porządku, a wszystkie pięknotki – wskazał na przebywające w klatkach kobiety – będą twoje. – Znów się zaśmiał.

– Szampon koloryzujący słabo pokrywa moje włosy. – Wziąłem kosmyk w palce. – Następnym razem przynieś mi farbę. Tę co ostatnio – zaleciłem. – Zresztą, przedwczesne siwienie to mój najmniejszy problem. Źle się czuję. Mam niedobór witamin, anemię, odczuwam mrowienie w opuszkach palców, a w ranę – wskazałem na oplatającą kostkę obręcz – wdało się zakażenie.

– Ogrom nieszczęść, dzieciaku. – Bandetti złapał się za głowę i otworzył usta w udawanym szoku. – Aż dziw bierze, że jeszcze żyjesz, hipochondryku. Nie kombinuj – syknął, celując we mnie palcem. – Nie chciałbyś, żebym wypowiedział zakłęcie. Dopóki będziesz w stanie utrzymać skalpel, dopóty jest dla was – zaakcentował, prawdopodobnie mając na myśli mnie i Zitę – nadzieja.

#### ZITA W OBCISŁEJ MINI I TOPIE W LAMPARCIE CĘTKI. - PSTRYK.

Dół. Otchłań. Pustka. Słowa najrzetelniej oddające stan mojego ducha w tamtym okresie. Nie mam pojęcia, co się ze mną działo – nie jestem psychiatrą, ale nadszedł moment, w którym wysiłkiem było dla mnie otworenie oczu. Codziennie leżałem w kącie celi zwinięty w kłębek, próbując odciąć się od zewnętrznych bodźców i raz za razem odpłynięcie w niebyt, którego tak bardzo pragnąłem, okazywało się niemożliwe. Ugo wyrastał na naprawdę złośliwego wrzoda. Od jego wiecznych: „Śpisz?“, „Co robisz?“, „Żyjesz?“, „Wymyśliłeś coś?“, papierowych kulek, którymi zarzucał moją przestrzeń osobistą, ciągnięcia i grzechotania łańcuchem, miałem ochotę rozwalić sobie łeb. Do tego ten kundel. Dar pierdolonych niebios. Lizał moją ranę, wiecznie przystawiał nos do mojego, wiercił się, oczekując czułości, i wkładał pysk do talerza, ZMUSZAJĄC MNIE do dzielenia się z nim żarciem. To ich WINA, że przeżyłem. Tych niedających mi umrzeć w spokoju natrętów!

Jestem ciekawy, czy Ugo nauczył się w końcu pisać listy. Te, które od niego otrzymywałem, pozostawiały wiele do życzenia, bo moje wskazówki

traktował zbyt dosłownie.

*Cześć, Spirito!*

*Nie wiem, jak u Ciebie, ale u mnie źle. „Źle” skreślałam i zastępuję słowem „w porządku”, a nawet „wspaniale”, bo nie chcę martwić adresata. Mam nadzieję, że kiedyś przypomnę sobie, jak pachnie trawa. Wykreślałam „Mam nadzieję, że”, bo jestem pewny, że tak będzie. W takiej sytuacji nadzieja jest zbędna. I jednak żartowałem, że nie wiem, co u Ciebie. Nie jest dobrze. Mógłbyś coś wymyślić. Rezygnuję z „mógłbyś”. To, co mam na myśli, bardziej oddaje słowo „musisz”. Jeśli będziesz miał ochotę spędzać ze mną czas, kiedy już będziemy ŻYĆ, to będę szczęśliwy. Trochę jednak pamiętam, jak to jest. Ponownie redaguję treść, zastępując „Jeśli będziesz miał ochotę” słowami „Gdy będziesz”. Bo dlaczego miałbyś nie chcieć? Życzę Ci miłego dnia w pracy i przesyłam dużo energii (dużo to pojęcie względne; trochę tej, którą dysponuję). Dzięki, że nauczyłeś mnie pisać listy i otwierać czaszkę piłką elektryczną.*

*Twój Ugo*

Każdy z listów kończył się tak samo. Wiecznie mi za coś dziękował i podpisywał się „Twój Ugo”. Wątpię, że właśnie to bycie moim, było powodem zabrania go ze sobą, gdy wreszcie nadszedł czas „powrotu żywych trupów” – szansa na ucieczkę.

Zanim jednak do tego doszło, mogłem prześledzić każdy z etapów dojrzewania Zity – a przynajmniej tak wówczas sądziłem. Myślałem, że jestem świadkiem poszukiwania przez nią własnego ja, a jej różnorodne oblicza to próby wyrażania siebie. Mając w pamięci pierwszą fotografię, śmiało można powiedzieć, że zaczęło się całkiem niewinnie. Wkrótce jednak kiecki w stylu kościelnych chórzystek zostały zastąpione sięgającymi ud spódnicami, a bluzki z kołnierzykiem topami niezakrywającymi pępka. Każde kolejne zdjęcie, jakie miałem okazję oglądać, różniło się od poprzedniego, a wraz ze zmieniającymi stylizacjami, zmianie ulegało coś jeszcze. Spojrzenie, wyraz twarzy i postawa Zity.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnął Bandetti, wchodząc do sali i odepchnął mnie od stołu operacyjnego, przez co upuściłem skalpel. – A ty dlaczego nie reagujesz?! – zwrócił się do stojącego z dala ode mnie pobladłego chirurga.

Dostrzegając czające się w jego oczach przerażenie, spojrzałem na swoje ręce, brudny fartuch, a potem na naszego pacjenta.

– Niby co miałem zrobić? – rzucił spanikowany chirurg. – Od razu wcisnąłem alarm. Właśnie o tym ostatnio wspominałem, o tym jego niezrównoważeniu – powiedział do Bandettiego. – On, on – zająknął się, wskazując na mnie palcem – robił to, ciął tego gościa, ot tak, bez planu, na oślep. Gapił się na zdjęcie tej dziewczyny i wbijał skalpel, gdzie popadnie. Jak to dobrze, że za każdym razem, gdy na nią patrzy, nic innego dla niego nie istnieje, bo byłoby po mnie! – Odrzucił na bok rękawiczki i wystawił przed siebie drżące dłonie. – Leczyć się – syknął w moją stronę.

– Chciałbym – odpowiedziałem.

– W obłokach bujasz, dzieciaku?! – Doktor gotował się z wściekłości.

– Chory umysł zawsze błądzi.

– Ja ci, kurwa, pobłędzę! – Ścisnął mnie za kark. – Spójrz, co narobiłeś! Na jakie straty nas naraziłeś! – Coraz mocniej zaciskał palce.

– Zita wygląda jak prostytutka – wydusiłem. – Nie dotrzymujesz umowy. Mam już wszystkiego dość. Zresztą, pierdol się. – Wyszwoleciłem się z uścisku. – Wypowiadaj te swoje zaklęcia. Laskę na to kładę.

Żałowałem tych słów, gdy tylko opuściły moje usta, ale nie potrafiłem przeprosić, kajać się przed nim i błagać o puszczenie ich mimo uszu, traktując tym samym jak niemające odzwierciedlenia w rzeczywistości brednie wyczerpanego życiem przegrywa. Zostałem nauczony tej trudnej sztuki jeszcze tego samego dnia.

– Nieszczęścia muszą chodzić parami – wygłosił bzdurnie doktor. – Przyrowadź kundla. – Pstryknął palcami, zwracając się do chirurga, a kiedy ten przechodził obok nas, Bandetti zatrzymał go i szepnął mu coś do ucha. – Będiesz miał komplet, dzieciaku. Dziewczynę dziwkę i skopanego przez – kaszlnął – życie psa. Czyli nic nowego, jak zwykle w twoim przypadku, ogrom nieszczęść. Ręka – rzucił, nakazując mi ją wystawić, a gdy to zrobiłem, przypiął mnie do jednej z rur. – Ostrożności nigdy za wiele – powiedział jakby do siebie. – Jeszcze tli się w tobie dawny skurwysyn, Spirito. To źle – skwitował w chwili, w której do sali wrócił chirurg.

Oprócz merdającego ogonem psa ścisnął w dłoni palnik gazowy. Wiedziałem, że to moment, w którym zostanie mi udzielona specyficzna lekcja pokory.

„Odsłoniłeś słabe punkty. Teraz cierp” – usłyszałem głos ojca tak wyraźnie, jakby stał tuż przy mnie.

Kiedy chirurg złapał psa za grzbiet, a potem z sadystyczną przyjemnością wypalił mu oko i skopał jego bezwolne ciało, nie wydałem żadnego

dźwięku, nie drgnąłem. Po prostu tam stałem jak niemy świadek rozgrywających się tuż przed moim nosem okropieństw. To źle, kurwa! Powinienem był ukazać emocje, zawodzić, jakby to mnie krzywdzono, pokazać doktorowi, że trafił w moje najczulsze miejsce. Może wtedy nie postawiłby sobie za punkt honoru udowodnić mi, jak wielki zasięg może mieć jego gniew. Tymczasem nie potrafiłem nawet wykrzywić gęby.

To nie tak, że niczego nie odczułem. Czułem COŚ, lecz nie umiałem tego okazać, a nawet nazwać.

– Zemdlał lub zdechł – rzucił lekko chirurg, szturchając psa nogą.

– Co z tego, skoro tego zjeba – Bandetti spojrzał na mnie – nawet to nie ruszyło. Co jest z nim nie tak? – zapytał i podrapał się po głowie, jakby rzeczywiście nurtowała go ta kwestia.

Chwilę szeptali między sobą, więc uznałem, słusznie zresztą, że to nie koniec pokazu sił. Doktor wyswobodził mnie z kajdanek i popchnął w stronę wyjścia. Chirurg ruszył za nami, jednak zanim to zrobił, nie umknęło mi, że sięgnął po leżącą na stoliku piłę.

Zatrzymaliśmy się przed wejściem do mojej celi, czym zwróciliśmy uwagę Ugo, który opierał się o kraty i jak zwykle bazgrał coś w notatniku. Zerknął na mnie. Na jego twarzy odmalowało się zaciekawienie, zrozumienie, aż wreszcie niedowierzanie, bo charknąłem na niego gęstą śliną. Oczywiście się rozbeczał.

– Nie gap się na mnie, śmieciu, bo przysięgam, że kiedyś cię zadżgam – syknąłem.

– Jak to? Tego chłopca też nie lubisz? – wydusił głucho chirurg, więc spojrzałem na niego z politowaniem. W tej samej chwili schował piłę za plecami, nagle porzucając pomysł postraszenia dzieciaka. Takie działanie miałoby sens tylko wówczas, gdyby mi na nim zależało.

– Dlaczego mnie tak nienawidzisz?! Co ci zrobiłem? Ja nie chcę przebywać obok tego psychola! Codziennie mnie dręczy! – spazmował Ugo, szarpiąc za kraty. – Niech on w końcu zdechnie.

Parsknąłem, bo trochę za bardzo wczułem się w rolę.

– To nie działa. To się nie uda – warknął Bandetti. – Nie pozostawiasz mi wyboru, Spirito. Nie chcę, ale muszę – zaakcentował – odwiedzić Zite.

Miałem przypuszczenie graniczące z pewnością, że to ostatnie, na co ma ochotę. Nie chciał jej krzywdzić, wypowiadać tego pieprzonego zaklęcia. Sam do końca nie wiedział, jak wielką ma moc, skoro próbował wymusić posłuszeństwo za pomocą innych, dostępnych pod ręką metod, nim

postanowił sięgnąć po tę ostateczną. Musiał mieć świadomość, że jeśli w najbliższym czasie nie dostarczy mi aktualnego zdjęcia Zity, pożegnam się ze światem na dobre. Może i naraziłem go na straty, ale nie takie, by był skłonny zrezygnować z moich usług. Niemniej jednak istniał cień szansy, że nie blefuje, a moje notowania w pato-biznesie nie były tak wysokie, jak moje mniemanie o sobie.

Podjęcie takiego ryzyka, narażenie Zity, nie było warte chwilowej satysfakcji. Nie mogłem postawić jej życia na jedną kartę i po prostu wyczekiwać, co w związku z tym nastąpi. Być może Bandetti kłamał i jeśli wzruszyłbym ramionami, udając, że jego groźba nie robi na mnie wrażenia, krzyknąłby: „Żartowałem”, lub: „Dam ci ostatnią szansę”. Możliwe, że bardziej zależało mu na profitach będących wynikiem pracy moich rąk niż na daniu mi nauczki. Tylko co w przypadku, gdyby jednak nie blefował? Wolałem patrzeć na Zitę mającą głowę na karku, a nie w reklamówce. Decyzja była prosta.

– Przepraszam – powiedziałem cicho.

– Trochę głośniej, dzieciaku, i wyraźniej, bo nie dosłyszałem. – Uśmiechnął się pod nosem, a potem wrzasnął: – Powtórz!

– Przepraszam.

– Jak bardzo? – Dręczył mnie. Sam fakt, że dopiął swego, nie sprawił mu wystarczającej satysfakcji.

– Bardzo przepraszam – odparłem z przekonaniem.

Przez chwilę przypatrywał się mi w skupieniu, a potem ruszył w stronę wyjścia. Nie miałem pojęcia, jak zinterpretować taki rozwój zdarzeń. Najwidoczniej sztuki bycia przekonującym również nie opanowałem. Chyba wydawało mi się to zbędne, skoro zawsze przemawiał za mnie skalpel.

– Błagam! – wrzeszczałem. – Wiesz, że dla Zity zrobię wszystko!

Nie raczył się nawet odwrócić.

– Jestem do twojej dyspozycji! Należę do ciebie, kurwa!

Wreszcie się zatrzymał. Ponownie podszedł do mojego boksu, przyłożył kartę do czytnika i otworzył drzwi.

– Jestem dumny, Spirito. Najważniejsze, to znać swoje miejsce w szeregu – oznajmił i przekroczył próg celi. – Spójrz na ten łańcuch. Na jego ogniwa. – Potrząsnął nim. – Spełniają swoją funkcję i jest z nich pożytek tylko wtedy, gdy są ze sobą złączone. W przeciwnym razie to tylko nikomu niepotrzebne kółka.



– Nienawidzę tego łańcucha – warknąłem i mimowolnie spojrzałem na ropiejącą kostkę.

– To oczywiste – prychnął. – Trudno lubić coś, co ma nad tobą władzę. Jest ich tak wiele – przesunął palcem po każdym z ogniw. – Dopóki stanowią jedność, nie masz z nimi szans. – Spojrzał na mnie i zmrużył oczy. – Znam ten wyraz twarzy. Dawno go nie widziałem i lepiej, żeby tak pozostało.

– Nie rozumiem – odpowiedziałem, mimo że rozumiałem aż za dobrze. Kiedy powiadał o jedności miałem dreszcze.

– Nie należysz już do *Mano d'onore*. Nigdy nie wrócisz na szczyt. Nie będziesz miał swoich pierdolonych ogniw i na pewno nie uda ci się stworzyć łańcucha. Powtarzam – syknął i zatoczył krąg ręką – NIGDY nie będziesz ponad to. Ponad śmierć.

Miał rację, a ja nie miałem złudzeń. Choćbym nie wiadomo jak wysoko skakał, siebie nie przeskoczę. Wiadomo, że celem doktora nie było polectanie mojego ducha. Chciał mi dać do zrozumienia, że jestem jednym z nic nieznaczących, samotnych kółek, podczas gdy oni – jego niesprawiająca mu problemów, nienapawająca niepokojem drużyna – działają jak jeden organizm.

Mniejsza o intencje Bandettiego. Bez względu na to, jak złe by nie były, nie zmieniło to faktu, że od tamtej pory zacząłem śnić...

#### ZITA W WORKOWATYCH SPODNIACH I GOLFIE. - PSTRYK.

Całkiem możliwe, ba, pewne, że w końcowej fazie umierania postradałem zmysły. Między jedną a drugą operacją, podczas których robiłem coraz więcej błędów, dogorywałem w celi, na przemian budząc się i przysypiając. Miałem wrażenie, że życie toczy się gdzieś obok, że w nim nie uczestniczę, a jedynie obserwuję, lewitując w błędnym stanie świadomości. Duch.

ŚNIŁO MI SIĘ, ŻE wpatrywałem się w zdjęcie ogolonej na łyso Zity. Im dłużej się mu przyglądałem, tym bardziej wydawało mi się, że Zita porusza ustami i mówi: „Chcę być chłopcem. Tak jest łatwiej”.

ŚNIŁO MI SIĘ, ŻE mój pies nie przeżył. Ugo przestał płakać, bo nie miał już łez, a Luigi wrócił z psychiatryka odmieniony. Nigdy nie popadł w narkotyczny amok i przynigdy nikogo nie zamordował.

ŚNIŁO MI SIĘ, ŻE mam nowego sąsiada i był on tak realny, dobrze zbudowany, zdeterminowany i cichy.

– Tafari, dlaczego cały czas milczysz? – wydusiłem, oblizując spierzchnięte usta.

– Lew, polując, nie ryczy.

Niedługo później ze stoickim spokojem przyglądałem się, jak wystawia rękę po miskę z żarciem, a potem z siłą imadła dusi strażnika, zaciskając przedramię na jego szyi.

– Zupełnie jak boa – powiedziałem głucho. – Boa...

– Hhhh – charczał strażnik.

– Boah – dopowiedziałem.

ŚNIŁO MI SIĘ, ŻE po otwarciu drzwi mojej celi nie miałem siły podnieść się z ziemi, mimo to wskrzesiłem ją, by uwolnić Ugo i przetrzymywanych w boksach biedaków. Pierwszy raz ofiarowałem komuś życie.

ŚNIŁO MI SIĘ, ŻE do łańcucha, tego samego, który przez lata ranił mnie, oplatając moją kostkę, przytwierdziłem medalik w kształcie litery „S”, a po pewnym czasie perlę.

ŚNIŁO MI SIĘ, ŻE pojawiłem się przed domem, w którym mieszkała Zita, a kiedy wreszcie udało mi się zlokalizować zajmowany przez nią pokój, zerknąłem przez okratowane okno i zobaczyłem pogrążoną we śnie nastolatkę. Dziewczynę owiniętą kołdrą tak szczelnie, jakby marzyła wyłącznie o tym, by stopić się z kawałkiem materiału.

Mało skuteczna ochroną przed potworami.

Uchyliły się drzwi. Do pokoju wszedł opiekun Zity. Człowiek, którego powinnością było ją chronić przed każdym, nawet przed samym sobą. Gdy pociągnął za rąbek kołdry, odsłaniając uda Zity, i zrobił jej zdjęcie, marzyłem tylko o tym, żeby wyrwać się ze snu. Mocno przygryzłem wargę, chcąc się obudzić, mimo to koszmar trwał i trwał, i trwał...

Tej samej nocy powiesiłem tego skurwiela.

Całkiem możliwe, że wyrwałem mu serce.

Prawda? Fałsz? Granica między snem a jawą bez wątpienia uległa zatarciu, a ostatnim z instynktów, jaki mi pozostał, bynajmniej nie był ten samozachowawczy, lecz pierwotny, prawdziwie zwierzęcy, nakazujący mi usunąć z drogi Zity wszystkich złych ludzi.

Kiedy się ocknąłem, okazało się, że podążając w kierunku wyznaczanym przez zew pieprzonego serca i niepoczytalny umysł, udało mi się powrócić do dawnego życia.

Nie mam wątpliwości, że to właśnie śmierć pomogła mi się wydostać na powierzchnię, lecz tym, co mnie na niej utrzymuje, jest czteroliterowe zaklęcie.

# ROZDZIAŁ 21

## *Zita*

Zobaczyłam go. Ujrzałam chłopca z przeszłości, choć w mocno okrojonej, zubożalej wersji. A co najdziwniejsze i nie do końca jeszcze dla mnie zrozumiałe, stało się to wówczas, gdy wspomniałam o tym, że wymuszenie czegokolwiek na mojej osobie nie wchodzi w grę. Już nie.

Albo się czegoś chce, albo nie. Prosta pieprzona zasada. Mój życiowy drogowskaz.

Gdybym wiedziała, że wystarczy rzucić tego rodzaju mądrością, by uchwycić wychylające się niemrawo zza fasady obojętności uczucia, zrobiłabym to już wcześniej. A może jednak nie? Teraz, gdy już to nastąpiło, nagle nie jestem przekonana, czy mam na tyle odwagi, by ponownie zmierzyć się z tym, co dostrzegłam w oczach Spirito.

Chyba spodziewałam się zobaczyć coś innego. Niepotrzebnie poszukiwałam w mężczyźnie, którym się stał, przekonanego o swej wyjątkowości łobuza. Nie ma go. Możliwe, że nie istnieje. Rozpoznałam za to tę czającą się w jego spojrzeniu zaciekłość.

Wszystko pozostałe, czym nieświadomie się ze mną podzielił, było niczym innym, jak odbiciem moich własnych lęków. Poczułam...

Jakby wiedział o mnie to, czego nie wie nikt.

Jakby odczuwał ukryty na dnie mojego serca ból.

Jakby jego samego coś bolało.

Nie mam na myśli pospolitego klucia w mostku. Tak jak na mnie spojrział, kiedy staliśmy przy aucie, potrafią patrzeć tylko ci, których rozszarpano za życia. Wiem, o czym mówię. Identyczne spojrzenie codziennie napotykam w lustrze.

Dowiem się, co go boli, czego ode mnie chce i dlaczego uskutecznia, sama jeszcze nie wiem co. Nie mam pojęcia, dokąd biegnie, jaki jest jego cel, ale pewne jest, że już się potknął.

Sytuacja przedstawia się następująco: ja kontra gość szorujący łokcie.

*Powodzenia, gościu.*

Moczę wałek w korytku malarskim i przesuwam nim po ścianie, podczas gdy towarzyszący mi trzej mężczyźni demontują karnisze oraz

przytwierdzone do ścian kinkiety. Od razu widać, że prace remontowe to nie ich bajka. Już mam się odezwać, zapytać w żarcie, czy podobnie jak ja dostali tę robotę na piękne oczy, ale zamierzenie diabli biorą, kiedy w oddali dostrzegam podążającą hołem niewyraźną, bo przemykającą w pośpiechu, sylwetkę. Niedługo później rozlega się niezły rumor.

Patrzę zdezorientowana na swoich towarzyszy.

– Ktoś znów się zjechał ze schodów – odzywa się jeden z nich.

– Ha, nie raz mówiłem, że wyłożenie ich wykładziną to pewna śmierć – dodaje drugi.

– Aż tak? Lepiej sprawdzę, co się stało. – Wycieram dłonie i zmierzam w stronę wyjścia z jadalni. Już mam przekroczyć próg, ale zderzam się z Luigim, który niemal wpycha mnie z powrotem w głąb pokoju.

– Proszę, to dla ciebie – mówi, wciskając mi w ręce sfatygowany bukiet. Posyłam mu pytające spojrzenie. – Odebrałem przed momentem od kuriera.

Chciałabym móc przewinać w myślach listę osób, które wiedzą, gdzie aktualnie mieszkam, ale ta, no cóż, ogranicza się do jednego nazwiska.

– Te kwiatki wyglądają – trącam palcem pąk róży, z którego momentalnie opadają płatki – wyglądają...

– Na połamane – dopowiada Luigi. – I takie są. Nie wiem, czy usłyszałaś, ale ja – akcentuje dobitnie, wskazując na siebie – spadłem ze schodów. Trochę się pogniotły.

– Niesamowite – rzucam krótko.

– Co takiego?

– To, że jesteś szybszy od dźwięku. Najpierw pojawiłeś się w progu, a dopiero potem było słyhać dobiegający z korytarza jęk. Zresztą nieważne, odgłos ten to zapewne odbita od przeszkody fala akustyczna. – Wzruszam ramionami, uznając temat za zakończony.

– Czyli?

– Echo. – Uśmiecham się pogodnie, przez co Luigi z miejsca się rozluźnia.

Odpuszczam dodanie, że w tej posiadłości to dość powszechne zjawisko. Jednego dnia doświadczyłam go aż dwukrotnie. Za pierwszym razem miało to miejsce po tym, gdy pożegnawszy Spirito, pobiegłam odebrać telefon kontrolny od funkcjonariusza. Wcześniej wmawiano mi, że połączenie nawiązywane jest z zakładu, a ponieważ w tle słyszałam śmiech Tafarięgo, sądzę, że to całe echo naprawdę ma moc! Ewentualnie Boah postanowił

zataić to i owo, nie obnosić się swoim niebywałym talentem – zdolnością teleportacji. Tak czy inaczej, wow.

Powoli poznaję karty, którymi grają przeciwnicy, choć określenie ich nimi wydaje się nieco na wyrost, biorąc pod uwagę, że w gruncie rzeczy są mi przychylni. Niemniej wyczuwam w ich zachowaniu pewną nerwowość. Czy to mnie zraża? Wcale. W nerwach popełnia się gafy, mniejsze bądź większe błędy, aż wreszcie wywija się orła. Samo życie.

Wyciągam dołączony do bukietu bilecik, po czym odsuwam się od Luigiego, żeby nie podejrzwał, co zostało na nim napisane. Domyślam się bowiem, kto jest nadawcą. Być może Spirito zdobył się na jakieś wyznanie, propozycję lub sklecił sentencję, od której dostanę wypieków? Jeszcze zanim zerknę na kartkę, wyczuwam, że adnotacja przeznaczona jest tylko dla moich oczu.

*Ucieknijmy, nie oglądając się za siebie albo Ty i ja, Zito. Ty i ja, marzę na jawie.*

Luigi przybliżyła się do mnie i mało dyskretnie spogląda mi przez ramię. Kręcę głową, po czym przysłaniam napis ręką.

Czytam.

Wzdycham.

Aż w końcu jęcę przeciągle, bo zdecydowanie wysnułam zbyt daleko idące wnioski! Spirito jednak nie zmienił się tak bardzo, jak myślałam. Wciąż jest dziwny.

BARDZO osobista ta wiadomość, nie ma co...

– Słyszałeś o tajemnicy korespondencji? – Podaję kartkę Luigiemu, który nawet nie próbuje zamaskować ciekawości.

– Tak – odpowiada, przejmując świstek. – Nie zauważyłem wcześniej, że coś zostało dołączone do bukietu, a moim obowiązkiem jest nadzorować, czy osadzeni czegoś nie kombinują. Dlatego wybaczone, muszę zerknąć. Nie chcę tego robić, ale sama rozumiesz. – Patrzy na bilecik. Ogląda go wnikliwie z każdej strony. – Tylko „pozdrawiam” i nic więcej? Bezsens.

– Jest jeszcze koślawe „S”. – Wskazuję. – Mój kuzyn chciał mi sprawić przyjemność.

– Aha. – Luigi drapie się po skroni. – Faktycznie przyjemne to pozdrowienie. Zna się na rzeczy. Jego horyzonty myślowe są, eee, szerokie. – Zaciska usta, próbując zachować powagę.

– Niby jedno słowo, ale za to długie. Niezły wachlarz liter – odpowiadam w podobnym tonie, lecz w przeciwieństwie do niego nie potrafię zgrywać

niewzruszonej.

Luigi też się wreszcie uśmiecha.

– Kończcie na dziś. – Omiata wzrokiem pomieszczenie, podziwiając efekty, które, co tu dużo mówić, nie powalają, a potem skupia uwagę na mnie. Ma minę, jakby chciał o coś zapytać, ale z niewiadomych przyczyn się na to nie decyduje. Patrzą na niego wyczekująco. Otwiera usta, zamyka, ponownie otwiera, aż w końcu mówi: – Masz ochotę zjeść coś, co ugotowałem?

– Jasne, czemu nie. – Wzruszam ramionami. – W sumie nie musisz mnie nawet namawiać.

– Tyle że nie wiem, czy mi wyszło. Wielce prawdopodobne, że będzie niezjadliwe. – Kiwa głową z przekonaniem. – Na pewno jest niedobre – dodaje.

– Zaryzykuję. – Mrugam żartobliwie. – Wezmę szybki prysznic i zaraz wracam! – rzucam jeszcze, po czym wbiegam na piętro.

Pół godziny zajmuje mi doprowadzenie się do porządku: zdrapanie ze skóry farby, ujarzmienie odrastających, puszących się włosów, kolejne pół – myszkowanie. Owijam siatką mydło w kostce, bo *sadyta* najwidoczniej postanowił zastrajkować i przestał uzupełniać dozownik żelem. Mało tego zgarnął też porozstawiane wcześniej dookoła wanny płyny do kąpieli. Jak można tak ostentacyjnie się buntować? Ależ on jest skąpy!

Wkładam czyste ubrania. Nie spieszę się i nie zerkam co chwilę przez dziurkę od klucza. Po wprowadzeniu się robiłam to wielokrotnie, przekonana, że ktoś mnie podgląda. Nikogo jednak nie przyłapałam. Żaden z domowników tego nie robi. Nikt nie jest jebnięty.

Schodzę na parter i od razu kieruję się do kuchni. Gdy siadam przy stole, Luigi przesuwa w moją stronę talerz z gnocchi.

– Zjedz i jeśli możesz, podlicz te rachunki. – Stuka palcem w ułożone jakby od linijki kartki. – Jestem ciekawy, czy wynik, jaki ci wyjdzie, będzie zgodny z moimi obliczeniami.

– W porządku. Lepszej osoby do tego zadania wybrać nie mogłeś – mówię z pełnymi ustami i sięgam po kalkulator.

– Ta, to samo mówiłaś, kiedy przyjmowałem cię do pracy. Tymczasem wywołałaś zwarcie w przewodach elektrycznych, zamaskowałaś dziury w ścianie, używając plasteliny, a jadalnia wygląda, jakby padła ofiarą zemsty malarza.

Już mam nacisnąć kolejny przycisk na kalkulatorze, ale zatrzymuję palec w powietrzu.

– Aj, teraz mi przykro. – Kładę dłoń na piersi.

– Naprawdę?

– Nie. – Parskam śmiechem. – Zrobiłeś więcej tego sosu? – Wskazuję na talerz. – Pyszny. – Cmokam w złożone palce. – Mamy pieczywo?

– Chcesz pieczywo do klusek? – Unosi brwi w zdziwieniu.

– Mam nadzieję, że to nie przestępstwo. Nie chciałabym wrócić za kratki. – Puszczam do niego oczko, a Luigi wstaje od stołu. – Jeśli można, posmaruj kromkę masłem ziołowym i połóż na nią kilka plasterków pomidora, a drugą poproszę bez niczego, wymaczam ją w sosie.

– Ty to wszystko zjesz? – wydusza z niedowierzaniem, przygotowując jedzenie.

Zbywam to pytanie milczeniem. Odpowiedź jest przecież oczywista.

– Wydatki zakładu nie powinny być poufne? Osadzona może mieć w nie wgląd? – pytam, jednocześnie przeżuwać i dodając cyferki.

– Powinny i nie może. Licz. – Pochyliła się nade mną, pociąga nosem i stawia na stole kolejny talerz.

– Nieładnie pachnę, czy co, że tak mnie wąchasz?

– Nie wiem, jak pachniesz na co dzień, więc nie odpowiem na to pytanie. Nie chciałbym cię obrazić.

– Czyli śmierdzą? – Wącham rękaw bluzki. Według mnie ma ładny zapach.

Spisuję na kartce obliczenia. Luigi, jakby oczekując na werdykt, intensywnie się we mnie wpatruje.

– Tego nie powiedziałem. I jak, dobrze podliczyłem? – dopytuje.

– Nasze wyniki są identyczne – odpowiadam, a Luigi kiwa głową z zadowoleniem. – Raczej się nie pomyliłam – dodaję.

– A często się mylisz? – Rzednie mu mina.

– Czasem się zdarza.

– I przyznajesz się do tego z taką lekkością?

– Pytałeś, więc odpowiedziałam. Mówię, jak jest. – Wzruszam ramionami. – Nie ma ludzi, którzy nigdy się nie mylą.

– Mój ojciec uważał inaczej. – Nerwowo skubie wargę zębami.

– Sam nigdy nie popełnił błędu?

Luigi najwidoczniej odpląwa myślami, bo przez chwilę wydaje się nieobecny.



– Nie byłoby nas tutaj, gdyby był nieomylny – odpowiada wreszcie, wpatrując się w jeden punkt. Po chwili energicznie potrząsa głową, rzuca mi przelotne, trzeźwe spojrzenie i jak gdyby nigdy nic zmierza w stronę wyjścia.

– Poczekaj! – krzyczę za nim. – Mówiąc „nas”, masz na myśli także mnie? Czy chodzi ci o was? – Zataczam krąg rękami.

– Na jedno wychodzi – mamrocze, nie oglądając się za siebie, i nonszalancko, jakby był największym luzakiem w mieście, popycha drzwi. W skrócie: spieprza z kuchni.

Coraz bardziej się przekonuję, że w tym towarzystwie to powszechnie stosowana taktyka. Mało wyszukane te ich metody. Uniki, niedopowiedzenia, ucieczki. Z drugiej strony, mając jako takie porównanie, Luigi akurat ewakuował się z klasą. Całkowite przeciwieństwo tego gustującego w przebierankach doktorka. Nieśmiały miś? Raczej chytre, pędzące indywiduum! Za każdym razem, gdy go widzę, wygląda, jakby szykował się na podbój kosmosu. Ledwo mnie zobaczy, a już odpala rakietę. W obliczu takich okoliczności nie znajduję nic, co stawiałoby go w lepszym świetle.

Ach, są jeszcze oni! Nie sposób pominąć tych krętaczy. Spirito i Tafari. W innych okolicznościach nie połączyłabym ich w parę, ale dali tak wspaniały aktorski popis, że obaj, bez wyjątku, zasługują na wyróżnienie. Przede wszystkim dlatego, że do pewnego momentu naprawdę wierzyłam, że dopiero co się poznali. Tymczasem okazało się, że jest zupełnie na odwrót.

Dojadam kanapkę, jednocześnie zastanawiając się, w jaki sposób pokierować rozmową z Tafariem, żeby jak najwięcej ugrać. Okłamanie mnie było słabe, lecz nie da się ukryć, że to właśnie przez tę ich krzywą akcję zyskałam punkt zaczepienia. Biorę ostatni kęs, gdy do moich uszu dochodzi dźwięk, który sprawia, że włos jeży mi się na głowie. Melodia z pozytywki. Wyteżam słuch, próbując zlokalizować, skąd dobiega, ale kiedy kieruję wzrok na kuchenne okno, nagle nie mam wątpliwości, że z tej zionącej czernią otchłani lada moment wyłoni się upiór. Więcej nie trzeba, bym poderwała się z krzesła.

Wybiegam na korytarz spowity nienachalnym, padającym z piętra światłem i rozglądam się nerwowo, nie mogąc zdecydować, czy podążyć za coraz donośniejszym odgłosem, czy wręcz przeciwnie, schować się w

mysią dziurę. Na moim ramieniu zaciska się czyjaś ręka. Odwracam się gwałtownie.

– Wybacz, nie chciałem cię przestraszyć. – Chłopak, którego poznałam w zakładzie, unosi dłonie w obronnym geście. – Dobrze się czujesz? Jesteś blada jak ściana. – Patrzy na mnie z troską.

– Ponure zamkowe korytarze, skrzywienie podłogi, a do tego ta – przystawiam dłoń do ucha – melodyjka rodem z horroru. Więcej chyba nie muszę dodawać?

– Boah ogląda film. – Wskazuje palcem wejście do salonu. – Horror jak mniemam.

– Uff, kamień z serca – rzucam z ulgą i nie jest ona udawana. – Już myślałam, że te dźwięki dochodzą z piwnicy.

Tej, która według niektórych nie istnieje. Oczywiście nie mówię tego na głos. Nie chcę mu niczego sugerować.

– Oby nie. To dopiero byłoby pokopane. – Śmieje się. – Jeśliby tak było, przysięgam, pierwszy bym stąd spierdolił. – Jeszcze donośniejszy śmiech.

– Jezu, ja też – mówię z przejęciem. – Straszne miejsce.

– Czy ja wiem? Miejsce akurat mnie nie przeraża. – Wzrusza ramionami. – Miałbym pietra dopiero, gdyby to, co martwe, okazało się żywe. Dopiero wtedy. W innym przypadku luzik. – Uśmiecha się szeroko. Wzięłabym z niego przykład, ale spięły mi się wszystkie mięśnie.

– Coś martwego jest w piwnicy – wyduszam głucho, bardziej do siebie.

– Ajjj – jęczy. – Ugo byłby niepokieszony. Ktoś, Zito. Nie coś. – Unosi palec pouczająco. – Spadam, zaraz zaczynam wartę. Do potem! – rzuca, biorąc pod uwagę temat naszej rozmowy, nad wyraz radośnie. I właśnie z tego powodu zaczynam wątpić w jego zdrowy rozsądek, a nawet sądzić, że najzwyczajniej w świecie się zgrywa. Nie umknęło mu, że bywam strachliwa, więc dla zabawy postanowił podkreślić śrubę.

Z tego wszystkiego zapomniałam dopytać, gdzie obecnie znajduje się zejście do podziemia. Jedyne, co udało mi się uzyskać, to potwierdzenie, że kondygnacja, która według wręczanego mi przez Luigiego planu miała być najniższą, wcale nią nie jest.

Zakradam się do salonu. Z premedytacją omijam wzrokiem ekran telewizora, skupiając uwagę na tyle głowy wpatzonego w obraz Tafarięgo. Zachodzę go od tyłu, a gdy z głośników rozbrzmiewa złowróźbna muzyczka, pochylam się nad nim i kierując się zasadą, że jeśli się bać, to chociaż solidarnie, krzyczę mu do ucha:

– Buuu!

Tafari podskakuje na tyłku, po czym zrywa się z kanapy. Chwilę miota się w przestrachu, rozsypując popcorn, aż w końcu potykając się o własne nogi, dopada do włącznika światła.

Stoi przede mną w samych slipach, a kiedy orientuje się, że to ja jestem sprawczynią zamieszania, na jego twarzy wcale nie odmalowuje się ulga.

– Chcesz mnie zabić? – Kładzie dłoń na torsie. Nie umyka mi cienki łańcuszek, identyczny z tym, który widziałam u Wyznawców. – Myślałem, że zawisł nade mną jakiś umarłak. Autentycznie zaleciało trupem. – Śmieje się i jak gdyby nigdy nic z powrotem wskakuje na kanapę.

Czy oni się zmówili? Nie dość, że kolejna osoba sugeruje, że śmierdę, to dodatkowo znów niczym bumerang powraca śmiertelnie zatrważający, bo trupi, temat.

– Pooglądamy razem? – kontynuuje Tafari i poklepuje miejsce obok siebie, sugerując, abym usiadła. – Najbardziej lubię wysokobudżetowe horrory, a ty?

– Niskobudżetowe telenowele. – Siadam przy nim, nie okazując, jak bardzo jestem na „tak”. Może być i horror. Jakoś to przeżyję. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio było mi dane spędzić w ten sposób czas, a jakaś część mnie tęskni za tym, co zwykłe, codzienne. DOMOWE.

– Przewinę od początku, żebyś wiedziała, o co chodzi, kim jest ta niemająca ust kobieta – tłumaczy, podczas gdy wiedza ta jest mi całkowicie zbędna. – Zgaszę światło, by wytworzyć klimat. Jeśli masz chęć, na półce pod stolikiem są chipsy, no i zostało trochę popcornu. Przyniosę nam coś do picia. – Zaciera ręce, jakby autentycznie cieszył się z faktu, że będzie miał towarzystwo. Jest już przy drzwiach, kiedy rozdzwania się leżąc na blacie komórka. Pochyliłam się i zerkam na ekran.

„Czubek1”, czytam.

– Dzwoni jakiś czubek – informuję, spoglądając na Tafarięgo.

– A jaki figuruje przy nim numer, bo znam kilku. Jeden, dwa, trzy? – Czeka na odpowiedź.

– To pierwsze. Podać?

– Ta. – Wzdycha sfrustrowany i przejmuje ode mnie telefon. Odbiera, w międzyczasie zbierając porozrzucany gdzieś popcorn. – Co chcesz? Po co pytasz, skoro wiesz. Oglądałam film – zwraca się do swojego rozmówcy. – To już nawet w domu nie mogę się czuć swobodnie?! – unosi się i nagle milknie. – Racja. Zapomniałem. – Zerka na mnie ukradkiem. –

Dobra, kończę, bo mi zimno. – Rozłącza się, kładzie telefon na stole i zamaszystym ruchem zrywa koc z oparcia kanapy. Owija nim rękę.

– Co robisz? – pytam zdziwiona, bo nagle zaczął zachowywać się nad wyraz osobliwie.

– Okryłem się i skoczę po te napoje.

– Według mnie „okryć się” nie jest równoznaczne z „owinąć przedramię”.

– Mam się tłumaczyć z tego, że zmarła mi ręka? – Wytrzeszcza oczy w zdumieniu i w pośpiechu opuszcza pokój.

Moją pierwszą myślą było, że należy do Wyznawców i chce zamaskować naznaczenie. Tyle że zakrył lewe przedramię, a powinien prawe, jeśli doszukiwać się sensu w tej teorii. Poza tym nawet jeśli miałabym rację, po co zatajać ten fakt? Niech sobie wierzy, w kogo chce. Czy ja mu bronię?

Kiedy wraca, dosłownie odbiera mi mowę. Idąc wytyczonym przez Tafarię torem, zaczynam sądzić, że niedaleko pada czubek od czubka. W tej chwili mógłby robić za szablon. Zadowolony – sam jeden wie z czego – stawia przede mną szklanę, gasi światło i sadowi się na kanapie.

– Uwaga, włączam – oznajmia, drapiąc się po kroczu.

– Czy mi się zdaje, czy zdziwaczałeś po tej rozmowie?

– Skąd taki wniosek? – rzuca lekko, wiercąc się, jakby miał owsiki. – Już się zaczyna, oglądaj.

Kładę łokieć na oparciu kanapy i lustruję go wzrokiem.

– Dlaczego tak się ubrałeś?

– Jak? Po domowemu? – Otwiera paczkę chipsów i wrzuca sobie jednego do ust.

– Na co dzień aż do przesady zwracasz uwagę na dobór stroju. Zawsze prezentujesz się nienagannie w tych swoich wymyślnych garniturach...

– A dziękuję – wchodzi mi w słowo.

– Trudno uwierzyć, że twoje wycucie stylu nagle wyparowało i zmieniłeś się w totalne bezguście. Nigdy nie widziałam, żebyś miał na sobie przyciasny golf. Widać ci pępek. – Wskazuję. – Najgorsze jednak są te, te – powtarzam – nawet nie wiem, jak to nazwać, wełniane rajstopy – mówię z powagą, ale po chwili parskam śmiechem. – Co ty odwalasz? Jednak jesteś tkaczem rajtek?

– To są kalesony z rozporkiem, a nie rajtuzy – stwierdza rzeczowo. – Ale dobra, będę szczery, tak jak się umawialiśmy. Prawda jest taka, że wolę nie kusić losu. Nie chcę być atrakcyjny w twoich oczach. Stylówka „na dziada”

ma niby sprawić, że się we mnie nie zakochasz. To niedozwolone, bo... – milknie na moment – bo jesteś osadzoną. Ot cała tajemnica.

– Ktoś ci to doradził?

– Nie. Sam wpadam na takie genialne pomysły – oznajmia z nutą złości.

– Nie męcz mnie. Oglądaj.

Kręcę głową z rozbawieniem, ale spełniam jego polecenie i odwracam się w stronę ekranu.

– Bez obaw. Moje myśli, także te kosmate – śmieję się – są ostatnio skumulowane na jednej osobie. Ty nią nie jesteś.

– A kto? – pyta od razu. – Jesteś w kimś zakochana? – nie dowierza.

– Tak bym tego nie nazwała. To raczej pewnego rodzaju poczucie przynależności. Gdy tego doświadczasz, wiesz, że właśnie ta osoba należy do ciebie, mimo braku jednoznacznych deklaracji. Trochę tak, jakbyś podskórnie wyczuwał, że twoje miejsce zawsze było przy niej. Jakby była twoim domem, do którego wracasz po czasie, i pomimo tego, że ten zmienił się z upływem lat, przekraczając jego próg, przepętnia cię spokój.

– Dobra, nieważne, i tak nic z tego nie zrozumiałem – rzuca pospiesznie.

– Patrz teraz! – emocjonuje się, więc odruchowo zerkam na ekran. Z marszu tego żałuję. Jedno spojrzenie wystarczyło, by upiorna kobieta bez ust zdążyła wyryć mi się w pamięci.

– Jednak nie mam ochoty tego oglądać – przyznaję, wiedząc, że jeśli nie przerwę seansu, czeka mnie bezsenna noc. Ja, pogrążona w ciemności komnata i mało urodziwy *zaklęty*. Podziękuję za takie atrakcje.

– Daj spokój. Nie bądź taką panikarą. – Tafari parska lekceważąco. – Bój się żywych, nie martwych.

Powiedział gość, który przestraszył się niewinnego: „Buuu”.

– Mam nadzieję, że nie napędziłem ci strachu – dodaje miłym, niemal troskliwym tonem, a przecież oczywiste, że właśnie taki był jego cel.

– W przeciwieństwie do ciebie jestem zahartowana.

Tafari mamrocze pod nosem coś w stylu: „Ta, jasne”, i podgłównia dźwięk.

– Teraz będzie najlepszy moment! – Zaciera ręce w ekscytacji. Wpatrujemy się w ekran na podążającą ciemnym holem postać. Mam wrażenie, że oboje wstrzymaliśmy oddech. – Ten dom jest podobny do naszego, co nie?

Kobieta nagle się odwraca, a mi zapiera dech. Mimo to patrzę hardo w jej puste oczodoły, wyczuwając na sobie spojrzenie Tafariego. Nie chcę dać

mu satysfakcji, choć więcej niż pewne, że to odchoruję.

– Ona nie mówi – szepcze Tafari, gdy z głośników rozbrzmiewa budząca niepokój muzyka. – Przemawia za nią melodia pozytywki. Jeśli się skupisz, usłyszysz słowa.

– Aha.

– Zaraz się posikasz. – A ten dalej swoje.

W ciągu kolejnych minut głównym motywem filmu rzeczywiście jest to coraz donośniejsze pobrzękiwanie i niema pani kręcąca się dookoła własnej osi w takt smętnej melodii. Później jednak następuje zmiana klimatu, ekran się rozświetla i robi się, cóż, sielsko.

– No nic, trochę niewypał. – Tafari nie ukrywa zawodu. – Zaraz się rozkręci. – Spogląda na mnie, więc z rozmysłem wpatruję się tępo w jeden punkt. – Co tak siedzisz, jak zahipnotyzowana? – Macha ręką przed moimi oczami.

– Usłyszałam coś – mówię cicho.

– Co takiego? – pyta, nieznacznie się ode mnie odsuwając.

– Ta, ta – zacynam się – ta kobieta – wskazuję na ekran – przemówiła. Miałaś rację. W tej melodyjce była zaszyfrowana wiadomość, a precyzując, pytanko.

– Pytanko? Słyszysz siebie? – Wzdycha, ale ciekawość bierze górę, bo dodaje: – Jakie niby?

– Tafari-fari-fari! – nawołuję, imitując dobiegające z zaświatów echo. – Gdzie kupiłeś-iłeś-iłeś te rajstopki-opki-opki?

– Bardzo zabawne – rzuca z ironią i przycisza telewizor. – Koniec seansu.

Może i tak, ale nie zmienia to faktu, że najlepsze dopiero przed nami.

Mobilizuję się w duchu i z pewnością w głosie oznajmiam:

– Wiem o wszystkim – uogólniam, bo lista rzeczy, których jestem pewna, ogranicza się do jednego punktu.

– A konkretniej? Zresztą, cieszę się, że wiesz, i dobranoc. – Podnosi się z kanapy, ale łapię go za rękę. – Daj spokój, nie dam się urobić. Nie nabiorę się na twoje sztuczki po raz kolejny. Myślisz, że nie potrafię rozpoznać, kiedy ktoś żongluje słowami, aby coś ugrać?

– Spirito zdradził mi waszą tajemnicę – mówię szybko, w napięciu wyczekując reakcji.

– Jaką mogę mieć tajemnicę z dopiero co poznanym typem? – Parska śmiechem.

Domyślam się jaką. Spirito należy do *Mano d'onore*, niemal na moich oczach, a już na pewno tuż przed nosem Almy, poderżnął człowiekowi gardło. Nie zamierzam go idealizować, roztkliwiać się nad jego szlachetnością, bo ta nie istnieje. Z Boaha natomiast – jak słusznie przypuszczałam – żaden poczciwy urzędnik. No, chyba że takim podczas oglądania telewizji oprócz przekąsek potrzebna jest wciśnięta między siedzisko a podłokietnik splota. Czy trzeba dodawać więcej? Razem tworzą, jakkolwiek specyficzny i mało prawdopodobny by nie był, przestępczy team.

– Odstawiliście niezły teatrzyk, przyznaję, ale wydarzenia przybrały nieoczekiwany obrót, przez co próbę wykiwania mnie szlag trafił.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Już tłumaczę. – Uśmiecham się, by za moment wzruszyć ramionami, bo ani myśli odwzajemnić serdeczności. – Ukróczę wywód przyczynowo-skutkowy i od razu przejdę do konkretów. Kiedy odwiedził mnie Spirito i wszedłeś do kuchni, przedstawiłam cię, podając twoje pierwsze imię. Podczas spotkania ani razu nikt nie zwrócił się do ciebie, używając twojego drugiego imienia.

– Ta, może dlatego, że go nie mam? – Wybuchła śmiechem. – Chodzi ci zapewne o mój przydomek, ksywkę, którą otrzymałam za zasługę.

– Jaką?

– Morderczą. – Znow się śmieje, zapewne po to, by zamaskować, że nieroztropnie coś chlapnął. – Żart. Dobra, mniejsza, miały być konkrety, Sherlocku.

– Zgadnij, co powiedział Spirito, gdy opuszczał posiadłość.

Tafari nie przejawia jakiegokolwiek zainteresowania tematem.

– Skąd mam wiedzieć? Może: „Pa”?

– Powiedział: „Boah otworzy mi bramę”. Jaki z tego wniosek?

– Taki, że, kurwa, przesadził! – wydziera się. – Nie dość, że się wprosił, to jeszcze odźwiernego sobie zażyczył?!

– A nie taki, że znał twoją ksywkę, mimo że mu jej nie zdradziliśmy?

– Ludzie mają różne zdolności, niektórzy są jasnowidzami – idzie w zaparte, machając lekceważąco ręką, więc postanawiam zaryzykować i wytoczyć cięższe działo.

– Przestań, nie musisz udawać, że jesteście sobie obcy. Jeszcze nie dokończyłam, teraz będzie najważniejsze. – Unoszę palec. – Przyłapałam go, od razu wychwyciłam ten niuans, w obliczu czego nie pozostawiłam mu

wyboru. Znasz mnie, jak mało kto – sugeruję, że łączy nas szczególna więź, co oczywiście jest bzdurą – wiesz, że bym tego nie przemilczała. Wywarłam na nim taką presję, że od razu mi wszystko wyśpiewał.

Tafari przykłada palce do skroni i zaczyna zataczać kółka.

– Brzmi prawdopodobnie. Zwłaszcza ta część z wywieraniem presji. – Spogląda na mnie. Sprawia wrażenie pokonanego, a może to jednak ulga? Ulżyło mu, że nie musi ukrywać swojego drugiego, nieprawego oblicza. Kto wie, czy nie zaproponuje mi współpracy przy jakimś przemyśle. Rozważę. I oczywiście... odmówię. Za trzecim razem. – Hmm, czekaj. Dlaczego w takim razie opuścił posesję i dalej odgrywaliśmy tę szopkę?

Trudno odpowiedzieć na pytanie, którego się nie rozumie, dlatego częstuję się chipsem – mało powiedziane – wpycham kilka do ust i wolno przeżuwam, licząc, że Tafari rozwinie wątek.

– A niedawno, znaczy przed naszym seansem, czemu do mnie zadzwonił i tak na mnie naskoczył? Kazał mi się ubrać w to coś – naciąga materiał golfu na brzuch – i ukryć naznaczenie?

Wciąż nie wyduszam słowa. Nie dlatego, że nie chcę. Chyba po prostu mnie zatkalo.

– Jak to rozumieć? Teraz, dla odmiany, postanowiliście wspólnie wkręcić resztę domowników? Udawać, że zabawa trwa w najlepsze?

Kiwam głową. Na więcej mnie nie stać.

– Ogólnie dobrze to przyjęłaś? Atmosfera oczyszczona? Szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, że Spirito zdecyduje się na taki ruch. To jakby do niego niepodobne, zbyt spontaniczne, jakieś żywiołowe. On tak nie działa. Sam nie wiem, może jednak rzeczywiście nad sobą pracuje – oznajmia, ale bez większego przekonania. – Można wiedzieć, jakie szczegóły dotyczące przeszłości zdradził?

– Wszystkie. – Znów to niewiele mówiące, nad wyraz ogólne słowo.

– Czyli masz świadomość, że gdyby nie ja, być może nigdy nie wy dostałby się z niewoli, że poniekąd dzięki mnie macie szansę być razem? Luigi oczywiście umniejsza mojemu heroizmowi. – Macha ręką. – Według jego wersji jedynie udusiłem strażnika, a on zajął się resztą. Nie wierz mu. Powodzenie tej akcji to moja zasługa. Nie żebym miał inne wyjście. Nazajutrz miałem trafić pod skalpel. Reasumując, to ja wyswobodziłem Spirito z łańcucha i co jest trochę upiorne, bo dla niego był przekleństwem, ty aż za bardzo się do niego przywiązałaś.



Odruchowo przesuwam ręką po kieszeni, wyczuwając odznaczający się różaniec.

– Za pierwsze zarobione pieniądze kupiliśmy perłę i medalik, Ugo pokrył go farbą, że niby wiesz, taki fajny łańcuszek – kreśli cudzysłów palcami – ale, kurwa, to chore, nawet biorąc pod uwagę, że otrzymałaś tylko fragment. Spirito wmawiał nam, że symbolizuje on siłę, bycie ponad ten cały bajzel, ale każdy głupi by się zorientował, że zrobił to, by nieustannie się zadręczać, torturować, pamiętać. Na pewno, gdy widzi go w twoich rękach, wraca myślami do chwil, kiedy był spętany. Nigdy nie uwolni się z kajdan. Zawsze będzie się obwiniał za to, na co cię naraził, ponosił konsekwencje złych wyborów. Tak to widzę, a ty?

– Spirito nie podarował mi łańcucha – mówię zgodnie z prawdą, siląc się na neutralny ton, mimo że serce wali mi jak młotem.

– Nie bezpośrednio, chociaż taki był zamysł. Miał ci go wręczyć. Lubisz perły, a ta przytwierdzona do niego litera też nie jest byle jaka – oznajmia, a ja wstrzymuję oddech. – Chciał ci wszystko wytłumaczyć, mieliście ustalić, co dalej, ale to było, zanim się dowiedział, że wiesz...

– Że co?

– Że wylądowałaś w domu, w którym cię, no wiesz... – nabiera powietrza – dotykano.

– W sensie rękami?

– A można inaczej?

Można, lecz nie zamierzam go uświadamiać. To wyłącznie moja sprawa. A przynajmniej tak sądziłam do tej pory. Tymczasem fakt, że o tym wspomniał, świadczy, że jednak nie do końca.

Najgorzej. Nigdy nie grałam tą kartą. Nawet w sądzie, choć działanie to rzuciłoby inne światło na moje uczynki. Jest zbyt osobista i bynajmniej nie jest asem. Wytłoczona jest na niej litera „B”.

„B” jak bierność.

– W każdym razie – kontynuuje – gdy do Spirito to dotarło, coś mu siadło na psychę, a już wcześniej było z nią źle, załatwił tego chujka, po czym postanowił usunąć się z twojego życia, bo, cytuję, ze wszystkich złych to ja jestem najgorszy.

Pierdolenie. Znalazł mnie. A potem zostawił. Po stokroć wolałabym być z najgorszą wersją Spirito, bo żadna z tych, które już znam, nie przeraża mnie bardziej niż pogłębiająca się pustka w sercu. Pomimo tego nie to sprawia, że ciśnienie uderza mi do głowy, tylko świadomość, że on

naprawdę WIE, że sobie ze mną pogrywał i z rozmysłem mnie podpuszczał, gdy wracaliśmy z rodzinnego domu Almy. Dał mi złudne poczucie panowania nad sytuacją, nad nim, po to tylko, by samemu mieć jeszcze większą kontrolę.

I jeszcze głupio pytał: „Co to jest?”, kiedy pokazałam mu zdjęcie pana Tocco! Sugerował, że silni są w stanie zmierzyć się z przeszłością! Mam ochotę go ukatrupić. Nie tylko w myślach.

– Skąd wiedział, gdzie mnie szukać? – pytam wprost, nie siląc się na skrupulatny dobór słów.

– Nie wiem dokładnie. Ojciec Luigiego najwidoczniej tego nie ukrywał.  
– Wzrusza ramionami.

– Chyba nie dostrzegam związku. Co ma z tym wspólnego stary Luigiego?

Tafari drapie się po głowie, jakby zgłupiał.

– No, Luigi jest synem doktora Bandettiego. Właśnie on znalazł ci dom. Tego akurat nie wiedziałaś? – pyta cicho. Być może zaczyna docierać do niego, że tak naprawdę o niczym nie miałam pojęcia. – Spirito dał się spętać, pracował dla niego, żebyś nie wpadła w ręce członków klanu Bommarito, żeby zapewnić ci dobre i bezpieczne życie...

– Och, kurwa – mówię bardziej do siebie. – Muszę się położyć, mam na jutro dużo planów – dodaję, próbując zamaskować, że najzwyczajniej w świecie marzę, by zakończyć tę rozmowę, ulotnić się z miejsca przedziwnego zdarzenia, a potem ewentualnie poddusić się poduszką.

– Jakich? – docieka.

– Najpierw odwiedzę panią Tocco, potem...

– Nieźle. – Tafari nie daje mi dokończyć. – Patrz, jaki miłosierny. Poważnie zorganizował jej jakiś pochówek? – Parska śmiechem. – Wybacz reakcję. – Zaciska usta. – To tak do niego niepodobne, że aż zdumiewające.

Unoszę brwi w zdziwieniu.

– O-o-ona nie żyje?

– Eee, a to zaskoczenie? – pyta zdezorientowany. – Spirito żałował, że nie załatwił jej tej samej nocy co tego typu, założył, że jest, jak by to ująć, neutralna. – Pstryka palcami. – Potem sama próbowałam ją wykończyć, a ponieważ efekt twoich starań był marny...

– Nikogo nie chciałam wykończyć. Co to za pokrętna logika?

– A to nie wiem, musisz jemu zadać to pytanie. Tok jego rozumowania, gdy chodzi o ciebie, jest, cóż, zgadzam się, pokrętny, mimo że wyjściową

jest proste: „Usunąć z drogi Zity wszystkich złych ludzi”.

– Jezu. – Przykładam pięści do ust.

Tafari patrzy na mnie, mrużąc oczy. Rejestruję moment, w którym na jego twarzy pojawia się zrozumienie, a następnie przerażenie każące mi sądzić, że najchętniej odciąłby sobie język.

– Najważniejsze, że jesteśmy rodziną. Reszta się ułoży. – Przełyka głośno ślinę. Odślania przedramię, chwytając mnie za rękę i styka ze sobą łączące nas symbole. Jego „S”, tak jak moje, znajduje się po lewej stronie. Po stronie serca.

– Boże – wyduszam.

– Bez paniki – rzuca szybko, co przeczy temu, jakoby cechował go w tym momencie spokój ducha. – Nie pozwolę ci odejść, dopóki nie będę miał pewności, że podejdziesz do tego, co ci wypaplałem, na chłodno. Przysięgnij, że pierwszym, co zrobisz, nie będzie dobijanie się do jego pokoju. – Desperacko przytrzymuje mnie za rękę.

– On tu mieszka?! – wydzieram się, na co Tafari przyciska dłoń do moich ust.

– Ciszej – syczy. – Jaką w takim razie tajemnicę miałaś na myśli, skoro bez względu na to, co powiem, jesteś zaskoczona.

– Uważałam po prostu, że jesteście współnikami w szemranych interesach. A ty, a tu, a teraz... – plotę nieskładnie. – Jak to możliwe, że jeszcze nigdy na niego nie wpadłam, gdzie go znajdę?

W najśmielszych snach nie przewidziałam, że to moje „dzielenie włosa na czworo” i „szukanie dziury w całym” będzie miało taki finał.

– W pokoju przy łazience. – Tafari wzdycha sfrustrowany.

– Dzieli go z tym sadystą?! – Znowu podnoszę głos. Trudno ot tak zdusić bombardujące od środka emocje.

– Czyli? Masz na myśli tego cichego dziwaka? Doktorka? – dopytuje zmieszany, a gdy potakuję, dodaje: – To on. To Spirito – mówi i od razu ponownie zatyka mi usta. – Ale to tylko taka kreacja, a naprawdę jest sympatyczny, towarzyski i zaraża życiową energią – przytacza wcześniej wymyśloną przeze mnie formułkę.

– Rozumiem, że tylko ja nie miałam pojęcia, co tu się wyprawia? A trwa tutaj remont? – pytam, lecz wystarczy, że spojrzę na nieskalaną mądrością minę Tafariego i znam już odpowiedź.

– Zabiję go.

– Jutro, dobra? Teraz na pewno już śpi. – Tafari nabiera powietrza. – A mówiąc wprost, daj mi czas na ewakuację. – Zrywa się na równe nogi. – Już po mnie.

## ROZDZIAŁ 22

### *Zita*

Przechadzam się po urządzonej z przepychem komnacie Boaha, bo zaszczyt dotknął mnie wielki i dziwnym trafem zostałam jego najlepszą przyjaciółką. Powodem takiego stanu rzeczy na pewno nie jest faktyczna potrzeba kumpłowania się ze mną, lecz najzwyczajniejszy brak innych opcji.

Wiem o tym. On zapewne też, lecz nagle stał się niezwykle taktownym i czarującym mężczyzną, którego ponoć największym marzeniem było, by zostać moim rafikim. To jego słowa.

Założmy, że to kupuję. Biedny tak się zakręcił, aż wreszcie przeraził – choć przecież powinien być dumny, skoro udało mu się zniweczyć misterny plan, i to bez użycia mózgu – że w pewnym momencie autentycznie zrobiło mi się go szkoda. Kiedy tak sterczał przede mną jak ostatnia sierota, w przyciasnym sweterku i zmechaconych gatkach, a z jego postawy emanował niemy krzyk: „Zaopiekuj się mną!”, postanowiłam dać mu fory.

Nie robię tego, by zastawić sidła i skusić kroplą miodu nie tyle nieśmiałego, ile, jak się okazało, całkowicie oderwanego od rzeczywistości misia. Mam po prostu miękkie serce. Cechuje mnie taka dobroduszość, że przysięgam, gdy omsknie mu się łapa, zatrzasną się wnyki, nigdy nie pozwolę mu odejść.

Chyba że będzie miał dobry powód – warto dodać, bo zabrzmiało, jakby ze mną także było coś nie halo.

Lepszy niż konieczność usunięcia się z mojej drogi – to, jak widać, i tak mu nie wychodzi.

Jeśli wyczuję, że działania Spirito podyktowane są poczuciem obowiązku, ewentualnie litością, ofiaruję mu wolność. Zwolnię go z wszelkich powinności, jakie wobec mnie odczuwa.

Nie przeskoczmy tego. Prawda, nawet jeśli poznałam jedynie jej ziarno, bez miłości jest nie do zniesienia.

Miałam kiedyś okazję przeczytać fragment skserowanego przez Alme pamiętnika Etny. Nic specjalnego: lista rzeczy, które ta pragnie zajmować przed trzydziestką, nieskładne peany pochwalne na cześć Efesta,

własnoręcznie narysowana mapa świata. Najbardziej jednak utkwiła mi w pamięci pewna myśl, definicja otoczona wymyślnym szlaczkiem.

*Miłość – oddanie, niepodrzyta wyrachowaniem zażyłość.*

Obdarowanie mnie nią oznaczałoby, że wreszcie, po latach tułaczki, trafiłam do... domu.

Przewracam w palcach przytwierdzony do różańca medalik. Srebrny domek. Lubię go. Symbolizuje marzenie.

Nie ukrywam, że jestem przywiązana również do mojego łańcucha, chociaż w momencie, kiedy Tafariemu wymsknęło się, że Spirito był nim spętany, przeszył mnie lodowaty dreszcz.

– Dziwnie się czuję, nie mając na kostce bransoletki – zwracam się do krążącego po pokoju Tafariemu, który, gdy się odzywam, drapie się nerwowo po głowie, jakby miał uczulenie na mój głos i nagle dostał wysypki. Zanim zaprosił mnie do siebie, uporał się z zatraskiem, zwracając mi wolność. Zostawiliśmy nadajnik w mojej komnacie, bo Spirito, jak na stalkera z prawdziwego zdarzenia przystało, ma apkę śledzącą każdy mój ruch.

– Trudno. Gdyby Spirito zobaczył, że jesteś u mnie, od razu wyobraziłby sobie Bóg wie co i byłoby po mnie – oznajmia z rozbijającą szczerością, przesuwając w szafie zawieszony na wieszakach ubrania.

Rozbawia mnie tym wyznaniem.

– Przekupił mojego korespondencyjnego chłopaka, żeby się ode mnie odczepił. Może w tej sytuacji zrobiłby podobnie.

– Na pewno nie – rzuca twardo.

– Skąd ta pewność? Czym różnią się te przypadki?

Boah przerywa wykonywaną czynność. Mięśnie jego pleców się spinają. Nie mam wątpliwości, że położenie, w którym się znalazł nie napawa go komfortem. Całkiem możliwe, że spiskując ze mną, czuje się jak zdrajca.

– Wtedy podjął próbę odseparowania się od ciebie. Dał wam swoje błogosławieństwo. Nie przypominam sobie, żeby otrzymał je teraz. – Odwraca się i gromi mnie wzrokiem. – W tym momencie wykazuję się niełojalnością, więc finał i tak jest przesądzony. Przeciagam jedynie w czasie to, co nieuniknione. Żeby była jasność, robię to dla siebie, nie dla ciebie. Nie miej więc wyrzutów, gdy źle skończę.

Jeśli próbuje mnie pocieszyć, to niezbyt mu to wychodzi.

– Nie potrzebuję niczyjego pozwolenia, by móc się z kimś spotykać. – Kiwam głową z przekonaniem. – A nawet bzykać. To warto dodać.

Boah uśmiecha się lekko i z pewną nonszalancją, nie mam wątpliwości, że z wymuszonym luzem, powraca do układania ubrań według sobie tylko znanego schematu.

– Tak ci się tylko wydaje.

Co on tam wie.

– Dla twojej informacji, tamten chłopak nie był moim jedynym. W pewnym klubie w Palermo dałam się ponieść chwili, pierwotnej żądzy, która nieoczekiwanie zawisła między mną a dopiero co poznanym mężczyzną.

Odczuwam pewną satysfakcję, mówiąc mu o tym, bo to dowodzi, że nie mają nade mną takiej kontroli, jak sądzą.

– I jak było?

– Bosko – koloryzuję, określając przygodny seks nad wyraz rozdmuchanym słowem. Nie przyznam przecież, że nie pamiętam. W tamtym okresie podążałyśmy z Alną ukrócającą rozum długą, białą ścieżką.

– A co wydarzyło się później?

– Wolę ci oszczędzić takich szczegółów, bo dojdiesz do smutnego wniosku, że twoje życie seksualne nie ma pazura – rzucam żartem, ale okazuje się, że to, co bawi mnie, jego niekoniecznie.

– Odpowiedz. Chcę, żebyś zrozumiała powagę sytuacji.

Wzdycham.

– Sęk w tym, że nie jestem pewna. Pamiętam, że zrobiło się zamieszanie. Znajdująca się w kabinie obok Alna zaczęła piszczeć, a potem wszyscy rozproszyliśmy się w popłochu. Mój towarzysz uciekł – przyznaję. – Ale zdążyliśmy się zabawić – dodaję jeszcze, żeby nie miał co do tego wątpliwości.

Siadam na łóżku, a Tafari odwraca się w moją stronę, obdarzając mnie pozbawionym łagodności, zbijającym z tropu spojrzeniem. Zwykle emanuje od niego pewnego rodzaju beztraska, teraz jednak mam przed sobą jego drugą wersję. Tę, która zawisła nade mną w sali widzeń, tuż po tym, jak powalił mnie na podłogę.

– A wiesz, dokąd dobiegł? – pyta, mrużąc oczy. – Albo chociaż, jak głęboki był dół, do którego wpadł?

Przykładam dłoń do ust, gdy dociera do mnie znaczenie tych słów.

– Nie. To niemożliwe. – Kręcę głową, jakby ten gest miał sprawić, że rzeczywistość okaże się mniej realna.

Tafari wybuchła gorzkim śmiechem.

– Niemożliwe – powtarza po mnie. – Zapomnij o tym słowie – oznajmia tonem sugerującym, że dawno nie słyszał większej bzdury. – Zastąp je słowem „zawziętość”. A najlepiej od razu spójrz prawdzie w oczy. Nie ma co czarować. Każdy, kto uważa, że Spirito to kawał zawziętej mendy, ma rację. Dlatego zawczasu godzę się z losem. Jedyne, co mi się uda, to umrzeć. – Popada w katastrofizm.

Dzwoni jego telefon. Zerka na ekran i drżącym palcem odrzuca połączenie.

– To on. Powinienem przewidzieć, że nie śpi. Niby wyłączyłem kamery, które mijaliśmy w drodze do mojego pokoju, ale może którąś pominąłem – zastanawia się głośno i nerwowo skubie wargę.

– Opanuj się. A przede wszystkim przestań go tak demonizować. Już po mnie, umrę, bla, bla, bla. To przecież Spirito.

– No właśnie. Sprawa rozbija się o ten drobny szczegół. To przecież on.

– Najwidoczniej postrzegam go inaczej. Według mnie jest uroczo nierozgarnięty. Nie rozumie prostych pytań. Porusza się bezszelestnie, tak jakby się skradał. Kiedy jechałam z nim autem, prowadził z taką precyzją, że czułam, jakbym płynęła po jezdni.

Nie dodaję, że ma pewny chwyt, piękne dłonie i że przemknęło mi przez myśl, jak by to było, gdyby zamiast na kierownicy, trzymał je na mnie.

Nie wiem dlaczego, ale Tafari wydaje się coraz bardziej przerażony.

– Nie pocieszaj mnie więcej. Zupełnie ci to nie wychodzi.

– Jak to?

– Już wiem, jaki jest z tobą problem. Ja go demonizuję, ty gloryfikujesz. To, co inni uważają za wadę, dla ciebie jest zaletą. Mówię ci, że objawia się, usuwając z twojej drogi w jakimś jego popieprzonym mniemaniu złych ludzi, a tobie błyszczą oczy i z całej twojej postawy bije: „Jak tu go nie kochać?!”.

– Hmm.

– Ta, hmm. – Krzywi się. – Wymienione przez ciebie cechy nie są, kurwa, zaletami! Już zdążyłem sobie wyobrazić, jak się skrada i precyzyjnie wycina mi uśmiech na szyi. Ale co tam, zdarza się. Jest w końcu takiii – przeciąga głoski – uroczo nierozgarnięty.

Kiedy wypowiada ostatnie zdanie, ktoś szarpie za klamkę i puka do drzwi. W tej kolejności. Dobre maniery? Kto by się nimi przejmował!



Boah przyciska palec do ust, nakazując mi zachować ciszę, a sam woła melodyjnie:

– Kto tam?

– Zgadnij. – Dobiega do nas głos Spirito.

Tafari porusza się nerwowo i co tu dużo mówić, udziela mi się jego zdenerwowanie. W pewnym momencie obejmuje moją dłoń i patrzy na mnie, sama nie wiem, z nadzieją? Chętnie zobaczyłabym, jaką minę zrobiłby Spirito na wieść o tym, że jego pokrętny plan diabli wzięli. Z drugiej strony przerażenie wymieszane z rezygnacją, które malują się na twarzy Boaha, sprawiają, że podjęcie ostatecznej decyzji – brnąć w tę farsę bądź nie – nie przysparza mi trudności.

Otwieram szafę i nurkuję w jej wnętrzu, by umościć się między koszulami.

– Już, moment! – odkrzykuje Tafari, gdy Spirito bez ceregieli mocuje się z klamką. – Nie oddychaj – zwraca się do mnie szeptem, udzielając mi naprawdę złotej rady, po czym rozbiera się do naga i nie zważając na moje zszokowanie, zamyka drzwi szafy. A raczej przymyka, do cholery!

Zanim zrobię z palca haczyk, by je domknąć, do pokoju wchodzi Spirito. Wygląda jakby... Nie muszę się nawet nad tym głowić. Wygląda, jakby sturlał się ze schodów, a kolce róż poharatały mu twarz. Kiedy zaczyna czujnie rozglądać się po pomieszczeniu, kucam i mocno oplatam się ramionami. Przez chwilę nawet tak, jak doradził Boah, wstrzymuję oddech, ale ileż można.

– Dostaliśmy przelew od Alfreda – rzuca wkurwiony Spirito i dopiero wtedy koncentruje uwagę na nagim Tafari. – Przypomnij mi, dlaczego cię znoszę.

– Już się ubieram – mówi Boah, po czym zbliża się do szafy. Najgorzej. Uchyła drzwi tak wolno, jakby był pewny, że za moment ktoś z niej wyskoczy. Jest najgorszym współnikiem jakiegokolwiek miałam.

– Co robisz? – pyta zniecierpliwiony Spirito.

– Lubię ten dźwięk – stwierdza durnowato Tafari, otwierając i zamykając szafę. – To skrzypienie. Działa na mnie odprężająco. Co mówiłeś o Alfredzie? – zmienia temat, przydeptując mi palce stóp, bo przecież żeby wyciągnąć ubrania z szafy, niemal samemu trzeba się do niej wcisnąć. Wyjmuje wreszcie koszulę, a gdy już myślę, że w końcu się ogarnął, coś ciepłego muska mnie w czoło. Ciepłego i miękkiego. I jest to fiut. – Dobra, mam już komplet.

I całe szczęście! Mimo że ponownie nie domyka drzwi.

Ledwo zdążyła naciągnąć na tyłek spodnie, dopada do niego Spirito. Chwyta go za kark, wymuszając skupienie na sobie uwagi lub po prostu wyładowując na nim złość. Możliwe, że oba spostrzeżenia są słuszne.

– Po raz kolejny powtarzam, że La Mantide nam zapłacił. – W głosie Spirito rozbrzmiewa nuta surowości.

– To chyba radosna nowina, więc dlaczego jesteś taki wściekły?

Dołączam się do pytania. Też chciałabym wiedzieć.

– Przecież nie chciałem od niego pieniędzy!

– Chciałeś. Odwiedziłeś go, bo zwlekał z płatnością. Dałeś mu piętnaście dni na uregulowanie zobowiązania, a on...

– A on zapłacił! – przerywa mu Spirito, po czym zaczyna krążyć po pokoju. – Naprawdę sądzisz, że traciłbym czas na upomnienia? – Stuka palcem w skroń, sugerując, że Boah jest tępy. Z trudem powstrzymuję się przed wyjściem z szafy i przywaleniem mu za to, że jest taki chamski. – Czy kiedykolwiek fatygowałem się do kogoś, żeby to zrobić? – Parska. – Od początku wiedzieliśmy, że nie ma forsy, a skoro nie interesują nas jego córki, czekałem na propozycję przekazania mi udziałów w salinach.

– Aha, tak to sobie wymyśliłeś. – Tafari kiwa głową ze zrozumieniem.

– Ciekawe, jakim cudem... – Spirito nagle milknie. – No jasne – rzuca, jakby go olśniło. – La Mantide i jego małe cuda. Dowiedźcie się, komu sprzedał córkę. I rano podstaw moje auto pod bramę. Zostawiłem je przy Viale Paradiso, żeby Zita go nie przyuważyła. Masz zapasowy klucz.

– Nie obawiasz się, że spędzając z nią czas, powiesz o jedno słowo za dużo? – dopytuje Tafari, być może próbując przygotować sobie grunt i ochronić tyłek. W końcu „słowo za dużo” już padło. – Dlaczego w ogóle się z nią umówiłeś?

– Nie mogłem się powstrzymać – odpowiada Spirito.

Otak, po prostu. Nie mógł się powstrzymać. Kilka słów, a mimo to sprawiają, że robi mi się ciepło na sercu.

– Lubię mieć ją przy sobie.

Jeszcze ciepłej, wręcz gorąco!

– Wpatruje się we mnie, jakbym był jej Bogiem. Czyli jak zawsze, jak dawniej. Nic się nie zmieniło – kończy wypowiedź.

Chlust. Kubeł zimnej wody na rozgrzane serce.

Pfff, nieprawda! To on w tych nielicznych chwilach, kiedy cień przemykający pod taflą lodu się rozmywa, patrzy na mnie tak, jakbym była

początkiem i końcem. Jakbym była najważniejsza. Za każdym razem, gdy stoi przede mną z rękami uwięzionymi w kieszeniach bluzy i chwieje się na piętach, odnoszę wrażenie, że z trudem opiera się przyciągającej nas do siebie sile. Dlatego tak się chwieje. Bo walczy. Bo nie jest szczery, nie ma odwagi wyłożyć kart na stół, porozmawiać. Nasza przeszłość wisi nad nami jak toksyczny opar.

Do pokoju wchodzi Luigi. Ma rozczochrane włosy, podwinięte rękawy koszuli i twarz umorusaną białym proszkiem. Wpatruje się w ekran komórki.

– Dobra – mówi jakby do siebie – sam to naprawiłem. Myślałem, że nie obędzie się bez magika od zabezpieczeń, ale okazuje się, że to ten debil – spogląda na Boaha – wyłączył kamery w korytarzach.

– Ja wyłączyłem? – Tafari sięga po telefon. – Ach, możliwe, że coś się kliknęło, bo nie zablokowałem ekranu.

– Następnym razem zwróć na to uwagę – sugeruje mu Luigi. – Po coś w końcu te kamery są, co nie?

– Jeśli będą wyłączone, nie będziemy wiedzieli, kto poderznął ci gardło – stwierdza beznamyślnie Spirito, po czym podchodzi do okna i kontynuuje, wpatrując się w ciemność: – Wyłączył wszystkie kamery czy tylko w wybranych miejscach?

– No weź, co to za pytanie? – oburza się Tafari i posyła Luigiemu błagalne spojrzenie.

– Wszystkie – odpowiada Luigi. – Więc to przypadek, a nie celowe działanie.

Spirito na przemian zaciska i prostuje palce u rąk, a potem chucha i rysuje na szybie literę Z. Przyciska do niej czoło. Tkwi w tej pozycji, do czasu aż Luigi klaszcze i wypala:

– Wracam do pieczenia.

– W jakim znów sensie? – Spirito odwraca się w ich stronę.

– To jakaś metafora? Od dziś tak nazywamy dzielenie towaru? – Boah ściera palcem biały proszek z twarzy Luigiego.

– Co? Nie. To mąka. Piekę rogaliki na śniadanie.

– Niby po co? – Spirito się krzywi.

– Dla siebie – wydusza Luigi. – A, bo ty zapytałeś po co, a nie dla kogo – rzuca nerwowo. – Po to, żeby je zjeść. Widziałem bilecik, który dołączyłeś do bukietu Zity – zmienia temat. – Nie spodobało jej się to suche pozdrowienie. Następnym razem coś dodaj, spersonalizuj. Na pewno nie

zdobędziesz jej serca, jeśli będziesz taki, szukam odpowiednich słów, oschły, beznamiętny, zobojętniały.

Tafari żarliwie przytakuje i wpatruje się w niedomkniętą szafę, a Spirito kręci głową i zmierza w stronę wyjścia. Kiedy wychodzi na korytarz, Luigi szepcze:

– Lepiej, żebyś miał dobry powód, dla którego wyłączyłeś niektóre kamery. Skłamałem dla ciebie. Zdajesz sobie sprawę z tego, że Spirito będzie teraz całą noc wpatrywał się w ekran, żeby przyłapać cię na nieojalności? Wiesz, jaki jest niezmordowany, a mimo to odpierdoliłeś jakiś numer. Czemu je wyłączyłeś?

– Bo mamy powód.

– Mamy? Nie mieszaj mnie w swoje krzywe akcje – syczy Luigi.

– Nie chciałem. – Tafari unosi ręce w obronnym geście. – Nie zmusiłem cię, żebyś dla mnie skłamał, ale to zrobiłeś, więc już za późno, siedzimy w tym razem.

– W tym, czyli w czym?

– No, my w tym bajzlu, a Zita w szafie. – Wzrusza ramionami, a Luigi parska z niedowierzaniem, po czym podchodzi do szafy, otwiera drzwi na oścież i przesuwa wieszaki z ubraniami.

Unoszę głowę. Nasze spojrzenia się krzyżują.

– Dobry wieczór, panie naczelniku. – Uśmiecham się szeroko, a na jego twarzy wykwitają czerwone plamy.

Zanim zapytam, czy jestem zwolniona, zatraskuje drzwi, jakby sam fakt, że mnie nie widać, miał sprawić, że problem, który MAJĄ, zniknie.

Po chwili jednak Luigi ponownie otwiera szafę. Już myślę, że poszedł po rozum do głowy, ale okazuje się, że jest to oczekiwanie na wyrost, bo wypala:

– Pusto.

I ponownie zamyka mi drzwi przed nosem. Słyszę, że się o nie obija, być może w spazmach osunął się na podłogę, bo do moich uszu dobiega coś na kształt „niemożliwe” i „ja nikogo nie widziałem, a nawet gdyby, to tylko sen”, a kiedy znów nastaje jasność, ponieważ ciekawość dotycząca tego, czy aby na pewno jestem wyłącznie mirażem, zwycięża, wychodzę z szafy.

Wtedy Luigi wypruwa w stronę wyjścia. W pierwszym odruchu sędzę, że chce uciec, ale jedynie zamyka drzwi na zasuwkę i odwraca się do nas przodem. Patrzy to na mnie, to na Tafarięgo.

– Twój kuzyn... – zaczyna.

– Daj spokój z tym kuzynem. – Boah wchodzi mu w słowo. – Wszystko się wydało. To znaczy to wina Spirito, bo nieopatrznie użył mojej ksywki i ona to wychwyciła. – Zerka na mnie. – Zorientowała się, że się znamy, a ja, cóż, wyśpiewałem jej resztę. Tę, o której miała się nigdy nie dowiedzieć. – Przęłyka głośno ślinę.

– Czyli wie już, że Spirito ścieżkę do niej wybrukował sobie trupami?

– Słucham? – wyduszam.

Stoję nieruchomo. Moje spojrzenie podąża od jednego do drugiego.

– Yyy, raczej nie byłem taki bezpośredni – duka Tafari.

– Że umarł wielokrotnie, pozornie zmartwychwstał – nawija dalej Luigi – i że lepiej sobie, kurwa, z nim nie pogrywać? Zwłaszcza gdy rzecz dotyczy Zity, głąbie! – zwraca się do Tafariego. – Do głowy mi nie przyszło, że wyłączenie kamer ma związek z nią! W takiej sprawie nigdy bym nie skłamał – oznajmia z przejęciem i siada na skraju łóżka. – Jak sobie to teraz wyobrażacie?

– Opcji jest kilka – zaczynam. – Wykładamy karty na stół i obserwujemy, co nastąpi.

– Nie jesteśmy aż takimi optymistami – mówi Tafari. – Odpada.

– Dalej odgrywamy tę szopkę. Moja odsiadka nie będzie trwać wiecznie. Jeśli między mną a Spirito nie wytworzy się nic porozumienia, po prostu odejdę.

– Na bank nic się nie wytworzy. – Luigi macha niedbale ręką. – Odejdiesz? – Parska. – Chciałbym to zobaczyć.

– Ja w sumie też. – Śmieje się Boah.

– Nie ma co zaklinać rzeczywistości – oznajmia trzeźwo Luigi. – Do tej pory tkwiłaś tylko w jego fantazji. Niby był blisko, a jednak trzymał się na dystans. Gdzieś tam krążył wokół ciebie, ale to by było na tyle. Dziś poczuł, jak to jest mieć cię na wyciągnięcie ręki, więc już zapewne planuje, jak wrobić cię w morderstwo i wmówić ci, że dożywocie masz odbębnić w tym miejscu. – Stuka podeszwą o podłogę.

– Patrz na nią – mówi z niedowierzaniem Boah, a Luigi na mnie spogląda. – Widzisz jej minę? Przytoczona przez ciebie wizja to dla niej szczyt romantyzmu.

Pocieram twarz dłońmi.

– Nie przedłużajmy – odzywam się. – Muszę się wyspać, bo jutro jadę do Palermo. Przydałoby mi się trochę gotówki.

– Znowu? Jeszcze nie czas na wypłatę.

Ach ten Luigi i jego SPECYFICZNE poczucie humoru. Śmieję się.

– Myślałam, że ci, którzy mają skalpel na gardle, czasu nie liczą. – Mrugam do niego. – Według mnie warunki zatrudnienia uległy zmianie. Teraz chyba bardziej zależy wam na moich umiejętnościach aktorskich niż na machaniu pędzlem. Żadna ze mnie Sophia Loren, ale gaża musi być – akcentuję – aktorska.

Patrzę na mnie z niezrozumieniem. Milczą.

– Czyli zgoda. – Wzruszam ramionami. – Spadam do siebie.

– Nie możesz wyjść – rzuca pospiesznie Tafari, gdy kładę dłoń na kłamce. – Nie tędy. Kamery w korytarzach są już włączone.

Unoszę brwi, czekając, aż rozwinie wypowiedź. Jesteśmy w komnacie. W wieży, do cholery!

– Pogięło cię? – Luigi uderza Boaha w potylicę, kiedy ten wpatruje się w niewielkie okienko znajdujące się tuż przy szafie. Umiejscowione są nad nim dwie lampki sygnalizacyjne oraz kołowrotek, na który nawinięta jest lina. – Od lat nikt tego nie używał. Nawet jeśli ją tam wciśniemy, nie wiadomo, czy nie zatrzyma się między piętami, kto wie, co się czai w tych szybach.

– Chyba straciłam wątek. Kogo chcecie wcisnąć w ten otwór? Mnie?

– O żadnym wciskaniu nie ma mowy – odpowiada Tafari.

Uff, kamień z serca.

– Nie jesteś za wysoka, tęga też nie. Wejdiesz bez problemu – dodaje. – To winda kuchenna. Dawniej non stop dostarczane były nią posiłki na poszczególne kondygnacje.

– Dawniej, czyli kiedy? – dopytuję.

– No, w dawnych czasach. – Tafari drapie się po skroni. – Wtedy, gdy w podziemiach była kuchnia. Kiedy będziesz już na dole, wejdiesz do drugiej windy, która zawiezie cię do twojej wieży. Jest na wypasie, bo po remoncie. Elektryczna, ale troszkę mniejsza od tej. Będziesz musiała sama nacisnąć przycisk, bo nie ma tam żywej duszy – tłumaczy. – Gdy to zrobisz, szybko zabierz rękę, żeby ci jej nie przycięło.

– Odcięło. Boah chciał powiedzieć „odcięło” – wtrąca się Luigi. – To bardzo zły pomysł. Gorszy od tych, na które wpada Spirito.

Może i tak, ale też szansa na ponowne znalezienie się w zamkowych podziemiach. Wspomnienie panującego w nich klimatu, zapachu ekscytacji i niewiadomej, jest wciąż żywe i wywołuje przyjemne dreszcze. Wchodzę w to. Wchodzę tam.

– Jestem skłonna się na to zgodzić, jeśli do wypłaty dorzucicie mi jeszcze dodatek kaskaderski.

Luigi wytrzeszcza oczy.

– Po co ci tyle pieniędzy?

– Mam plany na przyszłość, a odkąd tutaj zamieszkałam, przestałam magicznie znajdować forszę na ulicy. Poza tym nie jestem na tyle szalona, by ot tak, nie mając z tego żadnych profitów, wpychać się do jakiejś dziury. To nie mnie zależy na kontynuowaniu tej farsy, tylko wam, więc wasz wybór.

– Dobra, niech ci będzie – mówi Luigi. – Tylko nie myszkuj na dole, nigdzie nie zagłądaj. Nie bez powodu chcieliśmy zataić przed tobą istnienie najniższej kondygnacji.

– Spoko, pajęczyny mi niestraszne – rzucam lekko. – O ile nie będzie na nich pajaków.

– Pajęczyny? – dziwi się Tafari.

– Wiem, że tam są. W dzieciństwie Spirito wcierał mi je we włosy – przyznaję, ale oni jedynie wstrzymują oddech. – Do dzieła, sprawdźmy, czy się zmieszczę.

Podchodzę do okienka i sadowię się na desce znajdującej się wewnątrz szybu. Podwijam nogi pod brodę.

– Dajcie mi chwilę na podjęcie decyzji – mówię szybko. – Jak długo będę zjeżdżać? Na pewno nie puścicie liny? Jakoś dziwnie tu pachnie. Ten zapach unosi się z dołu, a na dodatek z czymś mi się kojarzy...

– Niemożliwe, w podziemiu mamy urządzenia pochłaniające opary i zapachy wytwarzane podczas tanatopraksji<sup>5</sup>. Chyba że ten zapach wsiąknął w mury. To możliwe, Luigi? – docieka Tafari.

– Tanato co? – dopytuję, bo pierwszy raz słyszę to słowo, ale puszczają pytanie mimo uszu. – Jestem gotowa – oznajmiam, a niedługo później Luigi zaszuwa kratkę dźwigu.

Ciasno i duszno. W mojej piersi rodzi się coś na kształt paniki, bo co jakiś czas opuszczaniu windy towarzyszą gwałtowne szarpnięcia. W wyobraźni już widzę siebie zakleszczoną w klaustrofobicznym szybie. Przygryzam mocno wargę, gdy wreszcie udaje mi się połączyć docierający z dołu zapach ze wspomnieniem. Konkretniej z piwnicą, w której Spirito pobierał naukę zawodu. Sądziłam wówczas, że szkoli się na rzeźnika.

Ten zapach kojarzy mi się ze...

Śmiercią, podpowiada mi umysł.

Bzdura.

Ten zapach kojarzy mi się ze Spirito.

*Jesteśmy z nim, choć jest on Śmiercią. Razem stanowimy jedność. My i on. My i on. Złączeni z Duchem na wieczność*, w głowie dudnią mi słowa Wyznawców.

– Jednak się rozmyśliłam! – wrzeszczę, po czym bardziej kulę się w sobie i mocno zaciskam powieki, bo mam, niewątpliwie słuszne wrażenie, że winda zaczęła sunąć szybciej. Coś skrzypi, trzeszczy, a potem następuje głucha cisza. Kiedy przez dłuższy czas nic się nie dzieje, unoszę kratkę i na drżących nogach opuszczam maszynę.

Stoję jak wryta, bo miejsce, w którym się znalazłam nijak nie przypomina podmokłych piwnicznych pomieszczeń. Tych z moich wspomnień. Medyczne urządzenia, a także panujące tu chłód i sterylność przywodzą na myśl szpital. Nie wiem nawet, gdzie mam się kierować, żeby znaleźć popiersie zakłętego w kamieniu władcy tego zamku, co, przyznaję, planowałam uczynić w pierwszej kolejności. Wszystko popsuli! Możliwe, że jestem jednak trochę sentymentalna, skoro odczuwam zawód. Oznakowanie królewskiej korony naszą krwią i złożenie sobie przysięgi, mimo upływu lat wiele dla mnie znaczy. Zupełnie tak, jakby Spirito naznaczył moje serce, a nie rękę.

Podchodzę do stolika, na którym rozłożone są przeróżne narzędzia. Spośród nich potrafię rozpoznać wyłącznie ostrza do skalpela oraz dłuto czaszkowe i nóż do mózgu, ponieważ są do nich przyczepione karteczki. Biorę to za ponury żart.

Znajdują się tutaj dwa... dwie kozetki. Spycham w głąb umysłu pierwsze skojarzenie, mianowicie „dwa stoły sekcyjne”, i sięgam po stojący pod jedną z kozetek pojemnik z płynem. Zamierzam go sobie sprezentować, myśląc, że to mydło, ale mina mi rzędzie w miarę zapoznawania się z przyklejoną do niego etykietą. Dowiaduję się bowiem, że to preparat na bazie alkoholu przeznaczony do dezynfekcji mebli laboratoryjnych, a także narzędzi i... stołów sekcyjnych. Aha. Przełykam ślinę, a potem energicznie trę dłońmi o spódnię, bo nagle poczułam się bardzo skażona.

Lokalizuję windę, chcąc jak najszybciej znaleźć się w komnacie, lecz do moich uszu dobiega piskliwy dźwięk. Zmierzam za odgłosem wiodącym do jednej z sali, lecz zanim przekroczę próg, spoglądam do środka zza framugi. Dostrzegam stolik, na którym leży kostka Rubika, i siedzącego przy nim, odwróconego do mnie plecami, Ugo. Pochyla się nad zeszytem i



wylewa rzewne łzy, aż w końcu rzuca go na podłogę i zrywa się z krzesła. O kurwa.

Wpadam w popłoch.

Co mam, do cholery, ze sobą zrobić?

Kroki Ugo są coraz donośniejsze, poziom stresu wzrasta, więc dopadam do pierwszych z brzegu ciężkich metalowych wrót. Kiedy ustępują, uderza we mnie mroźne powietrze. Pięknie. Jakaś lodowa. Zabiję tych dwóch kretynów za to, że zgotowali mi takie atrakcje. O ile przeżyję. Czyli wątpliwe, bo lada moment padnę trupem, ponieważ dostrzegam... TRUPA!

Odskakuję w popłochu na widok zwłok umieszczonych na stalowej tacy. Cofam się, dopóki nie zderzam z miękką ścianą. Chwila. Miękką ścianą? Odwracam się. Próbuję wprawić w ruch wyobraźnię, zniekształcić przerażającą mnie rzeczywistość, ale nijak nie wiem, jakim obrazem mogłabym zastąpić wiszące na hakach, wypełnione niezidentyfikowanym roztworem, worki, w których znajdują się fragmenty narządów.

Przełykam palącą przelyk żółć i staram się z odległości dojrzeć napis widniejący na karteczce przyklepionej do kostki denatki, bo bez wątplenia jest to kobieta. Z daleka wygląda, jakby po prostu spała. Nie świadczy to o mnie dobrze, ale po stokroć wolę, żeby nie żyła, niż żeby lada moment się obudziła. Wizualizuję sobie, że podnosi się do siadu, przekrzywia głowę i na mnie spogląda. I nie podoba mi się ta wizja.

Podchodzę nieco bliżej, wyteżam wzrok, czytam.

*Gulia Bommarito – pobrano.*

Znam to nazwisko. Kręci mi się w głowie. Pocieram ramiona, by się ogrzać, bo mimo podniesionego ciśnienia i rozlewającego się na piersi uczucia gorąca cała dygoczę. Robię jeszcze kilka kroków w przód i staję przy wyeksponowanych zwłokach.

Kobieta ma zaszyte powieki i usta, z których wystają zawiązane na supełki fragmenty nici.

Przypomina mi się niema pani z horroru. Niemal słyszę melodię z pozytywki. Więcej nie trzeba, żebym wypruła w długą. Pieprzę to. Nie obchodzi mnie, czy wpadnę na Ugo, a wręcz marzę, żeby tak się stało.

– Ugo?! – rzucam, wybiegając z chłodni, ale odpowiada mi wyłącznie cisza.

Spoglądam w kierunku windy, lecz potrzeba sprawdzenia, czy Ugo zabrał ze sobą zeszyt, którym cisnął o podłogę, jest silniejsza od chęci natychmiastowej ewakuacji. Wchodzę do pokoju zabiegowego i podnoszę

sfatygowany notatnik. Kartkuję go. Niektóre strony są potargane, bez wątpienia brakuje w nim wielu kartek, ale jest też sporo zapisków. Czytam niektóre wpisy.

„Chcę do mamy i taty”.

„Dzień dobry, mam na imię Ugo”.

„Marzę, żeby popływać w morzu. Chciałbym posiedzieć na piasku. Jestem Ugo, a to jest list”.

„Nowy ciągle mówi o Zicie. Także przez sen. Boję się go nawet, gdy śpi”.

„Spirito to mój kolega. Częstoje mnie groszkiem z obiadu i chce mi skrócić kark”.

„Nie potrafię pisać listów, bo jestem nieukiem, i mam przestać ryczeć, bo zdechnę.”

„I nie zmartwychwstanę”.

LIST DO ZITY autorstwa Spirito Beneventano spisany przez Ugo (nie pamiętam, jak mam na nazwisko).

Wpatruję się w kartkę, próbując zrozumieć sens listu. Nie jest to łatwe. Chyba wolałabym, żeby słowa, które chciano, by zostały skreślone, rzeczywiście zamazano, bo emanujące z nich smutek i żal sprawiają, że sama zaczynam odczuwać te emocje.

*Droga Zito. Moja strachliwa dziewczynko. Piszę do Ciebie, bo nie mam innego wyjścia. Nie zrozum mnie źle, do tego akurat nie zostałem zmuszony. Słowo „akurat” jednak bym wykreślił. Wolałbym się z Tobą spotkać. Przed słowem „wolałbym” wstawiłbym „dawniej”, bo teraz już nie chcę. Nie przypominam chłopaka, którego znałaś i kochałaś. Skreślałam „kochałaś”. KOCHASZ. [...] Łączy nas pakt. Nierozzerwalny. Odnajdę Cię, nawet, gdy będę martwy. OBIECUJĘ. To będzie pierwsza rzecz, jaką zrobię po śmierci. Ty i ja, Zito. Ty i ja. Kocham, mimo że zanikam. Kiedy zniknę, wciąż będę kochał. Spirito.*

Liczę w myślach do dziesięciu, próbując wyrównać oddech, a potem szczypię się w brzuch, żeby odwrócić uwagę od tego, jak się teraz czuję. Nie roztkliwię się. Nie należę do tego typu dziewczyn.

Wsuwam zeszyt za pasek spodni i przechodzę do – teraz nie mam już wątpliwości – sali sekcyjnej. Ładuję się do windy, zdecydowanie mniejszej od tej, którą zjechałam, po czym wciskam przycisk, pamiętając o tym, żeby szybko zabrać rękę. Okazuje się, że mam refleks, skoro wjeżdżam na górę w jednym kawałku. Mimo to nie towarzyszy mi uczucie ulgi. Raczej obawa

przed zaklinowaniem. Jest tak ciasno, że obcieram łokcie, a gdy próbuję przybrać inną pozycję, zdzieram kolana.

Miejscem docelowym okazuje się połączona z moim pokojem garderoba. Nie dziwię się, że wcześniej nie dostrzegłam znajdującego się w niej dźwigu. Nie korzystam z tego pomieszczenia, bo i po co, skoro ubrania mieszczą mi się w worku?

Odsyłam windę, po czym kieruję się do sypialni, lecz po chwili przystaję w progu i spoglądam za siebie. Dopiero teraz dociera do mnie z pełną mocą, z jakimi pomieszczeniami połączona jest moja komnata. Świadomość, że w każdej chwili ktoś mógł – nadal może – dostać się tutaj tą samą drogą, co ja, wywołuje ogromny dyskomfort. Wkładam głowę do pogrążonego w ciemności szybu i zerkam w dół. Gwałtownie odskakuję. Wyobraziłam sobie bowiem, że znajdują się w nim „pani pozytywka” oraz kobieta z chłodni. Powyginane, uczone muru, czyhające na mnie.

Zawsze to samo. Przez lata dużo się u mnie zmieniło, ale strach, niczym najwierniejszy kompan, wciąż siedzi mi na ramieniu.

Nie pojmuję, jak reszta domowników może spać spokojnie, wiedząc, że mają w piwnicy martwą osobę. Nie wiem, czy jedną. Może być ich więcej.

Faktycznie.

**MOŻE BYĆ ICH WIĘCEJ!**

W pośpiechu zgarniam mydło, elektroniczną bransoletkę i wybiegam na korytarz. Zderzam się z warującym przed drzwiami gościem. Dawno tak bardzo się nie ucieszyłam na czyjś widok. Chociaż, nie ukrywam, nagle wolałabym, żeby strzegł windy w garderobie. Kto wie, jaka cholera nią w tym momencie pomyka. Kto wie, czy ten ktoś nie zaszyje się pod moim łóżkiem albo za zasłoną.

– Nie śpisz jeszcze? Ale jesteś blada. – Przygląda mi się oceniająco.

– Zamarzyła mi się relaksująca kąpiel – oznajmiam, choć najbardziej marzę o tym, żeby wyszorować sobie oczy. I złężnione serce. – To chyba nie problem?

– Żaden.

– Jeśli masz ochotę, możesz wejść do mojego pokoju. Nie musisz tu sterczeć. Posiedź sobie na moim łóżku przez ten czas, kiedy mnie nie będzie – proponuję życzliwie. – Odpocznę ci nogi.

*I wysiądzie pikawa, bo wielce prawdopodobne, że w pewnym momencie pojawi się za tobą ktoś martwy, dodaję w myślach.*

– Nie możemy wchodzić do twojej komnaty, jeśli nie ma ku temu konkretnych przesłanek. Jesteś przecież osadzoną.

– Wyluzuj. – Uderzam go w ramię. – Jest druga w nocy. Wszyscy poza nami już śpią.

*Żywi na pewno, a martwi to nie wiem.*

– W sumie racja. – Wzrusza ramionami, a ja zbiegam do łazienki.

Wskakuję do wanny. Przed oczami migają mi widziane dziś obrazy. Szoruję skórę do czasu, aż robi się czerwona, żeby tylko odwlec moment powrotu do pokoju. Zupełnie jak wtedy, gdy mieszkałam w rodzinie zastępczej i wiedziałam, że za ścianą czeka na mnie pan Tocco.

„Udokumentuję, jak wzrastasz”, słyszę jego słowa tak wyraźnie, jakby stał przy mnie.

„Wszyscy tatusiowie robią takie zdjęcia swoim dzieciom. Nie wiesz o tym, bo do tej pory go nie miałaś”.

„Pokaż, jak rozkwitasz, kwiatuszku”.

„Jesteś taka piękna”.

„Coś ty ze sobą zrobiła?!”.

„Jesteś taka brzydka”.

„Brzydki chłopak”.

Wkładam głowę pod strumień zimnej wody, lecz nie pomaga mi to odzyskać równowagi. Coś się zmieniło. Sekret, który łączył mnie z panem Tocco, okazał się nim tylko w teorii. Spirito wyrzuca sobie, że dopuścił do tego, co mnie spotkało, że jest to wynik wyboru, którego dokonał. Ja z kolei zarzucam sobie bierność. To, że jedynym wyrazem mojego buntu było ogolenie włosów i zmienienie garderoby, by nie być atrakcyjną w oczach innych. Mało komfortowa sytuacja.

Wiedziałam, że lepiej nie uchylać drzwi, za którymi skryte są największe lęki. Skoro jednak wypuściło się je na wolność, trzeba się z nimi zmierzyć. Musimy to zrobić. Razem.

Kiedy wchodzę na swoje piętro, okazuje się, że przed drzwiami stoi inny strażnik.

– Twój kolega jest w moim pokoju? – pytam, bo ciekawi mnie, czy skorzystał z zaproszenia. Chociaż teraz, gdy już nieco ochłonęłam, uważam, że przeświadczenie, iż z szybu może się ktoś wyłonić, było głupotą. Zwalam to na karb zbyt wielu stresogennych bodźców.

– Był – odpowiada szybko. – Ale jego warta dobiegła już końca.

Ziewam, po czym przekraczam próg pokoju i rzucam się na łóżko. Uchodzi ze mnie napięcie, lecz nie mogę się powstrzymać przed zerkaniem w stronę garderoby. Włączam lampkę i uderzam w poduszkę, żeby ją uformować. Kiedy to robię, zauważam krew na kołdrze. Wybiegam na korytarz.

– Czy w moim pokoju coś się wydarzyło? Na mojej kołdrze jest krew.

– To tylko farba z nosa. Niektórzy nie wytrzymują ciśnienia, gdy dostępują objawienia.

– Można jaśniej? Ktoś tu się pojawił, gdy byłam w łazience? Jakiś duch, ktoś martwy?

– Obie sugestie są słuszne. To przecież Nawiedzone Wzgórze. Siedzisz sobie spokojnie na łóżku, na którym nigdy nie powinieneś posadzić tyłka, aż tu nagle Śmierć przy tobie staje. – Uśmiecha się pod nosem.

– Dobra, już czaję. – Macham ręką. – Dobranoc.

Niespiesznie okręcam się na pięcie i wracam do pokoju.

– Nie zamierzasz spieprzać w podskokach? – pyta zdziwiony, bo najwidoczniej spodziewał się innej reakcji.

– Musiałbyś chyba biec za mną, skoro jesteś Wyznawcą i należysz do mnie. – Wskazuję na jego znamię.

– No t-tak, fakt – duka.

– Istnieje Duch, którego się nie boję. Możliwe, że ten sam, w którego wierzysz. – Mrugam do niego sugestywnie. – Ktoś „martwy” – wykonuję cudzysłów w powietrzu – kto nie napawa mnie przerażeniem, powiem więcej, chętnie zobaczyłabym go nawet w swoim łóżku.

– Czyli po zabawie. – Krzywi się. – Dobranoc.

Według mnie dopiero przed, bo zamierzam wstać skoro świt i tak, jak ma w zwyczaju Spirito, objawić się przed drzwiami jego pokoju. Postawię go w niewygodnym położeniu, wytracę ze strefy komfortu, aż w końcu nie wytrzyma i być może mnie pocałuje, ugryzie lub w tej mniej optymistycznej wersji... zabije.

---



5 Tanatopraksja – inaczej balsamacja; metoda czasowej konserwacji ciała zmarłego hamująca proces rozkładu.

## ROZDZIAŁ 23

### *Spirito*

Tej nocy, co zaczyna być już normą, prawie nie zmrużyłem oka. Powodem tego stanu rzeczy nie była nadpobudliwość Zity. Najwidoczniej pokłady energii, którą dysponuje, też kiedyś się kończą. Przyczyną mojej bezsenności byli szablonowi idioci: Tafari, zachowujący się jeszcze bardziej nedorzecznie niż zwykle, i jeden z Wyznawców, który myślał, że płacę mu za odpoczywanie. A w życiu, jeżeli przez niego sam nie mogłem wypocząć! Nie wiem, czy ci wszyscy przebywający w domu męczący ludzie mają jakiś grafik dotyczący tego, kto „umila” mi czas w poszczególne dni i dba, żebym przypadkiem za bardzo się nie wyspał, ale biorąc pod uwagę, co ostatnio odstawiają, nieszczęśliwie bym się zdziwił.

Dodatkowo nurtuje mnie kwestia wpłaty dokonanej przez Alfreda La Mantide. Współpraca z nim okazała się mało satysfakcjonująca, pomimo tego, że zapłacił za realizację zamówienia, czyli zrobił dokładnie to, na co się umówiliśmy. Okazało się, że coś nas łączy. On również nie potrafi czytać w myślach.

Wkładam bluzę, mentalnie szykując się na spędzenie całego dnia z Zitą. Znając ją, ma już przygotowany kolejny zestaw niewygodnych pytań, którymi będzie mnie zadręczać. Jadę z nią do Gottich nie dlatego, że jakoś bardzo tego chcę, a nasze ostatnie spotkanie sprawiło, że myślę o niej częściej niż do tej pory, choć sądziłem, że to niemożliwe. Po prostu nie mam na dziś innych planów. A przede wszystkim jestem już sobą zmęczony. Dla odmiany pomęcę swoją osobą kogoś innego.

Przygotowany do wyjścia, sięgam po bukiet, który zamówiłem po tym, jak Luigi zasugerował, że poprzedni nie zrobił na Zicie wrażenia, i zgarniam kluczyki z komody. Poczekam na nią w aucie. W międzyczasie przerobię w myślach możliwe scenariusze spotkania. Jeśli zrobi się gorąco, postawię na sprawdzone, zdające egzamin: „Kto? Co?”. W ostateczności udam, że ogłuchłem. W obliczu tych okoliczności, raczej nie dziwne, że chcę od siebie odpocząć.

Włączam aplikację i upewniam się, czy Zita jest u siebie. Czysta formalność. Jeśli nie pieje w łazience, to oczywisty znak, że jeszcze nie



wstała. *Los mi sprzyja*, myślę pozytywnie, bo przecież nad sobą pracuję, i wychodzę.

– O, cześć. – Zita klęczy przed łazienką, wiążąc sznurówkę.

Pieprzę te optymistyczne coachingowe mantry i afirmacje!

– Co tam robiłeś? – Wstaje, po czym wskazuje pokój, z którego wyszedłem.

– Przyjechałem po ciebie wcześniej i chciałem skorzystać z łazienki, ale pomyliłem drzwi. Dobrze, że w środku nikogo nie zastałem, bo byłoby niezręcznie – zmyślam. – Dlaczego nie masz na kostce bransoletki? – pytam, a ona zerka na swoją nogę.

– Rozpięła się i o niej zapomniałam. Skoczę po nią przed wyjazdem. Naprawdę nikogo tam nie ma? – Bez ceregieli wparowuje do mojego pokoju. – Właż – pogania mnie. – Taka okazja prędko się nie powtórzy.

– Nie powinniśmy tu wchodzić, narobisz sobie kłopotów – mówię niczym największy zgred, licząc, że przemówię jej do rozsądku. Odkładam bukiet i biorę na rękę psa, który przeciska się między moimi nogami.

– Racja. Pilnuj drzwi, a ja się rozejrzę – zarządza, pocierając ramiona. – Ale tutaj zimno. I pusto. Miejsce bez duszy.

Przez następne dziesięć minut szarpie za wszelkie możliwe klamki szafek i komód. Nie ma kluczyka, dzięki któremu mogłaby je otworzyć, więc jej frustracja wzrasta. Opieram się o ścianę, czekając, aż zakończy bezowocną inspekcję.

– Zaraz się wkurzę – sapie i zaciska pięści, do czasu, aż zauważy drzwi do drugiego pomieszczenia. Staje przed nimi z misją odmalowaną na twarzy.

Jeszcze większy relaks. Żeby otworzyć zamek, konieczne jest wklepanie hasła na panelu. Ziewam znudzony.

– Zaspokoiłś ciekawość? Możemy już iść?

Odwraca się gwałtownie.

– A wyglądam ci na zaspokojoną?! – krzyczy, a potem zaczyna rzeć ze śmiechu. – Ale to zabrzmiało. Szkoda, że nie widziałeś swojej miny.

Ja nie żałuję.

– Rozpracuję ten system i idziemy – kontynuuje. – Mam przecucie, że znajduje się tam coś cennego. Zamek na hasło. – Drapie się po głowie. – Nie ma na nim cyfr. Są tylko litery.

– Nie mów mi o tym, nie obchodzi mnie to.

– Oho, zaczyna się. Nie potrafisz być miły zbyt długo, co? Kwadrans to szczyt twoich możliwości?

Wpatruje się we mnie, jakby czekała na odpowiedź, ale nie zamierzam odpowiadać. Nie będę się kłócił z faktami. Skupiam uwagę na jej wargach, bo spojrzenie w oczy może mnie przerosnąć. Uśmiecha się cynicznie. Jasne staje się, że moja riposta, lub jej brak, nie ma żadnego znaczenia. Zita po prostu wymyśliła sobie, że wyprowadzi mnie z równowagi.

Ależ ona jest podła.

BARDZO mnie to ubodło.

Zagotowałem się jak nigdy.

A tak na poważnie, musi się bardziej postarać. Nazywają mnie pato-zjebem. W porównaniu z tym „byćce niemiłym” to wręcz komplement.

Najwidoczniej dociera do niej, że nie tędy droga, bo kładzie rękę na biodrze i dodaje:

– Jakim zaklęciem otworzyć ten sezam... Tyle możliwości, miliony kombinacji.

– Właśnie. Dlatego stąd spadam, a ty rób, co chcesz.

Dałem jej wybór. Ołać, że jest on pozorny. Wiadomo, że wyjdzie ze mną, obawiając się tego, że opuszczę posiadłość, a jej szanse na wyciągnięcie ode mnie jakichkolwiek informacji drastycznie zmaleją.

– Inaczej. Może ja sobie tu pogłówkuję, a ty rób, co chcesz? – Spogląda na mnie buntowniczo. – Ja jestem zwyczajną dziewczyną. Twoją Zitą, nie? – pyta, oby retorycznie. – Nie jakimś mafiozem z szemranych kręgów, z którym musisz pogrywać, by uzyskać to, czego pragniesz. Drażnią mnie takie zagrywki. Nie manipuluj mną. Mów wprost. Umowa?

To ten moment, w którym udaję, że ogłuchłem. Szybko nadszedł.

Zita uśmiecha się pod nosem.

– Zgadzasz się z tym, że jestem twoją Zitą?

Przeczესuję palcami sierść psa, bo trochę się skołtuniła.

– Ty i ja, prawda, Spirito?

Ale z niej sadystka.

Zgarniam bukiet z komody, zanim zmarnieje.

– To dla ciebie. Masz. – Wciskam go w jej rękę. – Proszę.

Nieszczególnie jest nim zainteresowana, nie napawa się zapachem kwiatków, nic. Interesuje ją wyłącznie bilecik. Od razu go wyjmuję.

– I jak? – pytam, gdy przesadnie długo się w niego wpatruje. – Wczoraj też wysłałem ci kwiaty. Dostałaś? Niestety nie miałem weny.

Nie miałem weny?! Rzeczywiście powinienem zlustrować sobie mózg, bo nie jest dobrze. Nie jest, kurwa, dobrze.

– To znaczy nie spersonalizowałem – przytaczam wysnuty przez Luigiego zarzut. – Tym razem miałem więcej czasu i oto efekt.

– „Pozdrawiam CIĘ” – czyta napisany przeze mnie tekst, po czym przygryza wargę, jakby próbowała się nie zaśmiać, i z powrotem skupia uwagę na panelu. – O szóstej muszę odebrać telefon od funkcjonariusza, a potem możemy ruszać. – Zerka na mnie. – Jedna próba. Co mi szkodzi. Z-I-T-A – literuje, wklepując hasło. Prawidłowe hasło! – Udało się – rzuca beznamyślnie, jakby nie zrobiło na niej wrażenia, że z marszu rozszafowała zagadkę.

– Skąd wiedziałaś, co wystukać? – pytam najbardziej neutralnym tonem, na jaki mnie stać, mimo że ciśnienie zaraz rozsadzi mi czaszkę. Wkładam psa do legowiska.

– Wyczułam, że gość, który zajmuje ten pokój, ma do mnie słabość, więc moje imię jako pierwsze nasunęło mi się na myśl.

– Co to znaczy, że ma do ciebie słabość?

– Działam na niego.

– Po czym to wywnioskowałaś?

– Niedawno wysiadł nam prąd. Przytulił mnie, żebym się nie bała. Wyczułam między nami pewną niezręczność, ale też ciepło. No i dreszcze. On przechadza się po domu w takim kombinezonie, więc nigdy nie widziałam jego twarzy – tłumaczy. – Odbija mu, gdy mnie widzi, a gdy jest blisko, wstrzymuje oddech.

Zita opowiada o nim z takim zaangażowaniem, że aż dostaje wypieków, a ja przyłapuję się na tym, że odczuwam zazdrość o samego siebie.

– Sprawdźmy, co tam jest. – Uchyła drzwi i niepewnie zagląda do wnętrza przez szczelinę. Następuje głucha cisza. Tym razem nie jestem jedynym, który wstrzymuje oddech. – Poczekaj tu – mówi, nawet na mnie nie patrząc, a potem znika w środku.

Gdy po dziesięciu minutach wreszcie stamtąd wychodzi, nie mam wątpliwości, że mogłaby przybić sobie piątkę z naszym nadwornym płaczkiem, z Ugo. Ma zaczerwienione powieki, nerwowe ruchy, a jej oczy jakoś nietypowo błyszczą. Robi krok w moją stronę, by następnie się cofnąć. Otwiera usta, zamyka. Patrzę na nią pytająco.

– Skoczę po tę bransoletkę i poczekam na telefon kontrolny z... – nabiera powietrza – z zakładu. Spotkamy się przed domem. – Niemal

wybiega z pokoju.

Przez dłuższy czas wlepiał wzrok w uchylone drzwi sekretnego pomieszczenia, a następnie do niego wchodził i stał przed skąpanym w białej pościeli, zakłętym w kamieniu, władcą tego zamku. Gość najwidoczniej samą swoją obecnością potrafił zmiękczyć kobiece serce. Kawał pieprzonego kamienia radzi sobie lepiej ode mnie, bo ja na przykład nie mam pojęcia, co robić. Jak rozegrać to, w co się wpakowałem. Mój plan był do bólu prosty. Wystarczyła odrobina ostrożności i zdyscyplinowania, by przez te kilka miesięcy móc przebywać z Zitą pod jednym dachem. Tymczasem wychodzę z siebie, by dać się lubić – raczej bez powodzenia. Zarzucam ją jakimś zielskiem i głowię się nad treścią bilecików, bo – co długo wypierałem – chcę mieć ją jeszcze bliżej. Nie wystarczy mi Zita „za ścianą”. Wciąż mi mało.

Powinienem teraz wyjść, nie objawiać się jej nigdy więcej, odpuścić, ale nie potrafię.

Przerażeniem napawa mnie myśl, że ułożyłaby sobie z kimś życie, że pewnego razu spotkałbym ją w towarzystwie innego mężczyzny, a ona spojrzałaby mi w oczy i powiedziała: „Ja i on, Spirito. Ja i on...”.

Wielce ponura wizja, lecz nawet w jej obliczu nie umiem wyznać grzechów, przyznać, ile Zita dla mnie znaczy, jak bardzo mi na niej zależy i że, owszem, jest moja.

Wychodzę z pokoju i dla zachowania pozorów rozglądam się we wszystkie strony. Zupełnie tak, jakbym nie wiedział, dokąd zmierzać, jakbym się zgubił, zamotał. Jakbym był IMBECYLEM!

Do moich uszu dobiega stłumiony śmiech jednego z Wyznawców.

– Długo jeszcze potrwa ta szopka? – pyta, gdy się odwracam. – Potrzebujesz przewodnika po własnym domu? Byłem już tynkarzem, malarzem, strażnikiem, więc z oprowadzaniem też sobie poradzę. Chociaż nie ukrywam, tęsknię za czasami, kiedy po prostu wymuszałem haracze.

– Tyle, ile będzie trzeba – szepczę dobitnie.

– Ona już się czegoś domyśla. Na początku próbowała się wykazać. Czajnik naprawiła, zakupy zrobiła, widać było, że zależy jej na tym, żeby nie wrócić do zakładu. Odkąd się pojawiłeś, udając jej kuzyna, ma wyjebane. Przed chwilą poprosiłem ją, żeby dokręciła śrubkę w klamce, bo się poluzowała, a to przecież jej zadanie, i wiesz, co odpowiedziała? „Taa, już leczę”.

– Powiedziała tak, bo ma dziś wolne. Gdyby się czegoś domyślała, zapytałaby wprost, co odpierdałam, a niedługo później już by jej tu nie było. Spokojnie. Wszystko idzie zgodnie z planem, a nawet lepiej, skoro na luzie łażę po domu.

Gość nic więcej nie mówi. Przemawia za niego odmalowana na twarzy wątpliwość. Macham z rezygnacją ręką, bo argumentów świadczących o tym, że luz to moje drugie imię, jako takich nie mam. Zbiegam po schodach i udaję się na dziedziniec.

Opieram się przedramionami o murek fontanny. Czekam.

I nie tylko ja, skoro uchylają się wrota, a Zita wychyla głowę i wrzeszczy:

– Czekam na telefon od funkcjonariusza! Jakieś to podejrzane, że nikt nie interesuje się moim losem, nie sądzisz?!

Sądzę. Kurwa, oczywiście, że tak sądzę.

Wiedziałem, że te głąby nie wpadną na to, by mnie wyręczyć.

– Na pewno zaraz ktoś zadzwoni! – odkrzykuję. – Pewnie jest jakaś awaria na łączach!

Przyciskam palce do powiek, chociaż więcej niż pewne, że powinienem sobie odciąć język.

Zita znika we wnętrzu domu, a ja wyjmuję komórkę i co nie jest jakieś wielce nietypowe, kucam, by schować się za murkiem. Wybieram numer. Odbiera po kilku sygnałach.

– W końcu – sapie. – Myślałam, że się nie doczekam. Ktoś tu nie szanuje mojego czasu.

Zakrywam głośnik palcami.

– Tu funkcjonariusz. Proszę wybaczyć. Nastąpiło zwarcie na stykach.

A jebię to. Rozłączam się.

I znów czekam. Pięć, dziesięć minut. Jadę na oparach cierpliwości. Dopiero ranek, a ja już jestem zmęczony.

Wreszcie Zita wybiega z domu.

– Jestem – oznajmia. – Przyjemnie się czekało? Tutejsza sceneria zachwyca. – Zatacza krąg rękami. – Mam nadzieję, że nie żałujesz propozycji dotrzymania mi towarzystwa.

– Wcale. Nie musiałś się tak spieszyć. Czekanie na ciebie sprawiło mi ogromną radość – rzucam sztywno, a potem ruszam przed siebie.

Zita się śmieje.

– Kamień z serca, bo spojrzaleś na mnie tak, jakbyś miał ochotę utopić mnie w tym źródełku. – Spogląda na fontannę.

– Podtopić, jeśli już – prostuję. – Co zajęło ci tyle czasu?

– To mój dziewczynski sekret. – Puszczam do mnie oczko. – Zrobiłam to, co robi się przed randką.

Przystaję i się jej przyglądam. Wygląda identycznie, jak wcześniej, co oznacza, że „to, co robi się przed randką” pozostaje niewidoczne i jest przeznaczone wyłącznie dla oczu jej adoratora. Boli mnie głowa.

– A z kim się na nią umówiłaś? Liczysz, że ja – akcentuję, wskazując na siebie – cię na nią zawiozę? Kurwa, absurd.

– Ponieważ?

– Nie wyobrażam sobie tego. Mam zadbać o romantyczną oprawę tego spotkania? Jeśli tak, muszę się przebrać. Chyba mam w aucie czysty garnitur.

Biały. Szyty na miarę Śmierci.

– Ale... – Spogląda na siebie i przesadnie naciąga koszulkę na piersiach. – Nie będziemy wtedy do siebie pasować.

– W sensie ty i ja? – pytam, bo dociera do mnie, że nie dość, że ubzdurała sobie randkę, to dodatkowo ZE MNA.

– A to jakieś zaskoczenie? – Unosi rękę i mruży oczy, przyglądając się swojemu naznaczeniu, a potem splata ze sobą nasze dłonie. Chwyta mnie tak mocno, że zaraz na bank zdrętwieją mi palce, ale nie zmienia to faktu, że dawno nie było mi tak dobrze.

Wyznawca otwiera bramę. Odczuwam ulgę, gdy okazuje się, że Tafari nie spartolił sprawy i przeparkował moje auto. Wreszcie zrozumieli jeden z drugim, że ich rola w moim planie powinna ograniczać się do prostego „nie utrudniać”. Chyba nie wymagam zbyt wiele?

Zita wyswobadza rękę z uścisku.

– Musimy być ostrożni. – Wskazuje ruchem głowy na Wyznawcę. – Takie chodzenie za rączkę może wzbudzić podejrzenia, co do łączącej nas relacji. Kuzynie.

Czuję, jakby na mojej szyi zaciskała się pętla, którą sam sobie założyłem.

– Chcesz jednego? – dodaje jeszcze, odpakowując papierową torebkę. – Luigi upiekł dla mnie rogaliki.

– Słucham? – Liczę w myślach do dziesięciu. Co za kretyn. Zamiast mi pomóc, jedynie podnosi poprzeczkę.

– Wczoraj pochwaliłam przygotowany przez niego sos, więc pewnie dlatego postanowił czymś jeszcze mi zaimponować. Zdziwił się, gdy powiedziałam, że mi smakuje. Być może w przeszłości jego wiara w siebie została zachwiana.

– Nie jesteś jego terapeutką.

– Wiem, ale postanowiłam, że mu pomogę. – Wzrusza ramionami. – Wypracujemy równowagę. Nauczę go przyjmować zarówno krytykę, jak i pochwały.

Nie chce mi się tego słuchać. Wsiadam do auta, zanim zamienię w czyn chęć zawrócenia do domu i potrząśnięcia Luigim. Wykreował się na niedowartościowanego cierpiętника, żeby zawinąć mi dziewczynę. Nie, to niedorzeczne. Zita nie jest w jego typie. Nie jest w niczym typie. A jeśli nawet, to wyłącznie w moim. Lubię tak myśleć. To mnie uspokaja, chociaż niejednokrotnie przekonałem się, że jest zupełnie na odwrót.

Zita otwiera drzwi i ładuje się do środka.

– Wypad z tym żarciem. – Macham ponaglająco ręką.

– Że co? – wydusza i wytrzeszcza oczy. – Przed chwilą było naprawdę miło, a teraz znów masz jakieś jazdy?

Parskam pod nosem.

– Nie lubię syfu.

– A mnie się wydaje, że nie lubisz konkurencji. Wiecznie tylko „ja, ja, ja”. – Wysiada i trzaska drzwiami. Opuszczam szybę, lecz zanim zdążę odpowiedzieć, Zita kontynuuje: – Z jednej strony dobrze jest zobaczyć ciebie w tobie, z drugiej, działasz mi tym na nerwy.

Wyprowadzenie jej z błędu wymagałoby wysiłku, jakichś pieprzonych zwierzeń i wspominek. Unoszę szybę. Pobędę sobie sam ze sobą.

Mija zaledwie chwila, a Zita ponownie rozsiada się w fotelu.

– Zjadłam.

Odpalam silnik i ruszamy spod bramy.

– A otrzepałaś się z okruchów?

Zita patrzy na mnie z rozbawieniem. Unoszę brwi, bo nie rozumiem tej reakcji. Rzednie jej mina.

– Ty pytasz na poważnie. – Zakrywa twarz dłońmi. – Tak, otrzepałam się z okruchów. Daleko stąd do domu pani Tocco? Bo nie wiem, jak długo z tobą wytrzymam.

– Nawzajem, i blisko, ale nie jedziemy do niej, tylko od razu do Palermo.

– Umawialiśmy się inaczej. Chcę zamknąć ten rozdział.

– Zamknąłem go za ciebie. A teraz wybacz, ale muszę się skupić na drodze – urywam temat.

– Jak to: zamknąłeś za mnie? – pyta, ale jakoś bez emocji.

Już wcześniej, podczas akcji z Alną, zauważyłem, że trudno ją zszokować. Nie jest szablonową histeryczką. Analizuje, działa, a dopiero potem się trzęsie. Mógłbym to wziąć za dobry znak, ale nie wychodzi mi bycie optymistą.

– Na pewno zrozumiałaś ten prosty przekaz. Pozbyłem się jej, gdy trafiłaś do zakładu w Turynie. Masz z tym jakiś problem?

– Nie chciałam robić jej krzywdy – wydusza.

– Czasem mam problem z interpretacją – przyznaję, choć wiem, że Zita zaraz w pierwszej kolejności się zapowietrzy, a w drugiej na mnie naskoczy. – Nie ma o czym mówić, za późno. Wskrzeszanie to nie moja bajka.

Zita zasysa powietrze.

– Byłem pewny, że dźganie kogoś ołówkiem nie jest wyrazem sympatii, ale teraz sam już nie wiem – rzucam kpiąco.

Zobaczymy, kto kogo pierwszy wyprowadzi z równowagi.

– Nie masz pojęcia, jak było! – Zita zaciska pięści.

– W takim razie mi powiedz.

– To była obrona własna – oznajmia z przekonaniem. – Pewnej nocy, niedługo po śmierci pana Tocco, jego żona zakradła się do mojego pokoju i zaczęła mnie dusić poduszką, bo niby nieszczęścia, które ją dotknęły, strata męża, obniżenie standardu życia, były związane ze mną. Spazmowała, że jestem złem wcielonym, przez co jej mąż nie mógł poradzić sobie z nieustanną pokusą. Po omacku sięgnęłam po pierwszą z brzegu rzecz znajdującą się na szafce nocnej i również na ślepo zadałam cios. Jeden – zaznacza. – Gdybym chciała ją zabić, na pewno bym na tym nie poprzestała. Zresztą to ja wezwałam karetkę. Fakt ten plus mój młody wiek zadziałały na moją korzyść. Chociaż tyle.

– Z pokusą? – dopytuję, mimo że ciągoty tego gnoja są mi doskonale znane.

Zita wzrusza ramionami.

– Według niej. Według mnie nie mógł sobie poradzić ze swoimi odchyłami. Dobrze, że ktoś mu pomógł. – Nie wiedzieć czemu, spogląda na mnie. Znacząco. Tak, jakby spojrzeniem chciała przekazać: „Doskonale się spisałeś”. – Gdy się do nich wprowadziłam było całkiem zwyczajnie,



choć często zaznaczali, jak wiele im zawdzięczam i że bez nich mój los byłby marny. Czułam, że mogli mieć rację. Nie chciałam wrócić na ulicę. Chyba właśnie dlatego zrodziła się między nami pewna...

– Zażyłość?

– Zależność. Jak w tej twojej organizacji. Coś za coś, Spirito. W tym przypadku pozowanie do zdjęć w zamian za dom. Poprawka – unosi palec – za dach nad głową.

– Lubiłaś to?

– Na początku tak. Przyjemnie było szczerzyć się do obiektywu, robić głupie miny i wywijać piruety. Byłam wtedy naprawdę szczęśliwa. Być może byłabym nadal, ale zaczęłam dojrzywać, inaczej patrzeć na swoje ciało i na to całe pozowanie, wstydzić się. Nie miałam już ochoty na te pieprzone zdjęcia! I dobrze, że Tocco nie żyje. – Nabiera powietrza. – Dobrze, że zdechł. Kłamałam, mówiąc, że się przestraszyłam, gdy znalazłam go martwego. Uśmiechnęłam się w duchu. Do pewnego momentu był to najpiękniejszy dzień mojego życia.

– Jak to?

– Teraz za najpiękniejszy uważam dzień, w którym ścieżki naszego życia – dotyka mojego ramienia – ponownie się przecięły.

Po co o to pytałem?! Nawet nie wiem, co odpowiedzieć. I co za bzdura z tym, że uśmiechnęła się w duchu, gdy znalazła martwego Tocco. Byłem tam przecież. Gdy usłyszałem kroki na schodach, schowałem się za samochodem, a niedługo później zobaczyłem Zitę. Sądziłem, że zacznie piszczeć, lecz ona jedynie uśmiechnęła się szeroko, złapała za łańcuch, jakby sądziła, że uduszoną osobę da się udusić jeszcze bardziej, i docisnęła go do siebie. Potem opluła typa, zgarnęła „rózaniec” i poszła spać.

– Przykro mi, że ten kutas naruszył twoje granice, że położył na tobie ręce i robił ci nagie fotki. – Gryzę się w język. Oby nie wychwyciła, że użyłem słowa „nagie”. W końcu nie podzieliła się ze mną takim szczegółem.

– Dotykał mnie jedynie wzrokiem. Nigdy rękoma.

– Mimo to cię zamordowano.

– Chyba rzeczywiście, skoro zachowywałam się, jakbym była martwa. Masz rację. Trafna analogia. – Kiwa głową. – Nigdy później nie byłam taka bierna. Wiem, że już taka nie będę. Nie chcę taka być.

– A jaka chcesz być?

– Taka jak teraz. Jest w porządku – mówi, ale bez większego przekonania. Wygląda, jakby toczyła jakąś wewnętrzną walkę. – Chociaż czasem...

– Tak?

– Czasem chciałabym ściągnąć spodnie. Móc znów włożyć sukienkę.

Nawet ja wyczuwam w jej wypowiedzi drugie dno. I chyba dopiero teraz dociera do mnie znaczenie metamorfoz, które obserwowałam na dostarczanych mi przez Bandettiego fotografiach. Nie zdziwiłbym się, gdyby Zita, bazując na przykrych doświadczeniach, ubzdurzyła sobie, że atrybuty kobiecości są wabikiem na zboczeńców, słabością. Kolorowe sukienki, które niegdyś tak bardzo lubiła, zamieniła na spodnie i rozciągnięte koszulki, przekonana, że dzięki zmianie ubioru, a nawet długości włosów odwróci od siebie niechcianą uwagę.

– Może nawet mogłabym pomalować paznokcie?

– Mnie pytasz? – odpowiadam pytaniem i kładę rękę na jej kolanie, okazując nieme wsparcie.

A przynajmniej tak sobie wmawiam. W rzeczywistości chcę po prostu poczuć pod palcami jej skórę. Zarówno jedno, jak i drugie kolano jest przyjemne w dotyku. Tak, kurwa, dotknąłem obu. Zaczynam odczuwać wiszącą między nami tęsknotę, w tym tę czysto fizyczną, więc gdy zatrzymujemy się na światłach, rzucam okiem na jej stopy tylko po to, by uczynić sytuację mniej niezręczną. Odciąć się od odczuć. I uczuć.

– Co robisz? – Zita przygryza wargę i pociera ramiona, na których pojawiła się gęsia skórka.

– Wydaje mi się, że masz koślawe nogi, ale sprawdzę dokładniej, gdy już wsiądziemy.

– Słucham? Co niby sprawdzisz?

– Odstęp między twoimi kostkami.

– Zajmij się lepiej odstępem między swoimi zębami. Nie wierzę! – Kręci głową. – Nie wierzę, że zamarłam w oczekiwaniu na... – nabiera powietrza – nieważne na co, podczas gdy ty oceniałeś koślawość moich kolan.

Mnie też trudno w to uwierzyć.

– Reasumując, nie musisz się ubierać jak łachmaniarz – stwierdzam, wskazując na poszarpane szorty moro, które ma na sobie. – Może wydaje ci się, że w takim wydaniu nie jesteś atrakcyjna, ale jesteś – stwierdzam fakt, po czym zasłaniam kratkę nawiewu klimatyzacji po jej stronie.

– Nie mogłeś się zdecydować, czy mi dopiec, czy mnie skomplementować? Vice versa, gościu. – Bierze między palce materiał mojej koszulki i krzywi się z niesmakiem.

Odsłania kratkę nawiewu. Zasłaniam ją z powrotem.

– Można wiedzieć, co odstawiasz? – pyta jeszcze. – Swoją sobie zasłon. Chcę, żeby na mnie wiało!

– Jestem wrażliwy na zapachy. Powietrze z klimy najpierw owiewa ciebie, a potem ten smr... ten zapach dociera do mnie. Chciałem być miły dłużej niż kwadrans, ale więcej nie zniósę.

Zita czerwienieje na twarzy.

– Czyli śmierdzą?

– Nie powiedziałem, że ty – oponuję. – Twoje perfumy. Niefortunnie dobrane czy inny chuj.

– Nie używam perfum – niemal warczy. – Szkoda mi kasy na takie bzdety. – Unosi koszulkę, odsłaniając brzuch, i ją wacha. – Czyli, kurwa, śmierdzą. – Patrzy na mnie z wyrzutem, jakby była to moja wina. – Luigi miał rację, Tafari zresztą też, mówiąc, że zalatuje ode mnie trupem.

– Podczas dekompozycji nieboszczyka wytwarza się enzym disiarczku dimetylu. Porównałbym go do zapachu czosnku. Ty śmierdzisz octem. Chwila – tak bardzo skupiłem się na aspektach rozkładu, że niemal umknęło mi najważniejsze – oni cię wachali?

– A ty mnie wachałeś, że też to wyczułeś? Nie rozumiem. Moczę się w wannie kilka razy dziennie, wylewam na siebie litry specyfików. Przed wyjazdem też wzięłam szybki prysznic, a mimo to śmierdzą? – Schyla się, by pogrzebać w worku, potem wyciąga z niego szeleszczącą siatkę. – Może to sprawka tego mydła. Zaraz pokażę.

– Nosisz przy sobie mydło?

– A ty skalpel?

Nie było pytania.

– Teraz używam takiego w kostce, bo sknerus – rzuca mi przelotne spojrzenie – pozabierał z łazienki żele. Mnie to obojętne. Jedno i drugie nadaje się zarówno do mycia ciała, jak i do tego, żeby zrobić przepierkę. Z tą różnicą, że do żelu mogłam dolać wodę i jak gdyby nigdy nic odstawić go na miejsce, a mydło zmuszona byłam przywłaszczyć. – Śmieje się i odwija siatkę. Potem jeszcze jedną i kolejną, aż wreszcie...

– Takie mydełko. Niby fiołkowe. – Wskazuje znajdujący się na nim symbol.

Po pierwsze, wytłoczenie nijak nie przypomina fiołka. Po drugie, a zarazem najważniejsze... to mydło mojego psa.

Wybucham śmiechem, ale szybko przywołuję się do porządku.

Dziwnie się poczułem. Jakbym nie był sobą.

Zita obraca kostkę mydła, patrzy na nią z innej perspektywy.

– To odcisk łapy, tak? – Dotyka wytłoczenia. Z tonu jej głosu wnioskuję, że nie oczekuje potwierdzenia. – Każdą – akcentuje dobitnie – część ciała umyłam mydłem dla zwierząt – wydusza z niedowierzaniem. – Nic mi nie będzie?

Wzruszam ramionami.

– Skąd mam wiedzieć? Na pewno nie będziesz miała pcheł.

Zita uśmiecha się cwaniacko.

– Może gdy będziesz analizował koślawość moich nóg, to przy okazji sprawdzisz, czy nie wyrasta mi ogon?

TAK!

To znaczy NIE. Oczywiście, że nie. Kategorycznie odpada.

– Może.

## ROZDZIAŁ 24

### *Spirito*

Myślę jedno, mówię drugie, robię trzecie. Gdybym nie był sobą, pomyślałbym, że to ja jestem najsłabszym punktem stworzonego przez mnie planu. Odkąd z moich ust wydostało się to enigmatyczne „może”, Zita nie wypowiedziała słowa. Teraz przemawia za nią mowa ciała i w żadnym razie nie są to jakieś subtelne podszepty. Wierci się w fotelu, zakłada nogę na nogę, prostuje się, wygina, co jakiś przesuwa palcami po moim ramieniu, a potem jej celem staje się płatek mojego ucha.

– Co robisz? – pytam w końcu.

– Miałaś na rękawie jakieś pyłki, chyba kurz.

– Ucho też mam zakurzone? – Zerkam na nią z niedowierzaniem. – Dlaczego jesteś taka namolna?

– Taki mam charakter – stwierdza ot tak. – A ty czemu tak się czaisz? Nie chcesz się narzucać, mając na uwadze, przez co przeszłam? Przypominam, chociaż doskonale o tym wiesz, że nie byłbyś moim pierwszym. Poza tym radzę sobie z natrętami, więc jeśli nie byłabym tobą zainteresowana, gwarantuję, że byś to zauważył. Sygnały, które ci wysyłam, są dla ciebie niezrozumiałe?

– Zrozumiałe.

Zita nie wydaje się przekonana.

– Może to ja błędnie odczytuję te wysyłane przez ciebie?

– Zacznijmy od tego, że żadnych ci nie wysyłam.

– Czyli nieświadomie co rusz trącasz mnie palcem?

– Trącam cię palcem? Słyszysz siebie?

– Przykładasz do mnie palec – a ta dalej swoje – a potem szybko go zabierasz, jakbym parzyła, jakbym była gorącym garnkiem.

– Masz na myśli to, że raz lub dwa dotknąłem twojego łokcia, ewentualnie nadgarstka?

– Prędzej trzy lub cztery.

– Czy ty nie rozumiesz, że sprawdzałem, czy twoje kości nie są zniekształcone, czy nie masz reumatoidalnego zapalenia stawów?!

Co ja, kurwa, wygaduję?! Czemu nie potrafiłem zapanować nad ręką i TRĄCAŁEM JĄ tym jebanym palcem?!

Zita oczywiście rży ze śmiechu. Uspokaja się dopiero, gdy wjeżdżamy na parking dworca w Palermo. Sięgam po portfel, po czym wręczam jej kwitek potwierdzający przedłużenie wynajmu skrytki.

– Nie idę z tobą. Nie lubię tłoku – informuję zawczasu. – Właśnie podjechali moi ludzie. – Wskazuję na zaparkowane nieopodal auta, a Zita się krzywi. – Nawet nie zauważysz, że dotrzymują ci towarzystwa.

– Jak bardzo jest prawdopodobne, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo?

– Od momentu gdy jako dziecko po raz pierwszy przekroczyłaś próg mojego rodzinnego domu, ryzyko, że w pewnym momencie ktoś założy, że znaczysz więcej niż faktycznie, było większe niż mniejsze.

– No to podniosłeś mnie na duchu.

– Podnoszenie cię na duchu nie byłoby konieczne, gdybyś z własnej woli nie wparowała do rezydencji Alfreda La Mantide. Nie przypominam sobie, żebyś zaprzeczyła, że jesteś córką kucharki. – Zerkam na nią. – W jego rodzinie najcenniejszymi kartami przetargowymi są córki, ale zapewniam cię, że informacje są równie cenne. Zwłaszcza gdy dotyczą ciebie.

– Dajesz mi właśnie do zrozumienia, że wciąż mogę być na celowniku członków rodziny Bommarito? Tych samych, przez których zaczęły się wszystkie nasze nieszczęścia?

Spinam się w oczekiwaniu na odpowiedź. Coś mi mówi, że wcale mi się ona nie spodoba.

– Tylko jeśli ktoś z rodziny La Mantide podzielił się zdobytą wiedzą. W innym przypadku nie ma o czym mówić.

– Oczywiście, że się podzielił! Nie wiem, o czym wtedy rozmawiałeś z tym gościem na wózku, ale byłeś beznadziejnie nieprzystępny! Dlaczego nie wydłużyłeś mu terminu zapłaty, skoro wiedziałeś, że możesz mu tym zamknąć usta?

– Wydłużyłem.

– O dobę!

– Czyli wydłużyłem. Tak czy nie? Naprawdę myślisz, że gdybym wykazał się dobrą wolą, zamknąłbym mu usta? Informacje, dzięki którym można coś ugrać, po prostu się wykorzystuje. Era dżentelmenów dawno minęła. I na pewno nie wróci.

– Co możemy zrobić, żeby zyskać na czasie i móc się sobą nacieszyć, zanim ktoś poczęstuje nas ołowiem? – rzuca nerwowo. – Może trzeba z

nimi porozmawiać? Nikomu nie zdradzę, co się wydarzyło przed laty, a ty chyba też pogodziłeś się już ze stratą i nie ma w tobie żalu? Powinieneś dojść z tymi ludźmi do porozumienia. Tak będzie najrozsądniej. Poza tym...

– Idź już na ten dworzec – urywam temat. – Po drodze kup mi kanapkę. – Wręcam jej forszę. – Tylko zwróć uwagę, w jakich warunkach będzie przygotowywana, czy miejsce jest czyste.

Zita otwiera usta.

– Aha. Mówiąc wprost, mam spadać?

– Mówiąc wprost, przestań udzielać mi rad i raczyć bzdurnymi myślami, bo mam na nie niską tolerancję. Mogę się motać w naszej relacji, w grę wchodzi przecież twoje uczucia, ale zapewniam cię, że wiem, jakie manewry wykonywać w moim świecie, żeby utrzymać twój łeb na powierzchni.

– Mój łeb. Moje uczucia i bzdurne myśli – mamrocze, jakby do siebie.

– Zresztą, w rodzinie Bommarito uchował się tylko jeden człowiek. Serafino. Zostawiłem go na koniec, żebyś mogła osobiście się nim nacieszyć. To on najpierw zgwałcił, a potem zabił twoją matkę. Za parę miesięcy masz urodziny, więc...

– Więc pomyślałaś, że podarujesz mi w prezencie psychopatę?!

Wzruszam niedbale ramionami. Co mogę powiedzieć? W moim mniemaniu to ujmujący gest.

– Mój łeb – akcentuje mocno każdą literę – zaraz eksploduje, a moje uczucia są tak sprzeczne – spogląda na mnie z niedowierzaniem – że nawet nie potrafię ogarnąć ich swoimi bzdurnymi myślami. – Wysiąda i trzaska drzwiami, a potem okrąża auto. Stuka w szybę, więc ją opuszczam. – Nie martw się, wróć. Wbrew zdrowemu rozsądkowi. Mimo wszystko. Wróć do ciebie.

No raczej.

– Możesz chociaż udawać, że rozumiesz, co do ciebie mówię? Przestać patrzeć na mnie tak, jakbym mówiła w obcym języku?

– Rozumiem słowa. Nie rozumiem jedynie, dlaczego miałabyś nie wrócić. Nie zapomnij o kanapce.

Zita kręci głową, aż wreszcie macha z rezygnacją ręką i biegnie na dworzec. Podążam za nią wzrokiem, bo na bank za moment się odwróci. Jeśli nie tęsknota będzie powodem, to chociaż chęć sprawdzenia, czy nie

postanowiłem dać w długą. Dziewczyny już tak mają. Ale nie Zita. Ona się nie odwraca. Ma wyjebane. Ale wróci. Tak powiedziała. Chociaż tyle.

I cóż. Znów czekam.

Pięć minut, dziesięć, kwadrans. Po upływie pół godziny zauważam wychodzącego z dworca Wyznawcę. Zmierza w moim kierunku, więc wysiadam z samochodu.

– Jak tam, Ernesto? – pytam, gdy do mnie podchodzi.

– W porządku, dziękuję, że pytasz – odpowiada zaskoczony. – Myślałem, że nie znasz nawet mojego imienia i nie kojarzysz, że dla ciebie pracuję. Takie zawsze odnosiłem wrażenie. A co u ciebie?

– Niech ktoś się wreszcie nade mną zlituje – sapię, masując skronie.

– A, bo ty pytałeś o Zitę! – W końcu dotarło. – To zaraz przyjdzie. Na razie gawędzi.

– Co robi? Cofnęliśmy się do XVII wieku?

– Podeszedłem do niej i zasugerowałem, że na nas już pora, to odwróciła się gwałtownie i fuknęła: „Moment, gościu, nie widzisz, że gawędzę?!”. Ona zna tam dużo osób. – Kiwa głową z przekonaniem. – Ubija interesy.

– Co przez to rozumiesz?

– Sprzedaje jakieś wisiorki czy coś, ale kanapka dla ciebie już się robi – dodaje, jakby chciał mnie pocieszyć. – Miejsce, w którym ją przygotowują, jest czyste, bo...

Nie kończy, ponieważ w oddali zauważamy biegnącą do nas Zitę. Uśmiecha się szeroko. Trudno stwierdzić, z czego ona się tak wiecznie cieszy. Kiedy podbiega, wciska mi do ręki kanapkę. Już mam się w nią wgryźć, ale Zita oznajmia:

– Niemal za darmo, więc powinna ci posmakować podwójnie. Mnie w każdym razie żarcie, za które nie płacę, zawsze smakuje lepiej.

Przed oczami wyświetlają mi się znajome migawki, w tym wspomnienie Zity plądrującej kontener. Za jakie, kurwa, grzechy.

– Przyda ci się ta forsa, którą zaoszczędziliśmy? – Macha mi przed nosem banknotem, który nagle stał się nasz, a przecież jeszcze do niedawna był wyłącznie mój. – Nie? – Chucha w niego i chowa go do kieszeni, nie dając mi nawet chwili na sklecenie odpowiedzi. – Czemu nie jesz? Przetarłam blat roboczy, zanim właściciel baru zabrał się za przygotowanie jedzenia, więc śmiało – ponagla. – Potem umyłam jeszcze podłogę i voilà, jesteśmy kilkanaście euro do przodu. Tak trzeba żyć. Jedz.



Kapituluję w obliczu tego słowotoku, podobnie jak towarzyszący nam Wyznawca, który dołącza do czekających w vanie chłopaków. Wgryzam się w kanapkę. Nie wiem, czy dobrze robię, bo Zita zaczyna intensywnie się we mnie wpatrywać. Z drugiej strony nie sędzę, by otrucie mnie znajdowało się na liście jej priorytetów. Trochę ją znam. Trochę nawet jej ufam.

– Smakuje? – pyta po chwili.

– Całkiem smaczne żarcie – odpowiadam.

Nie zdążę w pełni podelektować się smakiem ani tym bardziej przełknąć tego skromnego gryza, a ona wypala:

– Dasz spróbować? Też chętnie ocenię. – Wzrusza ramionami, a gdy nie odpowiadam, dodaje: – Najadłeś się już?

– W naszej bajce, gdy przynosisz mi jedną wyżebraną kanapkę, to, mimo że trafia ona w cudowne ręce, wciąż pozostaje jedną – akcentuję – wyżebraną kanapką. Cudu jak zwykle nie będzie.

– Podzielisz się czy nie?

– Nie.

Zita posyła mi przepelnione pretensją spojrzenie, ale szybko godzi się z losem, z tym, że jestem chytry, i wskakuje do wozu. Mnie natomiast trudno pogodzić się z jej stylem życia. Odmówiłem, bo byłem przekonany, że pójdzie sobie coś kupić, skoro znów jest głodna, ale gdzie tam, w jej rzeczywistości zapłata za produkt lub usługę to ostateczność, pieprzone ekstremum.

Niedługo później zajmuję fotel kierowcy. Zita dłubie w zamku trzymanej na kolanach metalowej kasetki, aż wreszcie potrząsa nią w złości.

– Zamek chyba zardzewiał.

– Pokaż, pomogę. – Żałuję złożenia tej propozycji, kiedy tylko kasetka łąduje w moich dłoniach. – Dlaczego ona jest taka brudna?

– Okopcona. Łatwo to zmyć. – Liże swój uświniony palec i wyciera go o spodnie. – Wyniosłam ją z tego warzywniaka, w którym pracowałam.

– Z tej budy, którą podpaliłaś? Okradłaś tego gościa?

– A co, dziwne? To, że pracując tam, starałam się ukazać swoją najbardziej przystępną stronę, nie było równoznaczne z tym, że godzę się na wykorzystywanie.

– Najbardziej przystępną? Czyli jaką?

– Byłam kulturalna i gryzłam się w język. Uciszyłam ten hałas, który na co dzień mam w sobie. Pod koniec pracy byłam przez to wyczerpana nie

tylko fizycznie, ale też psychicznie. Bycie cichym mężczy. Pan biznesmen – rzuca z ironią – chyba naprawdę sądził, że trafił na mimozę, która nie upomni się o swoje, a tu taki chuj, niespodzianka – oznajmia w momencie, w którym udaje mi się otworzyć skrzynkę.

Faktycznie niespodzianka. W kasetce znajduje się naprawdę dużo forsy. Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego Zita wszystkiego sobie odmawia, czemu jest naczelną fanką wymian, podmian i innych wielce specyficznych zagrywek.

– Skąd masz tyle pieniędzy? – pytam, bo nie chce mi się wierzyć, że facet przechowywał na stoisku tyle gotówki.

– Korzystam ze sposobów przetrwania, które, jak wyczułam, negujesz. Część kasy mam z budy, a resztę chyba od ciebie, co? Odkładałam pieniądze, które podrzucali mi twoi ludzie. Bo to robili, prawda? Żyłam tak, jakbym ich nie miała, chociaż za każdym razem, gdy byłam w podbramkowej sytuacji, korciło mnie, żeby z nich skorzystać.

– Po co się tak katować?

Zita wyjmuję spod pliku banknotów kopertę, którą mi wręcza.

– Między innymi po to. Śmiało, przeczytaj. Dla ciebie zrobię wyjątek i nie pozwę cię za naruszenie tajemnicy korespondencji – mówi bez cienia rozbawienia, więc w innym przypadku chyba rzeczywiście brałaby pod uwagę wystosowanie jakiegoś niedorzecznego pozwu. – Poza tym zbieram na lokum. Ale nie w motelu – dodaje szybko. – Marzy mi się miejscówka z lodówką, łóżkiem, wanną i telewizorem. Kupiłabym sobie odtwarzacz DVD i stojak na moją kolekcję płyt z nieemitowanymi już telenowelami.

– Masz taką kolekcję?

– A ty masz takt, gościu?! Gdzie mam ją niby mieć, w worku? Dopiero sobie kupię.

– Kupisz sobie... Telefon też znajduje się na liście twoich potrzeb czy raczej jesteś zwolenniczką komunikacji poprzez połączone nitką kubki?

– Miałam komórkę, ale ją zgubiłam. Nie odczuwam braku, więc jest zbędna.

– Czyli to drugie.

Wyjmuję z koperty list, choć właściwie jest to zaproszenie na rozmowę rekrutacyjną do Akademii Sztuki Złotniczej założonej przez maestro Leonarda Volpe.

– Na pewno słyszałeś o tej akademii.

– Taa. Historia jej chorowitego założyciela również jest mi znana. Podobno był już jedną nogą w grobie.

– Tak, media huczały o jego cudownym ozdrowieniu. Myślisz, że naprawdę kupił sobie nowe serce? Dziennikarskie śledztwo niczego nie wykazało. Nie ma wzmianki o przeszczepie w żadnym rejestrze, więc może rzeczywiście stał się cud?

– Cudów nie ma.

– W sumie racja. Są tylko owoce naszych rąk.

Gdyby tylko miała świadomość, ile prawdy jest w jej słowach. Lecz żeby była jasność, nie ingerowałem i nie zamierzam ingerować w przebieg procesu rekrutacyjnego na tę uczelnię. Tak naprawdę nie znam Leonarda. Umożliwiłem mu jedynie zawarcie ze śmiercią cichego kontraktu na życie.

– Wkrótce się do nich zgłoszę. Jeśli mnie przyjmą, czekają mnie setki godzin praktyk – informuje. – Nauczę się osadzania klejnotów, technik oprawy, chociaż nie ukrywam, najbardziej interesuje mnie grawerowanie florenckie, a także naprawa biżuterii. Ale to potem. Muszę zacząć od podstaw – nawija rozemocjonowana. – Wyobrażasz sobie mnie tworzącą biżuterię dla najbardziej prestiżowych marek?

– Na ten moment? – pytam, a ona patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. – Niezbyt.

– Słucham?

– W sensie i tak, i nie, ale bardziej nie.

– Ponieważ? – Zita czerwienieje na twarzy.

Coś czuję, że zaraz się okaże, że szczerłość niekoniecznie popłaca. Skoro jednak powiedziałem „A”...

– W tej pracy niezbędne są cechy, których ty nie posiadasz. Na przykład cierpliwość.

– Do ciebie mam cierpliwość, a gwarantuję, że jesteś bardziej wkurwiający niż kawałek metalu.

– Kolejne to umiejętność twórczego myślenia, uzdolnienia artystyczne – wymieniam.

– Cała ja. Niezła ze mnie artystka. – Puszczą do mnie oczko. – Co jeszcze jest przydatne? Zdolność koncentracji uwagi? – dopytuje, po czym opiera się o podłokietnik i przybliży usta do mojego ucha. – Potrafię się skoncentrować – szepcze. – Jeśli chcę – dodaje, a chwilę później czuję na szyi jej oddech i... język.

Muszę przyznać, że jest naprawdę skoncentrowana na lizaniu mojej skóry. Za nic ma moje wystosowane w jej stronę wcześniejsze ostrzeżenia. Odnoszę wręcz wrażenie, że za bardzo sobie pofolgowałem, a mój zapal we wznoszeniu między nami muru, wyznaczaniu granicy oddzielającej Życie od Śmierci, po drodze gdzieś się rozmył.

– Elastyczność też jest wymagana? Łatwość przerzucania się z jednej czynności na drugą? – pyta, kładąc rękę na moim kroczu. – Gołym okiem widać, że mnie chcesz, więc... – odsuwa się i prostuje na swoim fotelu – dlaczego mnie nie chcesz?

Dobre pytanie. Jedno z tych, na które nie mam ochoty odpowiadać. I to niby ja nie mam taktu? To ona nieustannie wytrąca mnie ze strefy komfortu swoim obcesowym zachowaniem i przesadną bezpośredniością.

– Ogłuchłeś? – pyta, gdy nie odpowiadam.

Właśnie to mam na myśli. Dla innych milczenie rozmówcy oznacza, że nie podejmuje on tematu, ale, oczywiście, nie dla niej.

Odpalam silnik i ruszamy wreszcie sprzed dworca. Wytrzymam z nią te kilka kilometrów, które dzielą nas od domu Gottich. Zita grzebie w kasetce, więc, jak sądzę, zrozumiała, że postępuje niestosownie, że wręcz mnie zadręcza!

– Ładna perła?

Zezuję na nią, bo unosi ją na wysokość mojego wzroku. Trzyma ją w palcach tak mocno, a ręka tak jej drży, że autentycznie zaczynam się obawiać, że wepchnie mi zaraz tę perłę w oko.

– Była przyczepiona do różańca, gdy go znalazłam. Marzyłam o takiej. Prawdziwej. Nie jest idealna, ale prawdziwa. To podoba mi się w niej najbardziej. Osadzę ją w koronie zaklętego w kamieniu władcy zamku. Może, kurwa, wreszcie ożyje. – Wyciąga jeszcze jakieś kolczyki, po czym zamyka kasetkę i chowa ją do schowka.

Zabrzmiało, jakby mi coś sugerowała, przez co nie mogę pozbyć się wrażenia, że wie więcej, niż mówi.

Dojeżdżamy na miejsce. Parkuję za autem na katańskich blachach. W pierwszej chwili myślę, że to samochód Serafina, co trochę mnie dziwi, bo obserwujemy jego dom i według przekazanych mi przez Wyznawców informacji, od przeszło tygodnia nie wychylił nosa z domu. Potem jednak zauważam przebywających na dziedzińcu Etnę, butnie krzyżującą ręce na piersiach, i Efasta, który ekspresyjnie gestykułuje. Dobrze się składa, a nawet powiem więcej, miło go widzieć.

Zita spogląda przez szybę.

– To mąż Etny? – pyta, wskazując na Efasta. – Niezły. Żywiołowy.

– Możesz przestać?

– Spokojnie, wolę takich jak ty. – Poklepuje mnie pocieszająco po nodze.

– O ile są szczerzy i mniej uparci. – Patrzy na mnie wymownie, a potem znów zerka przez okno. – O, znam tego gościa! To Gallo! – Wskazuje na stojącego przy furtce sługę Diabła. – Kiedyś odebrał mnie i Almę z dworca. Trochę się wtedy zbłąźniłam. Odebrało mi mowę, gdy objął mnie w talii, a następnie pomógł mi wysiąść z wagonu. Mały gest, a cieszy.

– Nie opowiadaj mi o tym.

Zita wzdycha, jakby brakowało jej już do mnie siły. Nie jestem zdziwiony. Gdy mnie tak dręczy, nieustannie coś insynuuje, jestem bliski wyznania jej prawdy. Chociażby po to, by zaznać wreszcie odrobiny spokoju. Choć w tym przypadku spokój wydaje się złudny.

– Jak mam się zachowywać przy tych ludziach? – pyta.

– Nie rozumiem pytania.

– Mogę być sobą?

– A kim innym miałybyś być?

– Jezu – fuka. – Chodzi mi o to, czy życzysz sobie, żebym swoim zachowaniem dała im do zrozumienia, że nade mną panujesz? Że w naszej relacji to ty nosisz spodnie?

– Nie są ślepi. Zobaczą przecież, że nie przyjechałem w spódnicy.

Zita wznosi ręce, jakby oczekiwała, że spłynie na nią boża łaska.

– Nie zależy ci na tym, żeby zobaczyli, że masz mocny charakter, że rządysz twardą ręką i lepiej, żeby z tobą nie zadzierali? Mogę zadawać ci różne pytania, na przykład – chrząka – „Spirito, czy mogę już odejść od stołu?”. A ty odpowiesz: „Tak, możesz”.

– Chcesz zrobić z siebie umysłową amebę, która nie wie, czy może podnieść dupę z krzesła, a ze mnie kogoś, kto ma władzę nad przygłupem?

– Dobra, nie było tematu. Radź sobie sam.

– Od początku taki miałem zamiar.

Zita wzdycha przeciągle.

– Nie chcę po prostu, żeby ktoś wykorzystał to, że jesteś taki, no wiesz, trochę nierozgarnięty. Nie obraż się, ale w porównaniu z tym facetem – wskazuje na ŻYWIOŁOWEGO Efasta – wydajesz się jakiś taki przygaszony, wręcz znudzony.

– Faktycznie. Nie sram ogniem. Już po nas. – Łapię ją za rękę. Oczywiście po to, by dodać sobie otuchy. – Mam nadzieję, że to podejrzone towarzystwo się nie zorientuje, że jestem ospały, i nie zadźgają mnie, gdy akurat będę ziewał.

– Ciebie to bawi?

– Ty mnie bawisz, co w sumie jest na plus, bo jako jedynej udaje ci się mnie rozbawić – stwierdzam fakt. – Naprawdę uważasz, że musimy ogrywać jakieś scenki? Że potrzebuję dowartościowywać się twoim kosztem i cokolwiek udowodniać ludziom z organizacji? Nazywam się Spirito Beneventano. Nie muszę nikomu nadskakiwać. Co najwyżej tobie. Tobie mogę – dodaję. – Wiesz, przez wzgląd na te twoje uczucia i dlatego, że cię ko...

Etna stuka w szybę. Chwała jej, kurwa, za to!

Zita otwiera drzwi.

– Nie widzisz, że odbywa się tu ważna rozmowa, że to wiekopomna chwila?! On chce mi coś powiedzieć! – wrzeszczy, a potem odwraca się i obejmuje moją twarz dłońmi, wymuszając skupienie na sobie mojej uwagi. – No mów.

– Przez nią straciłem wątek – zwałam winę na Etnę. Wygląda dziś na wybitnie zrezygnowaną, więc raczej nie zrobi jej to różnicy.

– Nie dręcz ludzi. – Efesto odciąga Etnę na bok. – Jedź i załatw to, co zjebałaś. – Wręcza jej kasę. – Przepróż, zagwarantuj właścicielom, że twoja noga nigdy więcej nie postanie w ich restauracji.

– Mam przeproszać za to, że coś wpadło mi do torebki?! – rzuca piskliwie Etna.

– Coś?! Filizanka i srebrna łyżeczka! – unosi się Efesto.

– Mam przeproszać za to, że jestem chora? – Etna zmienia linię obrony. – Sądzisz, że ja chcę przywłaszczać te wszystkie rzeczy? Większość z nich i tak wywałam. Myślałam o tej łyżeczce, odkąd ją zobaczyłam. Przez pół roku! Miałam dość tej tortury, więc wróciłam po nią, licząc, że zaznam spokoju, ale gdzie tam, skoro teraz ty mnie męczysz!

Przez nich łupie mnie w czaszce. Zapewne dlatego przez chwilę biorę za pewnik to, że mam omamy. Przeskakuję wzrokiem między Zitą a Gallem, którzy, mimo dzielącej ich odległości, uparczywie się w siebie wpatrują. Po chwili typ uśmiecha się szeroko. Mruga.

– Przegrałeś, Gallo! – Zita wysiada z wozu, przygarnia pod pachę Etnę, tym samym wybawiając ją z małżeńskiej opresji, i we dwie zacierają ku

wejściu na dziedziniec. Po chwili jednak Zita nagle przystaje.

Może sobie o mnie przypomniwała. Może przypomniwała sobie o swoim, kurwa, nierozgarniętym szoferze.

Taa, kręci głową i z powrotem pędzi w stronę auta. Opuszczam szybę.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że ja ciebie też. – Uśmiecha się słodko, po czym wraca do koleżanki i, hmm, kolegi.

Zita mnie kocha. Już trudno. Przecież to nie moja wina! Nic nie poradzę na to, że jest taka wylewna. Że psuje mój plan!

– Wchodzisz do Gottich? – pyta Efesto, opierając się przedramieniem o dach.

– Wsiadaj – odpowiadam.

Efesto śmieje się w głos. Poprawiam się w fotelu, nieco zmieszany faktem, że zachowuje się tak nieelegancko i bezceremonialnie wyśmiewa moją prośbę.

– Widzisz gdzieś tutaj swoją dziwkę? – dopytuje.

– Widzę twoją przyszłość. To mało? A nie, czekaj, przeszłość też. Pogadamy?

Do moich uszu dociera naprawdę żałosne westchnienie. Też mi przykro, że nie sposób uciec przed przeszłością i że przyszłość taka niepewna. Krzyżem, który nosi Efesto, jest Etna. Jestem pewien, że gdy Efesto wsiada wreszcie do auta, ma świadomość, że sprawa związana jest z jego żoną.

– Zadzwoń do, o ile dobrze pamiętam, Arturo – informuję. – Tego swojego kreta, którego trzymasz u Bommaritów. Przekazuj mi na bieżąco, jak wygląda sytuacja w domu Serafina. Dowiedz się, gdzie rozlokowane są kamery i ilu konkretnie ma ludzi. Niczego więcej od ciebie nie oczekuję. To wszystko. Mało.

– A kim ja jestem? Twoim parobkiem?

– Nie rozumiem.

– Parobek – zaczyna. – Robotnik pracujący dawniej w gospodarstwach bogatych chłopów, pogardliwie określany pachołkiem, ewentualnie sługusem.

– Nie cierpię na afazję sensoryczną. Bez problemu łączę usłyszane dźwięki w słowa. Rozumiem, co mówią do mnie inni ludzie. Wiem, kim jest parobek. Nie pojmuję jedynie tego, że masz jaja mi odmówić. A może raczej ich nie masz? To ty jesteś typem z opowieści twojego ojca o uwięzionych w lochu śmiałkach, tym, który zgubił honor?

– Co ty pierdolisz?! – Uderza dłonią w deskę rozdzielczą, więc korzystam z okazji i wbijam mu w nią skalpel. – Kurwaaa – jęczy przeciągle, posyłając mi przepehnione bólem spojrzenie. – Nie będzie ci dane wysiąść z tego auta. – Sięga po spluwę, której nie ma.

Wydaje się szczerze zaskoczony tym niefortunnym dla niego zbiegiem zdarzeń.

– Oddałeś broń parobkowi Gottich? – Wskazuję na Galla. – Przekłete zasady. Dlatego wolałem zostać w aucie. Nie rób tego – dodaję, widząc, że w pierwszym odruchu chce wyciągnąć skalpel z ręki. – To znaczy, możesz, ale nie tutaj. Dopóki tkwi w ranie, działa jak zatyczka. Jeśli mogę mieć kolejną prośbę, to proszę, wykrwawiaj się na zewnątrz.

– Jebany – syczy, żyła na jego skroni pulsuje. – Naprawdę sądzisz, że ujdzie ci to płazem?

– Nie sugeruj, że zrobisz mi krzywdę, bo sprawiasz, że rodzi się we mnie lęk przed konsekwencjami. Może się okazać, że chcąc ich uniknąć, postanowię cię zabić.

Efesto patrzy na mnie z niedowierzaniem. Tak, jakby dopiero dotarło do niego, że przecież mnie nie zna. Nie ma pojęcia, czy mówię poważnie, czy się zgrywam. Nie wie, czy gdy otworzy drzwi, któryś z moich ludzi nie wpakuje mu kulki. Mimo że należę do organizacji, jestem dla niego, dla nich wszystkich, obcy.

– Dlaczego nie chcesz się odwdzięczyć? Sądziłem, że Selvaggio są złączeni z zasadami nierozzerwalnym węzłem, a ty, zamiast ochoczo spełnić moją prośbę, bo przecież wyświadczyłem ci niemałą przysługę, przechwalasz się znajomością definicji słów. Zmuszasz mnie do czynów, które są sprzeczne z moją naturą, ale jeśli za moment nie usłyszysz: „Spirito, jestem do twojej dyspozycji, zrobię dla ciebie wszystko”, pomogę ci umrzeć.

– Wyświadczyłeś mi przysługę?

– A nie wspominałem? – Przyciskam palce do powiek. – Kurwa, jestem taki nierozgarnięty. Nie powiedziałem, że pomogłem wam na wyspie Levanzo, gdy próbowałeś odbić Etnę z rąk Emanuela i jego ludzi? Ja mam wielkie ego, ale coś mi mówi, że wy bijecie mnie na głowę. Naprawdę wzięłeś za pewnik to, że jeden z twoich braci, zdaje się Niccolo, skoro Ferro był z tobą, dał radę w tak krótkim czasie zdjąć dwóch napastników?

Efesto mruży oczy i sapiąc, sięga po komórkę. Wybiera numer, a niedługo później z głośnika rozlega się głos Niccola:



– Mam dziś wolne.

– Pamiętasz akcję na wyspie Levanzo?

– Którą, bo było ich kilka? Tę z Emanuelem Rossim?

– Ilu jego ludzi wtedy załatwiłeś? Dwóch?

– Jednego. Nie jestem, kurwa, magikiem.

Efesto rozłącza połączenie i bierze głęboki wdech.

– Informacje dotyczące której z licznych posiadłości Serafina cię interesują? – pyta w końcu.

– Wyłącznie katańskiej, słowo. – Kładę rękę na piersi. – On nie wychodzi z domu. Tam go dopadnę.

– Zaczniemy od tego, że akurat pod tym domem znajduje się sieć tuneli. Jeśli rozstawiłeś tam swoich ludzi, a mniemam, że tak właśnie zrobiłeś, obserwują rezydencję, w której nie ma nikogo oprócz służby – informuje, a gdy milczę, dodaje: – Czyli co, jesteśmy kwita?

– Nie jestem usatysfakcjonowany, ale dałem słowo, więc tak.

Efesto kręci głową. On też nie ma do mnie siły.

– Kilka dni temu Serafino zawarł przymierze z La Mantide. Alfredo oddał mu rękę swojej córki. Oficjalnie są teraz w podróży poślubnej.

– A nieoficjalnie?

– Spróbuję się dowiedzieć. Skontaktuję się z Arturo i dam ci znać. Obaj wiemy, że Serafino nie grzeszy mądrością, ale nawet głupiec ma instynkt przetrwania. – Patrzy na mnie, mrużąc oczy: – Spodziewaj się mnie. Wszędzie.

Parskam.

– Co to niby znaczy? Grozisz mi?

– A co, trochę ci z tego powodu smutno, a trochę nie? – rzuca enigmatycznie i wysiada.

Nie doceniłem Serafina – przyznaję. Z góry założyłem, że wyeliminowanie go w dowolnym momencie nie przysporzy mi większych trudności. Tymczasem okazało się, że najpewniej on też wokół mnie krąży, być może wyczekując dogodnych okoliczności, by odebrać mi to, co odbudowałem. Kogoś, kogo odzyskałem.

Spoglądam na Zitę, która wciąż stoi przed furką, i na Galla, nienaturalnie podekscytowanego jej towarzystwem. To nic. Tak to bywa między... kolegami. To normalne, że wbijają sobie paluchy między żebra i są tak zaabsorbowani sobą, że umyka im wykrwawiający się tuż przed ich nosami Efesto.

Wychyłam głowę przez okno, bynajmniej nie po to, żeby przywołać ich do porządku, lecz by się przewietrzyć. Rozpościerający się przede mną widok nie robi na mnie wrażenia. Patrząc na nich, niczego nie czuję. Nie skręca mnie w środku. Nie przeszkadza mi nawet to, że Gallo dotyka włosów Zity, mimo że nawet mnie nie było dane ich dotknąć.

Gwiżdżę głośno, czym zaskarwiam sobie uwagę Galla.

– Ona przyjechała ze mną – informuję, bo może rzeczywiście umknął mu ten drobny szczegół. – Zita jest moja.

## ROZDZIAŁ 25

### *Zita*

Uśmiecham się, słysząc to wyznanie. Jak wspominałam, mała rzecz, a cieszy. Wreszcie przyznał, że jestem jego Zitą. Przed obcymi, przede samym sobą, a przede wszystkim przede mną, bo z tym wydaje mi się, że miał akurat największy problem.

Chyba już wiem, jak z nim postępować, czym ogrzewać jego serce. Trzeba go trochę przytłaczać. Bezpośredniością, autentycznością, sobą, miłością. Wtedy lód pęka. Wtedy błyszczą mu oczy.

Podczas podróży kilkakrotnie, no cóż, trącił mnie palcem, mimo że się tego wypiera. Pewnie nawet nie zwróciłabym na to uwagi, sam zapewne chciał, żeby mi to umknęło, ale przysięgam, Spirito nie dotyka mnie ot tak, otwarcie, naturalnie. On się do tego przygotowuje. A potem celebruje tę krótką chwilę, podczas której ma pod palcami moją skórę. Gdy się to dzieje, ma minę, jakby nie mógł uwierzyć, że jestem obok. Jakby uważał się za największego szczęściarza, jakbym była skarbem. Perłą w koronie.

Gallo zaprasza mnie na teren posesji. Kilkakrotnie oglądam się za siebie, licząc, że Spirito również skorzysta z zaproszenia, ale to płonne nadzieje. Kiedy wreszcie postanawiam wejść na dziedziniec, zderzam się w progu z jakimś posepnym gościem.

– Uważaj, jak leziesz – burczy i unosi głowę. – A, to ty. Panna „Z”. – Przygląda mi się oceniająco i poprawia łuk, który ma przewieszony przez ramię, a potem obejmuje dłonią moją twarz. Patrzy mi w głąboko w oczy. – Nie ćpa – zwraca się do Galla. – Zaprowadź ją do Almy. A ten co robi? – Spogląda na Spirito, który co rusz wyrzuca przez okno zakrwawione chusteczki.

– Czyści wóz, bo Efesto się skaleczył. – Gallo mruga sugestywnie. – Już odjechali. On i Etna. Odwiedziny skończone – kwituje, a potem zgodnie z poleceniem prowadzi mnie do Almy.

Im wyżej wspinamy się po schodach, tym do moich uszu dociera coraz więcej irytujących dźwięków.

– Vittorio gra na trąbce – odzywa się Gallo, jakby czytał mi w myślach. – W przerwach między graniem na saksofonie i flecie. Zaraz pewnie zadudni

ci w głowie, bo zabije diabelski dzwon, a potem usłyszysz walenie w drzwi oraz przepelnione żalnością krzyki.

– Wesoło tu macie – rzucam z ironią.

– Owszem. – Gallo z trudem maskuje uśmiech. – Raj.

Przez myśl mi nie przeszło, że krzyki, o których wspominał, mają związek z Almą. Tymczasem, gdy przystajemy przed drzwiami, okazuje się, że ona nie dość, że spazmuje, to dodatkowo szarpie furiacko za klamkę. Faktycznie raj. W mocno skrzywionym zwierciadle.

Patrzę na Galla, oczekując wyjaśnień.

– Takie zachowanie świadczy o tym, że u niej w porządku – mówi z przekonaniem. – Wyładowuje emocje, dzieli się nimi z tym – przesuwa dłonią po drzwiach – kawałkiem drewna.

Następuje głucha cisza.

– Teraz zapewne przeniosła się na balkon. Będzie się wydzierać, nawrzuca domownikom, i tyle. Nic nowego, stały repertuar, żadne zaskoczenie.

– Gdy spędzałam z nią czas, raczej się tak nie uzewnętrzniała – przyznaję, mimo wszystko, zaskoczona. Także tym, że Gallo puka do drzwi, zamiast włożyć klucz w zamek i po prostu zwrócić Almie wolność. – Można wiedzieć, dlaczego nie otwierasz?

– Nie mam klucza – oznajmia w momencie, w którym rozlega się chrobotanie w zamku. Chwilę później w progu staje rozczochrana Alma, co świadczy o tym, że nikt jej nie uwięził. Sama zamknęła się w pokoju. To nie na moją głowę.

Patrzy na mnie, jakby zobaczyła ducha, a potem rzuca mi się w ramiona.

– Z nieba mi spadłaś! Tęskniłam za tobą. – Przytula mnie, a Gallo mruży oczy. – Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale twój numer jest nieaktywny.

– Nie mam telefonu – odpowiadam i wyswobadzam się z objęć. – Zresztą, naprawdę próbowałaś się ze mną skontaktować? Myślałam, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego. Dałaś mi to do zrozumienia, gdy przebywałam w zakładzie.

Alma zaczyna krążyć po pokoju. Zbiera porozrzucane ubrania, poprawia narzutę na łóżku. Nie wiem, jak w innych pomieszczeniach w ich domu, ale w tym rządzi chaos. W rozproszeniu tego wrażenia na pewno nie pomagają przebite tkwiącą w suficie strzałą koronkowe majtki.

– Potrzebowałam czasu, żeby dojść do wniosku, że w gruncie rzeczy nic wielkiego się nie stało. Nie gniewam się, chociaż nie ukrywam, trochę mi smutno. Szczególnie teraz, gdy wszystko się nawarstwiło, czuję się naprawdę paskudnie.

Alma klepie mnie pocieszająco po ramieniu i wychodzi na balkon, żeby wytrześć koc, a Gallo szepcze mi do ucha:

– Nie zapominaj, że to żona Diabła. Wbrew pozorom są do siebie bardzo podobni. Tak tylko mówię. – Wzrusza ramionami, jakby było mu obojętne, co pocznę z tą wiedzą, i opuszcza pokój.

Nieszczególnie wiem, jak interpretować to ostrzeżenie. Pierwsze, co nasuwa mi się na myśl to podejrzenie, że Alma zdobyła się na przebaczenie, bo ma w tym ukryty cel. Szybko jednak odrzucam tę, co tu dużo mówić, krzywdzącą ją insynuację. Alma ma serce na dłoni, co niejednokrotnie mi udowodniła. Nie wiem, co musiałoby się stać, żeby bez skrupułów postanowiła ugrać coś moim kosztem.

Kiedy wraca, wręczam jej zrobione z myślą o niej kolczyki. Przygląda się im, a potem patrzy mi w oczy.

– Kamienie czyste jak twoja dusza – mówię szczerze, zgodnie z prawdą, bo właśnie tak ją postrzegam. Ona natomiast robi minę, jakbym przywaliła jej w twarz albo raczej jakby się ocknęła.

Drży jej broda, gdy wydusza:

– Jezu, co ja najlepszego robię. Przepraszam.

Posyłam jej pytające spojrzenie, chcąc, żeby rozwinęła wątek.

– Najszczęśliwsza byłam wtedy, gdy powiedziałam, że spadłaś mi z nieba. Owszem, dzwoniłam do ciebie, ale nie dlatego, że jakoś bardzo za tobą tęskniłam. W zaistniałej sytuacji nie przyszedł mi na myśl nikt inny, kto mógłby mi pomóc. Wciąż nie podoba mi się to, że zataiłaś tożsamość. Tłumaczyłam sobie, że to bez znaczenia, ale jednak nadal mam to z tyłu głowy. Sama jednak, jak się okazuje, nie jestem lepsza. Wiem, że przemawia przeze mnie desperacja, więc ty na pewno też miałaś powód, by mnie okłamać.

Parskam. To silniejsze ode mnie.

– Porównujesz zatajenie tożsamości i moje urojenie sobie, że w domu czeka na mnie mama, z którą będę oglądać film i objadać się lodami, do swojej próby zmanipulowania mnie? Ucierpiałaś przez moje kłamstwo? Nie przemawiała przeze mnie desperacja, chęć zysku czy inny chuj. Nie stawiaj

znaku równości między tym, co robisz ty, a tym, co zrobiłam ja. Nie usprawiedliwiał się w ten sposób przede mną i samą sobą.

– To co mam niby zrobić? – rzuca piskliwie.

– Przyznaj po prostu, że siadło ci na łeb albo, że jesteś tylko człowiekiem, masz wady, czasem coś cię przerasta, podejmujesz nieroztropne decyzje, nawet kosztem bliskich. Po prostu, że postąpiłaś chujowo. Nigdy nie wykorzystuj mnie do swoich celów – wbijam palec w jej mostek – bo pożałujesz.

Chyba trochę przesadziłam. Alma wygląda na naprawdę przestraszoną.

– Dobrze – mówię uspokajająco. – Powiedz, co się nawarstwiło. Trochę więcej na temat sytuacji, o której wspomniałaś. Może będę mogła pomóc.

Alma wysmarkuje nos, a potem siada na łóżku; też to robię.

– Mój ojciec miał problemy finansowe. Nie mógł uregulować zobowiązań, więc zawarł przymierze z Serafinem Bommarito. Nie znasz. – Macha ręką. – Oddał mu moją siostrę Bellę, a raczej ją sprzedał, dzięki czemu mógł zapłacić za realizację zamówienia, którym podzielił się z Serafinem.

Nie wyprowadzam jej z błędu. Nie przyznaję, że Bommarito są mi znani, że moja matka zginęła z ich rąk. Całkiem prawdopodobne, że Alma namawiałaby mnie do zemsty, a co najgorsze, nie umiałaby zrozumieć, dlaczego do niej nie dążę. Twarz Serafina pamiętam jak przez mgłę, ale nie zapomniałam, do czego ci ludzie są zdolni.

– Do sedna – mówię.

– Pomóż mi uratować siostrę. Ona jest bardzo spokojna. Sama nie da sobie rady.

Właśnie tego się spodziewałam. Gdybym zdecydowała się wywlec przeszłość na światło dzienne, Alma próbowałaby mi wmówić, że mamy wspólny cel, że możemy upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: odbić jej siostrę i pomścić moją matkę. Tyle że to się nie wydarzy.

– A to nie są przypadkiem mafiozi, ludzie bez kręgosłupa moralnego i skrupułów?

– Są, ale już raz sobie poradziłyśmy – mówi pewnie.

– Tak? Niby kiedy? Podczas akcji z Sistem i tym drugim? Z tego, co pamiętam, zamarłam, a ty niemal zostałam zgwałcona, ale może pamięć mnie myli...

– Od kiedy jesteś taka rozsądna?! – Podrywa się z łóżka. – Widziałam, jakie cuda wyczyniasz tym swoim łańcuchem, jesteś silna, nawet w

beznadziejnych sytuacjach zachowujesz zimną krew, a teraz nagle się boisz?! – krzyczy, a potem siada na podłodze i zrezygnowana chowa twarz w dłoniach.

Być może chce zagrać na moich uczuciach, a może po prostu też poddała się racjonalnej stronie osobowości. Czasem dostrzega się słabe punkty planu, dopiero gdy wypowie się go na głos. Mam nadzieję, że tak właśnie jest w tym przypadku.

– Zawsze się boję – odpowiadam. – W sytuacjach zagrożenia analizuję i działam, ale nie jest to równoznaczne z tym, że strach jest mi obcy. Z własnej woli nie wpakuję się w sam środek jakiegoś mafijnego szamba, nawet jeśli moja decyzja miałaby się rzucić cieniem na naszą relację. Nie i już.

Celowo nie użyłam słowa „przyjaźń”. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że coś stoi między nami kołkiem.

Zaczynam rozumieć, w czym sęk, w momencie, w którym Alma postanawia się przebrać. Kiedy ściąga koszulkę, a moim oczom ukazują się pokryte bliznami plecy, wszystko staje się jasne. Dzielią nas tajemnice, rzeczy, których o sobie nie wiemy, te przemilczane bądź zatajone z rozmysłem. Dobrze się razem bawiłyśmy, przyznaję, ale żadna z białych ścieżek, które rozsypałyśmy, nie wiodła w głąb nas, nie sprawiła, że otworzyłyśmy przed sobą serca.

– No nic – odzywa się w końcu, podczas rozczesywania włosów. – Pozostaje mi wierzyć, że Spirito nie bez powodu wykluczył Serafina z interesów. Nie skusiła go nawet chęć zysku, a to w naszych kręgach rzadko spotykane. Może więc rzeczywiście planuje go zabić. Liczę, że tak, bo dzięki temu odzyskam siostrę.

Bommarito najpewniej ma podobne plany. Domyślam się, że odpuszczenie win nie wchodzi w grę. Ktoś będzie musiał zginąć. Przerażeniem napawa mnie myśl, że tym kimś okaże się Spirito. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym go ponownie utracić.

– Oby moja wiara nie była na wyrost – kontynuuje Alma. – Ród Beneventano od pokoleń naznaczony jest śmiercią. Zaprzysiężeni, śmiercią naznaczeni, po kres związani przysięgą.

Już to gdzieś słyszałam. Te same słowa, lub bardzo podobne, wypowiedział Spirito podczas wizyty w domu Alfreda La Mantide.

– Spokojnie, Spirito zmodyfikował słowa ślubowania – przypominam sobie.

– Zmienił tekst rodowego przyrzeczenia?! – Alma wydaje się naprawdę rozbawiona. – Przysięga wyznacza życiową ścieżkę. To trucizna przekazywana z pokolenia na pokolenie, z ojca na syna. Chciałabym się mylić, ale każdy wie, że śmierć od zawsze towarzyszyła ich rodzinie. Don Giorgio, teść Etny, który był przy narodzinach Spirito, opowiadał nam, że już wtedy ledwo wymknął się z jej zimnych macek. Po porodzie doszło do nagłego zatrzymania krążenia, a on zrobił się niemal przezroczysty. Kiedy spisali go na straty i nadali mu imię, jego serce zaczęło bić – opowiada z przejęciem. – Teraz, gdy się okazało, że jako jedyny przeżył egzekucję swojej rodziny, chodzą plotki, że właśnie wtedy zawarł pakt ze śmiercią.

– Czcze gadanie. – Macham lekceważąco ręką.

– Pewnie tak – potakuje Alma. – Co nie zmienia faktu, że starsze pokolenie naszej organizacji nadaje symbolice szczególne znaczenie. Diabeł planował sprezentować Spirito łuk, który zrobił, gdy byli nastolatkami. Wyszlifował wypalony na nim napis, zostawiając tylko część sentencji. Kiedy don Giorgio zobaczył łuk, kategorycznie odradził mu wręczenie go Spirito.

– Dlaczego?

Alma strapiiona przygryza wargę i ściąga z ubrania niewidoczne paprochy. Z jej postawy bije zawahanie. Mimo to kontynuuje:

– Pełny napis brzmiał: „Tak bardzo martwy. Tak bardzo żywy”. Teraz zostało wyłącznie to drugie, a śmierć, która towarzyszy Spirito od dnia narodzin, nie chce być wykluczona, nie znosi konkurencji.

– Ale banialuki – mówię pewnie, ale wątpliwość poklepuje mnie w ramię. – Zgadza się jednak, by nie wręczać mu tego łuku. Nieładne motto. Zresztą, tak jak powiedziałam, Spirito zmodyfikował tekst przysięgi, nie jest już naznaczony. Będzie dobrze. – Śmieję się nerwowo.

– Można wiedzieć, jak brzmi teraz?

– Zaprzysiężony, za życia skreślony... – Milknę, gdy dociera do mnie sens modyfikacji.

– Jedno lepsze od drugiego. – Krzywi się Alma. – Założyłam kolczyki. Ładnie mi w nich? – pyta, nie oczekując potwierdzenia, bo od razu dodaje: – Co by ci tu dać. – Postukuje się po brodzie, stając przed otwartą szafą. – Wiem!

Po chwili kładzie na łóżku kilka par spodni i wykonuje gest w stylu „tadaaam”.



– Te są z wysokim stanem, więc najlepiej, jakbyś je przymierzyła. Nie wiem, czy się dopniesz. Gdzie się podział twój sześciopak? – rzuca, trudno stwierdzić, czy żartobliwie.

Unoszę koszulkę. Faktem jest, że trochę sobie pofolgowałam. Jem za trzech, godzinami wyleguję się w wannie. Nie zapieprzam od rana do wieczora po Sycylii, a moje stawanie z życiem w szranki ogranicza się do odgarnięcia liści z tarasu i wybierania z zamkowej fontanny drobniaków, które wrzucają do niej pozostali domownicy.

– A może zamiast spodni miałybyś jakąś sukienkę?

– Dla kogo? Dla ciebie? – dziwi się. – Tak, jasne, wstań. – Taksuje mnie wzrokiem od góry do dołu, po czym wyjmuję z szafy dwie kiecki. – Nowe, nie oderwałam jeszcze metek. Bez ramiączek, z elastycznego materiału. Dla ciebie jak znalazł, podkreślą twoje kształty. Weź obie, żółtą i czarną. Rety, Zita w sukience – mówi jakby do siebie. – Zapakuję ci je do ładnej torebki, a potem pójdziemy coś zjeść.

Kwadrans później rozsiadamy się na tarasie. Okazuje się, że Alma robi najpyszniejsze tiramisu pod słońcem. W momencie w którym nakładam sobie kolejną porcję, do stolika podchodzi Spirito.

– Dzień dobry – zwraca się do Almy.

Uśmiecham się w duchu, że trafił mi się taki kulturalny egzemplarz. Almie aż odbiera mowę. A potem odbiera ją mnie, bo Spirito zawisa nade mną i pyta cicho:

– Długo jeszcze będziesz się opychać? Mam wrażenie, że dziś moim jedynym zajęciem jest czekanie. Zlituj się, kurwa.

Krztuszę się.

– Do widzenia – żegna się z Almą, po czym zbiega z tarasu. Od razu dopada do niego gość, na którego wpadłam wcześniej, prawdopodobnie mąż Almy. Ledwo zdąża zarzucić rękę na ramiona Spirito, a ten już przybiera minę cierpiętnika i ostentacyjnie masuje skronie. Jest na skraju wytrzymałości. Postanawiam dać mu fory.

Daję mu je nawet podczas podróży powrotnej do Syrakuz. W tym sensie, że po prostu się nie odzywam. Przeglądam zgromadzone w kasetce koraliki, porządkuję bigle do kolczyków i silikonowe zatyczki. Z każdą mijającą chwilą milczenie coraz bardziej mi ciąży, więc postanawiam uzewnętrznić się w inny sposób. Zataczam kółka stopą.

Spirito przygląda mi się podejrzliwie.

– Dlaczego jesteś taka cicha? Nie chcesz rozmawiać?

– Chciałam, żebyś sobie odpoczął – oznajmiam wspaniałomyślnie, po cichu licząc na to, że już się zregenerował, a moje męki dobiegną końca.

– Od ciebie? Nie jestem tobą zmęczony nawet, gdy mnie męczysz. Taki paradoks.

– To najpiękniejsze wyznanie miłości, jakie kiedykolwiek słyszałam! – Obejmuję go za głowę. – Jeśli przestałbyś tak bardzo napinać mięśnie karku, to mogłabym cię pocałować w skroń.

Spirito mamrocze coś w stylu „zaczyna się”, ale mimo to się rozluźnia i pochyla w moją stronę. Składam pocałunek nie tylko na jego skroni, ale też na uchu i szczęce. On to lubi. Lubi mieć ze mną bliski kontakt, co nie zmienia faktu, że sam nieszczególnie go inicjuje.

Odchylam się do tyłu z zamiarem sięgnięcia po bluzę, lecz szybko porzucam ten pomysł. Nagle przestało mi być zimno. Czuję wręcz uderzenie gorąca, gdy dostrzegam położony na kanapie łuk. *Spokojnie*, mityguję się w myślach. Nie jest powiedziane, że to ten, o którym rozmawiałam z Alną. Don Giorgio, czy jak mu tam było, kategorycznie ZABRONIŁ przecież wręczać go Spirito!

Biorę go do ręki.

– Podoba ci się? – pyta Spirito. – Diabeł podarował mi kawałek drewna z nadzieją, że przestanę być taki drewniany.

Przesuwam palcem po wypalonym na nim napisie, po czym otwieram okno. I już. Po kłopotcie. Wyjebany.

Dopiero po chwili do Spirito dociera to, czego był świadkiem, i hamuje z piskiem opon. Patrzy na mnie tak, jakby sądził, że zaprezentowałam mu magiczną sztuczkę. Zerka nawet na kanapę, a gdy ma wreszcie pewność, że prezent był, ale się zmył, wyskakuje z auta.

Dołączam do niego w momencie, w którym podnosi łuk ze zwirowiska.

– Masz szczęście, że się nie połamał. – Niemal z namaszczeniem ociera go z kurzu.

Chcę mu go wyrwać z ręki, ale okazuje się, że dałam się zwieść jego chorobliwej bladości. Spirito nie jest słabowity, ospały ani flegmatyczny. Jest wyłącznie wściekły.

– Opanuj się – syczy przez zęby – albo...

– Albo co?

– Chciałem ci zagrozić, że cię tu zostawię, ale wiadomo, że bym tego nie zrobił, więc... – robi głęboki wdech – po prostu się opanuj. – Z powrotem odkłada łuk na kanapę, zatrzaskuje drzwi i opiera się o bok samochodu.

Wyciąga do mnie ręce, a to nie lada zaskoczenie. Chyba właśnie zdziwienie sprawia, że nie reaguję na ten gest. Stoję jak zamurowana. W efekcie Spirito wsadza dłonie w kieszenie spodni i przygląda mi się wnikliwie.

– Ten łuk ma upiorną aurę – wyjaśniam, bo chyba tego oczekuje.

– To wiele tłumaczy – parska.

– Śmierć chce cię mieć tylko dla siebie. Nie sugeruj jej, że jesteś bardziej żywy niż martwy. Jeśli masz z nią pakt, a takie chodzą słuchy, to miej go sobie dalej. – Nie wierzę, że to mówię. – Ona może odebrać ci życie. Nie wiem, z zazdrości?

Spirito coraz wyżej unosi brwi.

– Takie mądrości wyniosłaś ze spotkania z Alną? A podobno już nie ćpa.

– Pociera szczękę. – Ale dobra, podążajmy dalej tym pokreconym torem. Możliwe, że jeszcze się nie zorientowałaś, więc wyznam ci, że już dawno wymieniałem się ze Śmiercią oddechami. W mojej rzeczywistości Śmierć kocha Życie. Tego się trzymajmy.

Trudno stwierdzić, co przez to rozumie, gdzie w tym logika. Nie wnikam. Nie robię tego, bo chwyta za szlufki moich szortów i przyciąga mnie do siebie. Wiedziałam, że podejmie kolejną próbę. To była kwestia czasu. Zaświtała mu w głowie ta myśl, więc musiał przekuć ją w czyn. Inaczej nie mógłby zasnąć.

Kiedy stajemy twarzą w twarz, waha się, czy przygarnąć mnie w ramiona.

– Twoja decyzja. Nie namawiam, żeby potem nie było, że nie uprzedzałem lub nie sugerowałem zachowania dystansu – oznajmia, a kiedy się w niego wtulam, dodaje: – Nie moja wina, że chcesz.

Śmieję się w duchu, a on wzdycha i przyciska moją głowę do swojej piersi. Wolałabym, żeby przycisnął moje usta do swoich, więc odsuwam się nieznacznie, by spojrzeć mu w oczy, a wtedy nie dość, że mnie nie całuje, to dodatkowo zadaje psujące atmosferę pytanie:

– Alna mówiła jeszcze coś ciekawego?

– Tak, że nie może rozczesać kudłów – zbywam go i staję na palcach. Robię dzióbek. Czytelne, a zarazem, ekhm, subtelne zagranie, które... nie przynosi upragnionych skutków. – Jezu, dobraaa – jęczę sfrustrowana. – Możemy wymienić się informacjami. Ty zdradzisz coś mnie, a ja tobie.

– Nie mam dla ciebie żadnych wieści. – Spirito wzrusza ramionami. – Bo zapewne masz na myśli konkrety. Informacja dotycząca temperatury, jaka panuje dziś w cieniu, jak sądzę, cię nie zadowoli?

– Mogę ci zdradzić ciekawostkę dotyczącą Serafina Bommarito – mówię wprost. – To coś ważnego.

Na twarzy Spirito widoczne jest zainteresowanie. To niedopowiedzenie. Za każdym razem, gdy w rozmowie pada to nazwisko, wygląda, jakby gotował się w środku.

– Naprawdę muszę ci przypominać, że wyznanie mi, czego się dowiedziałaś, leży w naszym wspólnym interesie?

– Jak wszystko, co dotyczy mnie i ciebie.

Coś się zmienia, gdy te słowa opuszczają moje usta. Coś w spojrzeniu Spirito. Być może dotarło do niego, że droga, którą obrał, prowadzi donikąd. Co ciekawe, nie dostrzegam w jego oczach paniki. Raczej rezygnację, może nawet smutek.

– W porządku – mówi po chwili, po czym obejmuje moją twarz dłońmi. Kciukiem dotyka blizny, którą mam na wardze. – Jeśli bardzo chcesz, to mogę cię pocałować – oznajmia łaskawie, mimo że gołym okiem widać, że sam o niczym innym nie marzy. Chce, żeby moje usta należały do niego, choćby miał to być pierwszy, nie licząc naszego nieporadnego pocałunku, podczas którego mnie ugryzł, a zarazem ostatni raz, bo... chyba zdecydował się wyznać mi prawdę. Wyzna mi ją, pomimo absurdalnego przekonania, że przez to mnie straci.

Kiedy wreszcie nasze usta się łączą, całuje mnie niespiesznie. W pocałunku tym zawarte są słowa, które jeszcze nie padły, nieme przeprosiny, tak potężna, wręcz przytłaczająca, dawka uczucia, że aż zaczyna brakować mi tchu.

Przesuwam dłonią po jego szorstkim policzku.

– Zacznę od tego, że... – mówi Spirito, lecz w tej samej chwili rozdzwania się telefon, który zostawił w aucie. – Powiem ci po drodze – rzuca w pośpiechu, po czym okrąża samochód. – Wsiadasz? – dodaje, ponieważ nie ruszam się z miejsca.

Nagle zachowuje się tak, jakby spadł mu z barków wielki ciężar, a przecież nadal jesteśmy w tym samym punkcie. Kręcę głową z niedowierzaniem, ale wreszcie zajmuję fotel pasażera.

Spirito oddzwania. Kiedy we wnętrzu rozlega się dźwięk wybierania numeru, on wypala:

– Masz miękkie usta. Przyjemne w dotyku.

– Eee, dzięki?

– No halo! Mamy gości przed domem – dobiega do nas z głośnika. – Zajęli całą ulicę i ciągle dojeżdżają kolejne auta.

– To ludzie Serafina?

– Nie, wtedy bym nawet nie dzwonił. Wiemy, co z nimi robić. To ekipa rodziny Selvaggio. Niejaki Bernardo poinformował mnie, że będziesz wiedział, co jest powodem wizyty.

Spirito przerywa połączenie i wybiera kolejny numer. Na ekranie wyświetla się imię „Efesto”.

– A więc gdzie mieszkasz? Zaprosisz mnie do siebie? – dopytuję w międzyczasie.

– Słyszałaś przecież. W domu. – Krótka. Zwięźle. Nie do końca na temat. – Masz pięć minut, żeby zabrać swoich ludzi – mówi spokojnie, gdy Efesto odbiera. – Chyba że wolisz zbierać trupy.

– Daruj sobie przesadny dramatyzm. Nie wołę. Szczerze mówiąc, jesteś jednym znanym mi człowiekiem, który fatyguje się po to, co już leży. Ale nie o tym ta rozmowa. Uprzedzałem, że masz się mnie spodziewać. Nigdy – akcentuje – nie rzucam słów na wiatr.

– Trzy i pół minuty. Tyle ci zostało.

– Moi ludzie są do twojej dyspozycji. Oddaję ci przysługę. Nie musisz mi dziękować. Dzięki tobie mam przecież na karku kleptomanę i w chuj siwych włosów. Myślałeś, że się nie odwdzięczę?

– Powiedziałem ci, czego chcę, skontaktuj się z Arturo. Nie uszczęśliwiaj mnie na siłę – syczy. – Wypad, kurwa!

– Serafino robi czystki. Arturo już leży przed moją furtką. Możesz zmienić trasę i go sobie zabrać. Chodzą słuchy, że zwłoki mówią, więc może wyśpiewa ci to, co pragniesz usłyszeć. Ja akurat nie wierzę w takie cuda, a ty?

Spirito spogląda na mnie nerwowo. Domyślam się, do czego pije mąż Etny. Wiem już, co znaczą słowa, które Luigi wypowiedział podczas przyjmowania mnie do zakładu. Dlaczego zasugerował wtedy, że moją ostatnią deską ratunku, w razie jakbym nie była spolegliwa, jest gość zajmujący się zwłokami. Wzdrygam się na wspomnienie wizyty w zamkowych podziemiach.

– Posłuchaj... – Spirito sili się, by zachować spokojny ton, ale nie jest dane mu dokończyć.

– Moi ludzie widzieli sługusów Diabła wokół twojej rezydencji. On też jest ci coś dłużny?

– Wypierdalajcie stamtąd. – Nabiera powietrza. Wygląda, jakby był na skraju wytrzymałości. – Doceniam ten zbędny gest, ale nie możecie zostać na moim terenie, bo mieszka tam... – Wysiada z auta, po czym zwraca się do mnie podejrzanie miło: – Nie musisz słuchać tej prostackiej rozmowy. Już wcześniej powinienem był wysiąść. – Zamyka drzwi, żeby uniemożliwić mi podsłuchiwanie.

Uchylam okno.

– Teraz, gdy słyszała naszą rozmowę i zobaczy twoich ludzi przed domem, od razu połączy fakty! Rób, co każe, albo jedyne, co ci się uda, to... – Odsuwa telefon od ucha i z niedowierzaniem patrzy na ekran, a potem unosi głowę. Zauważa, że mu się przyglądam, więc uśmiecha się szeroko. Unosi nawet kciuk, wmawiając być może nawet samemu sobie, że wszystko ma pod kontrolą. Wraca, więc unoszę szybę.

– Jak tam? W porządku? – pytam, gdy zajmuje miejsce.

– Nie. Tak. Jak zwykle.

– Nadal jesteś chętny, żeby wymienić się informacjami? Zaczynij pierwszy. Ocenię, czy ta nowina ma dla mnie wartość. Jeśli tak, przysięgam, że się zrewanżuję.

– Absurd, ale mam już dość – oznajmia i zbacza z trasy. – Zabiorę cię nad morze, na plażę.

Podoba mi się ten pomysł. Dawno nie wylegiwałam się na piasku, a w takim towarzystwie jeszcze nigdy.

– Podobno nie lubisz tłumów.

– Dziką. Tylko ty i ja. Tak, jak pierwotnie zakładaliśmy.

– Ja nadal tak zakładam – stwierdzam zgodnie z prawdą, a on się krzywi.

– Lubię kąpiele w morzu. Niestety nie mam na sobie stroju kąpielowego, chociaż to akurat nie problem. – Wzruszam ramionami. – Większym wydaje się to, że nie umiem pływać.

– Nie mów.

– Nie wiedziałaś? – rzucam zdziwiona.

– Najwidoczniej nie skupiam się na tobie tak obsesyjnie, jak mogłoby się wydawać.

– Trochę żałuję, że się nie nauczyłam.

– Faktycznie szkoda.

## ROZDZIAŁ 26

### *Zita*

Pół godziny później wciąż jesteśmy w trasie. Nie mam pojęcia, dokąd on planuje mnie wywieźć, ale chyba rzeczywiście na jakieś odludzie. Niby odrzucam myśl, że będzie chciał mnie utopić – jest przecież absurdalna, ale... nie końca nieuzasadniona. Spirito WIE, że nie umiem pływać. Nie wierzę w te jego zdawkowe półsłówka i udawane współczucie.

Kiedy krajobraz zaczyna się zmieniać i wjeżdżamy na stromą ścieżkę wiodącą między skałami, pytam:

– Masz jakiś koc lub ręcznik? Dużo tutaj kamieni. – Patrę na rozpościerający się przed nami widok. Plaża nie zachwyca, ale faktycznie ma inne walory: nikogo na niej nie ma. Tylko czy to aby na pewno zaleta?

– A jak myślisz? Nigdy nie spędzam w ten sposób czasu. Mam w bagażniku folię. Możesz ją wykorzystać. Zresztą, naprawdę zamierzasz się tu wylegiwać? – pyta tonem sugerującym, że to niedorzeczność, po czym otwiera drzwi samochodu.

Do moich uszu dociera dudnienie muzyki.

– Chyba jednak nie tylko ty znasz to miejsce – rzucam ze śmiechem.

– Wszyscy miejscowi je znają. Jesteśmy na obrzeżach Syrakuz. Nie powiedziałem, że nikt go nie zna – odpowiada pokątnie, wysiada, a potem otwiera bagażnik. Dołączam do niego i sięgam po złożoną w kwadrat folię, o której wspominał.

– Nada się, jest dość gruba. Co za różnica: folia czy koc. – Wzruszam ramionami. – Wezmę też butelkę wody. Albo dwie. – Wyciągam je ze zgrzewki. – Można trzy?

Spirito wzdycha cicho, a potem chwyta mnie za rękę i prowadzi w kierunku wybrzeża obfitującego w liczne grotty. W oddali dostrzegam pasmo złocistej plaży, na której kilkusobowe towarzystwo urządziło sobie małe party, więc o prywatności możemy wyłącznie pomarzyć. Tymczasem właśnie tam zmierzamy.

– Piasek jest zbędny. Proponuję wspiać się na półkę skalną – odzywam się. – Poopalamy się i porozmawiamy.

– Prędeż roztrzaskasz sobie głowę lub pokaleczysz stopy. Nie.

– Obawiam się, że dołączenie do tych plażowiczów to gwarantowane kłopoty – oznajmiam, słysząc pijackie okrzyki.

– Obiecuje, że nie zrobię nikomu krzywdy. – Spirito kładzie rękę na piersi, uświadamiając mi, że traktuje to zobowiązanie bardzo poważnie, tyle że zrozumiał mnie na opak. Nie martwię się o ich bezpieczeństwo, lecz o nasze!

Odruchowo sprawdzam, czy mam w kieszeni różaniec, a kiedy wreszcie dochodzimy na plażę, Spirito przejmuje ode mnie folię i rozkłada ją przesadnie blisko głośnego towarzystwa. Po pierwsze, wydaje się to wielce nierozsądne, bo mamy ich za plecami, a po drugie, owszem, jest to folia, ale z błyskawicznym zamkiem...

– Eee – zaczynam, bo coraz częściej brakuje mi słów. – Jakaś wąska ta folia. – Siadam na niej.

– Zdecydowanie jednoosobowa – mówi Spirito i zajmuje miejsce obok, na piasku.

– Czy to jest, no wiesz...

– Worek na zwłoki? Tak. Co za różnica: folia czy koc? – Przytacza słowa, które wypowiedziałam wcześniej, a potem ściąga koszulkę i... zarzuca rękę na moje ramię.

Wstrzymuję oddech. Niby nic wielkiego, teoretycznie zwyczajny gest, nieraz przecież byłam obejmowana, ale gdy robi to on, gdy czuję bijące od niego ciepło, mam wrażenie, jakbym oberwała czymś ciężkim w głowę. Możliwe, że w istocie tak właśnie się stało, a nawet powiem więcej, możliwe, że ogłuchłam. Jak inaczej wytłumaczyć to, że nagle zrobiło się tak cicho?

Oglądam się za siebie.

– Zemdlałam na chwilę czy co się wydarzyło? – pytam najzupełniej poważnie, bo nikogo za nami nie ma. Jesteśmy sami. – Dlaczego tamci ludzie się zawinęli, gdy tylko ściągnęłaś koszulkę?

– Skąd mam wiedzieć? Nie czytam przecież w myślach innych ludzi – oznajmiam, a ja biorę w palce medalik przyczepiony do jego łańcuszka i dla porównania przykładam do niego ten, który mam przy różańcu. Są identyczne. Spirito, jakby wyczuwając, że na końcu języka formują mi się pytania, rozpina spodnie i posyła mi ponaglące spojrzenie. – Zamierzasz się kąpać w ubraniach?

– Wcale nie mam tego w planach – przyznaję. – Albo dobra, wejdę do kolan – dodaję, bo podoba mi się wizja spędzenia razem czasu. To, że



wyszedł z taką inicjatywą, dobrze wróży. – Porozmawiamy najpierw? Wymienimy się tymi informacjami?

– W wodzie.

Nie rozumiem, dlaczego okoliczności wyznania mi prawdy są dla niego tak istotne. Jakie znaczenie ma, czy porozmawiamy, będąc w wodzie, czy na ładzie? Rozbieram się, po czym staję przed nim i czekam, aż ściągnie wreszcie spodnie, ale chyba z rozmysłem się ociąga.

– Mało seksowna bielizna, co? – zagajam, poprawiając na piersiach sportowy stanik. W porównaniu ze Spirito, z jego prezencją, wysportowaną sylwetką, ogólnie wydaję się sobie mało seksowna. Dotykam swojego pośladka. I... miękka.

– Bez różnicy. Idź już, zaraz do ciebie dołączę.

– Pomóc ci ściągnąć spodnie czy o co chodzi? – pytam, widząc, że jedną z nogawek wciąż ma przy kostce i nie wydaje się chętny, by się z niej wyswobodzić. – Z czym masz problem?

– Z niczym – warczy, a potem mamrocze pod nosem słowa, których nie jestem w stanie zrozumieć. Z każdą chwilą sprawia wrażenie coraz bardziej sfrustrowanego. Kiedy wreszcie pozbywa się spodni, w pierwszym odruchu żałuję, że go nie posłuchałam i nie poszłam przodem. – To nic takiego. – Wskazuje na swoją kostkę, która, cóż, nie wygląda dobrze. Inaczej niż druga. Ma mniejszy obwód. Trochę tak, jakby kość była osłonięta wyłącznie skórą. – Wynik niewielkiego zapalenia. Fragmenty martwiczo zmienionych tkanek zostały usunięte. Nic wielkiego. A już na pewno nie na tyle, żebyś patrzyła na mnie w taki sposób.

– Niby w jaki?

– Ze współczuciem. Tak, jakbyś chciała mi złożyć w ofierze swoją stopę. Opanuj się, bo zaczniesz mi działać na nerwy.

– Czyli miałaś jakieś obtarcie, którego w porę nie wyleczyłaś? – udaję, że nie potrafię połączyć faktów, a on zgarnia różaniec, który zostawiłam na folii, a następnie wstaje i wsadza mi go do ręki.

– Schowaj, żebyś go nie zgubiła – rzuca bez emocji i rusza przed siebie.

Nigdy nie pomyślałabym, że trzymając łańcuch w dłoni, poczuję coś innego niż bezpieczeństwo. Towarzyszy mi on od lat. Jestem mu poniekąd oddana. Teraz jednak ma to miejsce, bo odczuwam złość i niemoc. TERAZ. MNIE. PARZY.

Odczepiam od różańca zawieszki, odkładam je na „koc” i podążam za Spirito. Chyba już wiem, dlaczego zostaliśmy na plaży sami. Litera „S” ma

w tych rejonach najwidoczniej większe znaczenie, niż przypuszczałam. Tej, którą Spirito ma wytatuowaną na plecach, nie sposób przegapić.

– Masz manię wielkości czy co?! – krzyczę za nim, lecz nawet się nie odwraca. Zupełnie nie interesuje go to, co się dzieje za jego plecami. Może i lepiej, bo umknie mu wbrew pozorom przejmująca dla mnie chwila. Jestem gotowa rozstać się z łańcuchem, wyrzucić go w morskie głębiny. Robię szeroki zamach i...

– Kurwa – syczy Spirito, bo jak się okazało, owszem uskuteczniłam zamach, ale na jego życie. – Chcesz mnie zabić?! – Odwraca się, pocierając tył głowy, miejsce, w które niezamierzenie oberwał, a potem burzy ręką fale, próbując wyłowić mój różaniec. Miota się na wszystkie strony, a na jego twarzy odmalowuje się coraz większe niedowierzanie.

– Podobno już nie żyjesz, więc, w czym problem? Ale i przepraszam – dodaję.

– Nie czuję się tak bardzo martwy. W sensie trochę ożyłem. – Na moment przyciska palce do powiek. – Nie da się przy tobie w spokoju zdechnąć – warczy, kontynuując poszukiwania, lecz po chwili koncentruje na mnie uwagę na dłużej. – Wyjdź na razie z wody. Zamierzam zanurkować i poszukać tego łańcucha. Nie dam rady pilnować ciebie i szukać jednocześnie. – Dlaczego go wyrzuciłaś? – Patrzy na mnie ze złością.

– Poczulałam, że nie jest mi już potrzebny.

– Tobie może i nie, ale mnie tak. Nie mogę uwierzyć, że się go pozbyłaś. Nigdy go nie znajdę. – Zaciska palce na włosach niczym największy histeryk.

– Wolę ramię, na którym mogę się czasem oprzeć, niż kawałek metalu.

– Czyje? Moje? Dobra, dość. – Marszczy brwi. – Włóż. Od razu na głęboką wodę, nie ma co się bawić w półśrodki. Wymienimy się informacjami, a potem każde z nas pójdzie w swoją... – Potrząsa głową. Możliwe, że oberwał w nią zbyt mocno. – Nie, to się nie uda – nawija jakby do siebie. – Pójdziemy w tę samą stronę. Nie widzę innego wyjścia. – Wystawia rękę, za którą go chwytam.

Coraz bardziej oddalamy się od lądu. Woda sięga mi już do pasa, co w moim przypadku wydaje się optymalną głębokością.

– Możesz zacząć – mówię, a Spirito na mnie spogląda.

– Przecież woda nie sięga ci nawet do piersi.

– Bo stąпам na palcach. Wyobrażenie tego, co znajduje się na dnie, trochę mnie obrzydza. Zaczynam też odczuwać niepokój.

– Zaraz nie będziesz mieć dna pod stopami – mówi ot tak. Mistrz pocieszenia.

– Czyli będę zdana na ciebie. O to ci chodzi? – pytam, a on drapie się po głowie.

– Gdy tak to przedstawiasz, zaczynam ci współczuć. Może to w ten sposób wyglądać, ale nie taki przyświecał mi cel. Założeniem mojego planu jest uniemożliwienie ci ucieczki, a wręcz zupełne jej wykluczenie.

– Romantycznie – ironizuję, a po chwili wskakuję na niego i oplatom go nogami. – Wolę uwiesić się na tobie, zanim na dobre spanikuję – tłumaczę, bo zdębiał.

Spirito kładzie rękę na mojej klatce piersiowej. Nie wiem, co myśli, że tym osiągnie. Jeśli uważa, że jego dotyk przynosi mi ukojenie i uspokaja, to jest w ogromnym błędzie. Dopiero teraz serce zaczyna łomotać mi w piersi. To ten moment, w którym uświadamiam sobie, że nigdy nie byliśmy tak blisko. Kiedy obejmuje mnie ręką w pasie i patrzy mi prosto w oczy, odczuwam dreszcz podniecenia. Skupiam uwagę na kropelkach wody, które uformowały mu się rzęsach, bo przytłacza mnie ciężar jego spojrzenia, a wtedy on mówi:

– Myślę, że istnieje prawdopodobieństwo, że to ja zabiłem tego kutasa, z którym mieszkałaś. Pana Tocco. W sensie możliwe, że nie tylko go udusiłem, ale też wypatroszyłem. Nie pamiętam tego momentu, więc trudno stwierdzić, ale mam nadzieję, że tak właśnie było. – Poprawia mnie sobie na biodrze. – Teraz ty.

– Ale miałeś mi zdradzić coś, czego nie wiem – oponuję. – Tego akurat zdążyłam się już domyślić. Mów dalej.

– To wszystko. Kamień z serca, że się tak wyrażę.

Patrzę na niego z niedowierzaniem. To aż niepojęte, że tak się miga. Niby ma dość, niby sytuacja, w której się znalazł, którą zresztą sam stworzył, jest absurdalna, a mimo to nadal pogrąża się w absurdzie. Nie pomogło nawet zaciągnięcie mnie na głęboką wodę, by uniemożliwić mi ucieczkę. Okoliczności nie mają znaczenia. On po prostu nie potrafi się przemóc.

– A, i ten podwodny szlam też mnie obrzydza – dodaje jeszcze, po czym wstrzymuje oddech, obejmując dłonią mój pośladek. Co za dzikus. – Nie myliłaś się, mówiąc, że gość, który zajmuje jeden z zamkowych pokoi, ma do ciebie słabość. Działasz na niego. – Przytrzymuje mnie mocniej, bo obmywa nas fala.

– Jak bardzo? – mówię cicho.

– Dlaczego o to pytasz?! – rzuca z pretensją Spirito. – Nie jesteś ciekawa, skąd to wiem, jak wysnułem takie wnioski?

– Jezu – sapię. – Zdążyłam już sobie wyobrazić, że odpowiadasz: „Zaraz ci pokażę jak bardzo”, a nawet, że uprawiamy seks w morzu, a ty...

– W morzu?! – wchodzi mi w słowo i potrząsa ramionami, jakby przeszedł go dreszcz obrzydzenia, a na jego skórze pojawia się gęsia skórka. – W towarzystwie bakterii, pasożytów i innych paskudztw? Ja się pilnuję, ale ty na bank opiłась się już tej wody. Masz jakieś rany lub skaleczenia? Oby nie, bo infekcja murowana. A później sepsa i śmierć.

Krzywię się. Zanim się odezwał, byłam podniecona, bo rety, marzę o tym, żeby doświadczyć bycia z nim na każdej płaszczyźnie, teraz jednak nie odczuwam niczego poza wrażeniem, że coś na mnie pasożytuje. Fuj.

– Wszystko mnie przez ciebie swędzi. – Drapię się po ręce. – Nie możesz w jednej chwili mówić, że na ciebie działałam, a w drugiej sugerować, że złapiemy jakiegoś grzyba. To wyobrażenie jest tak paskudne, że straciłam ochotę nie tylko na seks w wodzie, ale też na piasku – informuję, a Spirito patrzy na mnie z niezrozumieniem, więc od razu tłumaczę: – Brałam pod uwagę obie możliwości.

– Na piasku to już w ogóle odpada – odpowiada i znów się wzdryga. – Zresztą – mruży oczy – nie powiedziałem, że działasz na mnie, lecz na tego doktora. To znaczy na mnie też, bo to ja nim jestem. – Zaciska powieki w oczekiwaniu na moją reakcję, być może spoliczkowanie.

Nietrudno się domyślić, że zmienił taktykę. Wplata informacje, które mu ciążyą, w skuteczną od kwadransa gadkę o niczym, próbując nadać im lekki ton. Przestał nawet oczekiwać rewanzu.

– Coś czuję, że zanim wszystko z siebie wyrzucisz, zsinieją mi wargi i nabawię się zapalenia płuc.

Spirito otwiera oczy i „troskliwie” zatyka mi usta dłonią, stawiając na najmniej romantyczny sposób ich ogrzania.

– Ciepłej? – pyta poważnie, a ja parskam w jego rękę. – Dobra, będę się streszczał, bo w sumie, o czym tu rozprawiać. Nie jesteś zaskoczona tym, co do tej pory wyznałem. Być może wiesz nawet, że Ugo, Tafari i Luigi to teraz moja rodzina, a Wyznawcy należą do nas. – Śledzi wzrokiem moją twarz, więc kiwam głową w potwierdzeniu. – Tego pierwszego poznałem w... – zacina się. – Mieszkaliśmy obok siebie w takiej – nabiera powietrza – w takim miejscu, w którym... – Zabiera dłoń z moich ust i nie kończy. –

Tafariego poznałem, gdy szukałem ciebie. Wyświadczyłem mu przysługę, którą po latach mi oddał. Luigi jest synem mojego nauczyciela. Miałaś rację. To właśnie w jego towarzystwie pojawili się państwo Tocco, gdy zabierali cię z przytułku. Pracowałem dla Bandettiego. Nie chcę się wdawać w szczegóły. W każdym razie załatwił ci dom.

Przyciskam rękę do jego torsu, gdy wyczuwam, jak wali mu serce.

– Pracowałeś dla niego w zamian za dom dla mnie?

– Dlaczego powiedziałaś to z taką wdzięcznością? Nie idź tą drogą – złości się. – Całe zło, które cię spotkało, to moja zasługa.

– Do wyboru miałaś umieszczenie mnie w domu, w którym z założenia miałam być bezpieczna, lub pozostawienie mnie na pastwę losu, ryzykując, że dopadnie mnie rodzina Bommarito. Dobrze rozumiem?

– Źle. Była też trzecia opcja. Mogłem pokładać wiarę w tobie. Uwierzyć, że poradzisz sobie bez mojej ingerencji. Na pewno ktoś by ci pomógł. Nie pozornie, tak, jak zrobiłem to ja.

– Jasne. Było tylu chętnych, którzy zainteresowali się moim losem, tym, czemu codziennie przesiaduję na dworcu i grzebię w śmietnikach, że aż nie wiedziałam, kogo wybrać. Przepędzono mnie nawet z kościoła! Wiesz, jak bardzo degradujący jest taki tryb życia? Z czasem wpadłam w pewną rutynę, stłumiłam tęsknotę, wiedziałam, któredy chodzić, a które rejony omijać, gdzie znaleźć coś do jedzenia, a jednocześnie nie potrafiłam poradzić sobie z czymś tak błahym jak wszy. Nie myłam włosów, bo w jakimś pokrętnym rozumowaniu, wmówiłam sobie, że zmyję z nich ślad ręki matki, która przy każdej okazji głaskała mnie po głowie.

– Zapewniłem ci złe życie. – A ten dalej swoje.

– Może i złe, ale i tak lepsze, niż miałam. Wciąż uważam, że w gruncie rzeczy zawsze mi pomagałeś, a nie szkodziłeś. Chciałeś mojego dobra. Tak to widzę. Jeśli ty inaczej, to masz problem, gościu. – Szczękam zębami. – Wychodzimy – zarządzam. – Albo mnie rozgrzej.

– W jakim sensie?

– Najlepiej w seksownym. – Uśmiecham się do niego sugestywnie, lecz znów ma minę, jakby połknął język. – Teraz cię dotknę – oznajmiam, licząc, że odniesie się do mojego pomysłu, ale chyba naprawdę zaniemówił. – Włożę rękę w twoje bokserki. – Robię, co powiedziałam, i przesuwam dłonią po jego męskości. – Będzie nam razem dobrze. – Nie umyka mi, że zaciska powieki, mięśnie szczęki, że cały jest spięty. Tulę się policzkiem do

jego twarzy, nie przestając go dotykać. Odchylam majtki, gotowa oddać mu się cała i szepczę mu do ucha: – Wiesz, że od zawsze byłam twoja...

W tej samej chwili jest po zawodach. Mało tego, w razie jakby mi to umknęło, Spirito postanawia mnie jeszcze o tym poinformować:

– Już.

A potem... drepcze w stronę brzegu. Wprawdzie jestem na nim uwieszona jak koala, ale gdy robi się płytko, od razu rozplata moje ręce.

– Nie zamierzasz się zrewanżować? – pytam wprost. – Było mi miło, ale mogłoby być bardziej. Wiesz, co mam na myśli. Też mógłbyś mnie podotykać.

– Poważnie? – Kręci głową z niedowierzaniem. – Chyba nigdy nie usłyszałem równie niestosownego pytania. Gdybym się teraz zrewanżował – kładzie nacisk na ostatnie słowo – mogłabyś pomyśleć, że robię to tylko dlatego, że zwróciłaś mi uwagę, a nie, że faktycznie mam na to ochotę. Zrobiłoby się niezręcznie.

– O to się nie martw. W mojej ocenie już jest niezręcznie.

– Wolałbym, żebyś sobie wszystko na spokojnie przemyślała. Nie bez powodu nie jestem nachalny. Niektórych decyzji nie da się cofnąć. Odnoszę wrażenie, że nie dotarło do ciebie to, co ci wyznałem.

– Dotarło. Jeśli będziesz chciał jeszcze czymś się ze mną podzielić, to śmiało. Nie mówię, że teraz. Kiedy poczujesz potrzebę, wiedz, że jestem. I spoko, ja jestem nachalna za nas dwoje. – Uśmiecham się do niego, ale bez wzajemności. – Więc jak będzie z tym rewanzem?

## ROZDZIAŁ 27

### *Spirito*

Czy ona musi być taka bezpośrednia? Myślałem, że największą przeszkodą na drodze ku wspólnej przyszłości będzie nasza przeszłość, tymczasem ta nie zrobiła na Zicie wrażenia. Nie wydawała się niczym zaskoczona, nawet nie interesowało ją, na czym polegała moja praca u Bandettiego. Możliwe więc, że traktuje złożoną przed laty obietnicę bardzo poważnie lub że któremuś z braci rozwiązał się język. A może dostrzegła we mnie jakieś, kurwa, zalety i postanowiła trwać u mego boku bez względu na okoliczności? Może rozumie mnie jak nikt inny i wie, że niektórych rozdziałów z życia lepiej nie czytać na głos.

Tak czy siak, rozwiązując jeden problem, wygenerowałem kolejny. I jestem nim ja.

Nie przypuszczałem, że będziemy tacy niedopasowani, że wizja seksu z Zitą będzie mi się jawić jak największa tortura. Dotknąłem jej pośladka. Tyle wystarczyło, żebym cały zeszytniał i stracił oddech, bo to przecież nie byle jaki kawałek tyłka. To pośladek MOJEJ ZITY.

Dawniej musiałem wizualizować sobie Zitę. Teraz, gdy jestem z nią, muszę wyobrażać sobie inne, niepociągające mnie kobiety, a także brudną wannę – bo to akurat wyjątkowo mnie obrzydza – byle tylko przeciągnąć w czasie to, co i tak nadchodzi zbyt szybko. W tym przypadku zaciskanie zębów i powiek na niewiele się zdaje. Zita mnie przytłacza. Czuję, że jest blisko, że jest gotowa oddać mi swoje serce. Dlatego właśnie nie wytrzymuję ciśnienia. To plus fakt, że sam darzę ją jakimś tam uczuciem. Chyba miłością, skoro czuję TO do niej od zawsze.

Kiedy podjeżdżamy przed dom, okazuje się, że Efesto zna nie tylko definicję słowa „parobek”, ale wie także, co oznacza mało wyszukane „wypierdalać”. Nigdzie nie dostrzegam jego ludzi, podobnie jak sługusów Diabła.

– Można wiedzieć, jak zarobiłeś na taką posiadłość? – Zita rozgląda się po okolicy, gdy wjeżdżamy na wzgórze.

– Domyśl się. Wychodzi ci to przecież lepiej niż innym – odpowiadam i kręcę głową z niedowierzaniem, bo stojący na tarasie Tafari wypruwa w

długą, kiedy tylko nasze spojrzenia się krzyżują. – On ci wszystko wyśpiewał? – zwracam się do Zity, wskazując na oddalającego się Boaha.

Zita wpatruje się w jeden punkt. Zgrywa zamyśloną, by uniknąć odpowiedzi. Nie ma zamiaru mnie okłamywać, ale też chce pozostać lojalna wobec tego głąba.

– Wiem, gdzie jest Serafino – wypala, zmieniając temat. – Niezły news, co? – Uśmiecha się do mnie i cóż, podzielim jej radość, zwłaszcza w obliczu takiej informacji.

– Gdzie?

– Z siostrą Almy – odpowiada, pakując do worka swoje manatki. – Rozumiem, że to całe kontrolowanie mnie przez funkcjonariusza z zakładu możemy oficjalnie włożyć między bajki? Nie grozi mi powrót do kicia? A, i jeszcze jedno – zapewne najważniejsze, bo unosi palec – mogę dziś spać u ciebie?

– A gdzie jest siostra Almy? – dopytuję.

– Tego to akurat nie wiem.

– Czyli ewentualnie wiesz jedynie, z kim jest Serafino, a nie gdzie. Zauważasz różnicę? – pytam, na co Zita wzrusza ramionami. – To jest ta bardzo ważna ciekawostka dotycząca Serafina, o której wcześniej wspominałaś?

Faktycznie news dnia. Warto było się uzewnętrznic, żeby pozyskać tak cenną informację.

– Alma chciała, żebym pomogła jej odbić siostrę z jego rąk. Mogę się z nią skontaktować, powie mi, gdzie dziewczyna się znajduje, a wtedy...

– Nie fatyguj się. Serafino na pewno nie spędza z nią czasu, bo i po co? Tym bardziej nie zwierza się jej, dokąd się wybiera i w jakim celu. Zgodziłaś się pomóc Almie?

– Nie, ale odczuwam w związku z tym wewnętrzny dyskomfort. Moje serce i rozum toczą ze sobą walkę. W każdym razie Alma liczy na to, że zabijesz Serafina, a wtedy jej siostra wróci do domu.

Parskam śmiechem.

– Nie pojmuję związku przyczynowo-skutkowego w tej historii – tłumaczę, bo Zita patrzy na mnie pytająco. – Siostra Almy na pewno nie wróci do domu.

– Dlaczego powiedziałaś to z taką pewnością? Tak, jakbyś nie miał żadnych wątpliwości?



– Bo ich nie mam? – odpowiadam pytaniem i wysiadam z wozu. Zita oczywiście robi to samo, z tą różnicą, że dodatkowo trzaska drzwiami.

– Ale co to znaczy?! – unosi się, deptając mi po piętach. – Zamierzasz ją zabić? Przecież ona jest niewinna. Jest ofiarą jakichś chorych zagrywek!

– Rozumiem – mówię, gdy przekraczamy próg domu. – Też jestem ich ofiarą i muszę z tym żyć. – Wchodzę do kuchni, żeby umyć ręce.

Skupiam się na tej czynności, sugerując Zicie, że rozmowa skończona, nie ma po prostu o czym mówić, ale jak ona się uprze...

– Normalnie zrobiło mi się ciebie szkoda – ironizuje Zita.

– Słusznie. Wyraźnie zakomunikowałem, że nie chcę robić interesów z Serafinem. Alfredo postanowił rozegrać sprawę po swojemu, za moimi plecami, przez co Bommarito ma poczucie, że postawił na swoim. Dostał to, czego pod żadnym pozorem nie chciałem mu dać. – Podchodzę do Zity, która opiera się o parapet, i kładę ręce na jej ramionach. – Nie będę udawał, że nie wiem, co się wokół mnie dzieje, bo za chwilę cwaniaków, którzy będą chcieli postąpić podobnie, znajdzie się więcej. Nie bez powodu nie miewam problemów z kontrahentami i rozliczeniami. Dla dobra nas wszystkich nie mogę odpuścić. Nigdy tego nie robię. Czy ci się to podoba, czy nie, Alfredo straci swój mały cud. Nie powiedziałem, że ją zabiję – dodaję, bo Zita czerwienieje na twarzy. Wolę uniknąć sytuacji, w której będę musiał szukać nie tylko Serafina, ale też jej, bo postanowi jednak uratować małolatę. – Nie chcę ukarać tej dziewczyny, lecz jej ojca.

– Czyli? – Patrzy na mnie podejrzliwie.

– Będzie musiała rozpocząć nowe życie. Z daleka od swojej rodziny. Alfredo nigdy już nie będzie mógł zagrać tą kartą. W sumie, gdy o tym myślę, uważam wręcz, że zrobię jej przysługę.

– Serio? Użyłeś słów „będzie musiała”, a nie „będzie mogła”. Może ona nie chce, żebyś wyświadczał jej – krzywi się – przysługę? Dobrze jest mieć wybór, wiesz?

Przygląda mi się wnikliwie, jakby chciała mieć pewność, że dotarło do mnie to, co powiedziała. Kiwam głową, by utwierdzić ją w tym przekonaniu. Nie na odczepnego, lecz szczerze, z głębi serca. Zgadzam się z nią. Dobrze jest mieć wybór, nawet jeśli opcje, tak jak w tym przypadku, są bardzo ograniczone: żyć lub umrzeć.

– Będzie mogła wybrać – oznajmiam, w efekcie czego Zita uwiesza mi się na szyi. Wygląda na zadowoloną z siebie. Cieszy się, że poucza mnie

przyniosło skutek, że jestem taki elastyczny i skory do kompromisów. Co mogę powiedzieć? Cały ja.

Przyciągam Zitę bliżej siebie i całuję ją w usta. Zamierzam to robić często, w nadziei, że trochę mi ona spowszednieje, że to, co odczuwam, gdy jest tuż obok, przestanie być tak niezdolnie intensywne.

– Eee, Zito, nie wiedziałem, że masz gościa – rzuca zmieszany Tafari, przystając w progu kuchni. – Tego no, swojego kuzyna. – Drapie się po głowie. – W sumie widziałem, że przyjechaliście na wzgórze, ale nie sądziłem, że tu zostanie i będziecie robić to – porusza palcem – no to, co robicie.

Wiecznie się mota. Nie mam do niego siły.

– A co oni robią? – pyta z zaciekawieniem Luigi, który usilnie próbuje coś dojrzeć zza pleców Boaha, aż wreszcie przeciska się i wchodzi do środka. – Yyy. – Wytrzeszcza oczy. – Jestem zgorszony.

Szkoda tylko, że nie potrafi tego przekonująco odegrać. Nie mam wątpliwości, że obaj maczali palce w „uświadamianiu Zity”. Kto wie, co jej naopowiadali i jak bardzo minęli się z prawdą, skoro tak chętnie chce budować ze mną przyszłość. Waham się, czy im podziękować, czy zrobić im krzywdę.

Kątem oka dostrzegam przechodzącego korytarzem Ugo. Wygląda na strapionego. Gwiżdżę, czym zwracam jego uwagę.

– Co jest? – pytam, gdy do nas podchodzi.

– A dlaczego cię to interesuje? Przecież się nie znamy. – Patrzy na mnie znacząco, jakby spojrzeniem chciał mi przekazać, że nieopatrznie wyszedłem ze swojej roli.

– Zapomnij o moim genialnym planie – informuję, czym rozbawiam Zitę. – Przerósł ich. – Wskazuję na Luigiego i Tafarię, którzy z zafascynowaniem wpatrują się w swoje buty. Już mam dodać, żeby uczyli się od małolata, wzięli z niego przykład, bo w przeciwieństwie do nich Ugo ma łeb na karku, ale wtedy on wypala:

– Zgubiłem mój dziennik. W sensie pamiętnik. Wiesz, co mam na myśli.

W obliczu takiej wiadomości wszystko inne przestaje mieć znaczenie. Nawet Boah i Luigi unoszą głowy.

– Wykaz transakcji i listę biorców – chrząkam – to znaczy kontrahentów? – poprawiam się, a ciśnienie zaraz rozsadzi mi czachę. Mimo to uśmiecham się lekko, nie chcąc, by Zita znalazła wspólny mianownik dotyczący miejsca, w którym odwiedzała mnie jako dziecko, skalpela i mojego

naznaczenia śmiercią. – Chodzi o biorców naszego towaru – dodaje, patrząc na nią, lecz ona jedynie przewraca oczami, jakby nie miała wątpliwości, że to bzdura. – Nie zniszczyłeś zapisków, gdy odhaczyliśmy tę sprawę?

– Co? – Ugo spogląda na mnie z niezrozumieniem. – Oczywiście, że dopilnowałem tego, o co mnie prosiłeś. To też w moim interesie – oburza się. – Miałem na myśli te moje, wiesz, przemyślenia i inne takie. Mój notatnik z dawnych lat. Tych dziwnych. Mam powiedzieć wprost? Sam już nie wiem. – Taksuje wzrokiem całą naszą czwórkę.

Zita rozwiązuje swój worek, a po chwili wyciąga z niego zeszyt w sfatygowanej okładce. Od razu go rozpoznaję. To ten z dawnych lat. TYCH DZIWNYCH.

Wręcza go Ugo, a ten sięga po niego z zażenowaniem, by po chwili wydusić:

– To nie mój.

Zita wzdycha przeciągle. Zdarza się to jej coraz częściej w naszym towarzystwie. Nie jestem zdziwiony. Też mam ochotę sobie westchnąć.

– Aha – stwierdza Zita. – Czyli występujący na kartach tego pamiętnika Ugo, Zita, Spirito, Luigi i Tafari to wyłącznie przypadkowa zbieżność imion? Jeśli tak, to czekaj – wyrywa mu notatnik z rąk – przeczytam wszystkim, bo to ciekawa lektura. Nic osobistego, co nie?

Ugo najwidoczniej przeżywa coś na kształt szoku, bo otworzył usta, lecz nie wydostaje się z nich żaden dźwięk. Zita wertuje zapiski. Przepęnia mnie spokój. Bez względu na to, co tam spisał, i tak nikt poza nim tego nie zrozumie. Pamiętam przecież te jego nieskładne wycieczki, którymi mnie zarzucał.

– Uwaga, cytuję – zaczyna Zita. – W końcu zobaczyłem słońce, a potem na chwilę zemdląłem. A następnie...

Parskam śmiechem. Tak jak mówiłem, żaden z niego poeta. Zita gromi mnie wzrokiem i kontynuuje:

– A następnie usłyszałem, jak Tafari z Luigim błagają Spirito, by pozwolił im podążać jego śladem. Nie dziwię się. On zna się na życiu, mimo że jest martwy.

– A ja się, kurwa, dziwię – wtrąca Luigi. – Dlaczego zachowaliśmy się wtedy jak pizdy? – Patrzy z pretensją na Boaha. – Spirito był błąd jak ściana, miał obłęd w oczach i ledwo stał na nogach, a my go błagaliśmy, żeby się nami zaopiekował. Jakieś niepojęte. – Łapie się za głowę. – Nie powinno być na odwrót?

– Też to pamiętam. Miał na nas wyjebane. – Tafari mówi o mnie w trzeciej osobie, a przecież stoję tuż obok. – Długo tłumaczyłem sobie, że będąc w takim stanie, mógł po prostu zapomnieć o zaproponowaniu nam, żebyśmy trzymali się razem – teraz tłumaczy to Zicie – ale jakieś to, do cholery, wątpliwe. Jakoś o torbie z kasą, kundlu i dzieciaku – spogląda na Ugo – nie zapomniał.

– Pokaż mi to. – Wyrrywam zeszyt z rąk Zity i go wertuję. Robi mi się gorąco, gdy natrafiam na adresowany do niej list. – Myślałem, że go potargałeś – zwracam się do Ugo.

– Potargałem wtedy inną kartkę. Przekonywałeś, że to nic nieznaczące słowa, wyłącznie przykład, ale obaj wiemy, że to nieprawda. Dobrze by było, gdyby Zita mogła zapoznać się z treścią listu.

– Czytałaś to? – Spoglądam na Zitę. – Te wypociny? Te bajki spisane przez dzieciaka o zbyt wybujałej wyobraźni? – dopytuję, licząc, że zaprzeczy.

Ugo się obrusza, zamiast wykazać się rozsądkiem i zejść mi z oczu. Zita natomiast milczy, ale wystarczy, że na nią spojrzę, a znam już odpowiedź. Oczywiście, że zapoznała się nie tylko z treścią listu, ale też z każdym innym spisanym w zeszycie zdaniem. To przecież Zita. Nawet strach przed tym, co odkryje, nie jest w stanie przyćmić towarzyszącej jej od zawsze ciekawości.

Zanim zdążę się zastanowić, co najlepszego wyprawiam, dotykam włosów Zity. Sunę po nich palcami, po tych szorstkich od słonej wody strąkach. Drży mi łapa, a to nigdy mi się nie zdarza. Zaciskam i poluzowuję pięść. Bracia przyglądają mi się, mrużąc oczy.

– A tobie co dolega? – zwraca się do mnie Tafari.

Zita potrząsa ramionami, jakby wytrącona z transu, i na niego napada:

– A co ma mu niby dolegać?! – Marszczy gniewnie brwi. – Spirito pod obojętną manierą skrywa głębię uczuć. Masz z tym problem, gościu? – dodaje buntowniczo, a potem spogląda na mnie i kontynuuje: – Wykąpię się, a potem zajmę się wyprowadzką.

W pierwszym odruchu chciałem zaproponować, uprzeć się, że o żadnej głębi nie ma przecież mowy, ale autentycznie włos zjeżył mi się na głowie, gdy użyła tego słowa na „w”.

– Czyli jednak cię to przerosło? – Zataczam krąg rękami, chcąc zobrazować naszą rzeczywistość. – Wolałbym, żebyś się nie wyprowadzała. Ja nad sobą pracuję – oznajmiam z przekonaniem, a głęby oczywiście parskają śmiechem. – Z tymi uczuciami masz całkowitą rację. To znaczy na

pewno nie utoniesz w tej całej głębi, ale tak, coś w tym jest. – Nabieram powietrza, a potem rzucam pospieszne: – Zabierz mnie ze sobą.

Zita unosi brwi. Wysoko.

– Jezu – sapie. – Zachowujesz się, jakbym była ósmym cudem świata. – Przybliżyła się do mnie i szepcze mi do ucha: – Ogarnij się trochę.

Miło, że ta przygana była przeznaczona tylko dla moich uszu. Doceniam, że Zita jawnie mnie nie strofuje, ale trochę za późno na ratowanie mojego wizerunku, skoro zdążyłem już zrobić z siebie zakochanego desperata.

Podążamy za nią wzrokiem, gdy opuszcza kuchnię. Już mam krzyknąć „Przysięgam, że się ogarnę!”, choć może to być obietnica na wyrost, ale zanim to robię, Zita odwraca głowę:

– Przeprowadzam się piętro niżej. Do ciebie.

– Do mnie? – wyduszam nerwowo, choć zniknęła już z pola widzenia. – Jakoś sobie tego nie wyobrażam.

– Wiedziałem, że tak będzie. – Luigi kręci głową, a ja żałuję, że nie ugryzłem się w język. – Czego sobie nie wyobrażasz? Masz to, czego chciałeś.

Tafari żarliwie mu przytakuje.

– Ona jest zbyt wymagająca – oznajmiam enigmatycznie.

– Czyli? – dopytuje Luigi.

– Czyli jest biorcą – wtrąca się Tafari. – Już to przerabialiśmy. Nic nowego. Zaskoczeniem jest wyłącznie to, że się tak przy niej telepie. – Teatralnie potrząsa rękami.

– Ona mnie przytłacza – dopowiadam.

– Już dawno wspominałem, że jest namolna. – Tafari dalej swoje.

– Dziwnie się przy niej czuję – zdobywam się na szczerość. – To wasza wina, że odczuwam dyskomfort. Wszystko zepsuliście. Nie zdążyłem nawet oswoić się z myślą, że mogę być z nią tak blisko, a teraz się do mnie wprowadza. Co to w ogóle znaczy? Przecież ma tylko ten swój worek. – Przyciskam palce do powiek. – Kurwaaa – jęczę. – Znów się zacznij.

„Nie zamierzasz się zrewanżować?”, „Więc jak będzie z tym rewanzem?”. W głowie dudnią mi jej słowa. Zataczam kółka na skroniach i wychodzę z kuchni. Jakiś czas później przystaję przed łazienką, z której dobiega podśpiewywanie Zity oraz kontrastujący z tym jękotem uspokajający szum wody. Skupiam się na tym dźwięku i otwieram drzwi mojego pokoju. Połykam powietrze. Ponownie i jeszcze raz.

Na moim do pewnego momentu perfekcyjnie posłanym łóżku leżą wymiętoszone prześcieradła, sprane ubrania i babcine galoty. Są też puchate poduszki. A między nimi, kurwa, nie wiem... w zamyśle Zity być może ozdoba, czyli stara, zmechacona maskotka. Na jednej z komód wyłożyła swoje koraliki, przezroczyste żyłki i inne szpargały. Zrolowany wcześniej plik banknotów teraz podzielony jest na mniejsze części, które „pomysłowo” owinęła... gazetami.

Boli mnie głowa. Jestem zwolennikiem radykalnych cięć, po co więc tak koloryzować? Od razu mogła powiedzieć, że zamieni wspólną przestrzeń w królestwo zbieracza, bo to jej „wprowadzam się” nawet w ułamku nie oddaje tego, co tutaj zastałem.

Za dużo tu tych bambetli. W tym chaosie umknęło mi nawet, że...

– Gdzie jest mój pies?! – wrzeszczę, a wtedy go słyszę.

Rozglądam się dookoła, próbując zlokalizować, skąd dobiega stłumione szczenie. Nie wierzę. Dopadam do drzwi sekretnego pokoju, po czym wklepuję na panelu hasło. Chwilę później schylam się po sierściucha.

– Zita cię tu zamknęła? Ależ ona jest roztrzepana. Dobrze, że nie przytrzasnęła cię drzwiami – mówię do niego. – Bałeś się? – pytam, skupiając wzrok na koronie zaklętego w kamieniu władcy. Na umieszczonej w niej perle. Zasycha mi w ustach.

Jest tak, jak sobie wymarzyłem. Kiedy lata temu przyczepiałem perłę do łańcucha, wierzyłem, że nadejdzie dzień, w którym znajdzie się ona we właściwym miejscu. Dążyłem do tego. Powinienem odetchnąć, ale gdzieś z tyłu głowy dudnią mi wpajane od dziecka przepowiednie, które przytoczył Zicie don Giorgio. W potoku słów: „Śmierć chce cię mieć tylko dla siebie. Nie sugeruj jej, że jesteś bardziej żywy niż martwy”, umknął jej sens najważniejszego zdania: „Ona może odebrać ci życie”. Sęk w tym, że to właśnie Zita jest *moim życiem*. Serafino, który zapadł się pod ziemię, na pewno ma tego świadomość. Odpowiedziałem jej wówczas, że w mojej rzeczywistości Śmierć kocha Życie. Zakładając oczywiście, że to ja jestem Śmiercią. Tego akurat nie dodałem. Nie cieszę się więc na wyrost. Niektórym nie jest pisane szczęśliwe zakończenie.

## ROZDZIAŁ 28

### *Spirito*

Głaszczę psa. Niby nie wydaje się szczególnie zląkniony, chociaż pewne jest, że Zita niemal go wykończyła. Mam zamiar wpoić jej kilka zasad naszej koegzystencji, więc odkładam psa do legowiska i wychodzę z pokoju. Kiedy jednak podchodzę pod drzwi zajmowanej przez nią komnaty, zastygam w bezruchu. Mimo że są uchylone, coś powstrzymuje mnie przed tym, by je popchnąć i się ujawnić. A tym bardziej by wygłosić jakąś reprimendę.

Zita przegląda się w lustrze. Teoretycznie zwykła czynność, ale sposób, w jaki na siebie patrzy, a także wyraz jej twarzy każą mi sądzić, że jest to dla niej przełomowa chwila. Gdy przesuwa dłońmi po materiale czarnej, przylegającej do ciała sukienki, przyłapuję się na tym, że wstrzymuję oddech.

– Nie czaj się. Mam na to uczulenie – mówi, najpewniej, kurwa, do mnie, więc żałuję, że w tym przypadku bycie Duchem nie może być dosłowne. – Podobam ci się? – pyta, gdy wchodzi do środka.

– Jak zawsze – odpowiadam beznamiętnie, choć podoba mi się tak bardzo, że mam ochotę przytrzasnąć sobie głowę drzwiami, naiwnie wierząc, że to pomogłoby mi się ogarnąć. – Przejdźmy do konkretów – dodaję, bo im wcześniej omówimy zasady, o których wspominałem, tym lepiej.

Zita unosi ręce, a jej policzki zalewają się pieprzonym rumieńcem. Do pełni szczęścia brakuje, żeby zaczęła mi tu jeszcze głupkowato chichotać, lecz na szczęście – albo i nie – jedynie patrzy na mnie wyczekująco. Na co czeka? Czego oczekuje? Skąd, do cholery, mam wiedzieć?!

– Nie chcesz ściągnąć mi sukienki przez głowę? – pyta w końcu.

Boże.

– Proponując przejście do konkretów, miałem na myśli... – Nie jest mi dane dokończyć.

– Że wolisz ją ze mnie zerwać?

Spoglądam na rozchylone wargi Zity, zarys prześwitujących przez sukienkę piersi, aż w końcu kładę dłonie na jej biodrach. Jakoś mi, kurwa,

słabo.

– Masz ładnie rozwiniętą klatkę piersiową – mówię, po czym przesuwam kciukiem po jej żebrach. – I żebra też są w porządku. No i kość obojczykowa – dotykam jej – też fajna.

Brak mi tchu. Jestem niedotleniony. Właśnie dlatego zarzucam ją tymi pato-zjebanymi komplementami. Niech mnie ktoś zastrzeli.

Zita bierze sprawy w swoje ręce. Ściąga sukienkę i ponagłajęco porusza palcem, sugerując mi chyba, że mam wziąć z niej przykład i się rozebrać. No dobra, tyle mogę.

– Jezu, trochę spontaniczności! Serio w takiej chwili odczuwasz potrzebę zwinięcia skarpet w kulkę? – nie dowierza. Mówiłem, że jest wymagająca.

– Szczerze? Najbardziej odczuwam potrzebę poderżnięcia sobie gardła, ale nie chcę, żebyś miała traumę – odpowiadam.

Co innego mam powiedzieć? Czekałem na nią całe życie. Odnalazłem ją po śmierci. Paraliżuje mnie jej obecność. Nie wiem, czy zasługuję na bliskość jej ciała, na to, by była moja od początku do końca, od A do gloryfikowanego przeze mnie Z.

Unoszę wzrok.

Z miejsca tego żałuję, ponieważ Zita stoi przede mną kompletnie naga. Jest piękniejsza niż w moich wyobrażeniach. To źle, bo to czyni sprawę bardziej skomplikowaną. Niedługo później przyciska piersi do mojego torsu.

Naprawdę mi słabo...

– Dobrze się czujesz? – pyta, a gdy milczę, dodaje: – Mów, o co chodzi, albo nie mamy o czym rozmawiać.

Tego typu zagrywka to trochę za mało, żeby zmusić mnie do zwierzeń. Znam przecież Zitę. Ona nie potrafi długo milczeć. Gdyby zagroziła, że odejdzie, to wtedy może – podkreślam może – podjąłbym jakiś dialog. Na ten moment nie mam ochoty uświadamiać jej jeszcze dobitniej, że coś jest ze mną nie tak.

– Źle. Dawno nie czułem się gorzej. – Teatralnie dotykam czoła, wzdrygam się, jakby wstrząsnęły mną gorączkowe dreszcze, i siadam na łóżku.

Zita dotyka mojego policzka. W jej oczach nie dostrzegam cienia współczucia. Widzę w nich jedynie złość, a niedługo później coś na kształt zrozumienia, aż wreszcie zawstydzenie.

– Byłam pewna, że już nie śmierdę. – Wącha dłonie.



Chryste, jeszcze tego brakuje, żeby winę za to nasze nieporadne tête-à-tête brała na siebie.

– Bo tak jest – zapewniam. – Ja po prostu... – Przyciskam palce do powiek. – Ja po prostu jestem chory. – Kaszlę, jakbym miał wypluć płuca. Dopiero wtedy dociera do mnie, że za bardzo się wczułem.

– Daj spokój z tą pieśnią przewrażliwionego hipochondryka. – Macha ręką w geście rezygnacji, nie zważając na mój zły stan zdrowia. – Zrozumiałam, w czym rzecz. Jesteś jednym z tych gości, którzy tracą zainteresowanie, gdy już zdobędą to, czego pragną. Powiedziałam, że cię kocham, i czar przysł.

Parskam śmiechem.

– Przecież cię nawet... – gryzę się w język, bo w przypadku Zity słowo „zaliczyłem” nie wchodzi w grę. Nie przechodzi mi ono przez gardło. – Przecież nawet nie wylądowaliśmy w łóżku.

– Najwidoczniej masz odrobinę przyzwoitości. Chociaż nie oponowałeś, gdy robiłam ci dobrze ręką.

– Będiesz mi to teraz wypominać? Chyba się nie przemęczyłaś, skoro, no wiesz...

– Szybko skończyłeś?

Wciągam ją na łóżko, przygniatam swoim ciałem i przyciskam dłoń do jej ust.

– Nie do wiary. – Rozglądam się dookoła. – Musiałaś to powiedzieć tak głośno?

Zita trzęsie się ze śmiechu, a w jej oczach pojawia się zadziorny błysk, gdy próbuje się wyswobodzić. Słabo się stara, więc raczej nie jest to walka, którą chce wygrać. A ja, no cóż, znów zaczynam za dużo myśleć i znów, kurwa, każdy jej gest, każdy ruch odczuwam po stokroć intensywniej.

– Zaczyna się, co? – mówi, kiedy podpieram się na przedramionach i obejmuję jej głowę rękami. – Kiedyś pomyślałam sobie, że przebywanie ze mną będzie dla ciebie najciekawszą przygodą życia, ale obcowanie z tobą to dopiero gratka i test dla mojej spostrzegawczości. Masz teraz taką samą minę, jak wtedy w morzu, gdy położyłeś dłoń na moim pośladku. Taką, jak przed momentem, gdy zobaczyłeś mnie nago.

– Czyli? – Patrzę na nią z niezrozumieniem.

– Sama nie wiem. Wyglądasz, jakbyś sądził, że śnisz, i nigdy nie chciał się obudzić.

Pocieram twarz, a Zita uśmiecha się zadowolona z faktu, że mnie przejrzała.

– Patrzysz na mnie tak, jakbyś...

– Wiem, wiem, jakbym chciał całować ziemię, po której stąpasz – dopowiadam, co oczywiste.

– Chciałam powiedzieć, że patrzysz na mnie tak, jakbyś chciał mnie pocałować. – Uśmiecha się jeszcze szerzej.

Co począć? Jestem nią tak odurzony, że przez chwilę nie czuję oddechu Serafina na karku.

Całuję ją, uprzednio przesuwając językiem po bliźnie, którą ma na wardze. Zastanawiam się, czy inni, czyli ci, z którymi była przede mną, też całowali ją w ten sposób. To irracjonalne, ale świadomość, że jej usta choćby przez krótką chwilę należały do kogoś innego, sprawia, że znów mam ochotę ją ugryźć. Zamiast tego pogłębiam pocałunek i obejmuję dłonią jej pierś. Robię wszystko to, czego nie zwykłem robić nigdy wcześniej. Staram się, bo to przecież moja Zita. Z nią jest inaczej. Czuję ją w sercu.

Kiedy szczypię ją w sutek, energia między nami się zmienia. Zita pożera moje usta, jakby pragnęła przejąć dowodzenie. Wbija palce w moje ramiona tak mocno, że gdyby tylko miała dłuższe paznokcie, na pewno zostałyby ślady. Łapię ją za ręce i unieruchamiam je nad jej głową, bo nagle zamiast zmysłowości zaczęła emanować od niej szorstkość i frustracja.

– Nie próbuj mnie zdominować. – Marszczy gniewnie brwi, a potem dodaje hardo: – Ja tu rządę.

W pierwszym odruchu otwieram gębę. W drugim po prostu parskam śmiechem.

– Już to ostatnio słyszałem. Z tą różnicą, że wówczas słowa te padły z ust kilkulatki – mówię, a Zita nabiera powietrza. – Wiem, że masz silną osobowość, ale czasem możesz sobie odpuścić. Nie czujesz, że przy mnie możesz?

– Przepraszam. – Chowa twarz w dłoniach. – Nagle poczułam się przytłoczona tym, że wykazałeś się inicjatywą. Nie wiedziałam, czego się spodziewać, co planujesz zrobić w następnej kolejności. Przez chwilę chyba zapomniałam, że jestem z tobą i mogę opuścić gardę.

Przewracam się na plecy, a potem wciągam Zitę na siebie. Na górze, na dole, na odległość... Co za różnica, skoro bez względu na okoliczności

działa na mnie – nie sądziłem, że kiedykolwiek będę się na to żalił – aż za bardzo.

W każdym razie zezwalam, by zerznęła mnie na swoich warunkach.

Zita wierci się, siedząc okrakiem na moim brzuchu. Nie chcę się rządzić, ale kładę dłoń na jej biodrze i delikatnie zwiększam nacisk palców, sugerując tym samym, by rozważyła zmianę położenia, czym wytrącam ją z zamyślenia.

– Zastanawiam się, czy mam gdzieś tu jakąś prezerwatywę.

Chryste. Nawet o tym nie pomyślałem, biorąc za pewnik, że się zabezpiecza. Jak mogłem zapomnieć, że wszystko, za co trzeba zapłacić, mimo że konieczne, to dla niej zbędny wydatek.

– Myślałem, że bierzesz pigułki – przyznaję, a ona posyła mi spojrzenie mówiące: „Chyba zgłupiałeś”. – Można wiedzieć, jak sobie wyobrażałaś zbliżenie, gdy byliśmy w morzu?

– Sądziłam, że masz przy sobie gumkę.

– Gdzie niby miałbym ją wtedy mieć? Zawczasu założoną na kutasa? – pytam, na co Zita wzrusza ramionami.

– Zabawna wizja. – Uśmiecha się szeroko i ze mnie zeskakuje, a po chwili wsuwa rękę pod materac. – Byłam pewna, że coś znajdę.

„Coś”. Dobrze powiedziane. Sam nie znalazłbym lepszego określenia, żeby opisać rzecz, którą wyciągnęła.

– To kondom? – Przyglądam się opakowaniu, którym szeleści mi przed twarzą.

– Folia trochę sfatygowana, data ważności wytarta, ale zawartość zapewne nienaruszona.

„Zapewne” to kolejne słowo klucz.

Wkładam spodnie. Już mam jej zaproponować, żebyśmy przenieśli się na dół, do „naszego” pokoju, bo nie chce mi się naginać tam i z powrotem, ale przypominam sobie o panującym w nim bałaganie. Odrzucam ten pomysł. Nie mógłbym się skupić.

– Zaraz wrócę. – Zmierzam w stronę drzwi, lecz Zita chwyta mnie za przedramię.

– Może pójdziemy na żywioł i zrezygnujemy z zabezpieczenia? Czasem tak bywa, że będąc w amoku namiętności, po prostu się o tym nie myśli. Postawmy na spontaniczność w myśl zasady: „Stało się i tyle” – kusi mnie, zaplatając ręce na moim karku.

– Przez kwadrans rozważamy, czy wykombinowana przez ciebie guma nie jest sparciała. Nie sądzisz, że w takich okolicznościach trudno mówić o spontaniczności, a znalezienie usprawiedliwienia dla tego całego „stało się i tyle” jest wręcz niemożliwe? Idę.

Niedługo później zgarniam z pokoju gumki, potem zahaczam o łazienkę, bo uświadamiam sobie, że nie spłukałem z siebie plażowego syfu, i gnam na złamanie karku z powrotem do komnaty.

Zita, tak jak wcześniej, stoi przed lustrem. Jest ubrana.

– Pomyślałam, że zaczniemy od początku.

Wzdycham w duchu. Ileż to się muszę natrudzić, żeby mogła mną porządzić.

Zachodzę ją od tyłu, oplatom ramionami w talii i wtulam się w zagłębienie jej szyi. Tyle wystarcza, by serce niebezpiecznie załomotało mi w piersi, choć byłem pewien, że już wystarczająco długo się na nią napatrzyłem, że trochę się uodporniłem.

Na skórze Zity pojawia się gęsia skórka. Zaborczo ściskam jej pierś, mentalnie szykując się na opierdół, lecz zamiast tego Zita postanawia ułatwić mi zadanie, zsuwając niżej materiał opinający jej krągłe piersi. Zmuszam się, by nie patrzeć w lustro, nie zarejestrować w pamięci naszego odbicia, bo nigdy już nie zapanuję nad fiutem.

– Zaraz postradam zmysły – jęczę sfrustrowany, nieudolnie próbując wsunąć rękę pod kieckę Zity. – Podciągnij sukienkę.

– Jeszcze nie. Za chwilę – mówi, napierając na mnie tyłkiem.

– Nie pomagasz – wzdycham, gdy frywolnie ociera się o mój rozporek. Przechylam jej głowę, wymuszając tym samym odwrócenie się do mnie przodem. Teraz przyciska do mnie cycki. Nie dziwne więc, że zaczynam wątpić w swoją strategię. Od nadmiaru bodźców kręci mi się w głowie. Zita popycha mnie na łóżko i siada na mnie okrakiem.

Odchylam się do tyłu i podpieram na ręce. Drugą wodzę po odsłoniętych udach Zity. Sunę po ich wewnętrznej stronie. Zita coraz bardziej się wierci. Gdy z premedytacją omijam cipkę, obdarza mnie najpierw zabójczym, a później zaczepnym spojrzeniem i... na moich, kurwa, oczach – a przecież na pewno zdążyła się już zorientować, że jestem nadwrażliwym na jej punkcie wzrokowcem – wsuwa sobie w nią palec i niespokojnie kołysze biodrami. Na oślep przeszukuję kieszenie. Nie potrafię oderwać od niej wzroku. Słodkie tortury nie są mitem. One istnieją naprawdę.

– Pospiesz się – wydusza, oddychając płytko.

Nerwowo rozpinam spodnie i rozrywam opakowanie kondoma. Kiedy naciągam go na fiuta, Zita patrzy na to rozemocjonowana. Jest napalona. Opuszcza się na mnie pewnym ruchem, czego zapewne żałuje już w chwili wykonania, ponieważ wykrzywia twarz w grymasie i głośno zasysa powietrze.

Poruszam się, pomagając jej się dopasować, bo zastygła bez ruchu.

Chwytam ją za kark i przyciągam do siebie.

– Ta impulsywność mnie kiedyś zgubi – oznajmia, muskając moją wargę językiem. Czuję ciężar jej piersi, skórę tak gorącą, jakby zajęła się ogniem. Przywieram do ust Zity, a ona wydaje z siebie cichy pomruk. Rozluźnia się, pozwalając sobie na śmielsze ruchy.

Koncentruję całą uwagę na pieprzyku, który ma ramieniu. Poddaję dogłębnej analizie jego kształt, wmawiając sobie, że jest nietypowy, mimo że to pospolita kropka. Robię to, by nie skupiać się na przyjemności, na tym, jak mi z nią dobrze, i nie skończyć przedwcześnie. Raz to błąd nowicjusza, dwa oznaczałoby problem.

Obejmuję ją za pośladki, bo nagle zgubiła rytm i zacisnęła palce na mojej szyi. Następnym razem będę wiedział, że próba wyrwania mi tchawicy oznacza nic innego jak zbliżający się orgazm.

– Nigdy nie było mi lepiej – szepcze mi do ucha współprytomnie.

Nie chcę psuć atmosfery, bo jej ruchy są coraz bardziej chaotyczne, dlatego gryzę się w język i nie odpowiadam: „Wiadomo”.

– Z-z-zaraz b-b-będę miała... – jęczy słodko i zaciska się na moim kutasie. Więcej mi nie trzeba. Na szczęście chwilę później Zita również osiąga spełnienie, a potem wtula się we mnie całą sobą. – Dziękuję, że wyczarowałeś dla nas dom – dodaje przed zaśnięciem.

## ROZDZIAŁ 29

### *Zita*

*Kiedy nadejdzie pamiętny dzień...*, słyszę tuż przy uchu. Pocieram je i przewracam się na drugi bok, mocniej przyciskając do siebie ramię obejmującego mnie Spirito. Z czułością wodzę palcami po jego knykciach. Są szorstkie w dotyku, zimne. Wyczuwam pod palcami każdą kostkę jego dłoni, zupełnie tak, jakby nie okrywała jej skóra.

*Szepty. Piski. Głosiki. Słyszysz je, Zito?*

Kto to powiedział? Na pewno nie Spirito. Martwi nie mówią. A on śpi snem umarłego.

Gwałtownie uchylam powieki. Głos grzęźnie mi w gardle, gdy dociera do mnie, że ułożona jest na mnie ręka nieboszczyka.

Zrywam się z łóżka i na miękkich nogach uchylam okno, by zaczerpnąć powietrza. Z niedowierzaniem przecieram oczy, bo u podnóża zamku, w rodzinnym domu Spirito, dostrzegam migoczące światło.

*Córeczko!*

Mama.

Wspinam się na parapet. Materiał nocnej koszuli trzepocze smagany wiatrem. Chwieję się na krawędzi, ale mimo to spoglądam przez ramię, bo słyszę ruch w komnacie.

Na skraju łóżka siedzi szkielet odziany w białą, zakrwawioną marynarkę.

– Kiedy umarłeś? – pytam drżącym głosem.

– Dzisiaj.

Kładę dłoń na piersi. Odczuwam pustkę, której nie da się niczym zapełnić. Zerkam na niego ostatni raz. Wkłada sobie palce w oczodoły, powoli otwiera usta i skrzeczy ochryple, jakby dławił się krwią:

– Zito, uciekaj.

Skaczę.

– A-a-a-ach. – Połykam powietrze, bo ktoś potrząsa moim ramieniem. Otwieram oczy. To Spirito. – Ty żyjesz? – wyduszam, po czym zrywam się do siadu, żeby go dotknąć.

Spogląda na mnie znudzony, ewentualnie zaspany, i wtula się w poduszkę, uznając udzielenie odpowiedzi – na to w moim mniemaniu

kluczowe pytanie – za zbędny wysiłek.

– Miałaś zły sen. – Geniusz. Sama bym na to nie wpadła. – Śpij – zarządza.

– A więc tak to będzie teraz wyglądać – rzucam z pretensją i podchodzę do okna. Wydaje mi się, że to samo zrobiłam we śnie. Gdy to sobie uświadamiam, przez chwilę odczuwam irracjonalny lęk przed tym, by spojrzeć przez ramię. Boję się, że gdy to zrobię, ujrzę martwego Spirito. Nabieram powietrza i jednak się odwracam. Okazuje się, że nic się nie zmieniło, nadal leży z twarzą przyciśniętą do poduszki. Totalna olewka. – Ale łomocze mi serce. Możliwe, że już po mnie. Rozumiem, że nie mam co liczyć na twoje wsparcie?

– Kurwaaa – jęczy przeciągle, podnosi się i podpira plecami o zagłówek, a potem przeciera oczy i sprawdza, która godzina. – Trzecia w nocy. Wymarzony czas na pogawędki – mamrocze zirytowany, ale jego humory mnie nie zrażają.

Otwieram okno na oścież, by wpuścić do środka chłodne, wilgotne powietrze. Mgła tuli wzgórze w swoich ramionach, więc podświadomie wypatruję duchów-strażników.

Jest jak jest, Spirito zepsuł mi mózg.

– Twój rodzinny dom nadal należy do ciebie?

– Ta rudera? Tak, a co?

– Teraz nie widzę tej rezydencji – zaczynam, a Spirito parska śmiechem przy ostatnim słowie – ale widziałam ją we śnie. W oknie domu migotało światło, myślę, że był to płomień świeczki. Stałam w tym samym miejscu co teraz, no i usłyszałam wołanie mamy.

Spirito przeciera twarz.

– Po pierwsze, twoja matka nie żyje. Po drugie, nie ma możliwości, żebyś dostrzegła płomień świeczki z tej odległości. Po trzecie, po co ktoś miałby zapalać świeczkę, skoro jest tam prąd. Zero logiki. Kładź się z powrotem.

– Przecież nie chodzi o logikę, tylko o uczucia, jakie wywołał we mnie ten sen! – wkurzam się. – Chwila, po co opłacasz rachunki, skoro dom jest niezamieszkały?

– Czasem koczują tam bezdomni. Nie chcę, żeby rozpalili ognisko w salonie lub zapomnieli zdmuchnąć świeczkę. – Mruga do mnie żartobliwie.

– I tobie to nie przeszkadza?

Przyglądam mu się z uwagą. Jakkolwiek by na to spojrzeć, miło z jego strony.

– W czym by miało? Sprzątają po sobie, co jakiś czas myją mi wóz. I tak tam nie przebywam, a oni są najtańszym źródłem informacji. Zwykle jako pierwsi wiedzą, co dzieje się na mieście.

No tak, zawsze jest drugie dno. Coś za coś.

– W moim śnie nie żyłeś. Byłeś szkieletem ubranym w marynarkę.

– Coraz ciekawiej. – Ziewa.

– Ale – unoszę palec – umiałeś mówić. – Powiedziałeś, że mam uciekać, więc... – uśmiecham się, bo nagle wydaje mi się to niesamowicie zabawne – wyskoczyłam przez okno.

– Bywasz strasznie narwana. – Spirito też się uśmiecha i przywołuje mnie do łóżka.

Korzystam z zaproszenia. Nie musi mnie kusić ani namawiać. Na samą myśl, że zaraz ponownie znajdę się w jego ramionach, czuję mrowienie w podbrzuszu. Przysięgam, z nikim nie było mi tak dobrze. Nie chodzi nawet o aspekty czysto fizyczne – choć jest przyjemny dla oka – lecz o to, czego nie widać. O coś niepodrabialnego, tak bardzo naszego, że aż zapiera mi dech.

Przytulam się do piersi Spirito, a on kładzie dłoń na moich plecach. Ogarnia mnie spokój. Bezpieczeństwo – odczuwam je teraz. Pograżam się w tym odczuciu, w błogiej ciszy, którą mąci bicie dzwonu. Bim – pierwsze uderzenie. Bam – drugie. Bom – trzecie.

Spirito przełyka głośno ślinę i pyta z niezrozumiałą dla mnie ekscytacją:

– Bim, bam, bom, komu zabije diabelski dzwon? – Na jego skórze pojawia się gęsia skórka. W innej sytuacji pomyślałabym, że to dreszcz podniecenia...

Chwilę później podrywa się z łóżka i podskakując, to na jednej, to na drugiej nodze, naciąga spodnie na tyłek. Wyjmuje z kieszeni telefon, po czym podejmuję próbę skontaktowania się z kimś. Bezskutecznie.

– Co to było? Co robisz? – dopytuję zdezorientowana.

– Dzwon przemówił – mówi ot tak, jakby to cokolwiek wyjaśniało.

– Okeeej – przeciągam głoski. – I co ci powiedział? – Nie wierzę, że o to pytam.

– Że jest – spogląda na zegarek – trzecia trzydzieści trzy. Lepszej pory, żeby się objawić nie będzie.

Jezu, ktoś go podmienił. Coś siadło mu na głowę.



– Czy ja wciąż śnię? – Poważnie biorę taką ewentualność pod uwagę. – Nigdy nie słyszałam, żeby w tej okolicy bił dzwon. Mało tego, nie wiedziałam nawet, że jest tutaj kościół.

– Niedaleko jest stara, opuszczona dzwonnica. Taka tam wieńcowa konstrukcja słupowa szalowana dechami. Jeśli ktoś byłby w stanie pieprzyć konsekwencje i się na nią wspiąć, to właśnie on.

– Kto taki?

Zmieniam pozycję i przyglądam się Spirito, który najwidoczniej ani myśli wrócić do łóżka.

– Eros – odpowiada.

– A kim on jest?

– Mephistem. – Yyy. Mam ochotę oblać go lodowatą wodą. Co on bredzi? – Teraz, gdy jesteśmy dorośli, Diabeł działa mi trochę na nerwy, ale nikt nie zna się na tej zabawie tak jak on – dodaje jeszcze.

– Na jakiej zabawie, do cholery... – sapię, tracąc cierpliwość. – Niech mnie ktoś uszczypnie.

– W umieranie – odpowiada Spirito i oczywiście mnie szczypie, sądząc, że naprawdę tego pragnę! A potem bierze głęboki wdech, przygląda mi się, mrużąc oczy i... jak gdyby nigdy nic jednak z powrotem się kładzie. – Dobranoc. – Obejmuje mnie ramieniem i przyciska moją głowę do swojej klaty. Serce wali mu tak mocno, jakby samo było dzwonem. Nie wiem, co on kombinuje. – Ja umiem zasnąć w trzy minuty, a ty?

Dobra. Już wiem. Co za gość! Na pewno nie zamierzam brać udziału w konkurencji „kto szybciej zaśnie”. Nie mam parcia na bycie najlepszą. Spirito sądzi zapewne, że będę chciała mu coś udowodnić, podejmę wyzwanie i usnę, tymczasem każdy głupi by się zorientował, że on po prostu chce mnie mieć z główki. Marzy mu się „zabawa” z kolegą. W takiej sytuacji dziewczyna to zbędny balast.

– Zasnęłaś? – pyta po pewnym czasie, więc postanawiam poudawać i zobaczyć, co planuje. Ciekawi mnie, co może być przyjemniejszego od przytulania się do mojego nagiego ciała. Dokąd go tak ciągnie. – Śpisz? – upewnia się, bo nie odpowiadam.

W tej samej chwili z dworu dobiega głośny gwizd, a potem słychać:

– Księżniczko!

Wiercę się niespokojnie, gdy Spirito delikatnie – zupełnie jakbym była ładunkiem wybuchowym – układa mnie w innej pozycji. Przez moment jest bardzo cicho. Wyczuwam, że mi się przygląda.

– Spirito, ciebie wołam!

Chwilę później słyszę skrzypienie klepki przy wyjściu. Czekam kilka minut, żeby mieć pewność, że jestem w komnacie sama, i na czworakach skradam się do okna. Zerkam ukradkiem na dziedziniec. Zauważam zgrupowanych przy fontannie Wyznawców, a gdy się rozstępują, bo w ich stronę zmierza ubrany na biało Spirito, siedzącego na murku męża Almy.

Robi mi się gorąco. Co oni kombinują? Oby mój sen nie okazał się proroczy.

# ROZDZIAŁ 30

## *Spirito*

Ramię w ramię z Diabłem. Czy jestem zaskoczony? Wcale. On ma po prostu swoją zakrzywioną rzeczywistość, problem z zaakceptowaniem tego, że nasze drogi dawno się rozeszły. Nagina fakty, manipuluje nimi, wysyła mi dwadzieścia wiadomości dziennie, a gdy wreszcie się nad nim lituję i kulturalnie odpisuję, żeby się odpierdolił, straszy, że spali mi chatę.

I tak mnie męczy i dręczy, aż wreszcie stracę cierpliwość i kiedyś go zadżgam.

O ile oczywiście wcześniej nie zmiażdży mi krtani.

Mephisto bywa bezlitosnym skurwysynem, gdy akurat nie jest Erosem, który w swej naiwności obdarowuje mnie upominkami. Komu by się chciało robić coś bezinteresownie? Wyszlifował napis na swoim pierwszym, najcenniejszym łuku, spersonalizował go dla mnie, no i po co, skoro kładę na takie gesty lachę?

– Dzięki, że wysłałeś mi kartkę na urodziny i pokrowiec na strzały – mówi.

Parskam śmiechem. Diabeł marzyciel.

– Życzenia mało kreatywne, do bólu proste: „Pozdrawiam. S.”, ale doceniam katorżniczy wysiłek. – Klepie mnie w plecy. – Chociaż osobiście chyba bym się podpalił, gdybym nie umiał nic więcej wystękać.

Zjebany człowiek.

– Czyli co, nasze ścieżki, mimo że obaj kroczymy różnymi, co jakiś czas jednak w pewnych punktach zawsze się przecinają, nie? – Szczerzy się do mnie, gdy podążamy drogą prowadzącą do mojego rodzinnego domu. – Zapewne miałeś ciary, gdy usłyszałeś bicie dzwonu? Nie dziwię się, ja mam je do tej pory. – Przesuwa ręką po przedramieniu.

– Nawet się nie domyśliłem, że to twoja sprawa. Dawno już zapomniałem o tej zabawie. W każdym razie na pewno ekscytacja nie rozsadzała mi łba. Usłyszałem dzwon, ziewnąłem i poszedłem spać dalej.

Diabeł wybuchą śmiechem i przykłada palce do skroni.

– Nie broń się przed naszą przyjaźnią. Przed nią i tak nie uciekniesz – oznajmia, naciąga cięciwę łuku i wypuszcza strzałę. Po chwili słyszę szelest

liści, chrzęst łamanych gałęzi, a z oddalonego od nas o kilka metrów drzewa, niczym bezwolna marionetka, spada ciało. – Patrz na to, jeden się ostał.

Według mnie dwóch. Ten ostatni – Serafino – należy do mnie.

Jak się okazało, mój pomysł z podarowaniem go Zicie wcale nie był taki nietypowy, skoro Efesto i Diabeł wpadli na to samo, z tą różnicą, że sprezentowali go mnie. O ile zaangażowanie Efesta w moją sprawę jestem w stanie zrozumieć, tak zapal Diabła wyłącznie mnie wkurwia.

– Nie musiałeś się tak angażować. Nie jesteś mi dłużny żadnej przysługi – rzucam z irytacją.

– Za punkt honoru obrałem sobie ochronienie tego, co z ciebie zostało. Nie miej mi za złe, w końcu się przyjaźnimy. – Nachalnie akcentuje ostatnie słowo i wypruwa w długą, chyba wyczuwając, że nadużywa mojej cierpliwości.

Kiedy przekraczam próg domu, zawartość żołądka podchodzi mi do gardła. Przez chwilę znów jestem w „fabryce Bandettiego”. Tak jak tam, śmierdzi tutaj stęchlizną, fekaliami, a wkrótce też będzie cuchnęło śmiercią. To moje „sprzątaję po sobie”, którym uraczyłem Zitę, wspominając o koczujących w domu bezdomnych, zdecydowanie było na wyrost.

Może rzeczywiście lepiej byłoby puścić ten dom z dymem. Coś jednak zawsze mnie przed tym powstrzymywało, choć gardzę tym, co z niego wyniosłem, rodzicami, sobą. Chodzi o Zitę. Jak zwykle wszystko zaczyna się i kończy na niej. Kiedy opowiadała mi o swoim śnie, o nawoływaniu matki, uświadomiłem sobie, że wbrew pozorom wydarzenia z przeszłości mają głębokie korzenie, a to, co do tej pory wydawało mi się końcem – śmierć ostatniego członka rodu Bommarito – będzie dopiero początkiem. Nie da się okryć tego miejsca plandeką niepamięci, skoro nawet podświadomość prowadzi Zitę właśnie do niego.

Przed nami dużo pracy. Na szczęście ona jest namolna, a ja chorobliwie zawzięty.

Wchodzę do salonu, w którym przed laty rozegrały się prawdziwe dramaty. Byłem w nim później niejednokrotnie, czasem próbowałem wrócić pamięcią do dobrych chwil, lecz wspomnienie przestraszonej Zity przyćmiewało wszystkie inne.

Zauważa mnie przypięty do krzesła Serafino. Na jego twarzy odmalowuje się ulga, ale nie jestem specjalnie zdziwiony, skoro towarzystwa dotrzymuje mu Efesto.

– Zakneblowałem go, bo mi przerywał – odzywa się Efesto, a potem do mnie podchodzi i wystawia rękę: – Jesteśmy kwita. Od teraz każde „wypierdalaj”, które wobec mnie wystosujesz, będzie obarczone konsekwencjami.

Kiedy Efesto i Diabeł zostawiają mnie sam na sam z Serafinem, podchodzę do niego i wyciągam mu szmatę z ust.

– Coś się w tobie zmieniło. – Przechyliła głowę i intensywnie się we mnie wpatruje. – Olać. Nie wiem, w czym rzecz – dodaje po chwili. – Powiem ci tylko, że mogłeś sobie darować ten gest dobroci, bo nie zamierzam błagać o litość.

– Słusznie. Też nie lubię strzępić języka. Knebel wyjąłem wyłącznie dla lepszego efektu po poderżnięciu gardła.

Chyba obrazuje sobie tę chwilę, bo rzednie mu mina, a potem zagryza wargę, jakby próbował zachować fason i nie rozeźmiać mi się w twarz.

– Jak by ci to powiedzieć, żeby nie skruszyć twojego serduszka – wzdycha. – Zacznę od tego, że łatwo cię przejrzeć. Byłem pewny, że nie zabijesz mnie od razu. Lubisz napawać się chwilą, przeciągać, babrać się we krwi, co?

– Do sedna.

– Nie przeszło ci przez myśl, że jakieś to wszystko, kurwa, za proste? Jeśli zawołałbyś tutaj Efesta, powiedziałby ci, że jeszcze nigdy oddanie przysługi nie było tak łatwe jak w tym przypadku. Ale do sedna, tak, jak chciałeś. Przyleźli tu z Diabełem i po prostu mnie spętali. Tyle. Och, ale wysiłek! – Śmieje się szyderczo. – Odegrałem zdziwionego nagłym wtargnięciem, ale szczerze to nie wiem, jak mi to wyszło. – Wzrusza ramionami. – Trudno przecież być zaskoczonym, gdy stacjonuje się w danym miejscu od kilku dni i oczekuje się odwiedzin.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przekaz jest prosty, Spirito, a brzmi on: „Miło was widzieć”.

Robi mi słabo. Ściągnął nas tutaj specjalnie. Moje myśli od razu uciekają w stronę Zity, którą, przekonany, że zamek jest twierdzą nie do zdobycia, zostawiłem z braćmi.

– Mogę sobie zabrać puszkę po tej herbacie? Już jej nie produkują. Puszka z duszą. – W progu staje Diabeł z jakimś fajansem w łapie. – Jeszcze go nie zabiłeś? Myślałem, że zdążymy pójść do klubu, zanim wrócę do Palermo.

– Też chętnie – wtrąca przystający przy nim Efesto. – Czemu jesteś taki blady?

– Jesteśmy w niewłaściwym miejscu. Musimy wrócić do zamku – mówię jak automat. – Ściągnął nas tu z premedytacją, żeby ułatwić sobie dostęp do mojej rodziny!

– Co? Nie. – Serafino krztusi się śmiechem. – Chciałem, próbowałem, ale nie da się tam wleźć nawet tunelami. Za bardzo wczułeś się w rolę władcy lub masz coś do ukrycia, ewentualnie oba naraz. – Macha ręką, jakby było to nieistotne. – Gdy nie pojawicie się w domach, wasze dziewczyny same do mnie przyjdą. A wtedy...

– Dlaczego mielibyśmy się w nich nie pojawić? – dopytuje Efesto.

– Przecież zaraz zdechniesz – dodaje Diabeł.

– Dobra, dobra, nie tragizuj – parska Serafino. – Zdradź mi lepiej, która godzina, bo coś czuję, że to wasz czas.

Diabeł patrzy na mnie i kręci palcem przy skroni, sugerując, że Serafino konkretnie odpłynął, a potem spogląda na zegarek.

– Za trzy minuty będzie czwarta trzydzieści – informuje.

Serafino kiwa głową ze zrozumieniem, a potem uśmiecha się szeroko, patrząc na coś, co znajduje się za moimi plecami.

Odwracam się. Zita opiera się dłońmi o szklane przesuwne drzwi. Historia zatacza koło. Taksuje mnie wzrokiem, jakby chciała mieć pewność, że jestem cały i zdrowy, a potem koncertuje się na jednym punkcie – zapewne miejscu, w którym po raz ostatni widziała matkę.

– Jedna z dam postanowiła przyjść już teraz – mówi spokojnie Serafino. – Już po niej. Tik-tak. Już po was. *Mano d'onore* spłynie czerwienią.

Diabeł patrzy mi prosto w oczy. Serce łomocze mi w piersi. Rozumiemy się bez słów.

– Wysadzi nas w powietrze – mówimy jednocześnie.

Mephisto wypruwa w długą, jakby podłoga zajęła się ogniem.

– Zito, uciekaj! – Uderzam pięściami w szklane drzwi, a ona patrzy na mnie zdezorientowana. – Bomba! – wrzeszczę, próbując je przesunąć i samemu się wydostać. – Ucieka, uciekaj, uciekaj – powtarzam i w rezygnacji, widząc, że nie rusza się z miejsca, przykładam dłoń do szyby. Ona robi to samo. Chwilę później pojawia się przy niej Diabeł. Zarzuca sobie Zitę na ramię, przykładając rękę do mojej w geście pożegnania i spierdala, nie oglądając się za siebie.

Do moich uszu dobiega stłumione „Puść mnie, gościu!” i... śmiech Efesta.

– Ale melodramat. – Przeciera twarz ręką. – Przynajmniej wiesz już, jak kończą romantycy. Wolaleś wybuchnąć, byle tylko móc dłużej popatrzeć ukochanej w oczy. – Mruga teatralnie, trzepocząc rzęsami. – Nie to, co Mephisto. Ryzykant stawiający wszystko na jedną kartę. Nie dość, że nie wybuchł, to jeszcze zawinął przyjacielowi dziewczynę sprzed nosa i zwiął z nią, zapewne do jakiegoś lasu. Kurwa – wkłada sobie palce we włosy – obaj jesteście zjebani.

– A ty po prostu stałeś jak sparaliżowany. Rzeczywiście zachowanie godne naśladowania w kryzysowej sytuacji.

– A ja – powtarza po mnie – nie emocjonuję się tak jak ty, a raczej wy, bo jest jeszcze Diabeł. W przeciwieństwie do niego, łaskę kładę na twoją sytuację i skupiam się na tym, w czym jestem najlepszy. Słucham i wysnuwam wnioski. Ten głąb – kopie w krzesło, na którym siedzi Serafino – wyraźnie powiedział, że gdy już będzie po nas, nasze zaniepokojone dziewczyny same do niego przyjdą. Do kogo, kurwa, miałyby przyjść, jeśli by się wysadził?!

Cóż. Fakt.

– Słowa są zbędne. – Przyciskam sobie palce do powiek.

– Słowa nigdy nie są zbędne – oponuje Efesto i przywala Serafinowi z pięści w twarz. – Załatw go w końcu, bo gra na czas. Nie wiem jak twój – mówi, spoglądając na mnie – ale mój jest cenny.

Serafino rozgląda się na boki, jakby był pewny, że prawdziwe przedstawienie dopiero przed nami.

– Czekasz na kogoś? – pytam.

– Efesto, ilu moich ludzi załatwiliście z Diabłem? – ciekawi się Serafino.

– A bo ja wiem. – Efesto wzrusza ramionami. – Dziesięciu?

– To masz odpowiedź, Spirito, czy na kogoś czekam. – Śmieje się Serafino. – Nigdzie się nie ruszam bez mojej świty. Naprawdę myślałeś, że jest ona tak nieliczna? – Zerka na Efesta. – Zresztą obojętne, już po was, więc przyznaję wprost, że nie jestem tutaj sam. Jeśli chcesz mnie zadźgać, Spirito, to teraz, bo zaraz stracisz szansę, tak jak przed laty straciłeś wszystko.

– Sprawdziliście dom? – zwracam się do Efesta.

– Tak, włącznie z podziemiami. – Patrzy na mnie sugestywnie.

– Już idą. Słyszę kroki. Gdybym nie miał skrępowanych rąk, w tym momencie bym je zacierał. Wiedziałem, że nie jesteś w stanie mi zagrozić. Ta cała twoja śmiertelna otoczka nie robi na mnie wrażenia. Mocny jesteś tylko w prosektorium, co? Już cię rozgryzłem. Ty i ono, jak dwa połączone ze sobą naczynia. Szkopuł w tym, że oddałeś mu serce, a to przecież tylko miejsce. Nie stanie w twojej obronie, nie odwdzieczy się za pot i chłopiące łyzy. Sala, w której jako dzieciak zostałeś skreślony, dziś również będzie twoją zgubą. Zapomnij o jebanym wskrzeszeniu. – Pluje mi pod nogi.

Kroki są coraz donośniejsze. Efesto przeładowuje broń i patrzy na mnie wyczekująco, więc sięgam po swoją. Wzdycha z ulgą. Naprawdę myślał, że wyciągnę skalpel?

– Dobra, nie będę cię dłużej trzymał w niepewności, bo pewnie zachodzisz w głowę, gdzie ukryłem moich żołnierzy, co? Skąd się wyłonili, żeby historia mogła się powtórzyć – oznajmia z dumą. – Uwaga – milknie na moment, by wprowadzić atmosferę oczekiwania, aż wreszcie z siebie wyrzuca: – ukryłem ich w lodówkach.

Jezu, chyba nigdy nie ryknąłem śmiechem tak głośno jak teraz. Wsuwam broń za pasek. Nie będzie potrzebna. Wyjmuję za to skalpel, bo ten na pewno się przyda.

– Zamknąłeś ich w komorach na zwłoki, dobrze zrozumiałem? – upewniam się. – I mocno wierzysz w to, że przybędą ci na ratunek.

– Właśnie idą – rzuca pewnie.

– Daję sobie odciąć ręce, a jak zdążyłeś się już zorientować, jestem do nich wyjątkowo przywiązany, że to nie twoi ludzie. Któryś z twoich żołnierzy został w sali sekcyjnej? W sensie poza komorą?

– Nie, a co? – Marszczy brwi, jakby się zastanawiał, do czego dążę.

– W moim prosektorium komory chłodnicze otwierają się wyłącznie od zewnątrz, a skoro nie pozostał nikt, kto zwróciłby zatrzaśniętym w nich ludziom wolność...

– J-j-jak to? – jąka się Serafino. – A gdyby nastąpiła pomyłka, ktoś by ożył i chciał się wydostać?

– Zwłoki, które do nich wsuwam, są tak bardzo martwe, że bardziej już nie będą.

Do salonu wchodzi Wyznawcy, a także Zita, którą Diabeł trzyma pod rękę. Mimo że to on ma rozjebrany nos, bo zapewne przywaliała mu z główki, gdy odważył się ją „porwać”, to ona wygląda, jakby miała zaraz



dokonać żywota. Tak dla odmiany. A może raczej dla równowagi, bo ja czuję się żywy jak nigdy.

Zita przeskakuje wzrokiem między mną a Serafinem. Wkładam mu zawczasu szmatę w usta, bo otwiera gębę, a nie chcę, żeby mącił jej w głowie: wyzywał, groził, przeproszał.

Przykładam ostrze do szyi Serafina.

– Zaprzysiężony, za życia skreśło... – Milknę. – Jeszcze raz. Zapomniałem, że zmodyfikowałem słowa przysięgi.

Efesto sapie, bo to przecież wbrew zasadom!

Mephisto przykładą palce do skroni.

Zita pozwala sobie na łyzy.

– Zaprzysiężony, za życia wskrzeszony, po kres związany przysięgą...

Spirito

Copyright © Agnieszka Kalicka

Copyright © Wydawnictwo Inanna

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover photo by Lightfield Studios/Adobe Stock

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2023 r.

książka ISBN 978-83-7995-705-5

ebook ISBN 978-83-7995-706-4

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Anna Szymańska

Korekta: Joanna Błakita

Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Ewelina Nawara

Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-432 Bydgoszcz

[sekretariat@inanna.pl](mailto:sekretariat@inanna.pl)

[www.inanna.pl](http://www.inanna.pl)

Książkę i ebook najtaniej kupisz na [www.inanna.pl](http://www.inanna.pl)

# Table of Contents

[Wcześniej](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

